

PETER V. BRETT

PUSTYNNNA
WŁÓCZNIA

KSIĘGA I



2010

PROLOG

Demony umysłu

333 ROK PLAGI, ZIMA

W nocy przed nowiem, gdy panowały ciemności tak głębokie, że znikł nawet wąziutki rożek księżyca, w czerni za niewielkim zagajnikiem z Otchłani zaczęło się sączyć prawdziwe zło.

Mroczna mgła gęstniała powoli, aż ukształtowała się w parę gigantycznych demonów o szorstkiej brunatnej skórze poznaczonej sękami i guzami niczym kora drzewa. Zgarbione, mierzyły sobie dziewięć stóp wzrostu, a ich zakrzywione szpony wbijały się głęboko w zamarznąłą ziemię. Stwory stały nieruchomo i węszyły. Ich czarne oczy śledziły otoczenie, a w gardzielach narastał głuchy warkot.

Usatysfakcjonowane, demony rozdzieliły się i przycupnęły, gotowe do skoku. Za nimi mrok gęstniał i rozlewał się na runo leśne. Wtedy pojawiła się kolejna para eterycznych kształtów.

Były smukłe i drobne, mierzyły najwyżej pięć stóp wzrostu, a ich ciemna skóra była gładka, w przeciwieństwie do zniekształconych pancerzy ich większych braci. Szpony wieńczące delikatne palce wydawały się kruche, cienkie i proste niczym wymodelowane paznokcie kobiety. Oblicza nowych przybyszów były płaskie, pozbawione pysków, a w ustach widniały rzędy ostrych zębów.

Istoty miały wielkie oczy bez powiek, a głowy ogromne, wręcz rozdęte, ze stożkowato zwieńczonymi, wysokimi czaszkami. Skórę ich znaczyły guzy oraz żyły, pulsujące wokół drobnych rogów.

Przez dłuższą chwilę obaj przybysze wpatrywali się w siebie. Ich czoła pulsowały, jakby powietrze między nimi przeszywały wibracje.

Jeden z większych demonów dostrzegł ruch w krzakach. Doskoczył i z przerażającą prędkością wyłowił szczura z kryjówki. Uniósł go wyżej i przyjrzał mu się z zaciekawieniem. W tej samej chwili jego pysk upodobił się do szczurzego. Nos i wąsy przeszła seria

skurczy, gdy z górnej szczęki wyrosły dwa długie siekacze. Język potwora prześlizgnął się po zębach, jakby badał ich ostrość.

Jeden z mniejszych demonów odwrócił się, by przyjrzeć się znalezisku. Zmiennokształtny wyszarpnął szponem wnętrzości gryzonia, po czym odrzucił na bok truchło. Na rozkaz swego księcia obaj zmiennokształtni przeobrazili się w ogromne wichrowe demony.

Demony umysłu aż zasyczały, gdy wyszły z zakątka, gdzie panowały absolutne ciemności, w blask gwiazd. Światło im nie przeszkadzało. Z ich ust dobyły się chmurki pary. Zostawiając pazurzaste ślady w śniegu, podeszły do zmiennokształtnych. Większe demony pochyliły się nisko, by książęta mogli wspiąć się na ich grzbiety. W chwilę później wzbily się w powietrze.

W drodze na północ otchłańce minęły wiele innych demonów. Bez względu na to, czy małe czy duże, wszystkie kulily się, aż książęta przelecieli dalej, ale bez wahania ruszały za zewem, który nadal wibrował w powietrzu.

Zmiennokształtni wylądowali na wysokim wzniesieniu, a demony umysłu zsunęły się z ich grzbietów, by popatrzeć na widok u swoich stóp. Na równinie obozowała ogromna armia, rozliczne namioty odcinały się nieskazitelną bielą od zabłoconego śniegu, który zamarzał z nadejściem nocy. Wielkie, garbate zwierzęta juczne stały spętane w kręgach mocy, przykryte kocami dla ochrony przed zimnem. Runy wokół obozu były mocne, lecz nad bezpieczeństwem czuwały też grupy strażników o twarzach owiniętych w czarne płótno. Nawet z tej odległości demony umysłu czuły moc bijącą od runicznej broni wartowników.

Za runami chroniącymi obóz widać było leżące pokotem ciała demonów, oczekujących na wschód dziennej gwiazdy i śmierć w płomieniach.

Jako pierwsze na wzniesienie, gdzie zatrzymali się książęta, dotarły demony ognia. Utrzymując nakazany szacunkiem dystans, rozpoczęły swój taniec podziwu i oddania, wyrzaskując wyrazy uwielbienia.

Wystarczyło, by przez czoło władcy przemknął pojedynczy impuls, a demony natychmiast ucichły. Noc spowiała śmiertelna cisza, pomimo że zastęp demonów, zwabionych książęcym zewem, rósł z każdą chwilą. Demony ognia i drzew stały ramię w ramię, zapomniawszy o nienawiści rasowej, a demony wichrowe krążyły nad ich głowami.

Demony umysłu o pulsujących czołach nie zwracały uwagi na rosnące zgromadzenie. Spojrzenia wbiły w równinę u swych stóp. Po chwili jeden zerknął na zmiennokształtnego, przekazując mu swe życzenie, i ciało podwładnego natychmiast zaczęło topnieć i się rozdymać, aż uformowało się w ogromnego demona skał. Zebrane istoty w ciszy ruszyły za nim w dół zbocza.

Obaj książęta pozostali na wzniesieniu w towarzystwie drugiego zmiennokształtnego. Tylko patrzyli.

* * *

Gdy byli już blisko obozu, nadal skryci w mroku, Zmiennokształtny zwolnił i skinął, puszczając przodem ogniste demony ognia, najmniejsze i najsłabsze ze wszystkich przybyszów z Otchłani. Ich ślepie zajaśniały ogniem, a z pysków strzeliły płomienie. Wartownicy dostrzegli je natychmiast, ale demony ognia były szybkie, o wiele za szybkie, i nim ludzie wszczęli alarm, przypadły do runów, ziejąc płomieniem.

Ognista ślina zasyczała w zetknięciu z runami, ale na rozkaz demonów umysłu atakujące demony skupiły się na śniegu, który ludzie wygarnęli na granice obozu. Oddechy napastników błyskawicznie zamieniały śnieg w parę. Wartowników chroniły runy, ale wokół obozowiska buchnęły kłęby gęstej mgły, parzącej oczy i gardła nawet przez zawoje.

Jeden ze strażników puścił się biegiem przez obóz, uderzając w głośny dzwon. Pozostali nieustraszenie wyskakiwali za runiczną barierę i atakowali najbliższe demony. Iskry aż się sypały, gdy magiczna broń przebijała ostre, nachodzące na siebie łuski.

Pozostałe demony przypuszczały ataki z flank, ale ludzie walczyli zespołowo, chroniąc się nawzajem runicznymi tarczami. Wewnątrz obozu rozległy się krzyki, na pomoc walczącym już spieszyli kolejni wojownicy.

Lecz wtedy pod osłoną mgły i ciemności ruszył hufiec dowodzony przez zmiennokształtnego. Triumfalne okrzyki wartowników w jednej chwili przeszły we wrzask przerażenia, gdy demony wychynęły z mgieł.

Prowadzący hufiec zmiennokształtny jako pierwszy obalił człowieka ciężkim ogonem. Kiedy nieszczęśnik padł, demon pochwycił go za nogę i poderwał. Kręgosłup strażnika pękł z trzaskiem.

Ludzi, którzy stanęli na drodze zmiennokształtnemu, zmiażdżyło ciało zabitego kamrata.

Pozostałe demony ruszyły do ataku, lecz z kapryśnym szczęściem. Nie zdążyły wykorzystać przewagi i choć pokonały wartowników, zmarnowały sporo cennego czasu na rozszarpywanie ciał, zamiast szykować się do natarcia na resztę ludzi.

Z obozowiska wybiegało coraz więcej mężów o przesłoniętych twarzach, którzy bez namysłu wpadali między demony i zabijali je z płynną brutalnością. Runy pokrywające ich ostrza i tarcze rozbłyskiwały w ciemnościach.

Demony umysłu ze wzniesienia beznamiętnie przyglądały się bitwie. Nie przejmowały się, że tak wielu spośród ich pobratymców pada ofiarą wrogich włóczy. Przez skroń jednego z nich przemknął impuls, który posłał rozkaz zmiennokształtnemu na polu walki.

Ten błyskawicznie cisnął trupem w jeden ze słupów runicznych wokół obozu, przewracając go i tworząc tym samym wyłom. Kolejny impuls sprawił, że walczące potwory oderwały się od ludzi i wdarły do wrogiego obozowiska.

Zaskoczeni wojownicy odwrócili się i ujrzeni, jak demony ognia skaczą wokół namiotów, które zaczynają płonąć, usłyszeli wrzaski kobiet i dzieci, gdy otchłańce przedarły się przez

osmalone runy wewnętrzne.

Poniósł się wielki krzyk, gdy wojownicy runęli na ratunek bliskim. Szeregi się załamały. W okamgnieniu zwarte, waleczne oddziały ludzi rozpadły się na tysiące jednostek, niewiele groźniejszych od innych ofiar.

Zanosilo się na to, że lada chwila obóz zostanie zniszczony i spalony do cna. Nagle z namiotu w centrum obozu wyłoniła się samotna postać. Podobnie jak wojownicy mężczyzna nosił czarne ubranie, lecz płaszcz i zawój miał śnieżnobiałe. Nad brwiami połyskiwała mu wąska złota korona, a w dłoni błyszczała metalowa włócznia. Książęta aż zasyczeli na jego widok, wojownicy zaś zaczęli wiwatować. Demony umysłu skrzywiły się z pogardą, słysząc chrząknięcia i skomlenia, którymi ludzie się porozumiewali. Oni pojmowali jednak, co się dzieje: wojownicy to szeregowy demony, a ten mężczyzna był ich umysłem.

Pojawienie się charyzmatycznego przybysza sprawiło, że zbrojni na powrót zwarli szyki. Jeden z oddziałów ruszył, by zablokować wyłom. Dwa kolejne rzuciły się do walki z ogniem. Następny odprowadził bezbronnych w bezpieczne miejsce.

Pozostałe zaś ruszyły naprzód, oczyszczając obóz z demonów, które nie były już w stanie stawić czoła ludziom. Po zaledwie kilku chwilach ziemię zasłały ciała demonów. Zmiennokształtny, wciąż pod postacią demona skał, wkrótce pozostał sam na placu boju. Poruszał się zbyt szybko, by włócznie mogły mu zagrozić, ale nie zdołał się przebić przez tarcze bez ujawniania swej prawdziwej natury.

Kolejny impuls sprawił, że zmiennokształtny rozplynał się, zniknął wśród cieni i wymknął się przez niewielką lukę między runami ochronnymi. Ludzie nadal przetrząsali obóz, gdy ten stanął już u boku swego pana.

Oba smukłe demony stały jeszcze przez jakiś czas na wzniesieniu, przesyłając sobie bezgłośnie wibracje. Potem odwróciły się ku Północy, gdzie ponoć działał inny równie wybitny ludzki umysł.

Jeden z demonów umysłu odwrócił się do swego zmiennokształtnego, który klęczał pod postacią ogromnego wichrowego demona, i wspiął się na jego rozpostarte szeroko skrzydła. Wkrótce zniknął w mroku nocy, tymczasem drugi książę raz jeszcze spojrział na obozowisko wroga, nadal spowite dymem.

CZEŚĆ I

**NIEHONOROWE
ZWYCIĘSTWO**

1

Fort Rizon

333 ROK PLAGI, ZIMA

Mury otaczające Fort Rizon, wysokie na dziesięć stóp, lecz grube zaledwie na jedną, zakrawały na kpinę. System obronny miasta prezentował się gorzej niż w najpodlejszym z pałaców *Damaji*. Sieciarze nie potrzebowali nawet wzmocnionych stałą drabin, większość po prostu wspinała się po wystęпах muru i przechodziła bez wysiłku na drugą stronę.

– Ludzie tak słabi i niedbali wręcz proszą się o to, by ich podbić – rzekł Hasik.

Jardir parsknął, ale nie powiedział ani słowa.

Przednia straż, złożona z elitarnych wojowników Jardira, wyszła z ciemności. Tysiące stóp obutych w sandały deptało zaśnieżony ugór wokół miasta. Podczas gdy ludzie z zielonych łąk nocą kryli się tchórzliwie za swymi runami, Krasjanie śmiało rzucali wyzwanie rojącym się demonom. Nawet one ustępowały z drogi tak ogromnej armii Świętych Wojowników.

Zbrojni zgromadzili się pod miastem, ale zwlekali ze szturmem. Ludzie przecież nie atakują innych ludzi w nocy. Gdy mrok rozjaśnił pierwszy brzask, opuścili zasłony, by wrogowie mogli ujrzeć ich twarze.

Rozległo się kilka pogardliwych parsknięć, gdy Wypatrywacze pokonali strażników, a potem z przeciągłym skrzypieniem skrzydła bramy rozwarły się przed hufcami Jardira. Z dzikim rykiem sześć tysięcy wojowników *dal'Sharum* wdarło się do miasta.

Zanim Rizończycy zorientowali się, co się stało, Krasjanie już wyważali drzwi kopniakami, wywlekali mężczyzn z łóżek i nagich ciskali w śnieg.

Otoczające Fort Rizon pola uprawne zdawały się ciągnąć w nieskończoność. W mieście żyło o wiele więcej ludzi niż w Krasji, ale Rizończycy nie byli wojowniczym narodem i padali pod ciosami wyćwiczonych siepaczy Jardira niczym źdźbła trawy pod ostrzem kosy. Ci, którzy usiłowali się wyszarpnąć, kończyli z naderwanymi mięśniami i złamanymi kośćmi. Ci, którzy chwycili za broń, ginęli.

Jardir przyglądał się temu ze smutkiem. Okaleczenie lub śmierć odbierały szansę na zdobycie chwały podczas *Sharak Ka* – Wielkiej Wojny – lecz było to zło konieczne. Chcąc wykuć z ludzi Północy miecz przeciwko narodowi demonów, Jardir musiał w pierwszej kolejności zahartować ich, tak jak młot kowalski hartuje ostrze włóczni.

Kobiety wrzeszczały, gdy ludzie Jardira hartowali pojmanych w inny sposób. Zło konieczne. Nadchodziła *Sharak Ka* i nowe pokolenia wojowników musiały zrodzić się z nasienia prawdziwych mężczyzn, a nie tchórzy.

Jayan, syn Jardira, ukłękął przed nim na jedno kolano. Czubek włóczni pomazany był krwią.

– Miasto należy do ciebie, ojcze.

Jardir pokiwał głową.

– A skoro miasto jest nasze, panujemy nad równinami.

Jayan doskonale się sprawił, chociaż po raz pierwszy dowodził w boju. Gdyby przyszło się mierzyć z demonami, Jardir sam poprowadziłby atak, ale nie chciał plamić Włóczni Kajiego ludzką krwią. Chociaż zbyt młody na białą przesłonę kapitana, Jayan był jednak pierworodnym synem Jardira, krwią samego Stwórcy. Silny, niewrażliwy na ból – zanosilo się, że będzie szanowany zarówno jako wojownik, jak i kleryk.

– Wielu mieszkańców miasta zbiegło – dodał Asome, który stanął za plecami brata. – Ostrzegą wsie, a wtedy zbiegnie ich jeszcze więcej. Całe tłumy unikną oczyszczenia nakazanego przez prawo Evejah.

Jardir spojrzał na niego uważnie. Asome był młodszy o rok od brata, drobniejszy i szczuplejszy. Odziany w białe szaty *dama*, nie nosił ani broni, ani pancerza, ale Jardir nie dał się tym zmylić. Młodszy syn był bez wątpienia ambitniejszy i bardziej niebezpieczny z dwójki, a już na pewno od reszty młodszych braci.

– Póki co uciekają – odpowiedział. – Ale zostawiają zapasy żywności, na dodatek umykają prosto w śnieg i lód, który pokrywa zimą ich zielone pola. Słabsi zginą, oszczędzając nam wysiłku, a tych silniejszych znajdziemy w odpowiednim czasie. Doskonale się sprawiliście, moi synowie. Jayan, wyznacz ludzi, niech znajdą budynki do przetrzymywania jeńców, zanim pomrą z zimna. Wydzielcie chłopców, których poddamy *Hannu Pash*. Jeśli uda nam się wytrzebić z nich tę północną słabość i kruchość, być może przyćmią swoich ojców. Silniejszych mężczyzn wykorzystamy jako pierwszą linię w bitwach, a słabsi będą moimi niewolnikami. Każdą płodną kobietę można przeznaczyć do rozrodu.

Jayan przytknął pięść do klatki piersiowej i skinął głową.

– Asome, daj znać pozostałym *dama*, by zaczęli – rzekł Jardir i Asome się uklonił.

Jardir przyglądał się, jak jego odziany na biało syn odchodzi, by wypełnić polecenie. Klerycy przekażą *chin* słowo Everama, a tym, którzy nie przyjmą go do serca, zostanie ono wciśnięte w gardła.

Zło konieczne.

* * *

Tego popołudnia Jardir spacerował po usłanych grubymi dywanami podłogach posiadłości, którą wybrał na kwatery w Forcie Rizon. W porównaniu z jego pałacami w Krasji, miejsce przedstawiało się żałośnie, ale po długich miesiącach spania w namiocie po opuszczeniu Pustynnej Włóczni cieszył się z każdej namiastki cywilizacji.

W prawej dłoni ścisnął Włócznię Kajego, podpierając się nią niczym laską. Rzecz jasna, nie potrzebował się na niej wspierać, ale ta starożytna broń doprowadziła go na szczyt chwały i nigdy się z nią nie rozstawał. Jej tępy koniec stukał o dywany przy każdym kroku wojownika.

– Abban się spóźnia – powiedział Jardir. – Powinien już tu być, nawet jeśli podróżuje z kobietami.

– Nigdy nie zrozumieję, dlaczego tolerujesz tego *khaffit*, ojczu – rzekł Asome. – Tego wieprzozjada należałoby skazać na śmierć tylko za to, że ma czelność na ciebie patrzeć, a jednak ty zasięgasz jego rady, jakby był ci równy i miał prawo przebywać na dworze.

– Sam Kaji zmusił *khaffit*, by wykonywali zadania dla nich odpowiednie – odparł Jardir. – Abban wie więcej od nas o zielonych krainach, a mądry przywódca nie może taką wiedzę wzgardzić.

– A cóż to niby za wiedza? – zapytał Jayan. – Gleboryjce to co do jednego tchórze i słabeusze, w niczym nie są lepsi od samych *khaffit*. Nie nadają się nawet na niewolników czy żołnierzy pierwszej linii.

– Jesteś nazbyt pochopny – rzekł Jardir. – Nie próbuj mi udowodnić, że posiadasz całą wiedzę tego świata. Tylko Everam wie wszystko. Ewejah uczy, że należy poznać swoich wrogów, a my wiemy bardzo niewiele o ludziach z Północy. Jeśli mam poprowadzić ich na Wielką Wojnę, trzeba czegoś więcej, niż tylko zabijać i panować. Trzeba ich zrozumieć. A jeśli wszyscy ludzie z zielonych łąk są niewiele lepsi od *khaffit*, któż objaśni mi ich naturę lepiej niż *khaffit* właśnie?

Dokładnie w tym momencie rozległo się pukanie i do wnętrza, utykając, wszedł Abban. Jak zwykle tłusty kupiec odziany był w bogate jedwabie i futra, bardziej odpowiednie dla kobiety niż dla mężczyzny. Chyba stroił się tak krzykliwie głównie po to, by drażnić surowych, przeczulonych na punkcie pozorów *dama* oraz *dal'Sharum*.

Strażnicy poszturchiwali kupca, gdy przechodził, nie szczędzili mu też wyzwisk, ale wiedzieli, że wzbronienie mu wstępu nie byłoby najmądrzejszym pomysłem. Ich osobiste przekonania nie miały nic do rzeczy – nie pozwalając mu wejść, ryzykowali, że ściagną na siebie gniew Jardira, a na to nikt nie miał najmniejszej ochoty.

Kulawy *khaffit* dotarł przed tron, ciężko wspierając się na lasce. Pomimo zimna na jego poczerwieniałej, pulchnej twarzy perlił się pot.

Jardir przyjrzał mu się z obrzydzeniem. Bez wątplenia Abban przybywał z ważnymi wieściami, ale miast je ujawnić, tylko ciężko dyszał, próbując złapać oddech.

– No? – warknął Jardir, czując, że jego cierpliwość się kończy. – O co chodzi?

– Musisz coś zrobić! – sapnął Abban. – Oni palą spichrze!

– Co takiego? – wrzasnął Jardir. Zerwał się na równe nogi, złapał Abbana za ramię i szarpnął tak, że *khaffit* aż krzyknął z bólu. – Gdzie?

– W północnej części miasta! – powiedział Abban. – Nawet stąd można dostrzec dym!

Jardir wybiegł na schody prowadzące do pałacu i natychmiast wypatrzył słup dymu. Odwrócił się do Jayana.

– Biegnij! – rozkazał. – Pożar trzeba natychmiast ugasić, a odpowiedzialni mają stanąć przed moim obliczem.

Młodzieniec kiwnął głową i popędził ulicą. Wyszkoleni wojownicy bez słowa ruszyli za nim niczym stado ptaków zrywających się do lotu. Jardir odwrócił się do Abbana.

– To ziarno będzie ci potrzebne, jeśli chcesz wyżywić ludzi przez całą zimę – rzekł kupiec. – Będziesz potrzebował każdego ziarenka, każdego kłosa. Ostrzegałem cię.

Niespodziewanie przypadł doń Asome, pochwyił za nadgarstek i wykręcił mu rękę za plecy. Abban zawył.

– Nie będziesz zwracał się do Shar'Dama Ka takim tonem! – warknął.

– Dość tego – rzekł Jardir.

Asome zwolnił uścisk i Abban padł na kolana, po czym oparł się dłońmi o stopień i dotknął go czołem.

– Dziesięć tysięcy prośb o wybaczenie, Wybawicielu – wychrypiął.

– Pamiętam twoje tchórzliwe ostrzeżenia, by nie ruszać w chłody Północy – rzekł Jardir, gdy Abban szlochał u jego stóp. – Nie opóźnię jednak dzieła Everama tylko i wyłącznie ze względu na to!

Kopnął śnieg na schodach.

– Lód czy burze piaskowe też mnie nie powstrzymają! – dodał. – Jeśli zabraknie nam jedzenia, weźmiemy je po drodze od *chin*, którzy żyją w dostatku.

– Oczywiście, Shar'Dama Ka – wykrztusił Abban z twarzą wtuloną w ziemię.

– Czekałem na ciebie o wiele za długo, *khaffit* – rzekł Jardir. – Idź teraz do jeńców i odnajdź swych partnerów handlowych.

– Jeśli nadal żyją – odparł Abban. – Widziałem setki trupów na ulicach.

– To twoja wina. – Jardir wzruszył ramionami. – Powinieneś był się pospieszyć. No, idź już, znajdź przywódców tych ludzi.

– *Dama* każe mnie zabić z chwilą, gdy wydam pierwsze polecenie, nawet jeśli będę działał w twoim imieniu, o wielki Shar'Dama Ka – rzekł Abban.

Nie mylił się. W świetle prawa Evejah każdy *khaffit*, który ośmielił się rządzić lepszymi od siebie, ma zostać zabity na miejscu, a było wielu, którzy zazdrościli kupcowi pozycji

doradcy Jardira i z radością ujrzeliby koniec Abbana.

– Poślę z tobą Asome – stwierdził Jardir. – Nawet najbardziej zajadły fanatyk nie ośmieli się zakwestionować twoich decyzji.

Abban pobałdł, gdy Asome podszedł bliżej, ale pokiwał głową.

– Jak każesz, Shar'Dama Ka.

2

Abban

305 – 308 ROK PLAGI

Jardir miał dziewięć lat, gdy *dal'Sharum* zabrali go od matki. Był młody, nawet jak na Krasję, ale plemię Kaji straciło tego roku wielu wojowników i musiało szybko wzmocnić siły, by inne plemię nie wykorzystało okazji i nie wkroczyło na ich tereny.

Jardir, jego trzy młodsze siostry oraz matka, Kajivah, mieli jeden pokój w domu Kaji przy wyschniętej studni. Jego ojciec, Hoshkamin, zginął w walce dwa lata wcześniej, zabity przez wojowników z plemienia Majah, którzy chcieli zagarnąć studnię. Zwyczaj nakazywał, by o rodzinę i wdowę poległego zatroszczył się któryś z towarzyszy broni, ale Kajivah urodziła trzy córki pod rząd, co było złym znakiem, i żaden mężczyzna nie chciał ich zabrać do swego domostwa. Rodzina Jardira żyła więc na skromnych racjach żywnościowych przyznawanych przez miejscowego *dama* i poza sobą nie miała zupełnie nic.

– Ahmann asu Hoshkamin am'Jardir am'Kaji – rzekł Mistrz Ćwiczeń Qeran – udasz się z nami do Kaji'sharaj, by odnaleźć swoją *Hannu Pash*, ścieżkę, którą wybrał dla ciebie Everam.

Przybył w towarzystwie Mistrza Ćwiczeń Kawała. Obaj wojownicy stali w drzwiach, wysocy i groźni, w czarnych szatach, ozdobionych czerwoną przesłoną przynależną ich kaście. Patrzyli bez emocji na łzy matki, ściskającej i tulącej Jardira.

– Będziesz teraz mężczyzną dla naszej rodziny, Ahmann – powiedziała mu Kajivah. – Dla mnie i dla twoich sióstr. Nie mamy nikogo poza tobą.

– Będę, matko – obiecał Jardir. – Zostanę wielkim wojownikiem i wzniosę wam pałac.

– Och, jestem tego pewna – rzekła Kajivah. – Ludzie mówią, że skoro urodziłam po tobie trzy córki, zapewne jestem przeklęta, ale ja uważam, że Everam pobłogosławił naszą rodzinę synem tak wspinałym, że nie potrzebuje braci.

Uścisnęła go mocno, otarła mokrym od łez policzkiem.

– Dość tych szlochów – rzekł Mistrz Ćwiczeń Kawał, chwytając Jardira za ramię i odrywając go od matki. Młodsze siostry patrzyły bez słowa, gdy wojownicy wyprowadzali go

z niewielkiej izby.

– Zawsze to samo – powiedział Qeran. – Matki nigdy nie mogą się z nimi rozstać.

– Moja matka nie ma nikogo, kto by się o nią troszczył – rzucił Jardir.

– Nikt nie pozwolił ci się odezwać, chłopcze – warknął Kaval i trzepnął go mocno w tył głowy. Jardir zdusił okrzyk bólu, gdy uderzył kolanami o bruk z piaskowca. Zalała go wściekłość, chciał poderwać się i zemścić, ale opanował się w porę. Kaji potrzebowali nowych wojowników, ale *dal'Sharum* zabiliby go za taki afront równie łatwo, jak człowiek rozgniata skorpioną sandałem.

– Każdy mężczyzna w Krasji troszczy się o nią – rzekł Qeran, zerkając ku drzwiom. – Każdy z nich przelewa bowiem krew co noc, by twoja matka mogła bezpiecznie szlochać po rozstaniu.

Zmierzali ku Wielkiemu Bazarowi. Jardir doskonale znał drogę, bo często się tam wybierał, choć nie miał pieniędzy. Mieszanina ostrych woni przypraw i perfum uderzała mu do głowy, lubił też przyglądać się włóczniom i zakrzywionym, niebezpiecznym ostrzom na stoiskach płatnerzy. Czasami wszczywał bójkę z innymi chłopcami, przygotowując się w ten sposób do roli wojownika.

Rzadko się zdarzało, by *dal'Sharum* wkraczali na bazar, gdyż było to poniżej ich godności. Kobiety, dzieci i *khaffit* uskakiwali z drogi Mistrzów Ćwiczeń. Jardir przyglądał im się czujnie, usiłując naśladować ich postawę. Kiedyś to ja będę tak chodził, a inni będą usuwać mi się z drogi, pomyślał.

Kaval zerknął na tabliczkę z wypisanymi kredą słowami i na wielki namiot, z którego powiewały kolorowe proporce.

– To tu – powiedział, a Qeran parsknął. Wojownicy rozchyłili poły namiotu i weszli, nie zawracając sobie głowy przedstawianiem się. Jardir poszedł w ślad za nimi.

Wnętrze namiotu przepajał zapach kadzidła, a ziemię zaścielały bogate dywany, na których piętrzyły się stopy jedwabnych poduszek. Wszędzie widać było stojaki z wiszącymi kobiercami, malowane produkty garncarskie i inne skarby. Jardir przesunął palcem wzdłuż beli jedwabiu, jego gładkość wywołała u niego dreszcz.

Moja matka i siostry będą nosić takie tkaniny, pomyślał. Spojrzał na własne lice nogawice i brudną, podartą kamizelkę i zatęsknił za chwilą, gdy będzie mógł założyć czarny strój wojownika.

Kobieta za ladą wrzasnęła na widok Mistrzów Ćwiczeń i błyskawicznie zaciągnęła zasłonę na twarz.

– Omara vah'Haman vah'Kaji? – zapytał Qeran.

Kobieta pokiwała głową, jej oczy były pełne strachu.

– Przybyliśmy po twojego syna, Abbana – rzekł Qeran.

– Nie ma go tu – odpowiedziała Omara, ale jej oczy i dłonie, jedyne części ciała, których nie spowijało grube czarne sukno, zdrzżały. – Wysłałam go dziś rano z towarem.

– Przeszukaj zaplecze – przykazał Qeran Kavalowi, a ten pokiwał głową i ruszył ku zasłonie zawieszanej w przejściu za ladą.

– Nie, błagam! – wykrzyknęła Omara, zagradzając mu drogę. Kaval tylko odepchnął ją i zniknął na zapleczu. Dobiegło stamtąd jeszcze kilka wrzasków, a potem Mistrz Ćwiczeń wyszedł, ściskając za ramię młodego chłopaka w tunice, czapce i nogawicach z o wiele lepszego sukna niż Jardirowe. Wyrostek był rok, może dwa starszy od Jardira, dobrze zbudowany i odżywiony. W ślad za nim wybiegło kilka starszych dziewczyn, dwie w zwykłych szatach, a trzy w czarnych zawojach niekryjących twarzy, co było typowe dla niezamężnych kobiet.

– Abbanie am’Haman am’Kaji – rzekł Qeran – udasz się z nami do Kaji’sharaj, by odnaleźć swoją *Hannu Pash*, ścieżkę, którą wybrał dla ciebie Everam.

Chłopak aż zadrżał na te słowa. Omara wyła z rozpacz i tuliła syna, próbując go wyrwać.

– Proszę! Jest za młody! Proszę, dajcie nam choćby jeden rok!

– Milcz, kobieto! – Kaval pchnął ją na podłogę. – Chłopak jest już dorosły i gruby. Jeśli zostanie u ciebie choćby jeden dzień dłużej, skończy jako *khaffit*, tak jak jego ojciec.

– Okaż dumę, kobieto – powiedział Qeran. – Twój syn właśnie dostaje szansę, by zmazać niesławę ojca i służyć Kaji oraz Everamowi!

Omara zacisnęła pięści, ale nie podniosła się, leżała i szlochała z twarzą do ziemi. Żadna kobieta nie była w stanie sprzeciwić się woli *dal’Sharum*. Siostry Abbana przypadły do niej, przytuliły się, dzieląc z matką rozpacz. Abban sięgnął ku nim, ale Kaval odciągnął go mocnym szarpnięciem. Chłopak płakał i wył, gdy wywlekali go na zewnątrz. Płacz kobiet niósł się długo po tym, jak ciężkie poły namiotu opadły i na nowo otoczył ich zgiełek targowiska.

Obaj wojownicy naraz jakby zapomnieli o chłopcach. Szli w kierunku placów ćwiczebnych, a młodzieńcy, chcąc nie chcąc, dreptali za nimi. Abban nadal szlochał i drżał.

– Dlaczego płaczesz? – zapyta! Jardir. – Naszą drogę opromienia chwala!

– Nie chcę być wojownikiem – powiedział Abban. – Nie chcę umierać!

– Może odkryjesz w sobie powołanie, by zostać *dama*. – Jardir wzruszył ramionami.

– Trudno o coś gorszego. – Abban zadrżał. – Pewien *dama* zabił mojego ojca.

– Dlaczego?

– Bo ojciec przez przypadek wylał atrament na jego szatę.

– Tylko dlatego?

Abban pokiwał głową. Jego oczy były pełne łez.

– Złamał mu kark. Wszystko to stało się tak szybko... Wyciągnął rękę, usłyszałem trzaśnięcie i zobaczyłem, jak ojciec pada. – Z trudem przełknął ślinę. – Jestem teraz jedynym mężczyzną, który może zaopiekować się matką i siostrami.

Jardir ujął go za rękę.

– Mój ojciec też nie żyje. Mówi się ponadto, że moja matka została przeklęta, bo urodziła trzy córki pod rząd. Ale my jesteśmy mężczyznami z plemienia Kaji! Możemy przewyższyć naszych ojców i przynieść chwałę naszym kobietom.

– Ale ja się boję! – Abban pociągnął nosem.

– Ja też, trochę – przyznał Jardir, opuszczając spojrzenie, ale już po chwili jego twarz pojaśniała. – Słuchaj, zawrzyjmy układ.

Abban, wychowany w brutalnym świecie interesów na bazarze, spojrzał na niego podejrzliwie.

– Cóż znowu za układ?

– Będziemy się nawzajem wspierać w trakcie pokonywania *Hannu Pash* – rzekł Jardir. – Złapię cię, gdy będziesz spadać, a jeśli mnie się to przytrafi, to ty... – Uśmiechnął się i poklepał okrągły brzuch Abbana. – To ty załagodzisz mój upadek.

Abban aż załkał i pomasaował brzuch, ale nie rzekł słowa skargi i spojrzał na Jardira ze zdumieniem.

– Serio? – zapytał, ocierając oczy wierzchem dłoni.

Jardir pokiwał głową. Szli właśnie w cieniu markiz rozpiętych nad bazarem, lecz nagle złapał Abbana za rękę i wyciągnął go na światło słoneczne.

– Przysięgam na blask Everama! – rzekł.

– A ja na wysadzaną klejnotami Koronę Kajiego – uśmiechnął się szeroko Abban.

– Szybciej! – warknął Kaval i obaj chłopcy przyspieszyli, lecz Abban szedł teraz z większą pewnością siebie.

Przechodząc obok wielkiej świątyni Sharik Hora, Mistrzowie Ćwiczeń nakreślili w powietrzu runy, mrużąc pod nosem modlitwy do Everama Stwórcy. Za Sharik Hora ciągnęły się tereny ćwiczeń i Jardir wraz z Abbanem nie mogli się wprost napatrzeć. Co rusz odwracali głowy, gdy próbowali przyjrzeć się wszystkiemu i wszystkim jednocześnie. Wszędzie widzieli trenujących wojowników. Niektórzy ćwiczyli władanie tarczą i włócznią bądź siecią, inni zaś maszerowali lub biegali w szeregu. Wypatrywacze balansowali bez zabezpieczenia na szczycie długich drabin, a całe tłumy *dal'Sharum* szlifowały ostrza włóczni i runiczne tarcze albo ćwiczyły *sharusahk* – sztukę walki bez użycia broni.

Obszary ćwiczebne otaczało dwanaście *sharaji* – szkół – z których każda należała do innego plemienia. Jardir i Abban pochodzili z plemienia Kaji, zostali więc zabrani do Kaji'sharaj, gdzie miała rozpocząć się ich *Hannu Pash* i skąd mieli wyjść jako *dama*, *dal'Sharum* lub *khaffit*.

– Kaji'sharaj jest o wiele większa od pozostałych – rzekł Abban, patrząc na ogromny namiot. – Tylko Majah'sharaj może się z nią równać.

– A czego się spodziewałeś? – prychnął Kaval. – Sądziłeś, że to zwykły zbieg okoliczności, że nasze plemię zwie się Kaji po Shar'Dama Ka, naszym Wybawicielu? Jesteśmy potomkami tysiąca jego żon, jesteśmy krwią jego krwi. Majah zaś – splunął – to

pomiot cherlaka, który objął rządy, po tym jak Shar'Dama Ka opuścił ten świat. Pozostałe plemiona stoją niżej od nas, nigdy o tym nie zapominaj.

Chłopców zaprowadzono do namiotu, gdzie otrzymali bido – zwykle białe przepaski biodrowe – a ich ubrania zabrano do spalenia. Jardir i Abban byli teraz *nie'Sharum* – jeszcze nie wojownicy, ale już nie chłopcy.

– Miesiąc ćwiczeń i owsianki wypali to twoje sadło – rzekł Kaval, gdy Abban zdjął koszulę.

Mistrz Ćwiczeń szturchnął jego brzuszysko z obrzydzeniem, Abban aż się zgiął od uderzenia, ale Jardir złapał go, nim upadł, i podtrzymał, dopóki ten nie złapał oddechu. Gdy przebrali się, Mistrzowie zabrali ich do koszar.

– Świeża krew – krzyknął Qeran, wepchnąwszy ich do wielkiego, pozbawionego umeblowania pomieszczenia, w którym mieszkali inni *nie'Sharum*. – Ahmann asu Hoshkamin am'Jardir am'Kaji i Abban am'Haman am'Kaji! Oto wasi bracia.

Abban oblał się rumieńcem, a Jardir natychmiast odgadł dlaczego, podobnie jak wszyscy obecni chłopcy. Nie wymieniając imienia ojca Abbana, Qeran dał wszystkim do zrozumienia, iż należał on do *khaffit* – najniższej i najbardziej pogardzanej kasty w społeczeństwie krasjańskim. *Khaffit* byli tchórzami i słabeuszami, ludźmi, którzy nie sprościli wymaganiom drogi wojowników.

– Ha! Przyprawdziliście nam tłustego syna świniopasa i wyliniałego szczurka! – zawołał największy z *nie'Sharum*. – Precz z nimi!

Pozostali chłopcy wybuchnęli śmiechem.

Mistrz Ćwiczeń Qeran warknął i grzmotnął chłopaka w twarz. Ten padł na twarde podłoże i splunął krwią. Śmiech się urwał.

– Poczekaj, aż będziesz mógł zastąpić swoje bido czymś szlachetniejszym, Hasik – powiedział Qeran. – Wtedy będzie ci wolno drwić z innych. Do tego czasu wszyscy jesteście wyliniałymi świniopasami i nędznymi *khaffit*.

Z tymi słowami odwrócił się na pięcie i wyszedł wraz z Kavalem.

– Zapłacicie za to, szczury! – rzekł Hasik, a w ostatnim słowie dało się słyszeć osobliwy świst. Cios Qerana wybił mu przedni ząb, którym rzucił teraz w Abbana. Trafiony chłopak wzдрыgnął się. Jardir zasłonił go własnym ciałem i warknął, ale Hasik i jego towarzysze już stracili zainteresowanie.

* * *

Wkrótce po przybyciu chłopcy otrzymali miski, a potem pojawił się kociołek z owsianką. Jardir, któremu burczało w brzuchu, ruszył natychmiast, Abban okazał się jeszcze szybszy, ale któryś ze starszych chłopców zablokował im drogę.

– Co, myślisz, że będziesz mógł jeść przede mną? – zapytał ostro. Pchnął Jardira na

Abbana i obaj padli na ziemię.

– Wstawaj, jeśli chcesz jeść – powiedział Mistrz Ćwiczeń, który przyniósł owsiankę. – Ci z końca kolejki chodzą głodni.

Abban aż krzyknął. Wraz z Jardirem zerwali się na równe nogi. Tymczasem większość chłopców uformowała już kolejkę z większymi i silniejszymi chłopakami na czele. Hasik zajął pierwsze miejsce, a po przeciwnej stronie najmniejsi walczyli zaciekle, by nie znaleźć się na szarym końcu.

– I co teraz? – zapytał Abban.

– Teraz wepchniemy się do kolejki – oznajmił Jardir, złapał towarzysza za ramię i pociągnął go tam, gdzie stali chłopcy drobniejsi od dobrze odżywionego Abbana. – Mój ojciec mawiał, że słabość okazana jest gorsza od tej, którą nosisz w sercu.

– Ale ja nie umiem się bić! – zaprotestował, drżąc.

– Zaraz się nauczysz – rzekł Jardir. – Gdy przewrócę któregoś z nich, przygnieć go swoim ciężarem.

– O, to mogę zrobić – zgodził się Abban i ruszył za Jardirem w kierunku chłopaków. Jeden skrzywił się na ich widok i wypiął klatkę piersiową.

– Na koniec kolejki, szczury! – warknął do Abbana, większego z dwóch nowo przybyłych.

Jardir nie odpowiedział, tylko grzmotnął tamtego w brzuch i kopnął w kolano, a gdy chłopak upadł, Abban zwałił się na niego niczym kolumna z piaskowca. Gdy Abban wstał, Jardir już stał w kolejce w miejscu, które właśnie wywalczył. Spojrzał groźnie na kolejnych w szeregu, a ci posłusznie zrobili miejsce dla Abbana.

Nagrodą za te starania była pojedyncza chochla owsianki.

– To wszystko? – zapytał zszokowany Abban.

Człowiek wydający jedzenie spojrzał na niego pochmurnie i Jardir szybko odciągnął towarzysza na bok. Kąty pomieszczenia zostały już zajęte przez starszych chłopców, więc usiedli pod jedną ze ścian.

– Przecież ja tu umrę z głodu – powiedział Abban, obracając miską z wodnistą kaszką.

– Inni mają o wiele gorzej – rzekł Jardir, wskazując dwóch posiniaczonych chłopaków, którzy nie dostali nic. – Jak chcesz, możesz wziąć trochę ode mnie – dodał, gdy humor Abbana się nie poprawił. – W domu i tak nigdy nie dostawałem więcej.

* * *

Spali na wyłożonej piaskowcem podłodze koszar, a za jedyną ochronę przed zimnem służyły chłopcom cienkie koce. Jardir, który przyzwyczajony był do dzielenia się ciepłem z matką i siostrami, wtulił się w Abbana. Z oddali słyszał dźwięk Rogu Sharak i domyślił się, iż właśnie rozpoczęła się bitwa. Minęło wiele czasu, nim sen wreszcie przemógł marzenia o

chwale i objął jego umysł w posiadanie.

Przebudził się nagle, gdy na głowę opadł mu jakiś koc. Jardir został raptem uniesiony. Walczył, ciskał się, ale nie udało mu się zerwać koca, nie był w stanie się wyswobodzić. Tuż obok słyszał stłumiony wrzask Abbana.

Potem rozpoczęła się kaźń. Ciosy spadały ze wszystkich stron, kopniaki i uderzenia pięści wybijały oddech i wstrząsały mózgiem. Jardir nie przestawał walczyć, sam tłukł dziko, na oślep, ale czuł, że niektóre ciosy trafiły w cel. Niestety, nie osłabiło to zaciekłości napastników. Nie upłynęło wiele czasu, a Jardir zwisał bezwładnie, podtrzymywany jedynie przez duszący go koc.

Gdy chłopcu zdawało się już, że więcej nie znieśie i zaraz umrze, nie zdobywszy chwały ani nie zasłużony na raj, zabrzmiał znajomy głos:

– Witajcie w Kaji'sharaj, szcurki.

Dźwięk „sz” zaświstał w dziurze po wybitym zębie Hasika. Ci, którzy trzymali kocy, puścili nagle i Jardir z Abbanem osunęli się na ziemię.

Pozostali zaśmiali się i powrócili na posłania, nie dbając o nowych, którzy szlochali w ciemnościach, zwinęci w kłębek.

* * *

– Wyprostuj się! – syknął Jardir, gdy oczekiwali na poranną inspekcję.

– Nie mogę – jęknął Abban. – Nie zmrużyłem oka i wszystko mnie boli.

– Nie daj tego po sobie poznać! – rzekł Jardir. – Mój ojciec mówił, że najslabszy wielbłąd zawsze przyciąga wilki.

– A mój mówił, że trzeba się schować, póki sobie nie pójdą.

– Ani słowa! – warknął Kaval. – Zaraz będzie tu *dama*, by was obejrzeć, wy żalosne fajtlapy.

Wraz z Qeranem nie zwrócili najmniejszej uwagi na skaleczenia i siniaki dwóch chłopców, choć lewe oko Jardira spuchło do tego stopnia, że nie mógł go otworzyć. Zauważył jednak, że Abban jest bliski załamania.

– Wyprostuj się! – rozkazał Qeran, a Kaval poparł polecenie smagnięciem skórzanego paska po nogach Abbana. Chłopak wrzasnął z bólu i upadłby, gdyby Jardir nie podtrzymał go w porę.

Rozległ się chichot. Jardir wyszczerzył zęby do Hasika, który w odpowiedzi uśmiechnął się złośliwie.

W rzeczy samej Jardir nie czuł się wcale lepiej niż Abban, ale ukrywał to starannie. Choć kręciło mu się w głowie, a ciało promieniowało bólem, pochylił głowę i zdrowym okiem śledził nadchodzącego *dama* Khevata. Mistrzowie Ćwiczeń usunęli się na bok, robiąc miejsce dla kleryka, i ukłonili z szacunkiem.

– Serce moje łka z rozpacz, albowiem nadszedł dzień, kiedy zamiast wojowników Kaji, potomków Shar'Dama Ka i samego Wybawiciela, widzę tylko żalną bandę nieudaczników – parsknął *dama* i splunął. – Wasze matki musiały zmieszać wielbłądzie szczyny z nasieniem mężczyzn.

– To kłamstwo! – wykrzyknął Jardir zapalczywie. Takiej zniewagi nie mógł przecież puścić płazem. Abban spojrział na niego z niedowierzaniem, a Qeran doskoczył z przerażającą prędkością i Jardir zrozumiał, że popełnił poważny błąd, jeszcze zanim miejsce, gdzie smagnął go rzemień, zapłonęło żywym ogniem. Kolejne ciosy powaliły go na ziemię.

Dal'Sharum bynajmniej jednak nie miał zamiaru na tym poprzestać.

– Jeśli *dama* mówi ci, że jesteś zrodzony ze szczyn, to tak właśnie jest! – wrzasnął, okładając chłopaka raz po raz.

Odziany jedynie w bido, Jardir nie mógł uchronić się przed ciosami. Ilekroć się odwrócił lub przekręcił, by zasłonić którąś z ran przed kolejnym ciosem, oczom Qerana ukazywało się nowe miejsce nietknięte jeszcze przez bicz. Jardir wrzeszczał, ale to zdawało się tylko dodawać Mistrzowi sił.

– Dość – rzekł Khevat.

Grad ciosów urwał się natychmiast.

– Jesteś zrodzony ze szczyn? – zapytał Qeran.

Ręce i nogi Jardira drżały, ugiwały się pod nim, gdy usiłował wstać. Nie spuszczał oczu z bicza, uniesionego, gotowego zaatakować ponownie. Wiedział, że jeśli znowu okaże bezczelność, Mistrz Ćwiczeń zatłucze go na śmierć. I Jardir umrze bez chwały, a jego dusza przez milenia błąkać się będzie u bram rajy w towarzystwie dusz *khaffit* i czekając na reinkarnację, jedynie z daleka będzie mogła patrzeć na tych, którzy dostąpili łaski Everama. Młodzieńca przerażała ta myśl. Lecz imię ojca było jedynym skarbem, który posiadał, i nie miał zamiaru się go wyrzec.

– Jestem Ahmann, syn Hoshkamina z linii Jardirów – rzekł najmocniej jak potrafił. Słyszał, jak inni chłopcy wstrzymują oddechy ze zdumienia, i napiął mięśnie, gotując się na kolejny atak.

Twarz Qerana wykrzywiła wściekłość. Poderwał bicz, ale powstrzymał go lekki gest *dama*.

– Znałem twojego ojca, chłopcze – powiedział Khevat. – Walczył wśród prawdziwych mężczyzn, ale w swoim krótkim życiu nie zdołał zdobyć wielkiej chwały.

– A zatem ja zdobędę ją za siebie i za niego! – obiecał Jardir.

– Może – parsknął *dama*. – Ale nie dzisiaj. Dziś jesteś bowiem gorszy od *khaffit*.

Następnie odwrócił się do Qerana i rzekł:

– Wrzuć go do kloaki. Niech prawdziwi mężczyźni szczają i srają na niego.

Mistrz Ćwiczeń uśmiechnął się i grzmotnął Jardira w żołądek. Gdy młodzieniec zgął się wpół, Qeran złapał go za włosy i pociągnął w kierunku kloaki. Jardir zdążył jedynie obrzucić

przelotnym spojrzeniem Hasika, spodziewając się kolejnego szyderczego uśmiešku, ale twarz starszego chłopaka, podobnie jak oblicza wszystkich zebranych *nie'Sharum*, wyrażała tylko mieszaninę niedowierzania i strachu.

* * *

Everam ujrzał zimną czerń Nie, lecz nie przypadła mu ona do gustu. Stworzył więc słońce, by narodziło się z niego ciepło i światło, które przegnałyby pustkę. Następnie stworzył Ala – świat – i pchnął go, by obracał się dookoła słońca. Stworzył człowieka i zwierzęta, by służyły Mu, a potem przyglądał się, jak Jego słońce daje im życie oraz miłość.

Lecz przez połowę swego czasu Ala mierzyl się z ciemnością Nie i stworzenia Everama lękały się. Widząc to, Everam stworzył księżyc, by odbijał blask słońca i przypominał stworzeniom w nocy, iż nie zostały zapomniane.

Everam uczynił to i wreszcie odczuł zadowolenie.

Lecz Nie również miała swoją wolę. Patrzyła na dzieła Everama, które niszczyły i wypaczały jej idealną czerń, i była rozdrażniona. Zaprażyła zniszczyć Ala, ale Everam zastąpił jej drogę i powstrzymał Jej rękę.

Everam nie zdołał jednak całkiem powstrzymać złowrogiej emanacji Nie. Muśnięcie Jej mrocznych palców było dla Jego idealnego świata niczym najgorsza z plag. Atramentowa czerń Jej zła wniknęła głęboko w kamienie i piasek, pomknęła z tchnieniem wiatru, rozlała się niczym oleiste plamy na czystych wodach Ala. Przesyciła lasy i wniknęła w roztopiony ogień wydobywający się spod powierzchni ziemi.

A tam, gdzie dotarło Jej zło, zaczęły wyrastać alagai. Stworzenia ciemności, których jedynym celem było

*niszczenie, a jedyną radością w życiu unicestwianie
stworzeń Everama.*

*Ale świat się obrócił i ciepły blask słońca padł na
stworzenia Nie, służące chłodowi i ciemnościom,
które zostały unicestwione. Ten, który podarował
światu życie, wypalał teraz ich nie-życie,
a alagai wrzeszczały z bólu i strachu.*

*Uciekając w rozpacz, skryły się wśród cieni,
wniknęły w głąb świata, skazyły jego rdzeń.*

*Tam, w ciemnej otchłani, w samym sercu dzieła
stworzenia, wyrosła Alagai'ting Ka, Matka Demonów.
Służąca samej Nie, czekała tylko na to, by świat znów
się obrócił, by mogła posłać swe dzieci z zadaniem
niszczenia owoców stworzenia.*

*Everam ujrzał to i wyciągnął dłoń,
by przegnać zło z Jego świata,
ale Nie nie ustąpiła i powstrzymała Jego rękę.*

*Lecz On zdołał po raz ostatni musnąć świat
i podarować ludziom sposób na obrócenie magii alagai
przeciwko nim samym. Dał im runy.*

*Wciągnięty w walkę o świat, który sam stworzył,
Everam nie miał wyboru. Musiał odwrócić się do
niego plecami i rzucić do walki z Nie, pogrążyć
w niekończących się zmaganiach z Jej chłodną siłą.*

Tak było.

Każdy dzień w pierwszym miesiącu pobytu Jardira w *sharaj* był taki sam. O świcie Mistrzowie Ćwiczeń wyganiaли *nie'Sharum* na zewnątrz, by całymi godzinami stali w palącym słońcu i słuchali, jak *dama* prawi o chwale Everama. Ich żołądki były puste, a kolana słabe z wysiłku i niewyspania, ale nie narzekali. Widok Jardira, który powrócił cuchnący i zakrwawiony z kloaki, gdzie odbywał karę, przekonał wszystkich, że poleceń należy słuchać

bez sprzeciwów.

Mistrz Qeran zdzielił Jardira rzemieniem.

– Dlaczego cierpimy? – zażądał odpowiedzi.

– Przez *alagai!* – krzyknął Jardir.

Qeran odwrócił się i smagnął Abbana.

– Dlaczego *Hannu Pash* jest konieczna?

– Przez *alagai!* – wrzasnął Abban.

– Bez *alagai* cały ten świat byłby niebiańskim rajem spoczywającym w objęciach Everama – rzekł *dama* Khevat.

Mistrz Ćwiczeń ponownie smagnął Jardira. Od pierwszego dnia nauki, kiedy okazał bezczelność, chłopak zbierał dwa razy więcej uderzeń niż inni.

– Jaki masz cel w życiu? – wykrzyknął Qeran.

– Chcę zabijać *alagai!* – wrzasnął Jardir.

Dłoń nauczyciela wystrzeliła, złapała mocno Jardira za gardło i przyciągnęła do siebie.

– A jak umrzesz? – zapytał cicho.

– W szponach *alagai!* – wykrztusił Jardir. Mistrz Ćwiczeń wypuścił go, a chłopak z trudem złapał oddech, lecz zaraz wyprostował się, by Qeran nie znalazł jakiegokolwiek powodu do dalszego bicia.

– W szponach *alagai!* – wykrzyknął Khevat. – *Dal'Sharum* nie umierają w łózkach ze starości! Nie padają ofiarą słabości bądź głodu! *Dal'Sharum* giną w bitwie, walczą, póki nie zasłużą na raj. Tam, w blasku chwały Everama, kąpią się w rzekach słodkiego, chłodnego mleka i piją z nich do syta, tam też rozkoszują się wdziękami rozkochanych w nich dziewczyn.

– Śmierć *alagai!* – zakrzyknęli natychmiast chłopcy. – Chwała Everamowi!

Dopiero po tym otrzymywali miski i owsiankę. Nigdy nie starczało dla wszystkich i przynajmniej jeden musiał obejść się smakiem. Starsi, więksi chłopcy, którym przewodził Hasik, ustalili między sobą kolejność i napełniali miski jako pierwsi, ale żaden z nich nie brał więcej niż jedną chochlę. Gdyby któryś wziął więcej owsianki lub rozlał swoją porcję, naraziłby się na niechybny gniew zawsze obecnych Mistrzów Ćwiczeń.

Kiedy starsi chłopcy już jedli, rozpoczynała się zacięta walka między najmniejszymi i najslabszymi *nie'Sharum*. Po ciosach, jakie zebrał pierwszej nocy, oraz całym dniem w kloace Jardir długo nie czuł się na siłach, by się bić, ale Abban nauczył się już wykorzystywać swą masę jako broń i zawsze znalazł dla nich miejsce, nawet jeśli było ono blisko końca kolejki.

Gdy miski były puste, rozpoczynał się trening.

Chłopcy biegali przez przeszkody, by zwiększyć swą wytrzymałość, brali też udział w długich ćwiczeniach *sharukin* – ruchów składających się na sztukę walki *sharusahk*. Nauczyli się maszerować i nawet biec w równym tempie. Żywieni jedynie wodnistą owsianką, *nie'Sharum* zaczęli przypominać ostrza włóczni – stawali się chudzi, smukli i twardzi niczym broń, z którą ćwiczyli.

Czasami Mistrzowie rozkazywali grupom chłopaków, by napadali na *nie'Sharum* w sąsiednich *sharaji* i spuszczali im tęgie lanie. Żadne miejsce nie było bezpieczne, nawet doły na odpadki. Zdarzało się, że starsi chłopcy, jak Hasik i jego przyjaciele, obalali chłopaków z pokonanego obozu na ziemię i dosiadałi ich, jakby byli kobietami. Wiązało się to z ogromną hańbą i Jardir niejedną raz wymierzał napastnikom potężnego kopniaka między nogi, by uniknąć podobnego losu. Pewnemu Majah któregoś dnia udało się ściągnąć bido Abbana, ale Jardir kopnął go wówczas w twarz z takim impetem, że tamtemu buchnęła krew z nosa.

– W każdej chwili Majah mogą zaatakować, by zająć studnię – powiedział Kaval Jardirowi po napaści. – W każdej chwili mogą przyjść Nanji, by porwać nasze kobiety. W każdej chwili musisz być gotów, by zabijać lub zostać zabitym.

– Nienawidzę tego miejsca – jęknął Abban, bliski łez, gdy Mistrz Ćwiczeń wyszedł. – Nie mogę się doczekać Nowiu, kiedy będę mógł udać się do domu, do matki i siostr, nawet jeśli tylko na parę nocy.

Jardir pokręcił głową.

– Ma rację. Tracąc czujność, choć na krótką chwilę, narażasz się na śmierć – powiedział, zaciskając pięści. – To mogło się przytrafić mojemu ojcu, ale na pewno nie zdarzy się mnie.

Po zakończeniu zajęć prowadzonych przez Mistrzów, kolejnymi ćwiczeniami kierowali starsi chłopcy, równie skorzy do wymierzania kar jak *dal'Sharum*.

– Trzymaj kolana ugięte podczas obrotu, szcurku! – warknął Hasik, gdy Jardir wykonywał skomplikowany *sharukin*, i dla podkreślenia rozkazu kopnął ćwiczącego pod kolano.

Jardir padł twarzą na ziemię.

– Ten mięczak zrodzony ze szczyn nie potrafi wykonać prostego obrotu! – zawołał Hasik ze śmiechem do innych chłopaków. Dziura po zębie wybitym przez Qerana sprawiała, że nadal wymawiał „sz” ze świstem.

Jardir warknął i rzucił się na starszego. Może i musiał słuchać *dama* i *dal'Sharum*, ale Hasik był jedynie *nie'Sharum*, a on nie miał zamiaru znosić kpín ze swego ojca z ust sobie podobnych.

Niemniej Hasik był pięć lat starszy i wkrótce miał się rozstać z bido. Był też o wiele potężniejszy od Jardira i miał za sobą całe lata ćwiczeń w śmiercionośnej sztuce walki gołymi rękami. Złapał młodszego chłopaka za nadgarstek, wykręcił go i szarpnął za ramię, a potem obrócił się, by uderzyć łokciem w unieruchomioną kończynę.

Jardir usłyszał trzask i ujrzał, jak pęknięty kawałek kości przebija skórę. Patrzył na to z rosnącym przerażeniem, aż wreszcie zalał go ból.

I wrzasnął.

Hasik zatkał dłonią jego usta, uciszając dzikie wycie, i przyciągnął go do siebie.

– Jeśli jeszcze raz mnie zaatakujesz, ty szcurze zrodzony ze szczyn, zabiję cię – obiecał.

* * *

Abban wsunął się pod zdrowe ramię Jardira i niemalże zaniósł go do pawilonu *dama'ting*, znajdującego się na przeciwległym końcu placu treningowego. Klapę uniosła wysoka kobieta, odziana od stóp do głów w białą szatę, odsłaniającą jedynie oczy i dłonie. Wskazała stół we wnętrzu namiotu i Abban pospieszenie ułożył tam przyjaciela. Obok stołu stała dziewczyna, również odziana w biel niczym *dama'ting*, ale jej twarz, młoda i piękna, była odsłonięta.

Dama'ting nie odezwała się do *nie'Sharum*.

Gdy Jardir zaległ na stole, Abban uklonił się głęboko. *Dama'ting* skinieniem wskazała mu klapę, a Abban niemalże potknął się o własne nogi, usiłując jak najszybciej opuścić namiot. Mówiono bowiem, że *dama'ting* widzą przyszłość i wystarczy im jedno spojrzenie, by odgadnąć śmierć człowieka.

Kobieta stanęła nad Jardirem. Ból przesłonił mu cały świat, widział tylko rozmazaną plamę bieli. Nie miał pojęcia, czy kobieta była młoda, czy stara, nie wiedział, czy była piękna, czy brzydka, oschła czy miła. Jardir uznał, że to bez znaczenia, ponieważ jej oddanie Everamowi przyćmiewa wszelkie śmiertelne sprawy.

Dziewczyna uniosła kij owiązany wielokrotnie białą tasiemką i ułożyła go w ustach Jardira, delikatnie zamykając jego szczękę. Ten zrozumiał i zagryzł.

– *Dal'Sharum* oddają się swojemu bólowi – szepnęła mu do ucha, gdy *dama'ting* podeszła do stołu, by zebrać narzędzia.

Młodzieniec poczuł ostre ukłucie, gdy *dama'ting* oczyściła ranę, a potem ból wprost eksplodował, gdy wykręciła jego ramię, by nastawić kość. Jardir wgryzł się w patyk i próbował postąpić tak, jak nakazała mu dziewczyna, próbował otworzyć się na ból, choć nie do końca rozumiał sens tego polecenia. Przez moment wydawało mu się, że nie znieśie więcej, ale wtedy, zupełnie jakby przeszedł przez jakieś drzwi, cierpienie stało się czymś odległym. Jardir nadal był go świadom, ale nie odczuwał bólu tak mocno. Otworzył usta, a owinięty płótnem patyk, już niepotrzebny, wypadł spomiędzy warg.

Odprężając się i opadając coraz głębiej w ból, Jardir zaczął przyglądać się poczynaniom *dama'ting*. Ruchy miała spokojne i oszczędne, zszywała mięśnie i skórę chłopaka, szepcząc modlitwy do Everama. Utarła też nieco ziół na papkę, którą wtarła w ranę. W końcu *dama'ting* owinęła złamane ramię czystym płótnem namoczonym w gęstej, twardej miksturze.

Z zaskakującą siłą uniosła chłopaka ze stołu i ułożyła na twardej pryczy. Przytknęła mu do ust flaszkę. Jardir pociągnął kilka łyków i ogarnęło go ciepło i spokój.

Dama'ting odwróciła się i odeszła, lecz dziewczyna zatrzymała się na chwilę.

– Kości stają się silniejsze, po tym jak się zrosną – szepnęła pocieszająco.

Jardir z wolna odpływał w krainę snu.

* * *

Obudził się i zobaczył, że dziewczyna siedzi tuż obok łóżka. Przyłożyła Jardirowi wilgotną szmatkę do czoła. To właśnie chłód wyrwał go ze snu. Jego wzrok prześlizgnął się po jej odkrytej twarzy. Swego czasu chłopak sądził, że jego matka jest piękną kobietą, lecz jej uroda nijak się miała do piękna dziewczyny.

– Och, młody wojownik się ocknął – powiedziała z uśmiechem.

– Ty mówisz – szepnął Jardir, choć ledwie mógł poruszyć wyschniętymi ustami. Miał wrażenie, że jego ramię zastygło we wnętrzu białego kamienia. Zwoje, którymi *dama'ting* opatrzyła złamanie, stwardniały bowiem, gdy młodzieniec spał.

– Czyżbym była zwierzęciem, którym nie jest to dane? – zapytała dziewczyna.

– Chodzi mi o to, że mówisz do mnie – rzekł Jardir. – Ja jestem tylko *nie'Sharum*.

I nigdy nie będę cię wart, dodał w myślach.

– A ja jestem *nie'dama'ting* – pokiwała głową dziewczyna. – Wkrótce zdobędę mój nowy czador, ale jeszcze go nie noszę, więc mogę rozmawiać, z kim mi się podoba.

Odsunęła płótno i podsunęła Jardirowi parującą miskę owsianki.

– Przypuszczam, że w Kaji'sharaj głodzą was niemiłosiernie. Jedz zatem. Czary *dama'ting* zadziałają wówczas lepiej.

Jardir szybko pochłonął gorące jedzenie.

– Jak masz na imię? – zapytał, gdy miska była już pusta.

Dziewczyna uśmiechnęła się, ocierając mu usta miękką szmatką.

– Śmiały jesteś jak na chłopca, który ledwie dorósł, by nosić bido.

– Przepraszam – powiedział Jardir.

– Lecz śmiałość nie jest przecież powodem do smutku – roześmiała się nieznajoma. – Everam niewiele ma miłości dla nieśmiałych. Mam na imię Inevera.

– Wola Everama – przetłumaczył Jardir. Było to popularne powiedzenie w całej Krasji.

Inevera pokiwała głową.

– Ja jestem Ahmann – przedstawił się Jardir. – Syn Hoshkamina.

Dziewczyna skłoniła głowę z powagą, jakby właśnie zasłyszała niezwykle ważne wieści, lecz w jej oczach nadal migotały wesołe iskierki.

* * *

Następnego dnia *dama'ting* powiedziała Qeranowi:

– Jest silny i może powrócić do treningu, ale musi się regularnie odżywiać, a jeśli to samo ramię dozna kolejnych obrażeń przed usunięciem opatrunku, nie będę za nie ręczyć.

Mistrz Ćwiczeń uklonił się.

– Będzie, jak *dama'ting* sobie życzy – rzekł.

Jardir otrzymał miskę i pozwolono mu stanąć na czele kolejki. Żaden z pozostałych chłopców, nawet Hasik, nie odważył się tego zakwestionować, ale Jardir czuł na karku ich niechętnie spojrzenia. Wolałby raczej toczyć walkę o posiłek, nawet z unieruchomionym ramieniem, aniżeli znosić te spojrzenia, ale *dama'ting* wydała polecenie. Gdyby nie zjadł owsianki z własnej woli, Mistrzowie nie zawahaliby się ani na chwilę i wepchnęli mu jedzenie do gardła siłą.

– Nic ci nie będzie? – zapytał Abban, gdy usiedli tam, gdzie zawsze.

Jardir pokiwał głową.

– Kości stają się silniejsze, po tym jak się zrosną – odparł.

– Wolałbym sam tego nie sprawdzać – rzekł Abban, a Jardir wzruszył ramionami.

– Przynajmniej jutro zaczyna się Nów – dodał jego przyjaciel. – Spędzisz kilka dni w domu.

Jardir spojrział na ramię unieruchomione opatrunkiem i poczuł głęboki wstyd. Nie było sposobu, by coś takiego ukryć przed matką i siostrami. Ledwie upłynął jeden cykl, a on już przyniósł wstyd rodzinie.

* * *

Uważano, że kiedy nie widać księżyca, moc Nie jest najsilniejsza. Okres ten nazywano Nowiem. Chłopcy w *Hannu Pash* spędzali ten czas w domu z rodzinami, by ojcowie mogli przyjrzeć się swoim dzieciom i przypomnieli sobie, o co walczą w nocy.

Lecz ojciec Jardira już nie żył. Wątpliwe zresztą, czy młodzieńcowi udałoby się napełnić jego serce dumą. Matka Jardira, Kajivah, ani słowem nie wspomniała o jego ranie po powrocie do domu, ale siostronom brakowało jej taktu.

Żyjąc wśród innych *nie'Sharum*, Jardir przyzwyczał się do noszenia jedynie bido i sandałów. Jednakże w obecności sióstr, odzianych od stóp do głów w zgrzebne szaty, odsłaniające jedynie dłonie i twarze, czuł się nagi. Nie mógł też w żaden sposób ukryć zranionego ramienia.

– Co ci się stało w rękę? – zapytała najmłodsza siostra, Hanya, ledwie Jardir wszedł do domu.

– Złamałem ją w trakcie treningu – odparł chłopak.

– W jaki sposób? – Imisandre, najstarsza z sióstr, a przy tym najbliższa Jardirowi, położyła mu dłoń na zdrowym ramieniu.

Ów pełen współczucia gest, który kiedyś był balsamem dla duszy Jardira, teraz jedynie zwielokrotnił jego wstyd. Młodzieniec cofnął się.

– Złamałem ją podczas ćwiczenia *sharusahk*. To drobiazg.

– Ilu chłopaków cię napadło? – dopytywała się Hanya, a Jardir przypomniał sobie, jak kiedyś pobił dwóch starszych wyrostków, którzy wyśmiewali się z niej na bazarze. – Założę

się, że przynajmniej dziesięciu.

Młodzieniec obrzucił ją nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Jeden – warknął.

Hoshvah, trzecia z jego sióstr, pokręciła głową.

– Musiał mieć pewnie dziesięć stóp wzrostu – zauważyła.

Jardirowi chciało się wrzeszczeć.

– Dość już tego dręczenia – rzekła Kajivah. – Przygotujcie bratu miejsce przy stole i zostawcie go w spokoju.

Hanya wzięła sandały Jardira, a Imisandre ustawiła ławę na honorowym miejscu przy stole. W domu nie było poduszek, ale dziewczyna wyścieliła ją czystym sukniem. Po miesiącu siedzenia na ziemi w *sharaj* nawet tak skromne udogodnienie wydawało się luksusem. Hoshvah pospiesznie ustawiła poobijane gliniane miseczki, które Kajivah napełniła potrawą z parującego garnka.

Zazwyczaj rodzina Jardira jadła jedynie zwykły kuskus, lecz Kajivah oszczędnie wydawała swe skromne przychody, by na Nów kupić warzywa i nieco przypraw. Tego wieczoru wypadał pierwszy powrót Jardira do domu z *Hannu Pash*, tak więc w misce znalazło się nawet kilka twardych kęsków trudnego do rozpoznania mięsa. Minęło sporo czasu, odkąd młodzieniec widział aż tyle jedzenia. Wieczera aż pachniała matczyną miłością, ale Jardir nie miał specjalnie apetytu, zwłaszcza po tym, jak dostrzegł, że matka i siostry mięsa nie jedzą. Wmuszał w siebie kęs za kęsem, by nie urazić rodziny, ale musiał jeść lewą ręką, co tylko zwiększało jego wstyd.

Po posiłku modlili się razem, aż dobiegł sygnał z minaretów Sharik Hora oznaczający zapadnięcie zmroku. Wedle prawa Evejah sygnał ów oznaczał, że wszystkie kobiety i dzieci powinny skryć się pod ziemią.

Nawet mizerne mieszkanko Kajivah dysponowało chronioną runami piwnicą, która łączyła się z Podmiastem – ogromną siecią jaskiń pod Pustynną Włócznieą, połączonych ze sobą na wypadek wyłomu uczynionego przez *alagai*.

– Zejdźcie do piwnicy – przykazała Kajivah córkom. – Chciałabym pomówić z waszym bratem na osobności.

Dziewczęta wypełniły polecenie, a Kajivah skinęła na syna. Zaprowadziła go do kąta, gdzie wisiały miecz i tarcza jego ojca.

Jak zwykle młodzieniec odniósł wrażenie, że oręż przygląda mu się uważnie, jakby dokonywał osądu. Opatrunek znów zaczął mu ciążyć, ale coś innego ciążyło mu jeszcze bardziej. Spojrzał na matkę.

– *Dama Khevat* powiedział, że ojciec nie zdobył wiele chwały w swoim życiu – rzekł Jardir.

– *Dama Khevat* nie znał go tak dobrze jak ja – odpowiedziała Kajivah. – Twój ojciec nigdy nie skłamał, nigdy nie uniósł na mnie ręki w gniewie, choć urodziłam mu trzy córki pod

rząd. Utrzymywał mnie wraz z dziećmi i wszyscy jadaliliśmy mięso.

Spojrzała Jardirowi w oczy.

– Chwałę zdobywa się również w ten sposób, nie tylko zabijając *alagai*. Powtórz to w blasku słońca i zapamiętaj.

– Zapamiętam – skinął głową Jardir.

– Nosisz teraz bido – powiedziała Kajivah. – Oznacza to, że nie jesteś już chłopcem i nie możesz zejść z nami do piwnicy. Musisz czuwać przy drzwiach.

– Nie boję się – rzekł Jardir.

– Może powinieneś – powiedziała Kajivah. – Evejah twierdzi, że podczas Nowiu sam Alagai Ka, ojciec demonów, skrada się po powierzchni Ala.

– Nawet jemu nie uda się przedrzeć przez szeregi wojowników z Pustynnej Włóczni – oznajmił Jardir.

Kajivah wstała i zdjęła broń Hoshkamina ze ściany.

– Niewykluczone – powiedziała, wsuwając mu włócznię do zdrowej ręki. – Ale jeśli się przedrze, to właśnie ty będziesz musiał odpędzić go z progu.

Wstrząśnięty Jardir ujął broń, a Kajivah skinęła i ruszyła w ślad za córkami do piwnicy. Jardir natychmiast przysunął się do drzwi i wyprostował z dumą. Stał tak przez całą noc i dwie następne.

* * *

– Będę potrzebował jakiegoś celu – powiedział Jardir – bo kiedy *dama'ting* usunie opatrunek, będę musiał znów wywalczyć sobie miejsce w kolejce.

– Możemy zrobić to wspólnie – rzekł Abban. – Jak dotychczas.

Jardir pokręcił głową.

– Jeśli skorzystam z twojej pomocy, pomyślę, że jestem słaby. Muszę im pokazać, że po uzdrowieniu jestem silniejszy niż wcześniej. W przeciwnym razie sam stanę się celem dla wszystkich.

Abban pokiwał głową w zamyśleniu.

– Wydaje mi się, że będziesz musiał zaatakować kogoś stojącego bliżej czoła, ale nie na tyle blisko, by sprowokować Hasika i jego koleśków.

– Myślisz jak kupiec – rzekł Jardir.

– Wychowałem się na bazarze – odpowiedział Abban z uśmiechem.

Przez kilka kolejnych dni przyjaciele uważnie obserwowali kolejkę, zwracając baczna uwagę na miejsca, które zajmowali przed złamaniem ręki przez Jardira. Stali tam teraz starsi o kilka lat chłopcy, o wiele więksi od Jardira i Abbana. Dlatego obaj wspólnie wyznaczali tych, którzy mogli stanowić potencjalny cel, i bacznie przyglądali im się podczas ćwiczeń.

Te zaś przebiegały w podobnym rytmie co dotychczas. Ciężki, mocny opatrunek

utrzymywał gojące się ramię Jardira w tej samej pozycji, gdy biegał przez przeszkody. Mistrzowie Ćwiczeń kazali chłopakowi trenować także walkę włócznią i rzucanie sieci za pomocą lewej ręki. Nie traktowano go w żaden szczególny sposób, zresztą Jardir nie życzyłby sobie żadnych ułatwień. Rzemień Mistrza smagał go po plecach równie często jak wcześniej, a młodzieniec przyjmował razy z ochotą i wnikał w swój ból. Dobrze wiedział, że każdy zadany mu cios pokazywał innym, że pomimo odniesionej rany wcale nie jest słaby.

Tydzień mijał za tygodniem, a Jardir ciężko pracował, ćwicząc *sharukin*, kiedy tylko miał możliwość, a po ułożeniu się do snu powtarzał w myślach wszystkie ruchy. Z zaskoczeniem odkrył, że lewą ręką uderza i rzuca włócznią równie dobrze jak prawą. Zaczął nawet tłuc przeciwników ciężkim opatrunkiem, z ochotą przyjmując ból, który rozlewał się po jego ciele niczym gorący pustynny wiatr. Wiedział, że gdy *dama'ting* wreszcie zdejmie usztywnienie, ręka będzie w lepszej formie niż wcześniej.

– Postawiłbym na Jurima – rzekł w końcu Abban na dzień przed zdjęciem opatrunku. – Jest wysoki i silny, ale często zapomina, czego się nauczył, i próbuje pokonać przeciwników tylko siłą fizyczną.

– Niewykluczone – zgodził się Jardir. – Jest ponadto powolny i nigdy nie rzuciłby mi wyzwania, gdybym go pokonał, ale sam myślałem o Shanjacie.

Ruchem głowy wskazał smukłego chłopaka stojącego tuż przed Jurimem.

– Nie daj się zmylić jego posturą. – Abban pokręcił głową. – Nie stoi przed Jurimem bez powodu. Rusza rękami i nogami szybko jak błyskawica.

– Ale jego ruchom brakuje precyzji. I traci równowagę, gdy chybi.

– Co zdarza się dość rzadko – ostrzegł go Abban. – Łatwiej ci będzie pokonać Jurima. Jeśli będziesz targować się zbyt długo, stracisz okazję.

Jardir powrócił z pawilonu *dama'ting* późnym rankiem następnego dnia, gdy chłopcy już stali w kolejce po owsiankę. Nabrał tchu, naprężył prawe ramię i wkroczył do środka, kierując się prosto w środek kolejki. Abban już zajął miejsce bardziej z tyłu, ale na jego wsparcie Jardir nie chciał liczyć. Ustalili, że Abban nie będzie się mieszał.

Ojciec Jardira mawiał, że najsłabszy wielbłąd przyciąga wilki. Ta prosta rada przegnała strach z jego serca.

– Na koniec, kaleko – warknął Shanjat na jego widok.

Jardir zignorował go i zmusił się do szerokiego uśmiechu.

– Niech ci Everam pobłogosławi, że popilnowałeś mojego miejsca – powiedział.

Shanjat spojrział na niego z niedowierzaniem. Był trzy lata starszy od Jardira i o wiele lepiej zbudowany. Zdumiony nie zareagował należycie szybko, co Jardir wykorzystał bez wahania i brutalnie wypchnął go z kolejki. Shanjat zatoczył się i potknął, wzbijając chmury pyłu, ale zdołał zachować równowagę. Jardir mógł wykorzystać okazję, łatwo byłoby kopnąć przeciwnika w nogę czy w rękę i przewrócić go na ziemię, ale zwykle zwycięstwo tu nie wystarczało. Jeśli młodzieniec chciał raz na zawsze zdusić plotki, iż po złamaniu ręki jest

słabeuszem, musiał się zdobyć na coś bardziej spektakularnego.

Rozległy się okrzyki zachwytu i kolejka po owsiankę w jednej chwili przeistoczyła się w krąg otaczający obu chłopców. Wyraz zaskoczenia natychmiast znikł z twarzy Shanjata, a zastąpił go grymas wściekłości. Z zawziętością rzucił się na Jardira.

Ten zaś zawirował niczym tancerz, unikając pierwszych uderzeń Shanjata. Abban nie przesadził, starszy chłopak uderzał naprawdę szybko, lecz w końcu, zgodnie z oczekiwaniami, Shanjat gniewnie zadał cios, który chybił. Shanjat stracił równowagę, Jardir usunął się na lewo, zanurkował pod jego ramieniem i wbił prawy łokieć w nerki przeciwnika. Ten, potknąwszy się, wrzasnął z bólu.

Jardir odwrócił się błyskawicznie i wbił drugi łokieć w plecy Shanjata, posyłając go na ziemię. Po całych tygodniach w opatrunku ramię Jardira było chude i blade, ale kości rzeczywiście wydawały się mocniejsze, jak przepowiedziała *dama 'ting*.

Shanjat zdołał jednak pochwycić napastnika za kostkę, przewrócił jednym szarpnięciem i runął na niego. Toczyli wściekłą walkę w kłębach pyłu, gdy nagle przewagę odzyskał Shanjat, jako cięższy i z dłuższymi ramionami. Specjalnym chwytem unieruchomił głowę Jardira i wbił mu prawą pięść w tchawicę, napierając lewą ręką.

Świat nagle zaczął ciemnieć i Jardir poczuł ukłucie strachu, że może źle ocenił swoje siły i nie podoła wyzwaniu, jednak nie poddał się, lecz wtopił w owo nowe doznanie, podobnie jak do tej pory wtopiał się w ból. Wymierzył mocnego, miazdzącego kopniaka w tył, Shanjat zawył, połuznił nieco chwyt. Jardir wyrwał się i unieruchomił ramiona przeciwnika blisko stawów tak, by ten nie mógł go w zasadzie trafić, o wyrządzeniu krzywdy nie wspominając. Powoli, z wysiłkiem Jardir zmieniał pozycję, aż znalazł się za Shanjatem, uderzając w każdy wrażliwy punkt w jego ciele – w oczy, gardło, podbrzusze.

Znalazłszy się wreszcie w odpowiednim miejscu, Jardir pochwycił prawe ramię Shanjata i wykręcił je do tyłu, jednocześnie wbijając z całej siły kolana w plecy starszego chłopaka. Gdy poczuł, że łokieć Shanjata jest już maksymalnie wyprostowany, oplótł go własnym ramieniem i szarpnął w górę.

– Aargh! – ryknął Shanjat i Jardir uświadomił sobie, że złamanie przeciwnikowi ręki – tak jak wcześniej Hasik złamał jego – to w tej chwili drobnostka.

– Trzymałeś dla mnie to miejsce, prawda? – zapytał głośno Jardir.

– Zabiję cię, ty szczurze! – wrzasnął Shanjat, tłukąc ziemię wolną dłonią. Wił się i szarpał, ale nie był w stanie uwolnić się z chwytu Jardira.

– Powiedz to! – zażądał Jardir, unosząc rękę Shanjata jeszcze wyżej. Czuł, że naprężone ramię nie wytrzyma ani chwili dłużej.

– Prędzej trafię do otchłani Nie! – wrzasnął Shanjat.

– Kości stają się silniejsze, po tym jak się zrosną – wzruszył ramionami Jardir. – Przyjemnego pobytu u *dama 'ting*.

Szarpnął mocno. Rozległ się trzask pękającej kości i rozdzieranych mięśni, a Shanjat

wrzasnął, sparaliżowany potwornym bólem.

Jardir wstał powoli i przyjrzał się uważnie zebranym dookoła chłopcom, ciekaw, czy ktoś ma ochotę rzucić mu wyzwanie. Wielu wpatrywało się w niego szeroko otwartymi oczyma, ale nikt nie wydawał się skory do odwetu za Shanjata, który miotał się w pyłe i wył.

– Na bok! – warknął Mistrz Ćwiczeń Kaval, przebijając się przez tłum. Spojrzał na Shanjata, a potem na Jardira. – Jeszcze będą z ciebie ludzie, chłopcze – burknął. – Z powrotem do kolejki! – krzyknął. – Albo wylejemy owsiankę do kloaki!

Chłopcy natychmiast stanęli w rzędzie, a w powstałym zamieszaniu Jardir skinął na Abbana i wskazał mu miejsce za sobą.

– Hej! – wrzasnął Jurim, który miał teraz stać za nim, lecz Jardir wbił w niego złowrogie spojrzenie i Jurim cofnął się bez słowa, robiąc miejsce dla Abbana.

Kaval kopnął Shanjata.

– Wstawaj, szczurze! Nie masz złamanych kości, więc nie spodziewaj się, że zaniemiemy cię do *dama'ting*, po tym jak dowalił ci chłopak dwa razy mniejszy od ciebie!

Złapał Shanjata za zdrowe ramię i jednym szarpnięciem postawił chłopaka na nogi, po czym powłókł go do pawilonu uzdrowicieli. Stojący w kolejce chłopcy wygwizdali go i wydrwili głośno.

– Nie rozumiem – rzekł Abban. – Dlaczego on się po prostu nie poddał?

– Bo jest wojownikiem – odparł Jardir. – Poddałbyś się, gdyby cię otoczyły *alagai*?

Abban aż zadrżał na samą myśl.

– To co innego.

– Nie. – Jardir pokręcił głową. – Nie ma żadnej różnicy.

* * *

Hasik i kilku starszych chłopców rozpoczęło ćwiczenia na ścianach Labiryntu wkrótce po tym, jak Jardirowi zdjęto opatrunek. W rok później zyskali prawo do zastąpienia bido czarnymi szatami wojowników, a ci, którzy przeżyli – wśród nich Hasik – kroczyli dumnie po polach ćwiczeń i odwiedzali wielki harem. Podobnie jak inni *dal'Sharum*, na *nie'Sharum* nawet nie raczyli spojrzeć.

Czas płynął Jardirowi bardzo szybko, dni zlewały się w niekończący się ciąg. Rano słuchał słów *dama*, który opiewał chwałę Everama i plemienia Kaji. Młodzieniec uczył się o innych plemionach krasjańskich i o tym, dlaczego stały niżej w hierarchii niż Kaji, dowiedział się także, czemu właśnie Majah byli najbardziej ślepi na prawdy Everama. *Dama* opowiadał również o innych krainach i o tchórzliwych *chin* zamieszkujących Północ, ludach, które zapomniały sztuki władania włócznią i żyły na podobieństwo *khaffit*, kuląc się ze strachu przed *alagai*.

Jardir nigdy nie był usatysfakcjonowany miejscem w kolejce i wykorzystywał każdą

okazję, by przesunąć się bliżej czoła, gdzie miski były pełniejsze. Wybierał sobie chłopców stojących przed nim i jednego po drugim wysyłał do pawilonu *dama'ting*. Zawsze też ciągnął za sobą Abbana. Nim Jardir ukończył jedenasty rok życia, stali już na samym przedzie przed kilkoma starszymi chłopcami, a wszyscy omijali go szerokim łukiem.

Popołudniami odbywały się ćwiczenia z bronią, chłopcy często biegali też jako cele dla *dal'Sharum* rzucających sieci. Nocami Jardir leżał na zimnej kamiennej podłodze Kaji'sharaj i wyteżał słuch, pragnąc wychwycić odgłosy *alagai'sharak* i marząc o chwili, kiedy sam stanie między mężczyznami.

W trakcie ćwiczeń niektórzy z chłopców zostali wybrani przez *dama*, by przejść specjalny trening mający przygotować ich do noszenia bieli. Ci opuścili Kaji'sharaj i nigdy więcej ich już nie widziano. Jardira ten honor, na szczęście, ominął. Nie miał najmniejszej ochoty spędzać całych dni nad starożytnymi zwojami czy wykrzykiwać hymnów pochwalnych ku czci Everama. Jardir przyszedł na świat, by władać włócznią.

Dama bardziej interesował się Abbanem, który znał litery i cyfry, lecz jego ojciec należał do *khaffit*, a to całkowicie wykluczało chłopaka, chociaż hańba ojca nie przenosiła się na synów.

– Lepiej walczyć – powiedział w końcu *dama* Abbanowi i szturchnął go palcem w szeroką klatkę piersiową. Abban nadal był dużym wyrostkiem, ale dzięki rygorystycznej dyscyplinie tłuszcz w jego ciele przeobraził się w twarde mięśnie. W rzeczy samej syn kupca wyrastał na srogiego wojownika i aż odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że nie zostanie wybrany do grona adeptów białej szaty.

Chłopców zbyt słabych lub powolnych wyrzucano z Kaji'sharaj, jako *khaffit* zmuszeni byli do noszenia zgrzebnych szat przez resztę życia. Ta straszna dola okrywała wstydem rodziny odrzuconych i przekreślała ich szanse na wejście do raju. Ci, którym w sercach nadal tlił się duch walki, zgłaszali się na ochotnika do roli Naganiacza, którego zadaniem było przyciąganie uwagi demonów i zwabianie ich do pułapek w Labiryncie. Naganiacze nie żyli długo, ale dla *khaffit* nie było innego sposobu, by zdobyć chwałę i zasłużyć na Niebo.

W wieku lat dwunastu Jardir po raz pierwszy mógł zajrzeć do Labiryntu. Mistrz Ćwiczeń Qeran zabrał najstarszych i najsilniejszych z *nie'Sharum* na wielką ścianę runiczną – mierzący sobie trzydzieści stóp mur z piaskowca, gdzie rozciągało się miejsce kaźni demonów. W dawnych czasach, gdy Krasja była o wiele gęściej zaludniona, znajdowała się tu cała dzielnica miasta, teraz pozostały po niej resztki starych ruder oraz tuziny mniejszych ścian z piaskowca, wysokich na dwadzieścia stóp, grawerowanych rzędami runów. Niektóre ciągnęły się daleko lub skręcały pod ostrym kątem, po innych pozostały jedynie fragmenty, połamane bloki. Wszystkie razem tworzyły labirynt najeżony pułapkami, które zaprojektowano tak, by pochwytać *alagai* i przetrzymać je aż do wschodu słońca.

– Mur, który ciągnie się pod waszymi stopami – powiedział Qeran, tupnąwszy – chroni nasze kobiety i dzieci, a nawet *khaffit* – splunął przy tych słowach – przed *alagai*. Pozostałe

mury – ruchem dłoni ukazał im niekończące się, biegnące w różnych kierunkach ściany Labiryntu – to pułapka na *alagai*. Wpadają do niej, a my już tam na nie czekamy.

Zacisnął pięść, a duma, jaką zawarł w tych słowach, natychmiast wlała się w serca słuchających go chłopców. Jardir wyobraził sobie, jak radośnie biegnie przez Labirynt uzbrojony we włócznię i tarczę. Tak, tam na piasku przesiąkniętym krwią czekała na niego chwała.

Chłopcy przeszli wzdłuż muru, aż dotarli do drewnianego mostu, który można było podnieść wielką dźwignią. Po moście zeszli do części Labiryntu, gdzie ściany połączone były kamiennymi łukami, znajdującymi się na tyle blisko, by można było na nie wskoczyć. Tutaj mury Labiryntu były cieńsze, niekiedy liczyły sobie nieco mniej niż stopę grubości.

– Szczyty murów są zdradliwe dla starszych wojowników – ciągnął Qeran. – Dla wszystkich za wyjątkiem Wypatrywaczy.

Wypatrywacze byli *dal'Sharum* pochodzącymi z plemion Krevakh i Nanji. Każdy z nich dźwigał okutą stalą drabinę długości dwunastu stóp. Drabin owych można było używać oddzielnie lub ustawiać je jedną na drugiej, a zręczni i wyćwiczeni w swym fachu wojownicy potrafili balansować na szczycie niepodtrzymywanej przez nikogo drabiny i przyglądać się polu bitwy. Wypatrywacze z plemienia Krevakh podlegali Kaji, a Nanji służyli Majah.

– Przez ten rok będziecie pomagać Wypatrywaczom z Krevakh, chłopcy – oznajmił Qeran. – Będziecie śledzić ruchy *alagai* i przekazywać obserwacje *dal'Sharum* w Labiryncie, będziecie też przenosić rozkazy od *kai'Sharum*.

Resztę dnia spędzili na szczytach murów.

– Musicie poznać każdy cal Labiryntu równie dobrze jak swoje włócznie! – przykazał podopiecznym Mistrz Ćwiczeń.

Szybcy i zręczni, *nie'Sharum* krzyczeli z uniesienia, skacząc z muru na mur i biegając po kamiennych łukach. Jardir i Abban śmiali się z radości.

Ogromne rozmiary Abbana nie pomagały mu jednak w utrzymywaniu równowagi. W pewnym momencie, gdy biegł po wąskim moście, ześlizgnął się i spadł. Jardir spróbował pochwycić jego dłoń, ale nie zdążył.

– Niech mnie Nie pochłonie! – zaklął, gdy ich palce minęły się o włos i Abban zleciał w dół.

Chłopak krzyknął krótko przed uderzeniem w ziemię. Jardir nachylił się – nawet z wysokości dwudziestu stóp widział, że przyjaciel złamał obie nogi.

Ktoś za jego plecami zarżał złośliwym śmiechem. Jardir odwrócił się i zobaczył, jak Jurim klepie się po kolanie z radości.

– I tak oto nasz Abban z kota zamienił się w wielbłąda! – wykrzyknął.

Jardir warknął i zacisnął pięści, lecz nim zdołał się poderwać, pojawił się Mistrz Ćwiczeń Qeran.

– A ty co sobie myślisz? – odezwał się tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Wydaje ci się,

że trening to zabawa?

Nim Jurim zdążył wykrztusić jakąkolwiek odpowiedź, Qeran złapał go za bido i pchnął w dół, w ślad za Abbanem. Chłopak wrzasnął z przerażeniem i uderzył w ziemię dwadzieścia stóp niżej, gdzie zaległ nieruchomo.

Mistrz Ćwiczeń odwrócił się ku pozostałym chłopcom.

– *Alagai'sharak* to nie miejsce na zabawę. Lepiej będzie, jak wszyscy zginiecie tu i teraz, niżbyście mieli przynieść wstyd waszym braciom w nocy.

Chłopcy cofnęli się, kiwając głowami.

Qeran odwrócił się ku Jardirowi.

– Biegnij do Mistrza Kawała i opowiedz mu o wszystkim. Przyśle kilku ludzi, by zabrali tych dwóch do *dama'ting*.

– Szybciej by było, gdybyśmy sami ich zanieśli – ośmielił się zaproponować Jardir, wiedząc, że w ciągu tych kilku beczennych minut Abban mógł dokonać żywota.

– Tylko mężczyznom wolno zejść do Labiryntu, *nie'Sharum* – rzekł Qeran. – A teraz zmykaj, bo *dal'Sharum* będą musieli wynieść was trzech, a nie dwóch.

* * *

Gdy po kolacji składającej się z owsianki zjawiała się *dama'ting*, by porozmawiać z Mistrzem Ćwiczeń Qeranem, Jardir podszedł najbliżej jak tylko się odważył i wyteżył słuch.

– Jurim ma złamanych kilka kości, a ponadto silne krwawienie wewnętrzne, ale dojdzie do siebie – mówiła kobieta cichym, obojętnym tonem, jakby rozmawiali o czymś równie nieistotnym jak kolor piasku. Przesłona na jej twarzy maskowała wszelkie emocje. – Abban ma nogi połamane w kilku miejscach. Będzie mógł chodzić, ale nie będzie w stanie biegać.

– A walczyć? – zapytał Qeran.

– Jest zbyt wcześnie, by to ocenić – odparła *dama'ting*.

– Jeśli nie będzie w stanie walczyć, powinnaś zabić go od razu, pani – powiedział Qeran. – Nawet śmierć jest lepsza od doli *khaffit*.

Dama'ting wycelowała w niego palec i Mistrz aż się skulił.

– Nie ty będziesz decydował o tym, co się dzieje w pawilonie *dama'ting* – syknęła.

Mistrz natychmiast splótł dłonie jak do modlitwy i uklonił się tak nisko, że jego broda niemalże dotknęła ziemi.

– Proszę o wybaczenie, *dama'ting* – rzekł. – Nie miałem zamiaru urazić twojego majestatu, pani.

– Oczywiście, że nie – kiwnęła głową *dama'ting*. – Jesteś Mistrzem Ćwiczeń *dal'Sharum* i gdy po śmierci zasiądziesz wśród najbardziej zasłużonych synów Everama, sława wyszkolonych przez ciebie wojowników zwielokrotni twoją własną.

– Słowa *dama'ting* stanowią dla mnie zaszczyt – powiedział Qeran.

– Niemniej jednak – ciągnęła *dama'ting* – nie zaszkodzi przypomnieć ci, gdzie jest twoje miejsce. Poproś *dama* Khevata o pokutę. Dwadzieścia smagnięć ogonem *alagai* powinno wystarczyć.

Jardir aż się zachłysnął. Ogon *alagai* – trzy rzemienie długości czterech stóp z wplecionymi metalowymi kolcami – zadawał najwięcej bólu ze wszystkich znanych mu biczów.

– Dziękuję, *dama'ting*, za wybaczenie – rzekł Qeran, nadal zgięty w niskim pokłonie.

Jardir czmychnął, nim którekolwiek z nich zdołało go dostrzec i zadać sobie pytanie, ile mógł usłyszeć.

* * *

– Nie powinieneś mnie odwiedzać – wysyczał Abban, gdy Jardir zanurkował pod połą pawilonu i stanął przy nim. – Jeśli cię ktokolwiek dostrzeże, czeka cię śmierć.

– Chciałem się tylko przekonać, czy dobrze się miewasz – rzekł Jardir. Jego słowa były prawdą, ale mimo to dokładnie rozejrzał się po namiocie, mając wbrew zdrowemu rozsądkowi nadzieję, że być może znów ujrzy Ineverę. Od chwili gdy złamał ramię, nie widział jej ani razu, ale bynajmniej nie zapomniał jej urody.

Abban spojrział na swe strzaskane nogi, które spowijał twardniejący opatrunek.

– Nie wiem, czy dojdę do siebie, przyjacielu.

– Bzdura – rzekł Jardir. – Kości stają się mocniejsze, po tym jak zostały złamane. Tylko patrzeć, aż znów zaczniesz biegać po murach.

– Może – westchnął Abban.

Jardir zagryzł wargę.

– Zawiodłem cię. Obiecałem, że cię złapię, gdy się przewrócisz. Złożyłem tę przysięgę w blasku Everama.

Abban ujął jego dłoń.

– I swojej obietnicy dotrzymałeś, ani przez chwilę w to nie zwątpiłem. Widziałem, jak skaczesz, by złapać mnie za rękę. To nie twoja wina, że spadłem. Uważam, że wypełniłeś przysięgę.

Oczy Jardira były pełne łez.

– Nigdy więcej cię nie zawiodę – obiecał.

W tej samej chwili pojawiła się któraś z *dama'ting*. Wyłoniła się bezszelestnie z głębi pawilonu i weszła do części, w której leżał Abban. Zerknęła na Jardira i ich spojrzenia się spotkały. Serce chłopaka zamarło, krew ścięła się w żyłach. Miał wrażenie, że patrzy na siebie przez całą wieczność. Oblicze *dama'ting* zakrywało nieprzeźroczyste białe płótno, chłopak nie mógł odczytać wyrazu jej twarzy.

W końcu kobieta przechyliła lekko głowę, wskazując mu drogę do wyjścia. Jardir skłonił

się, nie dowierając swemu szczęściu. Po raz ostatni ścisnął dłoń Abbana i pospiesznie wybiegł z namiotu.

* * *

– Na murach natkniecie się na wichrowe demony, ale nie wolno wam próbować z nimi walczyć – powiedział Qeran, krocząc przed szeregiem *nie'Sharum*. – To obowiązek *dal'Sharum*, którym służycie. Tak czy owak, musicie poznać i zrozumieć swoich wrogów.

Jardir słuchał uważnie, jak zwykle stojąc na czele grupy, ale świadomość, że nie ma u jego boku Abbana, doskwierała mu bardzo. Do chwili, gdy wyruszył do Kaji'sharaj, mieszkał z trzema młodszymi siostrami, a ledwie ich rozdzielono, poznał Abbana. Doprawdy samotność była dziwnym uczuciem.

– *Dama* uczą nas, że wichrowe demony zamieszkują czwartą warstwę otchłani Nie – powiedział chłopcom Qeran, wskazując końcem włóczni skrzydłą postać wyrysowaną na ścianie z piaskowca. – Niektórzy, jak choćby ci głupcy z plemienia Majah, zwykli lekceważyć wichrowe demony, ponieważ brak im grubego pancerza, który cechuje piaskowe demony – opowiadał Mistrz Ćwiczeń. – Nie pozwólcie jednak, by uśpiło to waszą czujność. Wichrowy demon egzystuje dalej od Everama, przez co jest stworzeniem o wiele bardziej mrocznym i zepsutym. Może i brakuje mu pancerza, ale jego skóra tak czy owak zatrzyma ostrze ludzkiej włóczni. Demon ten lata z wielką prędkością, przez co jest trudnym celem. Jego długie szpony – przy tych słowach ostrzem włóczni dorysował jego broń – są w stanie oderwać ludzką głowę, nim ten zdoła sobie uświadomić zagrożenie, a szczęki w kształcie dzioba jednym kłapnięciem mogą wyszarpnąć człowiekowi twarz.

Odwrócił się ku chłopcom.

– Dobrze, a zatem jakie są jego słabe punkty?

Jardir błyskawicznie uniósł dłoń. Mistrz Ćwiczeń skinął w jego kierunku.

– Skrzydła – rzekł Jardir.

– Słusznie – potwierdził Qeran. – Tworząca je błona niczym nie różni się od skóry, która obleka ciało piaskowego demona, i jest równie twarda, ale rozciągnięta jest wzdłuż kości i chrząstek, przez co jest cienka. Silny mężczyzna jest w stanie przebić skrzydła demona pchnięciem włóczni lub rozpruć je, jeśli jego broń jest ostra, a demon pełźnie po ziemi. Co jeszcze?

I znów Jardir podniósł rękę jako pierwszy. Mistrz Ćwiczeń omiół wzrokiem pozostałych chłopców, ale nikt nawet nie drgnął. Jardir był najmłodszy w grupie, młodszy o dobre dwa lata od reszty, ale pozostali ustępowali mu podobnie jak w kolejce po posiłek.

– Na ziemi są powolne i niezdarne – odpowiedział na skinienie Qerana.

– Słusznie – rzekł Mistrz. – Wichrowego demona trzeba zmusić do lądowania, wtedy nie poderwie się w powietrze, o ile nie będzie mógł się dobrze rozpędzić lub wdrapać gdzieś

wysoko i zeskoczyć stamtąd do lotu. Wąskie fragmenty Labiryntu zostały skonstruowane tak, aby to uniemożliwić. *Dal'Sharum* na murach próbują na wichrowe demony zarzucić sieci lub oplątać je odpowiednio obciążonymi bolasami. Waszym zadaniem będzie przekazywać pozycje demonów wojownikom na ziemi.

Przyjrzał się chłopcom.

– Kto z was pamięta sygnał „Stracony wichrowy demon”?

Jardir uniósł rękę.

* * *

Upłynęły trzy długie miesiące, nim Abban i Jurim powrócili w szeregi *nie'Sharum*. Abban utykał i Jardir zmarszczył brwi na ten widok.

– Nogi nadal sprawiają ci ból? – zapytał.

Abban pokiwał głową.

– Niewykluczone, że moje kości są teraz mocniejsze – powiedział. – Ale na pewno nie są prostsze.

– Nie minęło jeszcze dużo czasu – pocieszył przyjaciela Jardir. – Zagoją się.

– *Inevera* – rzekł Abban. – Któż zna wolę Everama?

– Gotów jesteś walczyć o miejsce w kolejce? – zapytał Jardir, wskazując Mistrza niosącego garnek.

Abban pobladł.

– Jeszcze nie, błagam – powiedział. – Jeśli nogi znów mnie zawiodą, będę naznaczony na zawsze.

Jardir zmarszczył brwi, ale kiwnął głową.

– W porządku, ale niech to nie trwa zbyt długo – powiedział. – Bierność może naznaczyć cię równie dotkliwie.

Podeszli do czoła kolejki. Chłopcy usunęli się przed Jardirem niczym myszy na widok kota i obaj przyjaciele mogli w spokoju napełnić swe miski. Kilku z nich obrzuciło Abbana nieprzychylnym spojrzeniem, ale nikt nie ośmielił się sprzeciwić.

Jurim nie był w aż tak uprzywilejowanej sytuacji i Jardir przyglądał mu się chłodno, nie zapomniawszy śmiechu z upadku Abbana. Jurim chodził nieco sztywno, ale daleko mu było do kuszykowania Abbana, które oszpeciło jego ongiś prosty krok. Chłopcy stojący w kolejce śledzili go wzrokiem bez sympatii, ale Jurim podszedł prosto do miejsca za Shanjatem, które ongiś zajmował.

– To miejsce jest zajęte, kaleko – powiedział Esam, kolejny z *nie'Sharum* pod dowództwem Jardira. – Na koniec, i to już!

Esam był zaciekłym wojownikiem i Jardir przyglądał się konfrontacji z niemałym zainteresowaniem.

Jurim uśmiechnął się i rozłożył dłonie, jakby chciał okazać prośbę, ale Jardir w porę dostrzegł ułożenie jego stóp i nie dał się zmylić. Niespodziewanie Jurim rzucił się do przodu, pochwycił Esama i przewrócił go na ziemię.

Walka skończyła się błyskawicznie i rekonwalescent na powrót stał na swym poprzednim miejscu. Jardir pokiwał głową. Nie było wątpliwości, iż Jurim miał serce wojownika. Spojrzał na Abbana, który tymczasem zdążył spałaszować owsiankę, całkiem przegapiwszy walkę, i ze smutkiem pokręcił głową.

– Zbiórka, szcuchy! – zawołał Kaval, po tym jak odłożono puste miski.

Jardir natychmiast podszedł do Mistrzów, a pozostali chłopcy ruszyli za nim.

– Jak sądzisz, o co chodzi? – zapytał Abban.

– Wkrótce nam powiedzą. – Jardir wzruszył ramionami.

– Zbliża się dla was wszystkich próba męskości – rzekł Qeran. – Czekajcie noc, po której dowiemy się, kto z was ma serce wojownika, a kto nie.

Abban wciągnął powietrze ze strachem, lecz Jardir poczuł napływ podniecenia. Każda próba przywodziła go bliżej upragnionej czarnej szaty.

– Od kilku miesięcy nie mamy żadnych wieści od mieszkańców wsi Baha kad’Everam i obawiamy się, że *alagai* mogły przebić się przez chroniące ich runy – ciągnął Qeran. – Bahawianie są *khaffit*, to Prawda, ale pochodzą od Kaji i *Damaji* ogłosił, że nie możemy ich porzucić.

– A tak naprawdę chodzi o to, że nie możemy porzucić owych cennych garnków, które nam sprzedają – burknął Abban. – W Baha mieszka mistrz garncarstwa Dravazi, którego dzieła ozdabiają każdy pałac w Krasji.

– Czy ty myślisz tylko o pieniądzach? – warknął Jardir. – Nawet gdyby byli najpodlejszymi psami na Ala, nadal są o wiele wyżej od *alagai* i powinni mieć ochronę!

– Ahmann! – warknął Kaval. – Masz coś do dodania?

– Nie, Mistrzu – wyprostował się Jardir.

– No to przestań chlastać językiem, bo ci go urzęnę.

Jardir skinął głową, a Qeran ciągnął:

– Pięćdziesięciu wojowników zgłosiło się na wyprawę do Baha, która potrwa tydzień. Na ich czele stanie *dama* Khevat. Będziecie im pomagać. Będziecie dźwigać ich sprzęt, karmić ich wielbłądy, gotować im posiłki i ostrzyć ich włócznie.

A potem spojrzął na Jardira.

– A ty będziesz *Nie Ka* na czas tej wyprawy, synu Hoshkamina.

Jardir wybałuszył oczy. Stanowisko *Nie Ka*, czyli „pierwszego spośród nikogo”, oznaczało, że Jardir oficjalnie stawał na czele *nie’Sharum* nie tylko na przedzie kolejki, ale i w oczach Mistrzów – mógł też dowodzić pozostałymi chłopcami i dyscyplinować ich wedle własnej woli. Odkąd Hasik zasłużył na czarne szaty wiele lat temu, nikogo nie wyznaczono na *Nie Ka*. Był to ogromny zaszczyt, którego nie przyznawano lekką ręką, i należało przyjąć

go z wdzięcznością. Dawał bowiem wielką władzę, ale nakładał też ogromną odpowiedzialność. Chłopak *Nie Ka* stawał się bowiem odpowiedzialny przed Qeranem i Kavalem za pomyłki podwładnych i ponosił za nie odpowiednią karę.

Jardir uklonił się nisko.

– To wielki zaszczyt, Mistrzu. Zanoszę modły do Everama, by nie zawieść pokładanych we mnie nadziei.

– Jeśli cenisz swą skórę, lepiej, żebyś nie zawiódł – powiedział Kaval, a Qeran wziął rzemień z kilkoma węzłkami i obwiązał nim biceps Jardira na znak piastowanej rangi.

Jardir zaś poczuł, jak serce wali w jego piersi. Był to jedynie zwykły rzemień, lecz w tym momencie był dla chłopaka cenniejszy od samej Korony Kajiego. Pomyślał o tym, co *dama* powie jego matce, gdy ta stawi się u niego po tygodniową rentę, i aż napuchł z dumy. Już zaczął przynosić honor kobietom z rodziny.

Co więcej, oczekiwała go prawdziwa próba męskości – całe tygodnie podróży przez noc. Jardir będzie mógł ujrzeć *alagai* z bliska i poznać swych wrogów o wiele lepiej niż z nakreślonych kredą rysunków na tabliczkach lub niewyraźnych kształtów, które widział z daleka, gdy pędził wzdłuż muru. Zaiste tego dnia zaczynał się w jego życiu nowy rozdział.

Abban podszedł do Jardira, po tym, jak *nie'Sharum* zostali odesłani do swych zadań. Uśmiechnął się i szturchnął obwiedzione rzemieniem ramię.

– *Nie Ka* – powiedział. – Zasłużyłeś na to, przyjacielu. Wkrótce zostaniesz *kai'Sharum* i będziesz wiódł w bój prawdziwych wojowników.

– *Inevera* – wzruszył ramionami Jardir. – Niech się stanie, co ma się stać. Na dziś dość mam zaszczytów.

– Dodam jeszcze, że miałeś rację wcześniej. W moim sercu nierzadko odzywa się gorycz, gdy widzę, jak traktowani są *khaffit*, i zdarza się, że daję owej goryczy wyraz. Bahawianie zasługują na naszą ochronę i nie tylko na to.

Jardir pokiwał głową.

– Wiedziałem, że tak myślisz – rzekł. – Ja też przesadziłem. Potraktowałem cię zbyt surowo, przyjacielu. Dobrze wiem, że w twoim sercu kryje się o wiele więcej niż tylko kupiecka chciwość.

Ścisnął ramię Abbana i obaj pospieszyli do zadań związanych z przygotowaniem ekspedycji.

* * *

Wyruszyli w południe w sile pięćdziesięciu wojowników Kaji, wśród których znaleźli się Hasik, *dama* Khevat, Mistrz Ćwiczeń Kaval, dwóch Wypatrywaczy Krevakh oraz grupka najlepszych spośród *nie'Sharum* Jardira. Kilku najstarszych wojowników na zmianę jechało na wozach z zapasami ciągniętych przez wielbłądy, ale reszta szła pieszo, pokonując Labirynt

w drodze do wielkiej bramy miasta. Jardir i pozostali chłopcy jechali na wozach, by ich stopy nie zbrukały świętej ziemi.

– Tylko *dama* i *dal'Sharum* mogą stąpać po krwi swych braci i przodków – ostrzegł ich zawczasu Kaval. – Czyniąc to, narażacie się na niebezpieczeństwo.

Niemniej ledwie wyjechali z miasta, Mistrz Ćwiczeń grzmotnął włócznią w burzę każdego wozu.

– Zsiadać! – warknął. – Zsiadać! Do Baha idziemy pieszo!

Abban spojrział na Jardira z niedowierzaniem.

– Przecież to cały tydzień drogi przez pustynię, a jedyną osłoną przed słońcem są nasze skromne bido!

Jardir zeskoczył z wozu.

– Przecież to samo słońce grzeje nas na placu ćwiczeń – rzucił i wskazał *dal'Sharum* maszerujących przed wozami z zaopatrzeniem. – Ciesz się, że mamy tylko bido. Oni noszą czern, która wchłania gorąco, a ponadto każdy dźwiga tarczę, włócznię i do tego zbroję pod szatami. A skoro oni są w stanie maszerować, to my tym bardziej możemy to zrobić.

– Co, nie masz ochoty rozprostować kulasów po tych tygodniach, które spędziliśmy w łózkach? – zapytał Jurim z uśmiechem. Klepnął Abbana w ramię i zeskoczył z wozu.

Wraz z resztą *nie'Sharum* ruszyli w ślad za wozami i wojownikami. Jardir podawał rytm marszu, by jego podwładni nie zostali w tyle. Kaval z początku szedł za nimi i pilnował, ale wkrótce pozostawił dowództwo Jardirowi. Widząc taki dowód zaufania ze strony Mistrza, chłopak znów poczuł, jak wzbiera w nim duma.

Pustynny trakt był jedynie ścieżką wydeptaną w ubitym piasku i stwardniałej glinie, wzdłuż której ciągnął się szereg drogowskazów z dawnych czasów. Nieustanny wiatr ciskał w wędrowców gorącym pyłem, co utrudniało marsz. Promienie słoneczne rozgrzewały piasek do tego stopnia, że palił nawet pomimo sandałów. Lecz *nie'Sharum*, zahartowani przez lata ćwiczeń, maszerowali bez słowa skargi. Jardir patrzył na nich z dumą.

Wkrótce jednak nabrał pewności, że Abban nie jest w stanie nadążyć za resztą. Szedł, ociekając potem, i z każdą godziną kulał coraz bardziej, zwłaszcza na tak nierównej powierzchni, często też się potykał. Raz zatoczył się i wpadł na Esama, który odepchnął go wściekle ku Shanjatowi, ten zaś pchnął go z furią i Abban upadł. Pozostali chłopcy ryknęli śmiechem, gdy Abban podniósł się, wypluwając piasek.

– Naprzód, szczury! – zawołał Kaval, waląc włócznią o tarczę.

Jardir chciał pomóc przyjacielowi, ale wiedział, że pogorszy tym tylko sytuację.

– Wstawaj! – warknął miast tego.

W oczach Abbana błysnęło błaganie, lecz Jardir pokręcił głową i wymierzył przyjacielowi kopniaka dla jego własnego dobra.

– Przyjmuj swój ból i wstawaj, osłe – powiedział cicho, ochryple. – W przeciwnym razie skończysz jako *khaffit*, zupełnie jak twój ojciec.

Cierpienie, jakie ujrzał w oczach Abbana, dotknęło go do żywego, ale Jardir nie skłamał. Abban również był tego świadom. Nabrał tchu i podniósł się, by pokuszyć za resztą. Przez jakiś czas nadażał, lecz potem znów zwolnił i zaczął zostawać w tyle grupy, co rusz wpadając na kogoś, kto odpychał go z pasją. Kaval, który ani na chwilę nie przestawał ich obserwować, dostrzegł i to, po czym zrównał się z Jardirem.

– Jeśli on będzie spowalniał nasz marsz, chłopcze – powiedział – poznasz smak bata. Ty, a nie kto inny, i to tak, by wszyscy widzieli.

– Stanie się, jak mówisz, Mistrzu Ćwiczeń – skinął Jardir. – Jestem *Nie Ka*.

Kaval burknął coś pod nosem i odszedł. Jardir zaś podszedł do innych.

– Jurim, Abban, na wozy – rozkazał. – Dopiero co wyszliście z pawilonu *dama'ting*. Nie nadajecie się jeszcze na całodniowy marsz.

– Wielbłądzie szczyny! – warknął Jurim, mierząc palcem prosto w twarz Jardira. – Nie mam zamiaru jechać na wozie jak kobieta tylko dlatego, że syn świniojada nie może za nami nadążyć.

Ledwie skończył mówić, gdy Jardir zaatakował. Złapał Jurima za nadgarstek i wykręcił go z furją. Jurim nie miał wyboru – nie chcąc, by Jardir złamał mu rękę, musiał się pochylić, a wtedy Jardir szarpnął raz jeszcze i chłopak grzmotnął ciężko plecami w ziemię. Wtedy Jardir oparł stopę na jego gardle, nie puszczając ręki.

– Pojedziesz na wozie, ponieważ tak rozkazał ci twój *Nie Ka* – powiedział głośno, a twarz Jurima zaczęła czerwienieć. – Nie waż się lekceważyć moich rozkazów.

Twą Jurima była już purpurowa, nim wreszcie zdołał skinąć na znak, że rozumie. Łapczywie nabrał tchu, gdy Jardir cofnął stopę.

– *Dama'ting* przykazała, byście każdego dnia pokonywali dłuższy odcinek, aż odzyskacie pełnię sił – skłamał Jardir. – Jutro będziecie maszerować całą godzinę dłużej. Obaj – dodał, patrząc chłodno na Abbana.

Abban skinął głową z zapałem i obaj chłopcy udali się w kierunku wozów. Jardir patrzył w ślad za nimi, modląc się w duchu, by Abban szybko doszedł do siebie. Nie mógł przecież chronić jego reputacji przez całą wieczność.

Spojrzał na pozostałych *nie'Sharum*, którzy wpatrywali się w niego.

– Ogłosiłem postój? – warknął. Podwładni natychmiast podjęli marsz, a Jardir podawał dwukrotnie szybsze tempo, aż zrównali z resztą.

* * *

Nadszedł wieczór i Jardir rozkazał *nie'Sharum* przygotować posiłki i rozłożyć posłania, podczas gdy *dama* i Wnykarze przygotowywali runiczną zaporę. Gdy krąg został wyznaczony, wojownicy rozstawili się wzdłuż niego, zwrócenie na zewnątrz z tarczami i włóczniami w pogotowiu, przyglądając się zachodowi słońca i powstaniu demonów.

W tak niewielkiej odległości od miasta demony piasku powstały licznie, sycząc na *dal'Sharum* i rzucając się na wojowników. Jardir po raz pierwszy w życiu widział je z tak bliska, lecz przyglądał się bez emocji, na chłodno, zapamiętując ruchy potworów skaczących na ludzi.

Wnykarze dobrze wykonali swe zadanie i jarzące się wściekle runy odrzucały atakujące demony. Za każdym razem, gdy uderzały w runiczną barierę, *dal'Sharum* z okrzykiem kontratakowali włóczyniami. Pancierz demonów zatrzymywał większość uderzeń, lecz kilku wojowników zdołało celnie pchnąć ostrze w ślepie czy rozwartą paszczę potwora, co kończyło się jego śmiercią. Można było odnieść wrażenie, że to tylko zabawa – wojownicy celowali starannie, usiłując zadać śmiertelny cios podczas trwającego ledwie krótką chwilę rozbłysku i śmiali się gromko, gratulując nielicznym ze swego grona, którym się to udało. Ci, którzy zabili demona, udawali się na kolację, a reszta nie ustawała w wysiłkach. Jardir zauważył, że pierwszym, który napełnił swą miskę, był Hasik.

Mistrz Kaval także zabił demona, a potem opuścił krąg walczących. Wojownik uniósł przesłonę z twarzy, czego Jardir, nigdy wcześniej nie widział. Pochwycił jego spojrzenie – po chwili mężczyzna skinał głową i Jardir podbiegłszy do niego, uklonił się głęboko.

– Mistrzu – powiedział – nie takiej *alagai'sharak* się uczymy.

Kaval wybuchnął śmiechem.

– To wcale nie jest *alagai'sharak*, chłopcze. To tylko zabawa, by nasze włócznie nie stępiały. Wedle *Evejah alagai'sharak* można toczyć jedynie na przygotowanym terenie. Tymczasem tu nie ma ani demonich dołów, ani ścian labiryntu i zasadzek. Tylko skrajny głupiec wyszedłby poza krąg, ale nie widzę powodu, dlaczego by nie pokazać słońca kilku *alagai*.

Jardir uklonił się ponownie.

– Dziękuję, Mistrzu. Już rozumiem.

Zabawa trwała jeszcze kilka godzin, aż ocalałe demony pojęły, że bariera runiczna jest szczelna, i zaprzestały ataków. Krążyły teraz wokół obozowiska lub przysiadały na zadach poza zasięgiem włóczni, nie przestając przyglądać się ludziom. Wojownicy, którzy napełnili już swe żołądki, objęli wartę, wyśmiewając tych, którym nie udało się zabić demona przed posiłkiem.

Po tym jak wszyscy się najedli, połowa wojowników udała się na spoczynek, a pozostali nadal trwali niczym posągi dookoła obozowiska. Po kilku godzinach snu wyspani *dal'Sharum* zwolnili swoich braci.

* * *

Następnego dnia wyprawa przeszła przez wioskę *khaffit*. Jardir nigdy dotąd takiego miejsca nie widział, choć na pustyni znajdowało się sporo małych oaz, głównie na południe i

na wschód, gdzie z ziemi tryskały źródelka napełniające niewielkie stawy. *Khaffit*, którzy uciekli z miasta, zwykli gromadzić się w takich miejscach, a *dama* nie przejmowali się nimi pod warunkiem, że żywili się sami, nie żebrali w obrębie murów miejskich, ani też nie napadali na przejeżdżających kupców.

Istniały również większe oazy z bardziej imponującymi stawami, wokół których mogło osiedlić się stu lub nawet więcej *khaffit* wraz z kobietami i dziećmi. Tymi *dama* interesowali się nieco bardziej, a plemiona wojowników uznawały poszczególne oazy za własne, podobnie jak studnie w mieście, i nakładały na *khaffit* podatki w zamian za prawo do życia na wodonośnych terenach. Zdarzało się, że *dama* odwiedzali najbliższe wsie i zabierali znalezionych tam chłopców na *Hannu Pash*, a najpiękniejsze dziewczęta wyprowadzali jako *jiwah 'Sharum* do wielkich haremów.

Wsi, którą właśnie mijali wędrowcy, nie otaczał jednak żaden mur, a jedynie rozstawiony dookoła niej rząd monolitów z piaskowca z wyrytymi w każdym starożytnymi runami.

– Co to za miejsce? – dziwił się Jardir.

– Zwie się Piaskowcem – odpowiedział Abban. – Mieszka tu ponad trzystu *khaffit*. Zwani są grzebiącymi psami.

– Grzebiącymi psami? – zapytał Jardir.

Abban wskazał mu ogromną dziurę w ziemi, jedną z wielu we wsi, gdzie wspólnie harowali mężczyźni i kobiety, łopatami, kilofami i piłami odłamując wielkie złomy piaskowca. Ludzie ci byli barczyści i muskularni, w niczym nie przypominali *khaffit* z miasta. Dzieci pracowały u boku dorosłych, ładując wozy i prowadząc wielbłądy, które wywoziły urobek z dziur. Wszyscy nosili zgrzebne ubrania – chłopcy i mężczyźni kamizele i czapki, a kobiety i dziewczęta suknie, które nie pozostawiały wiele dla wyobraźni, gdyż ich twarze, ramiona, a nawet nogi były w znacznej mierze odkryte.

– To silni ludzie – zauważył Jardir. – Z jakiego powodu są *khaffit*? Czyżby wszyscy byli tchórzami? A co z tymi dziećmi? Przecież chłopcy powinni trafić na *Hannu Pash*, a dziewczęta wyjść za mąż!

– Być może ich przodkowie zostali *khaffit* ze względu na swoje wady, mój przyjacielu – odpowiedział Abban. – Ci jednakże są *khaffit* z urodzenia.

– Nie rozumiem – rzekł Jardir. – Nie ma czegoś takiego jak *khaffit* z urodzenia.

– Mówisz, że ja myślę tylko o handlu – westchnął Abban. – Problem leży jednak w tym, że ty nie myślisz o nim wcale. *Damaji* potrzebują kamieni, które są wydobywane przez tych ludzi, potrzebują też do tego zdrowych robotników. W zamian za pracę *dama* nie przychodzą po dzieci tych *khaffit*.

– Czym jednocześnie skazują swoje dzieci na dołą *khaffit* przez resztę życia – stwierdził Jardir. – Dziwię się, że rodzice pragną tego dla swoich dzieci.

– Rodzice potrafią dziwnie się zachowywać, gdy ktoś przychodzi, by zabrać ich dzieci – rzekł Abban.

Jardir przypomniał sobie łzy swej matki i rozpaczliwe krzyki matki Abbana i w głębi duszy musiał się z nim zgodzić.

– Tak czy owak, ci ludzie byliby znakomitymi wojownikami, a ich kobiety wspaniałymi żonami, które rodziłyby silnych synów. Żał patrzeć na takie marnotrawstwo.

Abban wzruszył ramionami.

– Ale przynajmniej gdy jeden z nich zostanie ranny, reszta nie rzuca się na niego jak wataha wilków.

* * *

Minęło sześć dni, zanim wyprawa dotarła do klifu, u którego stóp płynęła rzeka dostarczająca wody wiosce Baha kad'Everam. Po drodze wędrowcy nie natknęli się na żadne inne wsie *khaffit*. Abban, którego rodzina handlowała z wieloma osadami, objaśnił, iż przyczyną tego jest brak wody. Podziemna rzeka, która zasilala tyle oaz niedaleko miasta, nie sięgała tak daleko na wschód. Większość wiosek leżała na południe od miasta, między Pustynną Włócznią a odległymi górami na południu, mniej więcej wzdłuż biegu rzeki. Jardir nigdy dotąd nie słyszał o podziemnych rzekach, ale wierzył w słowa przyjaciela.

Rzeka, nad której brzegiem stanęli, wynurzyła się z podziemi i w ciągu wieków przebiła przez niezliczone pokłady piasku i gliny, żłobiąc głęboką dolinę. Z tej wysokości wydawała się jednakże jedynie wąską strużyną.

Ruszyli na południe, idąc wzdłuż brzegów klifu, aż ich oczom ukazała się wąska, stroma ścieżka prowadząca w dół, do wioski widocznej tylko ze szczytu. *Dal'Sharum* zadęli w rogi na powitanie i ruszyli prosto na główny plac. Nie odpowiedział im jednak żaden sygnał, nie pojawili się też ludzie, nawet w samym sercu osady.

W ścianie klifu wydrążono kilkupoziomowe nisze, w których znajdowała się większość zabudowań Baha kad'Everam. Do każdego poziomu wiodły nierówne, wijące się, lecz szerokie schody. Ani żywego ducha, tylko przesłaniające wejścia kotary kołysały się leniwie na wietrze. Na ten widok Jardirowi przypomniały się starsze partie Pustynnej Włóczni, porzucone, w miarę jak populacja miasta zaczęła się kurczyć. Owe prastare budynki pamiętały czasy, gdy Krasjanie byli niezliczonym narodem.

– Co tu się stało? – zapytał Jardir.

– Czy to nie oczywiste? – rzucił Abban.

Jardir spojrzał na niego z zaciekawieniem, na co przyjaciel wyjaśnił:

– Przestań wpatrywać się w samą wieś, rozejrzyj się.

Jardir odwrócił się i zauważył, że rzeka wydała im się wąską strużką nie tylko dlatego, że patrzyli na nią z wysoka. Poziom wody sięgał ledwie jednej trzeciej brzegów.

– Za mało deszczu – podsumował Abban. – Mogło też dojść do zmiany kierunku prądu w górze rzeki. Bez względu na przyczynę niski poziom wody sprawił, że Bahawianie nie mogli

łowić ryb, a od tego zależał ich byt.

– Nie tłumaczy to śmierci całej wsi – rzekł Jardir.

Abban wzruszył ramionami.

– Być może po tym jak opadł poziom rzeki, woda zmętniała od osadu na dnie i jej smak się zepsuł. Jedno jest pewne – dręczeni głodem lub chorobą Bahawianie nie byli w stanie zajmować się dłużej swoimi runami ochronnymi.

Wskazał przy tych słowach głębokie szramy po pazurach na ścianach niektórych budynków.

Kaval odwrócił się do Jardira.

– Przetrząśnij wieś w poszukiwaniu ocalonych – rozkazał.

Jardir uklonił się i podzielił *nie'Sharum* na pary, wysyłając każdą na inny poziom wsi. Chłopcy popędzili nierównymi schodami równie łatwo, jakby gnali po murach Labiryntu.

Wkrótce okazało się, że Abban miał rację. Niemalże w każdym budynku natrafili na ślady walki, a ściany i meble poznaczone były szponami demonów.

– Nie ma jednak żadnych ciał – zauważył Abban.

– Zostały pożarte – powiedział Jardir i wskazał coś na podłodze, co w pierwszej chwili wydało się czarnym kamieniem ze sterzącymi kilkoma białymi elementami.

– Co to takiego?

– Gównno demona – objaśnił Jardir. – *Alagai* pożerają swoje ofiary w całości, a potem wysrywają ich kości.

Abban zakrył dłonią usta, ale nie pomogło. Przypadł do podłogi, targany konwulsjami.

Chłopcy przekazali swe odkrycie Mistrzowi Kavalowi, który pokiwał głową, jakby zupełnie go to nie zaskoczyło.

– Idź za mną, *Nie Ka* – nakazał i razem z Jardirem podeszli do *dama* Khevata, który stał obok *kai'Sharum*.

– *Nie'Sharum* potwierdzają, że nikt nie ocalał, *dama* – rzekł Kaval. *Kai'Sharum* przewyższał go w hierarchii, lecz Kaval był Mistrzem Ćwiczeń i wielce prawdopodobne, że szkolił każdego z uczestników tej wyprawy, łącznie z *kai'Sharum*. Stare porzekadło mówiło, że słowa zza czerwonej przesłony są o wiele ważniejsze niż te zza białej.

Dama Khevat pokiwał głową.

– *Alagai* przekleły tę ziemię, z chwilą gdy przebiły się przez barierę runiczną, więząc duchy martwych *khaffit* w tym świecie. Nadal słyszę ich krzyki unoszące się w powietrzu.

Spojrzał na Kawała.

– Zbliża się Nów. Spędzimy dwa pierwsze dni i nocę na przygotowywaniu wsi i na modłach.

– A trzeciego dnia Nowiu? – zapytał Kaval.

– Trzeciego dnia zatańczymy *alagai'sharak* – oznajmił Khevat – by na nowo poświęcić tę ziemię. Uwolnimy dusze zabitych, by mogły oczekiwać na odrodzenie w ciele człowieka

wyższej kasty.

Kaval uklonił się.

– Oczywiście, *dama*.

Spojrzał na schody i na budowle wtopione w ścianę klifu oraz na szeroki dziedziniec, zbiegający aż nad brzeg rzeki.

– Należy się tu spodziewać głównie demonów gliny – założył. – Choć zapewne znajdzie się wśród nich kilka piaskowych i wichrowych.

Odwrócił się ku *kai'Sharum*.

– Za waszym pozwoleniem, polecę *dal'Sharum*, by wykopali demonie doły na dziedzińcu i ustawili pułapki na schodach. Będzie można spychać *alagai* z klifu prosto do dołów, by doczekały tam wschodu słońca.

Kai'Sharum skinął, a wtedy Mistrz odwrócił się ku Jardirowi:

– Rozkaż *nie'Sharum*, by wynieśli z domów wszystko, co można wykorzystać do zbudowania barykady.

Jardir uklonił się i już zbierał się do odejścia, gdy Kaval złapał go za ramię.

– Dopilnuj, by nikt niczego nie ukradł – ostrzegł. – Wszystko, co znajduje się w tej wsi, stanie się ofiarą w *alagai'sharak*.

* * *

– Oczyszcimy pierwszy poziom – powiedział Jardir Abbanowi.

– Wolałbym siódmy. To szczęśliwsza liczba – odparł Abban. – Niech Jurim i Shanjat oczyszczą pierwszy.

Jardir z powątpiewaniem spojrzał na nogę Abbana. Przyjaciel jak dotąd nadażał za resztą, ale nadal utykał, a Jardir kilkakrotnie zauważył, jak masuje miejsce złamania, gdy sądził, że nikt go nie widzi.

– Twoja noga nie jest jeszcze w idealnym stanie – powiedział. – Na pierwszy poziom łatwiej jest wejść.

Abban oparł pięści na biodrach.

– Ranisz mnie, przyjacielu! – oznajmił. – Jestem sprawny niczym najzdrowszy wielbłąd na bazarze. Słusznie kazałeś mi racjonować wysiłek i każdego dnia pokonywać większą odległość, tak więc wejście na siódmy poziom może mi teraz tylko pomóc.

– Jak sobie życzysz. – Jardir wzruszył ramionami i po przekazaniu rozkazów pozostałym *nie'Sharum* ruszył z Abbanem w górę schodów.

Nieregularne kamienne stopnie Baha zostały wycięte w ścianie klifu i wsparte piaskowcem i gliną. Niektóre były tak wąskie, że ludzka stopa ledwie się na nich mieściła, inne szerokie na wiele kroków. W miejscach, któredy zwierzęta wciągały wozy wyładowane towarem, kamień był wytarty i skruszały. Po dojściu na kolejny poziom schody zmieniały

kierunek i odchodziła od nich ścieżka prowadząca do znajdujących się tam budowli.

Przyjaciele nie uszli daleko, oddech Abbana przerodził się w ciężkie sapanie, a po jego okrągłej twarzy zaczął spływać pot. Z każdą chwilą utykał coraz bardziej, a przy piątym poziomie posykiwał z bólu przy każdym kroku.

– Może przeszliśmy dość jak na jeden dzień – odezwał się Jardir.

– Bzdura, przyjacielu – rzekł Abban. – Jestem... – jęknął i sapnął ciężko. – Jestem silny jak wielbłąd.

Jardir uśmiechnął się i klepnął go w plecy.

– Jeszcze będzie z ciebie wojownik.

Dotarli w końcu na siódmy poziom i Jardir przechylił się przez niski murek. W dolinie *dal'Sharum* pochylali plecy, kopiąc krótkimi łopatami szerokie doły wzdłuż pierwszego poziomu, tak by demon zrzucony z muru, zza którego wyglądał właśnie Jardir, wpadł do pułapki. Jardir poczuł dreszcz podniecenia na myśl o nadchodzącej bitwie, chociaż ani jemu, ani innym *nie'Sharum* nie wolno było wziąć w niej udziału.

Odwrócił się do Abbana, lecz przyjaciel szedł już po tarasie, ignorując widok z góry.

– Powinniśmy zabrać się do oczyszczania budynków – powiedział Jardir, ale Abban najwyraźniej nie słuchał, nadal kuszykając przed siebie. Jardir ruszył jego śladem. Zrównał się z przyjacielem w chwili, gdy ten przystanął przed wielkim sklepionym łukiem. Przyglądał się wyrzeźbionym symbolom z szerokim uśmiechem.

– Poziom siódmy, byłem tego pewien! – rzekł Abban. – Tyle samo jest słupów między Niebem a Ala.

– Nigdy dotąd nie widziałem takich runów. – Jardir spojrzał na symbole.

– To nie runy, a słowa.

Jardir zerknął z zaciekawieniem na przyjaciela.

– Jak te, które zostały zapisane w Evejah?

– Tak – pokiwał głową Abban. – A oznaczają: tu, siedem poziomów nad Ala, by uczcić Tego, który jest Wszystkim, swój skromny warsztat prowadzi mistrz Dravazi.

– To ten garncarz, o którym mówiłeś – warknął Jardir.

Abban przytaknął i już chciał odsunąć kotarę przesłaniającą drzwi, gdy Jardir złapał go za ramię i szarpnął, by obrócić przyjaciela i spojrzeć mu w twarz.

– A zatem potrafisz znieść ból dla zysku, ale nie dla honoru? – zapytał ostro.

– Jestem tylko człowiekiem praktycznym, przyjacielu – uśmiechnął się Abban. – Z honoru nie da się wyżyć.

– Da się – odparł Jardir. – W Niebie.

– Nie będziesz w stanie odziać matki i sióstr, gdy znajdziesz się w Niebie – parsknął Abban, po czym oswobodził ramię i wszedł do warsztatu.

Jardir nie miał wyboru, poszedł za nim, ale wpadł na przyjaciela, który tuż za progiem stanął jak wryty z rozdziawionymi ustami.

– Towar jest nietknięty! – szepnął, a jego oczy aż błysnęły z pożądliwości. Jardir spojrział w tym samym kierunku i również wstrzymał oddech. Naczynia znakomitej jakości piętrzyły się na wielkich paletach. Jardir widział garnki, wazy i kielichy, widział lampy, talerze i misy, a wszystkie pomalowane na jaskrawe kolory bądź pokryte złotymi listkami i lśniące wybornie dzięki glazurowaniu ogniem.

Abban zatarł dłonie z podnieceniem.

– Masz w ogóle pojęcie, ile to wszystko jest warte, przyjacielu? – zapytał.

– To bez znaczenia – rzekł Jardir. – Nie jest nasze.

Abban spojrział na niego, jakby postradał rozum.

– Jeśli właściciel nie żyje, to nie ma mowy o kradzieży, Ahmann.

– Rabowanie zmarłych jest jeszcze gorsze od kradzieży – stwierdził Jardir. – To zbezczeszczenie.

– Zbezczeszczeniem byłoby ciśnięcie dorobku życia mistrza rzemiosła na kupę odpadków – rzekł Abban. – Jest tu mnóstwo innych rzeczy, które można wykorzystać do wzniesienia barykad.

Jardir przyjrzał się naczyniom.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Zostawimy to tu, gdzie jest. Niech ten skarbiec opowiada historię o wielkim talencie największego spośród *khaffit*, by Everam mógł spojrzeć na jego dzieła i wskrzesić ducha zmarłego, by odrodził się w wyższej kaście.

– Po co opowiadać historie Everamowi, skoro On jest wszechwiedzący? – zapytał Abban.

Jardir zwinął dłonie w pięści i Abban aż się cofnął.

– Nie mam zamiaru słuchać bluźnierstw – warknął. – Nawet z twoich ust.

Abban uniósł ręce w przeproszającym geście.

– Nie chciałem przecież bluźnić – powiedział. – Chciałem tylko dać do zrozumienia, że Everam równie dobrze mógłby przyglądać się naczyniom w pałacu *Damaji*, jak i tu, w tym zapomnianym warsztacie.

– Niewykluczone, że masz rację – przystał Jardir. – Ale Kaval powiedział, że wszystko ma zostać poświęcone w *alagai'sharak*, a to oznacza, że te naczynia również.

Abban zerknął na dłonie Jardira, nadal mocno zaciśnięte, i pokiwał głową.

– Oczywiście, przyjacielu – zgodził się. – Jeśli mamy jednakże naprawdę uczcić pamięć tego wielkiego *khaffit* i polecić go Niebu, wykorzystajmy te wspaniałe garnki, by wynosić w nich piach z demonich dołów kopanych przez *dal'Sharum*. W ten sposób naczynia mistrza Dravaziego wezmą udział w *alagai'sharak* i ukażą Everamowi jego wartość.

Jardir odprężył się, a jego pięść rozluźniła się. Uśmiechnął się lekko i przytaknął.

– To dobry pomysł.

Wybrali najbardziej odpowiednie naczynia i zanieśli je do obozu. Reszta pozostała w stanie, w jakim ją zastali.

* * *

Wraz z pozostałymi *nie'Sharum* Jardir pograżył się w pracy i dwa pełne dni oraz noce szybko upłynęły, w miarę jak pole bitwy, na którym miało się rozegrać *alagai'sharak*, zaczynało przybierać ostateczny kształt. Co noc wojownicy kryli się za kręgami runów, przyglądali demonom i układali plany. Tarasy osady wkrótce stały się labiryntem zwałów gruzu, wśród których kryły się osłonięte runami kryjówki, skąd *dal'Sharum* mieli wyskakiwać i spychać potwory prosto w demone doły lub krępować sieciami na tyle długo, by uwięzić je w przenośnych kręgach. Na każdym poziomie zorganizowano też chroniony runami magazyn z bronią, gdzie mieli czuwać *nie'Sharum*, gotowi przynieść wojownikom nowe włócznie lub sieci.

– Macie kryć się za runami, póki was nie zawołają – polecił nowicjuszom Kaval. – A gdy trzeba będzie wybiec zza bariery, nie wolno wam zmarnować ani chwili! Macie biec z jednej bariery do kolejnej, aż dotrzecie do celu. Przez cały czas trzymajcie nisko głowy i wykorzystujcie każdą możliwą osłonę.

Mistrz rozkazał też chłopcom nauczyć się dobrze rozkładu zaimprovizowanego labiryntu, by w razie potrzeby mogli dotrzeć do runicznych kryjówek z zamkniętymi oczami. Wojownicy mieli co prawda rozpalic wielkie ognie, by lepiej widzieć podczas walki i odpędzić chłód nocy, ale tu i ówdzie zalegały cienie, gdzie demony, które doskonale widziały w ciemnościach, mogły wykorzystać tę przewagę.

Na długo przed zachodem słońca Jardir i Abban przyczaili się w magazynie broni na trzecim poziomie. Klif wychodził na wschód, widzieli zatem, jak jego cień wydłuża się, zalewa dolinę rzeki i niczym atramentowa plama wspina się po przeciwległej ścianie. W mroku zaś zaczęły powstawać *alagai*.

Zafascynowani chłopcy patrzyli, jak z gliny i odłamków piaskowca sączą się kłęby mgły, która gęstniejąc, formuje się w kształty demonów. Na rozległym dziedzińcu wioski materializowały się potwory, opromienione blaskiem wielkich ognisk, do których *dal'Sharum* wrzucili wszystko, co się nadawało do spalania.

Po raz pierwszy Jardir w pełni zrozumiał to, o czym *dama* mówił im od lat. *Alagai* były potworami, wypaczeniami, na które nigdy nie padł blask Everama. Gdyby nie ohydna skaza, którą pozostawiały na Ala, świat ten byłby rajem Stwórcy. Chłopak poczuł, że nienawiść i wzdarga przepelniają go do szpiku kości, uświadomił sobie też, że z radością oddałby życie w zamian za unicestwienie potworów. Pochwycił jedną z zapasowych włócznie i wyobraził sobie dzień, w którym będzie niósł demonom zagładę u boku swych braci *dal'Sharum*.

Nagle Abban złapał Jardira i wskazał mu coś drżącą ręką. Jardir ujrzał, że wszędzie na tarasie zbiera się mgła, a w występie na ścianie klifu materializował się właśnie wichrowy demon ze złożonymi skrzydłami. Żaden z chłopców nigdy dotąd nie znalazł się tak blisko demona i jego widok przepelniał Abbana bezbrzeżnym przerażeniem, podczas gdy Jardir

poczuł tylko i wyłącznie wściekłość. Pochwycił mocniej włócznię i zadał sobie w duchu pytanie, czy zdołałby przypaść do potwora i stracić go z muru do demoniego dołu.

Abban ścisnął mu ramię tak mocno, że Jardir w końcu poczuł ból. Odwrócił się do przyjaciela i napotkał jego spojrzenie.

– Nie bądź głupcem – szepnął Abban.

Jardir zerknął na demona i uświadomił sobie, że stracił przewagę zaskoczenia. Pazury *alagai* puściły występ z piaskowca i potwór pomknął w ciemność z gwałtownym trzepnięciem skrzydeł. Gdy je rozpostarł, przesłoniły gwiazdy.

W pobliżu uformował się pomarańczowy demon gliny, trudny do odróżnienia na tle ściany, do której przylgnał. Był pękaty i niewiele większy od małego psa, ale nabrzmiałe mięśnie, szpony i pancerz, składający się z grubych, nachodzących na siebie płytek, zdradzały śmiertelniegroźnego zabójcę. Uniósł krótki, obły łeb i zaczął węszyć. Kaval uczył, że łeb demona gliny jest w stanie przebić niemal wszystko, potrafi roztrzaskać skałę i wyszczerbić najzaciejszą stal. Ni z tego, ni z owego na własne oczy Jardir i Abban ujrzeli pełnię jego mocy, gdy potwór wyczuł ich i zaszarżował, uderzając w barierę runiczną magazynu. Z miejsca zderzenia wystrzeliła pajęczynka srebrnych błyskawic, odrzucając stwora do tyłu. Nie zraził się tym jednak, natychmiast poderwał się, wbił pazury w kamienną ścianę i zaczął grzmocić łbem w runy, za każdym uderzeniem wzbudzając serię magicznych rozbłysków.

Jardir ujął włócznię i pchnął prosto w żołądek demona, jak robili to *dal'Sharum* podczas wędrówki przez pustynię. Demon okazał się jednak zbyt szybki i zatrzasnął szczęki na metalowym ostrzu, które wykrzywiło się niczym zabawka. Bez chwili namysłu potwór targnął łbem, wrywając broń z rąk Jardira i niemalże wyszarpując go spoza bariery runicznej. Włócznia, wirując, poleciała daleko nad murem i znikła w ciemnościach.

Hasik dostrzegł krótkie starcie ze swojej kryjówki nieopodal na tarasie. Przydzielono mu rolę Naganiacza i lada chwila miał wyskoczyć, by powieść demony ku ich przeznaczeniu.

– Zmarnuj jeszcze jedną włócznię, szczurku! – krzyknął, nadal lekko sepleniąc, choć minęło już wiele lat. – Zmarnuj choć jedną, a sam cię wyrzucę za mur!

Jardir poczuł falę wstydu. Ukłonił się i cofnął w głąb kryjówki, by czekać na rozkazy.

Wypatrywacze Krevakh, balansujący na swoich drabinach, mogli przedostać się z poziomu na poziom w ciągu kilku sekund. Przyglądali się polu walki z góry i nagle dali sygnał *kai'Sharum*, który zadął w Róg Sharak. Rozpoczął się taniec.

Hasik natychmiast wyskoczył z kryjówki, wrzeszcząc i podskakując, by przyciągnąć uwagę najbliższych demonów. Jardir przyglądał mu się z fascynacją. Jego osobiste odczucia straciły znaczenie w obliczu bezgranicznego honoru, jaki okazał Hasik.

Kilka demonów gliny wrzasnęło dziko i skoczyło ku niemu. Ich krótkie, silne nogi pracowały z przerażającą prędkością, potwory gnały ku Naganiaczowi, lecz ten stał nieporuszony i czekał. Do ucieczki rzucił się w ostatniej chwili, pomknął ku zasadzce

znajdującej się za pierwszymi barierami. Demon, który szalał przy magazynie Jardira, również skoczył do ataku, ale Hasik obrócił się w biegu i poderwał tarczę, którą nie tylko się zasłonił, ale też posłał potwora łukiem w powietrze. Stwór przeleciał z wrzaskiem nad murem i wpadł do demoniego dołu. *dal'Sharum* zabili pierwszego przeciwnika tej nocy.

Hasik wpadł w labirynt usypany z gruzu, przemykając obok barier z szybkością i zręcznością, której przeczyła jego masywna postura. Po chwili zniknął Jardirovi i Abbanowi z oczu, lecz chłopcy usłyszeli jeszcze jego okrzyk: *Oot!* Był to tradycyjny zew Naganiaczy, który ostrzegał zaczajonych *dal'Sharum*, że nadciągał *alagai*.

Rozległy się krzyki i zaskrzyła magia, gdy niewidoczni dotąd wojownicy spadli na niczego niespodziewające się demony. Wrzaski *alagai* wypełniły powietrze nocy, po plecach Jardira spłynął dreszcz. Marzył, by demony cierpiały i wrzeszczały za jego sprawą. Kiedyś nadejdzie ten dzień...

Rozmyślenia przerwał mu Wypatrywacz Aday, który pojawił się na murze. Drabiny długości dwunastu stóp wystarczały, by bez trudu przedostać się z poziomu na poziom.

Aday szarpnął za mocny rzemień przywiązany do nadgarstka i wciągnął drabinę. Już miał ją ustawić, by wspiąć się na następny poziom, ale zatrzymało go głucho warknięcie gdzieś nad jego głową. Zerknął ku górze i w tej samej chwili skoczył na niego demon gliny.

Jardir zeszytniał, ale nie musiał się martwić. Wypatrywacz okazał się szybki niczym zmija – błyskawicznie odwrócił drabinę i zatrzymał nią demona, a potem kopnął celnie między szczelami, posyłając potwora na ziemię.

Zanim ten zdążył się poderwać, Aday uskoczył kilkanaście stóp do tyłu i wyprostował drabinę na całą długość. Demon znów skoczył, lecz wojownik pochwycił go między dwa drągi, mocnym szarpnięciem uniósł w górę i bez trudu wyrzucił poza mur. W chwilę później Wypatrywacz znów ustawiał drabinę.

– Zanieście dodatkowe włócznie do Spychaczy na dziedzińcu! – wykrzyknął i pognął na kolejny poziom, nie dotykając nawet szczelbi dłońmi.

Jardir pochwycił dwie włócznie, Abban również. Już mieli wybiec z kręgu, gdy Jardir dostrzegł lęk w oczach przyjaciela.

– Trzymaj się blisko mnie i rób wszystko to, co ja – polecił mu. – Nie ma żadnej różnicy między tym, co teraz robimy, a ćwiczeniami na murach.

– Poza tym, że trwa noc – powiedział Abban, ale gdy Jardir rozejrzał się i popędził w kierunku stanowiska Hasika, kryjąc się za murem, by nie przyciągnąć uwagi krążących w powietrzu wichrowych demonów, uczynił to samo.

Dotarli najpierw do kryjówki, a stamtąd po schodach na dziedziniec. Demony gliny spadały ze wszystkich poziomów wsi niczym wielkie krople deszczu, spychane przez walczących *dal'Sharum*. Zasadzki były precyzyjnie rozmieszczone, dlatego większość *alagai* spadała dokładnie do zaimprovizowanych demonich dołów. Tymi, które nie trafiły, oraz demonami piasku, które materializowały się na dziedzińcu, zajmowali się Spychacze,

zapędzali stwory do paści włóczniami i tarczami. Wokół każdego rowu i na ich spodzie rozmieszczono specjalne runy, które pozwalały *alagai* dostać się do środka, ale uniemożliwiały ucieczkę. Włócznie wojowników nie mogły co prawda przebić pancerza *alagai*, ale ich uderzenie wystarczało, by demon tracił równowagę i spadał.

– Chłopcze! Włócznię! – krzyknął Kaval i Jardir zauważył, że broń Mistrza Ćwiczeń pękła w pół, gdy ten mierzył się z piaskowym demonem. Kaval jednakże sprawiał wrażenie, jakby mu to nie przeszkadzało – błyskawicznie zakręcił ułomkiem i zaczął wbijać go w stawy ramion i bioder potwora, uniemożliwiając mu złapanie równowagi i zmuszając, by kierował się dokładnie tam, gdzie chciał tego człowiek. Nie przestawał nacierać, płynnie przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę, by móc wykorzystać tarczę i zadawać silniejsze uderzenia. Z każdą chwilą spychał demona coraz bliżej do krawędzi jamy.

Wydawało się, że Mistrz nie musi się obawiać stwora, z którym toczył walkę, ale z tarasów spadały kolejne demony i uszkodzona broń nie pozwalała mu wykończyć przeciwnika należycie szybko.

– *Acha!* – zawołał Jardir, rzucając nową broń. Słyszając okrzyk, Kaval wbił ułomek w paszczę potwora, obrócił się płynnie i złapał rzuconą mu włócznię, po czym zakręcił nią i pchnął demona raz jeszcze. Bestia z wrzaskiem wpadła do dołu.

– Nie stój tu jak idiota! – warknął Kaval. – Zrób, co do ciebie należy, i wracaj na miejsce!

Jardir kiwnął głową i odbiegł, wraz z Abbanem podając broń innym walczącym.

Gdy rozdali wszystkie włócznie, odwrócili się ku schodom, ale przebiegli zaledwie kilka kroków, gdy za nimi rozległo się głośnie łupnięcie. Jardir rzucił okiem za siebie i ujrzał, jak wściekły demon gliny przetacza się, zrywa i potrząsa łbem. Najbliższy Spychacz był daleko, a poza tym Abban i Jardir byli dla stwora o wiele łatwiejszą zdobyczą.

– Do zasadzki! – krzyknął Jardir, wskazując niewielką chronioną runami kryjówkę, gdzie wcześniej, zanim demony zaczęły atakować, kryli się Spychacze. Przyjaciele rzucili się ku niej, ścigani przez potwora. Gnany strachem Abban zdołał nawet wyprzedzić Jardira.

Gdy do bezpiecznej kryjówki brakowało już tylko paru kroków, Abban nagle z głośnym krzykiem zwałił się na ziemię. Coś stało się z jego nogą i nie było wątpliwości, że przyjaciel nie poderwie się na czas.

Jardir przyspieszył, doskoczył i złapał próbującego powstać Abbana. Pchnął go, przetoczył się wraz z nim i wykorzystał pęd, by perfekcyjnie wykonać rzut wedle reguł *sharusahk* i cisnąć Abbanem do przodu. Przyjaciel przetoczył się kilka ostatnich stóp i znieruchomiał tuż za barierą.

Jardir zaś przywarł do ziemi i zaległ nieruchomo. Demon, co było do przewidzenia, pomknął za Abbanem i skoczył na niego, lecz zderzył się z barierą chroniącą kryjówkę.

Jardir błyskawicznie zerwał się na równe nogi. Chciał wykorzystać oszołomienie *alagai*, ale ten dostrzegł go natychmiast. Co więcej, stał między nim a bezpiecznym schronieniem.

Chłopak nie miał przy sobie ani broni, ani nawet sieci, a na otwartej przestrzeni demon

mógł go z łatwością prześcignąć. Poczł, jak ogarnia go panika, ale w tej samej chwili przypomniał sobie słowa Mistrza Ćwiczeń Qerana:

„*Alagai* są stworzeniami pozbawionymi sprytu. Może i są od was silniejsze i szybsze, ale ich mózdzki nie są większe od mózgów przygłupich psów. Demony zdradzają swoje intencje każdym ruchem i dają się wyprowadzić w pole nawet najmniej zmyślną sztuczką. Pamiętajcie o tym, a zawsze uda wam się doczekać świtu”.

Jardir rzucił się zatem ku najbliższemu demoniemu dołowi, a potem skręcił ostro i runął ku schodom. Przemykał między stertami gruzu i barykadami, ufając tylko i wyłącznie pamięci, nie trudił się nawet rozglądaniem. Demon wrzasnął i puścił się w pogoń, ale Jardir nie zaprzętał sobie nim głowy, skupiony jedynie na ucieczce.

– *Oot!* – krzyknął ostrzeżenie przed ścigającym go demonem, gdy tylko dostrzegł kryjówkę Hasika. Miał nadzieję, że Hasik powiedzie stwora w zasadzkę, a Jardir schroni się za runami, ale kryjówka okazała się pusta. Wojownik zapewne walczył teraz gdzieś indziej.

Jardir wiedział, że może się schronić w kryjówce, ale co z potworem? W najlepszym razie demon uciekłby z matni, ale w najgorszym popędziłby za jakimś nieświadomym wojownikiem bądź *nie 'Sharum* i dopadłby go, nim ten zrozumiałby, co się dzieje.

Młodzieniec pochylił głowę i popędził przed siebie.

W zaimprovizowanym labiryncie zdołał oddalić się nieco od ścigającego go potwora, lecz ten nadal znajdował się tuż-tuż, gdy Jardir dotarł do zasadzki.

– *Oot!* – wrzasnął. – *Oot! Oot!*

Wykrzesał z siebie resztki sił w nadziei, że czyhający tam wojownicy usłyszeli ostrzeżenie i będą gotowi.

Przed ostatnią barierą pospiesznie pochwyciła go para silnych dłoni i jednym szarpnięciem przeciągnęła na bezpieczną stronę.

– Co, szcurku, zebrało ci się na zabawę? – warknął Hasik.

Jardir nie miał na to pytanie żadnej odpowiedzi i na szczęście nie musiał żadnej udzielić, gdyż w tej samej chwili demon natarł na zaporę. Któryś z *dal 'Sharum* zarzucił na niego sieć i zbił go z nóg.

Demon szarpnął, rozrywając grube włókna z końskiego włosia niczym cieniutkie nitki, i wydawało się, że wyrwie się na wolność, lecz przypadło doń kilku innych wojowników i przygwoździło do ziemi. Stwór zdążył chlasnąć jednego z *dal 'Sharum* w twarz – wojownik odskoczył, wrzeszcząc z bólu, lecz inny natychmiast zajął jego miejsce i gołymi rękami rozwarł nachodzące na siebie płytki demoniego pancerza, odsłaniając wrażliwe ciało.

Hasik odtrącił Jardira, podbiegł i wbił ostrze w szparę. Demon zawył i zaczął wic się wściekle z bólu, lecz Hasik bez litości przekreślił włócznię. Bestia szarpnęła się po raz ostatni i zamarła. Jardir wykrzyknął z triumfem i uniósł pięść.

Jego radość nie trwała jednak długo. Hasik porzucił bowiem włócznię, nadal sterczącą z ciała martwego *alagai*, i dopadł go z wściekłością.

– Co ty sobie myślisz, *nie 'Sharum*? – wrzasnął. – Bawisz się w Naganiacza? Prowadziłeś *alagai* do pułapki, która nie została przygotowana na kolejny atak! Mogłeś nas wszystkich pozabijać!

– Nie chciałem... – zaczął Jardir, lecz jego słowa przerwało uderzenie pięści w brzuch.

– Nie pozwoliłem ci się odezwać, chłopcze! – krzyknął Hasik. Jardir ujrzał w jego oczach wściekłość i roztropnie ugryzł się w język. – Rozkazano ci czekać w kryjówce, a nie prowadzić *alagai* prosto na plecy nieprzygotowanych wojowników!

– Z dwojga złego lepiej, by przywiódł go tutaj, ostrzegając nas, niż pozwolił mu włączyć się po tarasie – oznajmił Jesan. Hasik wbił w niego nieprzychylnie spojrzenie, ale nie odezwał się ani słowem. Jesan był starszym wojownikiem, liczył sobie być może nawet czterdzieści zim, i słuchano go pod nieobecność Kawała czy *kai 'Sharum*. Z jego twarzy rozoranej pazurami demona spływały strużki krwi, ale wojownik nie okazywał bólu.

– Nie zostałeś ranny... – zaczął Hasik, ale Jesan przerwał stanowczo:

– To nie pierwsze blizny po demonich pazurach, Świstaczu – powiedział. – A każda z nich to powód do chwały. Wracać na stanowiska. Mamy jeszcze wiele demonów do zabicia tej nocy.

Hasik skrzywił się, ale złożył mu ukłon.

– Jak rzeczesz, noc jest wciąż młoda – zgodził się, ale wychodząc ku swej kryjówce, obrzucił Jardira wrogim spojrzeniem.

– Ty też wracaj na stanowisko, chłopcze – rzekł Jesan i klepnął chłopaka w ramię.

* * *

W końcu nadszedł świt i oddział zebrał się wokół demonich dołów, by patrzeć, jak płoną *alagai*. Baha kad'Everam zwrócona była ku wschodowi, dlatego promienie wstającego słońca szybko zaalały dolinę. Demony wyły w jamach, gdy niebo wypełnił blask, a ich ciała zaczęły się tlić.

Wewnętrzne strony tarcz *dal 'Sharum* zostały wypolerowane na połysk i gdy *dama* Khevat odmawiał modlitwę za dusze mieszkańców wsi, wojownicy jeden po drugim odwracali tarcze, by odbijać promienie słoneczne prosto ku uwięzionym w dołach demonom.

Każdy z *alagai* trafiony wiązką światła natychmiast stawał w ogniu. Wkrótce płonęły wszystkie, a *nie 'Sharum* zaczęli wiwatować. Za przykładem niektórych wojowników kilku ściągnęło bido i oddało mocz na demony, odchodzące z tego świata w blasku Everama. Jardir nigdy wcześniej nie czuł takiego entuzjazmu i odwrócił się ku Abbanowi, by podzielić się z nim radością.

Przyjaciela jednakże nigdzie nie było widać.

Sądząc, że chłopak wciąż dochodzi do siebie po nocnym upadku, Jardir wyruszył na poszukiwania. Abban został ranny i tyle, a rana to nie to samo co słabość. Jardir zadecydował,

że będą ignorować szyderstwa innych *nie 'Sharum*, dopóki przyjaciel nie odzyska pełni sił, a potem zabrają się do szyderców i położą kres kpinom raz na zawsze.

Jardir przeszukał całe obozowisko i niemalże przeoczył Abbana. Dostrzegł go dopiero w ostatniej chwili, gdy ten wypęzłał spod jednego z wozów.

– Co ty wyczyniasz? – zapytał.

– Och! – Zaskoczony Abban obrócił się na pięcie. – Ja tylko...

Jardir zignorował jego słowa, odepchnął go na bok i zajrzał pod wóz. Pod podwoziem Abban rozwiesił sieć, którą wykorzystywali do wynoszenia ziemi z dołów. Teraz w sieci znajdowały się naczynia Dravaziego. Każde zostało przemyślnie owinięte płótnem, by nie porzękiwało i nie stłukło się podczas podróży powrotnej. Odwrócił się ku Abbanowi.

– Przyjacielu... – rzekł tamten, uśmiechając się i rozkładając ręce.

– Wyrzuć to – przerwał mu Jardir.

– Ahmann... – zaczął Abban.

– Wyrzuć to albo złamię ci drugą nogę – warknął Jardir.

Abban westchnął, lecz nie z uległością, ale ze znużeniem.

– Znow, mój przyjacielu, proszę cię, byś okazał więcej realizmu. Obaj dobrze wiemy, że z tą nogą już prędzej wesprę rodzinę zyskami niż dzielnością czy honorem, a jeśli nawet uda mi się zostać *dal 'Sharum*, jak długo zdołam przeżyć? Nawet spośród owych silnych weteranów wielu bojów, którzy przybyli tu, do Baha, kilku zostanie tu na wieczność. Uznam za wielkie szczęście, jeśli przetrwam pierwszą noc. A co się stanie z moją rodziną, jeśli opuszczę ten świat, nie zdobywszy chwały? Nie chcę, by moja matka została zmuszona do sprzedania moich sióstr na *jiwah 'Sharum*, ponieważ ich jedynym posagiem będzie moja przelana krew.

– *Jiwah 'Sharum* są sprzedawane? – zapytał ze zdumieniem Jardir. Pomyślał o swych siostrach, o wiele uboższych od rodziny Abbana. *Jiwah 'Sharum* były zbiorowymi żonami, trzymanymi w wielkim haremie do użytku wszystkich *dal 'Sharum*.

– A co? Sądziłeś, że zgłaszają się na ochotnika? – zapytał Abban. – Młodym i pięknym dziewczętom dola *jiwah 'Sharum* może wydawać się wspaniała, ale w końcu zaczną dokuczać im to, że nie wiedzą, czyje dzieci rosną w ich brzuchach. Przekonają się, że chwała *jiwah 'Sharum* przemija, z chwilą gdy ich łona wyjałowiejają, a twarze tracą urodę. O wiele lepiej jest znaleźć porządnego męża, nawet *khaffit*.

Jardir nie odezwał się ani słowem, trawiąc usłyszane informacje, a Abban podszedł nieco bliżej i pochylił się ku niemu, jakby chciał rozmawiać w zaufaniu, choć byli sami.

– Moglibyśmy podzielić się zyskami, przyjacielu – powiedział. – Połowa dla mojej matki, połowa dla twojej. Kiedy po raz ostatni twoje siostry jadły mięso? Kiedy ostatni raz nosiły coś lepszego od zwykłych szmat? Twój honor wesprze je za wiele lat, a szybki zarobek może pomóc im nawet teraz.

Jardir spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Sądysz, że kilka garnków cokolwiek zmieni?

– To nie są zwykłe garnki, Ahmann – rzekł Abban. – Zastanów się tylko! To ostatnie dzieła mistrza Dravaziego, wykorzystane przez *dal'Sharum*, by pomścić jego śmierć i uwolnić dusze mieszkańców Baha. Będą bezcenne! *Damaji* pospieszą, by je kupić i się nimi szczyścić! Nie musimy ich nawet myć, powalane ziemią z Baha będą cenniejsze niż powleczone złotem.

– Kaval powiedział, że wszystko musi zostać poświęcone, by uczcić ziemię Baha – odparł Jardir.

– I tak też się stało – powiedział Abban. – Przecież to tylko narzędzia, Ahmann, niczym się nie różnią od łopat, którymi *dal'Sharum* kopali doły. Przecież nie gromadzimy łupów, tylko zabieramy narzędzia do domu!

– A więc dlaczego chowasz je pod wozem jak złodziej?

– A sądzisz, że Hasik i jego banda pozwoliliby nam zatrzymać zyski, gdyby się o wszystkim dowiedzieli? – uśmiechnął się Abban.

– Chyba nie – zgodził się Jardir.

– A zatem się dogadaliśmy – powiedział Abban, klepiąc Jardira w ramię. We dwójkę szybko wsunęli pozostałe naczynia do schowanej pod wozem sieci. Już prawie skończyli, gdy Abban ujął któryś z delikatnych pucharów i zaczął brudzić go ziemią.

– Co ty robisz? – zapytał Jardir.

– Ten puchar był za mały, by wykorzystać go w pracy – wzruszył ramionami Abban, po czym uniósł naczynie i przyjrzał się pokrywającemu je kurzowi. – Niemniej pył z Baha dziesięciokrotnie zwiększy jego wartość.

– Lecz to przecież kłamstwo – rzekł Jardir.

– Ale kupujący nie będzie tego wiedział, przyjacielu – mrugnął doń Abban.

– Ale ja będę wiedział! – krzyknął Jardir. Wyrwał puchar z jego rąk i roztrzaskał go o ziemię.

– Ty idioto! – wrzasnął Abban. – Wiesz, ile to było warte?

Na wściekłe spojrzenie Jardira umilkł jednak, uniósł dłonie i cofnął się o krok.

– Oczywiście, mój przyjacielu, masz rację – zgodził się Abban, po czym złapał inne podobnie przybrudzone naczynie i rozbił je, jakby chciał w ten sposób przerwać rodzący się konflikt.

Jardir spojrział na okruchy i westchnął.

– Nie wysyłaj nic mojej rodzinie – powiedział. – Nie chcę, by rodowi Jardira przypadł jakikolwiek dochód z tego... Z tego występku. Już wolę, by moje siostry żyły suche ziarno, niż jadły skalane mięso.

Abban spojrział na niego z niedowierzaniem, ale w końcu tylko wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz, przyjacielu. Ale jeśli zmienisz zdanie...

– Jeśli rzeczywiście kiedyś nadejdzie taki dzień, a ty naprawdę jesteś moim przyjacielem,

wtedy mi odmówisz – rzekł Jardir. – A jeśli ja przyłapię cię znowu na czymś podobnym, osobiście zawlokę cię przed oblicze *dama*.

Abban patrzył na niego jeszcze przez chwilę, a potem skinął głową.

* * *

Nad krasjańskimi murami zaległa noc. Jardir słyszał wokół zgiełk bitewny. Na samą myśl, że któregoś dnia zginie w Labiryncie jako wojownik Kaji, czuł przyływ dumy.

– *Alagai* strącony! – krzyknął Wypatrywacz Aday. – Sektor północno-wschodni! Druga strefa!

Jardir kiwnął głową i odwrócił się do innych chłopców.

– Jurim, leć do Majah w strefie trzeciej i krzycz, że chwila chwały jest blisko! Shanjat, daj znać Anjha, że Majah ruszają!

– Ja mogę pobiec! – zgłosił się Abban. Jardir spojrział na niego z powątpiewaniem. Wiedział, że nie wysyłając przyjaciela z zadaniami, naraża go na dyshonor, ale choć od powrotu z Baha upłynęły już trzy tygodnie, Abban mocno utykał, a *alagai'sharak* wcale nie było zabawą.

– Póki co zostań tutaj – zdecydował Jardir. Pozostali chłopcy uśmiechnęli się pogardliwie i pobiegli.

Mistrz Ćwiczeń Qeran zauważył wymianę zdań i spojrział na Abbana, krzywiąc się z obrzydzeniem.

– Przydaj się na coś, chłopcze, i rozłącz te sieci.

Abban spełnił rozkaz, a Jardir, udając, że nie dostrzega koślawego chodu przyjaciela, stanął u boku Qerana.

– Nie możesz ochraniać go wiecznie – powiedział cicho nauczyciel, unosząc lunetę do oczu i przyglądając się niebu. – Lepiej, żeby zginął jak mężczyzna w Labiryncie, niż by wrócił z murów okryty hańbą.

Jardir zastanowił się nad jego słowami. Jak należało postąpić? Wysłanie Abbana wiązało się z ryzykiem, że zawiedzie i tym samym narazi walczących na niebezpieczeństwo. Niemniej jeśli Jardir nie zacznie posyłać przyjaciela do trudnych zadań, Qeran w końcu ogłosi chłopaka *khaffit*, co było losem o wiele gorszym od śmierci. Duch Abbana będzie wówczas błąkał się u bram Nieba i nigdy nie zazna miłości Everama, być może całą wieczność oczekując na reinkarnację.

Odkąd został mianowany *Nie Ka*, odpowiedzialność ciążyła Jardirowi nieznośnie. Zastanawiał się, czy Hasik, który dostąpił tego samego zaszczytu, odczuwał podobne napięcie. Wątpił. Hasik zapewne już dawno zabiłby Abbana lub wygnał go z grupy.

Jardir westchnął i postanowił w duchu, że wyśle Abbana z kolejnym zadaniem.

– Lepiej martwy niż *khaffit* – wymamrotał, ale słowa smakowały gorzko.

– Uwaga! – krzyknął Qeran, gdy w ich kierunku runął wichrowy demon.

Wraz z Jardirem zdołali paść w porę, ale Aday nie był tak szybki. Jego głowa potoczyła się do Jardira, a okaleczone ciało osunęło w Labirynt. Abban wrzasnął.

– Zawraca! – ostrzegł Qeran. – Zaatakuj jeszcze raz!

– Abban! Sieć! – zawołał Jardir.

Abban zareagował błyskawicznie. Opierając się na zdrowej nodze, kusztykał szybko ku Qeranowi, wlokąc ciężką sieć. Jardir zauważył, iż była złożona odpowiednio do rzutu. Przynajmniej Abban się postarał.

Qeran porwał sieć, nie spuszczać oczu z powracającego demona. Jardir starał się patrzeć na pojedynek okiem wojownika. Wiedział, że Mistrz oblicza prędkość i trajektorię lotu potwora. Wojownik przyczał się napięty jak cięciwa łuku i Jardir czuł, że nie chybi.

Gdy *alagai* znalazł się w zasięgu, Qeran wyprostował się niczym atakująca kobra i płynnie zarzucił sieć. Ta jednak otworzyła się zbyt szybko. Jardir natychmiast zorientował się dlaczego: jedna z linek z ciężarkami przez przypadek owinęła się wokół nogi Abbana. Rzut Qerana był tak silny, że chłopak upadł.

Wichrowy demon wystrzelił w górę, zmiatając skrzydłem wojownika. W jednej chwili *alagai* zniknął z pola widzenia, a Mistrz przewrócił się, zaplątany we własną sieć.

– Niech cię Nie pochłonie! – krzyknął, dzikimi kopnięciami usiłując się wyswobodzić. Jeden z kopniaków trafił Abbana w nogę i chłopak stracił równowagę. Z wrzaskiem po raz drugi spadł w głąb Labiryntu, tym razem rojącego się od *alagai*.

Nim Jardir zdołał zareagować, znów rozległ się dziki skrzek oznaczający, że *alagai* szykuje się do kolejnego ataku. Poza zaplątanym w sieć Qeranem nie było na murze żadnego *dal'Sharum*, który by mógł demona powstrzymać.

– Uciekaj! – krzyknął Qeran. – Uciekaj, póki jeszcze możesz!

Jardir zignorował rozkaz i przyskoczył do złożonych przez Abbana sieci. Poderwał jedną z nich i aż sapał, gdy uzmysłowił sobie jej ciężar. *Nie'Sharum* trenowali z lżejszymi.

Wichrowy demon przemknął tuż obok z łopotem skórzastych skrzydeł i zakręcił ostro, szykując się do kolejnego uderzenia. Przez moment przesłonił księżyc, a potem zniknął na tle nieba, ale Jardir nie dał się zmylić i spokojnie śledził jego lot. Jeśli miała to być ostatnia noc jego życia, zamierzał odejść z honorem i zabrać ze sobą tego *alagai*, by wykupić sobie drogę do Nieba.

Gdy nurkujący demon znalazł się tak blisko, że Jardir mógł dojrzeć jego zęby, wyrzucił sieć w powietrze. Ciężarki rozpostarły plecione z końskiego włosia włókna i otoczyły stwora. Jardir zaś szarpnął za sznur, by zacisnąć sieć, po czym płynnie uskoczył. Spętany demon runął prosto do Labiryntu.

– *Alagai* strącony! – krzyknął. – Sektor północno-wschodni! Strefa siódma!

W chwilę później dobiegła go odpowiedź.

Jardir już miał się odwrócić i uwolnić Qerana, gdy jego uwagę przyciągnął ruch w

ciemnościach. Abban zdołał się złapać krawędzi muru i desperacko próbował wspiąć się wyżej. Palce mu krwawiły.

– Nie pozwól mi spaść! – krzyczał.

– Jeśli spadniesz, zginiesz jak mężczyzna i czeka cię Niebo! – rzekł Jardir. Nie dopowiedział, że to jedyny sposób, by Abban kiedykolwiek Niebo ujrzał. Nie miał wątpliwości, że Qeran dopilnuje, by przyjaciel zakończył *Hannu Pash* jako *khaffit*, a wówczas nigdy nie ujrzy raju. Serce Jardira krwawiło, ale zaczął się odwracać.

– Nie! Proszę! – błagał Abban, a po jego brudnych policzkach płynęły łzy. – Przysięgałeś! Przysięgałeś na blask Everama, że mnie złapiesz! Nie chcę umierać!

– Lepiej jest umrzeć, niż żyć jako *khaffit*! – syknął Jardir.

– Gdzieś to mam! Nie pozwól mi spaść! Proszę!

Jardir warknął zniesmaczony, ale wbrew sobie pochylił się, położył na murze i mocno złapał Abbana za ramię. Ten napiął mięśnie, kopiąc, usiłował zaprzeć nogi o ścianę, i w końcu zdołał wspiąć się na plecy Jardira. Padł na niego, szlochając.

– Niech cię Everam błogosławi! – płakał. – Zawdzięczam ci życie!

Jardir go odepchnął.

– Brzydę się tobą, tchórze! – rzekł. – Wynoś się, nim zmienię zdanie i znów zepchnę cię w dół.

Zszokowany jego słowami Abban wytrzeszczył oczy, ale uklonił się i umknął tak szybko, jak tylko pozwoliła na to chroma noga.

Jardir popatrzył za nim. Niespodziewanie mocarna pięść grzmotnęła go w nerki. Stracił równowagę i upadł. Zalał go potworny ból, ale otworzył się na niego i wchłonął, po czym odwrócił się, by spojrzeć na napastnika.

– Powinieneś pozwolić mu spaść! – oznajmił Qeran. – Nie wyświadczyłeś mu tej nocy przysługi. Zadaniem *dal'Sharum* jest nieść swoim braciom pomoc nie tylko w życiu, ale i w śmierci.

Na łopatkę Jardira wylądowała plwocina.

– Przez trzy dni nie dostaniesz nic do jedzenia – rzekł Mistrz. – A teraz przynieś moją lunetę. *Alagai'sharak* nie jest dla tchórzy i głupców.

3

Chin

333 ROK PLAGI

Abban powrócił nieco później wraz z Jayanem i Asome, prowadząc garstkę *chin* z Północy i jednego *dama*.

– To jest *dama* Rajin z plemienia Mehnding – rzekł Jayan, wypychając kleryka do przodu. – To on nakazał spalenie silosów.

Z tymi słowami pchnął go bez litości i mężczyzna padł na kolana.

– Ile poszło z dymem? – zapytał Jardir.

– Zdążył spalić trzy – odparł Jayan. – Ale gdybyśmy go nie powstrzymali, spaliłby kolejne.

– Jakie straty? – Jardir spojrzał na Abbana.

– Minie jeszcze trochę czasu, zanim zyskam pewność, Shar'Dama Ka – rzekł Abban. – Myślę jednak, że straciliśmy prawie dwieście ton ziarna. Wystarczyłoby, by wykarmić tysiące ludzi przez zimowe miesiące.

Jardir spojrzał na *dama*.

– A ty? Co masz do powiedzenia?

– Wedle Evejah podczas wojny należy palić zapasy przeciwnika, by nie mógł kontynuować działań wojennych – oznajmił *dama* Rajin. – Dla naszych ludzi wystarczy ziarna aż nadto.

– Ty głupcze! – wykrzyknął Jardir i z całej siły spoliczkował kleryka. Zewsząd rozległy się okrzyki zdumienia. – Północ trzeba obłożyć podatkami, a nie zagłodzić i wyludnić! Naszym prawdziwym przeciwnikiem są *alagai*, lecz ty najwyraźniej o tym zapomniałeś!

Złapał poły białej szaty i jednym szarpnięciem zdarł ją z *dama*.

– Nie jesteś już *dama*! Spalisz swoją białą szatę i do końca swoich dni będziesz nosił haniebną zgrzebną tunikę.

Kleryk wrzeszczał, gdy wywleczono go z pałacu i ciśnięto na śnieg. Istniało spore

prawdopodobieństwo, że odbierze sobie życie, o ile oczywiście nie zabiją go inni *dama*.

Jardir raz jeszcze spojrzął na Abbana.

– Czekam na ostateczny raport. Chcę wiedzieć, ile straciliśmy i ile jeszcze zostało.

– Być może nie starczy dla wszystkich – ostrzegł go Abban.

– Rozumiem – pokiwał głową Jardir. – Jeśli nie ma dość ziarna, to pora zacząć zabijać wszystkich *chin*, którzy są zbyt słabi lub zbyt starzy do walki, i kontynuować do chwili, aż zapasy okażą się wystarczające.

Z twarzy Abbana znikły wszelkie kolory.

– Ja... Ja znajdę jakiś sposób, by wystarczyło.

– Tak też sądziłem. – Jardir uśmiechnął się gorzko. – Dobrze, a co z tymi *chin*, których tu przyprowadziłeś? Chciałem rozmawiać z przywódcami, a ci tutaj wyglądają jak *khaffit* handlarze.

– Bo też Północą rządzi kupcy, Wybawicielu – rzekł Abban.

– Obrzydliwe – stwierdził Asome.

– Niemniej tak już tu jest. A ci ludzie mogą ułatwić twój podbój.

– Mój ojciec nie potrzebuje... – zaczął Jayan, ale Jardir uciszył go machnięciem dłoni i skinął na gwardzistów, by podprowadzili *chin* bliżej.

– Który z was przewodzi reszcie? – zapytał Jardir, przechodząc na barbarzyński język Północy.

Więźniowie spojrzeli po sobie. W końcu jeden wyszedł przed pozostałych. Stał z wysoko uniesioną głową i patrzył prosto w oczy Jardira. Był łysy i siwobrody, odziany w poszarpaną, powalaną ziemią jedwabną szatę. Na jego twarzy widniały ślady po razach, których nie szczędzili mu napastnicy, a lewe ramię opierał na prymitywnym temblaku. Mierzył sobie prawie stopę mniej od Jardira, ale mimo to zachował spojrzenie i postawę człowieka, który jest przyzwyczajony do wydawania poleceń.

– Jestem Edon Siódmy, księżę Fortu Rizon i władca zamieszkujących go ludzi – oznajmił.

– Fort Rizon już nie istnieje – rzekł Jardir. – Teraz te ziemie noszą miano Daru dla Everama, a jego władcą jestem ja.

– Prędszej mnie Otchłań pochłonie! – warknął księżę.

– Wiesz, kim jestem, księżę? – zapytał Jardir łagodnym głosem.

– Księciem Fortu Krasja – odparł Edon. – Abban utrzymuje, że jesteś Wybawicielem.

– Ale ty w to nie wierzysz.

– Nadejście prawdziwego Wybawiciela nie wiązałoby się z morderstwami, gwałtami i rabunkami – splunął Edon.

Obecni w sali wojownicy zeszywnieli, spodziewając się wybuchu, ale Jardir pokiwał jedynie głową.

– Nie dziwi mnie, że słabi ludzie z Północy wierzą w słabego Wybawiciela – oznajmił. –

Nie ma to jednak większego znaczenia. Nie interesują mnie wasze wierzenia, interesuje mnie tylko wasze posłuszeństwo.

Księżę spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Jeśli ukorzysz się przede mną i złożysz przysięgę, iż będziesz we wszystkim posłuszny woli Everama, oszczędzę życie twoje i twoich doradców – rzekł Jardir. – Twoi synowie zostaną zabrani i wyszkoleni na *dal'Sharum*, będą też wyniesieni ponad wszystkich północnych *chin*. Twój majątek i twoje ziemie zostaną ci zwrócone pomniejszone o trybut. Wszystko to oferuję ci w zamian za pomoc w opanowaniu zielonych krain.

– A co się stanie, jeśli odmówię? – zapytał księżę.

– Wtedy wszystko, co posiadasz, stanie się moją własnością – rzekł Jardir. – Będziesz patrzył, jak twoi synowie nadzewani są na włócznie, a moi ludzie zapładniają twoje żony i córki. Resztę swoich dni spędzisz w szmatach, żrąc ścierwo i pijąc szczyny, aż w końcu komuś zachce się dobić cię jak psa.

A wtedy Edon VII, księżę Fortu Rizon i władca zamieszkujących go ludzi, stał się pierwszym księciem Północy, który uklęknął i dotknął czołem podłogi przed majestatem Ahmanna Jardira.

* * *

Kiedy Abban po raz kolejny przywiódł grupę *chin* przed jego oblicze, Jardir zasiadł na tronie. To, iż tłusty *khaffit* stał się najbardziej niezastąpionym członkiem dworu, zakrawało na gorzką ironię, ale bardzo niewielu ludzi spośród otoczenia Jardira znało mowę Północy. Paru innych *khaffit* kupców potrafiło się dogadać w miejscowym języku, ale naprawdę płynnie mówili nim tylko Abban oraz najbliżsi dostojnicy Wybawiciela. Spośród tej grupy jedynie Abban wolał z *chin* rozmawiać, aniżeli ich zabijać.

Podobnie jak inni więźniowie znalezieni przez Abbana, ci byli wygłodzeni i poturbowani, a przed zimnem chroniły ich tylko brudne szmaty.

– Kolejni wielcy *khaffit* kupcy? – zapytał Jardir.

– Nie, Wybawicielu – pokręcił głową Abban. – Ci tutaj to Patroni Runów.

Jardir otworzył szerzej oczy i szybko wyprostował się na tronie.

– Dlaczego zostali tak źle potraktowani? – zapytał ostrym tonem.

– Ponieważ na Północy sztuka stawiania runów jest uważana za rzemiosło, podobnie jak młynarstwo czy stolarstwo – odparł Abban. – *Dal'Sharum*, którzy plądrowali miasto, nie byli w stanie odróżnić ich od reszty *chin*. Wielu Patronów zostało zabitych lub zbiegło wraz ze swoimi narzędziami.

Jardir zaklął pod nosem. W Krasji Patroni Runów, zwani Wnykarzami, byli uważani za elitę kasty wojowników i wedle Ewejah należało ich traktować z największym honorem. Nawet Mistrzowie Runów z Północy mieli swą wartość, którą należało docenić, jeśli pragnęło

się zakończyć *Sharak Ka* zwycięstwem.

– Przyjmijcie moje przeprosiny za sposób, w jaki was potraktowano – odezwał się do więźniów, płynnie przechodząc na ich mowę. – Zaraz otrzymacie znaczny przydziewek, zwrócimy wam również wasz majątek i wasze kobiety. Gdybyśmy wiedzieli, że jesteście Mistrzami Runów, zostalibyście uhonorowani tak, jak na to zasługujecie z tytułu pełnionej przez was funkcji.

– Zabiliście mojego syna! – rzekł zdławionym głosem jeden z mężczyzn. – Zgwałciliście moją żonę i córkę, spaliliście mój dom, a teraz przepraszacie?

Splunął na Jardira. Plwocina trafiła go w policzek.

Strażnicy przy drzwiach krzyknęli z oburzeniem i pochylili włócznie, ale Jardir uspokoił ich uniesieniem dłoni i starł ślinę z policzka.

– Zapłacę główczyzną za twojego syna – oznajmił. – Zrekompensuję również wszystkie inne straty, jakie ponieśliście.

Zerwał się, podszedł do ogarniętego rozpaczą człowieka i nachylił się nad nim.

– Ale ostrzegam cię – nawet nie próbuj po raz kolejny sprawdzać granic mojej cierpliwości.

Dał znak strażnikom, którzy natychmiast wyprowadzili więźniów.

– Głęboko żałuję, że nasz pierwszy podbój Północy pociąga za sobą takie straty – stwierdził, siadając ciężko na tronie.

– Mogliśmy z nimi pertraktować, Ahmann – powiedział łagodnie Abban. Napiął mięśnie, gotów w jednej chwili paść na ziemię, gdyby jego słowa zostały źle przyjęte, ale Jardir pokręcił jedynie głową.

– Ludzie z zielonych łąk są nazbyt liczni – powiedział. – Rizończyków jest osiem razy tyle co nas. Gdybyśmy dali im czas na przygotowanie się, nawet z naszą przewagą uzbrojenia i wyszkolenia nie zdobylibyśmy miasta bez strat, na które nie możemy sobie pozwolić. Teraz gdy tutejszy książę przyjął wiarę w Everama, zajęcie podległych mu wsi powinno przyjść nam łatwiej, przynajmniej dopóki nie ruszymy ku temu miastu, które *chin* wybudowali w oazie.

– Lakton – podpowiedział Abban. – Ostrzegam cię jednak, to „jezioro” jest o wiele większe od jakiegokolwiek oazy. Posłańcy opowiadali, że nawet w pogodny dzień nie widać przeciwległego brzegu, a samo miasto znajduje się daleko na wodzie.

– Z pewnością to przesada – stwierdził Jardir. – Jeśli ci... Ci ludzie-rybacy walczą tak mężnie jak mieszkańcy Rizon, pokonamy ich równie łatwo.

Wtedy pojawił się *dal'Sharum*, stukając tępym końcem włóczni o podłogę.

– Wybacz mi najście, Shar'Dama Ka. – Wojownik opadł na kolana, położywszy włócznię i dłonie na podłodze. – Kazaleś, by cię powiadomić, gdy przybędą twoje żony.

Jardir skrzywił się tylko.

4

Rozstanie z bido

308 ROK PLAGI

Karą za ocalenie życia Abbana była chłosta ogonem *alagai*, którego kolce rozorały Jardirowi plecy. Trzy dni bez jedzenia nie należały do łatwych, ale chłopak przyjął pokutę tak, jak wchłaniał ból. Nie miało to znaczenia.

Przecież celnie zarzucił sieć na *alagai*.

Inni wojownicy odrąbali demonowi skrzydła i wepchnęli go do otoczonego runami dołu, by doczekał w nim wschodu słońca, ale to Jardir strącił go z nieba i wszyscy o tym wiedzieli. Dostrzegł to w oczach innych *nie'Sharum*, szeroko otwartych z podziwu, wyczuł to w burkliwym szacunku *dal'Sharum*. Nawet *dama* przyglądali się Jardirowi, gdy sądzili, że nikt nie widzi.

Czwartego dnia osłabły z głodu chłopak ruszył do kolejki po owsiankę. Siły opuściły go do tego stopnia, iż wątpił, czy będzie w stanie stawić czoła nawet najsłabszemu z chłopców, ale szedł jak zwykle ku swemu miejscu na przedzie. Inni cofali się przed nim, spuszczać z szacunkiem spojrzenia.

Jardir już sięgnął po miskę, gdy Qeran złapał go za ramię.

– Dziś nie będzie żadnej owsianki – rzekł Mistrz Ćwiczeń. – Chodź za mną.

Chłopak miał uczucie, jakby piaskowy demon rozdzierał mu żołądek od środka, ale nie powiedział słowa skargi. Podał swą miskę drugiemu chłopcu i ruszył w ślad za Mistrzem przez obozowisko.

Szli w kierunku pawilonu Kaji.

Jardir poczuł, jak przeszywa go zimno. Nie, to niemożliwe...

– Od trzystu lat do pawilonu wojowników nie wszedł żaden chłopiec w twoim wieku – rzekł Qeran, jak gdyby czytał mu w myślach. – Myślę, że jesteś za młody i to wszystko może się dla ciebie źle skończyć, co w rzeczy samej okaże się ogromną stratą dla Kaji, ale prawo jest prawem. Kiedy chłopiec zdoła strącić demona na murze, zostaje wezwany do

alagai'sharak.

Weszli do namiotu i Jardir poczuł na sobie ciężar wielu spojrzeń – prawie wszyscy z odzianych na czarno wojowników przerwali na moment posiłek, by przyjrzeć się chłopcu. Obsługiwały ich kobiety, lecz nie miały one nic wspólnego z odzianymi od stóp do głów w czern istotami, które Jardir widywał do tej pory. Ich woalki były z lekkiego, przejrzystego materiału i w jaskrawych kolorach, a przeświecające szaty ciasno opinały krągłości. Ich ramiona i brzuchy były nagie, nie licząc wysadzanych klejnotami ozdób, a długie rozcięcia ich pantalonów odsłaniały gładkie nogi.

Oszołomiony widokiem Jardir poczuł, że twarz mu płonie, ale chyba nikt nie uznał tego za niestosowność. Jeden z wojowników przyglądał się przez moment obsługującej go kobiecie, po czym nagle upuścił swój kebab, złapał ją, uniósł i przerzucił sobie przez ramię. Ze śmiechem zaniósł dziewczynę do odgradzonego kotarą pokoju z poduszkami.

– Jeśli przeżyjesz nadchodzącą noc, do tego również będziesz miał prawo – poinformował go Qeran. – Kaji potrzebują wojowników i zadaniem mężczyzn jest ich zapewnić. Jeśli się wyróżnisz, zasłużysz sobie na własną żonę, którą będziesz trzymał w domu, ale zadaniem wszystkich *dal'Sharum* jest zapładnianie *jiwah'Sharum* z ich plemienia.

Widok tak wielu kobiet w skąpych szatach był dla Jardira wstrząsem i młodzieniec wodził wzrokiem po młodych twarzach, obawiając się, że rozpozna wśród nich siostry. Nadal nie mógł wydobyć z siebie słowa, gdy Mistrz Ćwiczeń zaprowadził go na poduszkę przy wielkim stole.

Jardir w życiu nie widział tyle jedzenia. Daktyle, rodzynki, przyprawiana jagnięcina z rusztu, kuskus i dymiące mięso w liściach winogron... Chłopakowi zaburczało głośno w brzuchu z głodu i pożądlivosti.

– Najedz się i odpocznij – poradził mu Qeran. – Dziś w nocy staniesz wśród mężczyzn.

Klepnął Jardira w plecy i wyszedł z namiotu.

Jardir sięgnął niepewnie po patyk z nadzianymi kawałkami mięsa, lecz niespodziewanie ktoś chwycił go za rękę. Chłopak napotkał spojrzenie Hasika.

– Dopisało ci tej nocy szczęście, szurku – oznajmił wojownik. – Módl się dziś do Everama, bo żeby przeżyć noc w Labiryncie, potrzeba czegoś więcej niż szczęścia.

* * *

Przed nocną bitwą Jardir udał się wraz z innymi wojownikami do Sharik Hora, by otrzymać błogosławieństwo *Damaji*. Nigdy dotąd nie wszedł do świątyni szczątków bohaterów, a to, co ujrzał w środku, przytłoczyło go ponad wszelkie wyobrażenie.

Wnętrze Sharik Hora zbudowane zostało z pobielających, powleczonych lakierem kości *dal'Sharum*, którzy padli w *alagai'sharak*. Dwanaście tronów *Damaji* na wielkim ołtarzu wznosiło się na gołeniach i stopach wojowników, podłokietniki zaś były ramionami, które

niegdyś dzierżyły włócznie i tarcze w walce z demonim pomiotem. Siedzenia wykonano z żeber, ongiś kryjących bohaterskie serca, oparcia z kręgosłupów, niegdyś dumnie wyprostowanych, a zagłówki z czaszek tych, którzy zasiadali teraz u boku Everama w Niebie. Dwanaście tronów otaczało kręgiem największy, tron Andraha, wzniesiony z czaszek *kai'Sharum*, dowódców *alagai'sharak*.

Setki innych czaszek i kręgosłupów tworzyło każdy z tuzina wielkich kandelabrow. Kości złożono w ławki, na których modlili się wyznawcy. A był jeszcze ołtarz, kielichy, ściany, wielka kopuła... Wojownicy, których nie sposób było zliczyć, bronili tej świątyni własnymi ciałami i wzniesli ją ze swych kości.

Ogromna nawa była okrągła, a wzdłuż jej ścian znajdowały się setki niewielkich kapliczek, w których na kościanych piedestałach zasiadały szkielety Sharum Ka, Pierwszych Wojowników Miasta.

Kai'Sharum rządili plemionami pod okiem *dama*, lecz gdy zapadały ciemności, wszystkimi *kai'Sharum* dowodził wyznaczony przez Andraha Sharum Ka. Obecny Sharum Ka był Kaji, jak Jardir, co napełniło go wielką dumą.

Chłopak rozglądał się, dłonie mu drżały. Zdawało mu się, że świątynia rozbrzmiewa chwałą i honorem. Jego ojciec, zabity podczas napadu Majah, a nie w trakcie *alagai'sharak*, nie był tu pamiętany, ale Jardir marzył, iż pewnego dnia jego własne kości również zostaną użyte do budowy części tego świętego miejsca, przynosząc honor ojcu i przypominając jego ofiarę na długo po tym, jak odszedł. Jardir nie znalazł bowiem większego zaszczytu niż połączenie, zarówno w tym świecie, jak i w tamtym po śmierci, z tymi, którzy oddali swe życie przed nim, i z nienarodzonymi, którzy jeszcze przez długie stulecia mieli to czynić.

Sharum wyprostowali się, gdy *Damaji* zanosił modły do Everama i do Kajiego, pierwszego Wybawiciela, błagając o błogosławieństwo podczas nadciągającej bitwy.

– Kaji! – zawołali chórem. – Włócznio Everama, Shar'Dama Ka, który zjednoczyłeś świat i wyzwoliłeś nas od *alagai* w pierwszej erze, zechciej spojrzeć na dzielnych wojowników, kiedy wyjdą w mrok nocy, by kontynuować niekończącą się bitwę, by walczyć z *gai* na Ala, podczas gdy Everam zмага się z Nie w Niebie. Pobłogosław ich, daj im siłę i męstwo, by nie ugięli się przez noc i doczekali świtu.

* * *

Runiczna tarcza i ciężka włócznia były najmniejszymi i najlżejszymi sztukami broni, które Qeran zdołał znaleźć, ale mimo to Jardir nadal czuł się przytłoczony ich wielkością. Miał dopiero dwanaście lat, a najmłodszy ze wszystkich wojowników był od niego pięć lat starszy. Jardir prostował się i starał wyglądać na wyższego, ale nawet najmniejszy wojownik górował nad nim wzrostem.

– Podczas swojej pierwszej nocy w Labiryncie każdy *nie'Sharum* jest przywiązany do

innego wojownika – powiedział mu Qeran. – Czynimy to po to, by początkujący nie stracili ochoty do walki na widok atakującego *alagai*. Albowiem to próba odwagi nawet dla najdzielniejszych. Przydzielony ci wojownik będzie twoim *ajin'pal* – bratem we krwi. Będziesz powolny każdemu jego rozkazowi, będziesz związany z nim do śmierci.

Jardir pokiwał głową.

– Jeśli przeżyjesz noc, *dama'ting* przyjdzie po ciebie o świcie – ciągnął Qeran.

Jardir spojrzał ze zdziwieniem na swego mentora.

– *Dama'ting*? – zapytał. Nie obawiał się stanąć twarzą w twarz z *alagai*, ale *dama'ting* nadal przepełniały go śmiertelnym strachem.

– Tak – pokiwał głową Qeran. – Jedna z nich przyjdzie, by przepowiedzieć twoją śmierć.

– Opanował dreszcz. – Tylko z jej błogosławieństwem będziesz mógł stać się *dal'Sharum*.

– Mówią nam, kiedy mamy umrzeć? – zapytał Jardir ze zgrozą. – Ale ja nie chcę tego wiedzieć!

– Niczego ci nie powiedzą – parsknął Qeran. – Tylko *dama'ting* będzie znała twoją przyszłość, niemniej jeśli jest ci pisana śmierć tchórza albo wielka sława, *dama'ting* dowiedzą się o tym, jeszcze zanim wyrzucisz swoje bido.

– Nie chcę umrzeć śmiercią tchórza – rzekł Jardir.

– Wiem – zgodził się Qeran. – I nie sądzę, by ci to było pisane. Ale wciąż możesz zginąć śmiercią głupca, jeśli nie będziesz słuchał swojego *ajin'pal* lub jeśli okażesz brak rozwagi.

– Będę go słuchał – obiecał Jardir.

– Hasik zgłosił się na ochotnika, by zostać twoim *ajin'pal* – rzekł Qeran, wskazując wojownika gestem.

Przez dwa lata, jakie minęły od jego rozstania z bido, Hasik urósł i spotęźniał. Liczył sobie siedemnaście lat, a dzięki bogatemu jadłu *dal'Sharum* przybrał na masie, nie tracąc przy tym mięśni. Przewyższał Jardira o stopę i był przynajmniej dwukrotnie cięższy od niego.

– Bez obaw – uśmiechnął się. – Szczyńosyn będzie bezpieczny u mego boku.

– Ten szczyńosyn strącił swojego pierwszego *alagai* dobre trzy lata wcześniej od ciebie, Świstaczu – przypomniał mu Qeran.

Hasik nie przestał się uśmiechać, ale drgnął mu kącik ust.

– Przyniesie honor plemieniu Kaji – zgodził się. – O ile przeżyje.

Jardir przypomniał sobie trzask, gdy pękło jego ramię, i przysięgę, jaką Hasik złożył mu później. Wiedział, że wojownik będzie tylko czekał na najdrobniejszą oznakę niesubordynacji, na jakikolwiek pretekst, by zabić Jardira, nim ten zdobędzie prawo do wyrzucenia bido i stanie się równy Hasikowi. Chłopak wchłonął więc zniewagę równie łatwo, jak wchłaniał ból, zignorował ją, pozwolił jej przebrzmieć, ale nie pozwolił się zranić. Nie miał zamiaru dać się sprowokować do błędu w najważniejszej chwili swego życia, gdy chwała znajdowała się w zasięgu Jardirówej ręki. Jeśli przeżyje tę noc, zostanie *dal'Sharum*, najmłodszym wojownikiem w historii, a Hasika niech wtedy szlag trafi.

* * *

Oddział oczekiwał w drugiej strefie, skryty w zasadzce. Na środku niewielkiego placu znajdował się zamaskowany demoni dół, który wnet miał się wypełnić *alagai*, oczekującymi na mordercze promienie wschodzącego słońca. Jardir zacisnął mocniej dłonie na włóczni i poprawił nieco tarczę, by ulżyć ramieniu. Ze wszystkich ciężarów najbardziej dokuczał mu jednak liczący sobie cztery stopy długości rzemień, który łączył jego kostkę z talią Hasika. Przesunął nieco stopę, czując się co najmniej niewygodnie.

– Jeśli będziesz mnie spowalniał, nadzieję cię na włócznię i przetną rzemień – ostrzegł go Hasik. – Nie mogę pozwolić, abyś pozbawił mnie przynależnej mi chwały.

– Będę jak twój cień – obiecał Jardir, a Hasik chrząknął. Wyciągnął spod szat niewielką flaszkę, wyjął korek, pociągnął łyk i wręczył ją Jardirowi.

– Napij się – powiedział. – Dla dodania odwagi.

– Co to? – zapytał Jardir, ujmując flaszkę i wachając. Wyczuł cynamon, ale silny zapach aż zakręcił go w nosie.

– Couzi – rzekł Hasik. – Sfermentowane ziarna z cynamonem.

Jardir otworzył szerzej oczy.

– *Dama Khevat* naucza, że picie sfermentowanych ziaren lub owoców jest zakazane przez *Evejah*.

– Dla *dal'Sharum* w Labiryncie nic nie jest zakazane! – zaśmiał się Hasik. – Pij! Noc już niemal nadeszła!

Jardir spojrzał na niego z powątpiewaniem i dostrzegł, jak pozostali wojownicy w zasadzce wyciągają podobne flaszki i popijają z nich tego. Wzruszył ramionami, przytknął buteleczkę do ust i pociągnął łyk.

Couzi paliło go w gardło. Jardir zakaszłał i wypluł nieco. Miał wrażenie, że napitek przewraca się w jego żołądku niczym ognista żmija. Hasik zaśmiał się i klepnął go w plecy.

– No, to teraz jesteś gotów, by stawić czoła *alagai*, szcurku!

Couzi działało szybko i Jardir uświadomił sobie, że widzi jak przez mgłę. Słońce zachodziło, a Labirynt przepelniały cienie. Patrzył, jak wielka kula przechodzi w czerwień, potem purpurę, aż w końcu niebo zalewa czerń. Jardir czuł, że za murami miejskimi powstają *alagai*, i zadrżał.

Wielki Kaji, Włócznio Everama, modlił się. Jeśli to prawda, że tysiąc lat temu wywiodłem się z twojego rodu, obdarz mnie odwagą, bym przyniósł zaszczyt tobie i moim przodkom.

Nie minęło dużo czasu, a usłyszał Róg Sharak, a po nim kanonadę, gdy wojownicy zaczęli miotać kamienie. W Labiryncie rozbrzmiały pierwsze wrzaski *alagai*.

– Uwaga! – dobiegł z góry krzyk. Jardir miał wrażenie, że rozpoznaje głos Shanjata. –

Naganiacze! Cztery piaskowe i jeden ognisty!

Jardir przełknął ślinę. Chwila chwały była coraz bliższa.

Krzycząc: *Oot!*, Naganiacze przebiegli w okamgnieniu przez zasadzkę, wymijając ledwie zauważalnym łukiem demoni dół. Nad nimi Wypatrywacze zapalili olejne ognie przed wypolerowanymi do połysku metalowymi lustrami i plac zalala fala światła.

Piaskowe demony gnały watahą, oblizując długimi jęzorami rzędy kłów ostrych niczym noże. Wzrostem potwory dorównywały człowiekowi, ale ponieważ biegły na czterech łapach, wydawały się o wiele mniejsze. Długie szpony wydzierają szramy w kamiennym podłożu Labiryntu, a najeżone kolcami ogony siekały powietrze. Pokryte grudami pancerze miały niewiele słabych punktów.

Ognisty demon był o wiele mniejszy – wielkością przypominał zaledwie małego chłopca – ale jego atutami były straszliwe pazury i ogromna, przerażająca wprost prędkość. Drobne, twarde niczym diament, opalizujące łuski pancerza szczelnie nachodziły jedna na drugą, nigdzie nie pozostawiając szpar. Ślepią i pyski tych potworów mieniły się pomarańczowym żarem i Jardir przypomniał sobie lekcję o ich śmiercionośnych splunięciach. Po drugiej stronie zasadzki znajdował się basen, w którym wojownicy mieli zamiar utopić ognistego stwora.

I znów widok *alagai* przepelnił serce Jardira bezbrzeżną nienawiścią. Te stworzenia stanowiły plagę *Ala*, skażenie *Nie*, które wydostało się na powierzchnię, by szerzyć zepsucie. Tej nocy zaś miał po raz pierwszy pomóc posłać wrzeszczący pomiot z powrotem do *Otchlani*.

– Spokojnie – ostrzegł go *Hasik*, wyczuwając napięcie towarzysza.

Jardir pokiwał głową i zmusił się do odprężenia. *Couzi* nadal buzowało w jego żyłach, odpędzając chłód nocy.

Alagai przebiegły obok, widząc tylko Naganiaczy. Dwa z nich znalazły się na brezencie zakrywającym demoni dół i z dzikim wrzaskiem spadły do środka. Pozostałe wyhamowały ostro, ale najlepszym refleksem wykazał się ognisty, który ominął dół i skoczył na wolniejszego z Naganiaczy. Wbił szpony w plecy mężczyzny i wgryzł się w jego ramię. Ten padł, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

– Teraz! – krzyknął *kai 'Sharum* i sam poprowadził natarcie.

Jardir dał się ponieść uniesieniu i runął wraz ze swymi braćmi, popędzany ogłuszającym, wibrującym okrzykiem bitewnym. Wspólnie *dal 'Sharum* natarli na piaskowe demony i serią celnych, mocnych ciosów wtrącili je do dołu.

Kai 'Sharum z obrotu pchnął włócznią, strącając ognistego demona z pleców Naganiacza. Jego towarzysz wciągnął go za runiczną barierę, usiłując zatamować upływ krwi.

Rozległ się okrzyk i Jardir odwrócił się błyskawicznie, tylko po to, by ujrzeć, jak pierwszy z piaskowych demonów zdołał wbić pazury w skraj dołu, co nigdy by mu się nie udało, gdyby brezent zakrywający dół nie przesłonił runów. Stwór z łatwością wyskoczył na

zewnątrz i odgryzł nogę najbliższego wojownika na wysokości kolana. Ten wrzasnął, wpadając na innych i roztrzając osłonę z ich tarcz. Demon zaryczał i z uniesionymi szponami runął w powstałą lukę.

– Tarcza w górę! – zawołał Hasik.

Jardir posłuchał w samą porę, by zatrzymać ciężar demona. Chłopak padł na ziemię, ale runy zdążyły rozbłysnąć i odrzucić *alagai*. Potwór wylądował, odbił się i znów skoczył, ale Jardir pchnął włócznią tak jak leżał, ostrze wbiło się między płyty pancerza na piersi demona. Jardir zapał broń tępym końcem o ziemię i wykorzystał pęd bestii, by ją odepchnąć.

Tuzin bolasów trafił demona jeszcze w powietrzu. Potwór wyrznął w ziemię już spętany. Natychmiast zaczął rwać krępujące go sznury, pękały z trzaskiem pod naporem jego nabrzmiałych mięśni. Jeszcze chwila, a się uwolni! – pomyślał Jardir.

Kai'Sharum dał sygnał i para wojowników zerwała się, by nękać ognistego demona, podczas gdy reszta otoczyła piaskowego ciasnym murem tarcz. Gdy potwór atakował jednego, pozostali dźgali napastnika włóczniami. Ich broń nie była w stanie przebić pancerza, ale nie ustawali w atakach. Ledwie potwór odwrócił się ku nowemu przeciwnikowi, a tarcze z trzaskiem zamykały mur i do natarcia przystępowali wojownicy za jego plecami.

Wnykarz odrzucił brezent kryjący runy, uniemożliwiając pozostałym *alagai* ucieczkę, a wojownicy w kręgu tarcz zaczęli spychać demona w stronę dołu. W końcu stworzenie znalazło się blisko krawędzi dołu i wojownicy za jego plecami usunęli się sprawnie.

Jardir był wśród tych, których włócznie ostatecznie zepchnęły potwora do pułapki.

– Niech cię spali światło Everama! – wrzasnął.

Demon spadł.

Był to najwspanialszy moment w życiu Jardira.

Rozejrzał się. Dwóch *dal'Sharum* przywoździło ognistego demona na dnie płytkiego baseniku. *Alagai* ciskał się, woda kipiała i buchała kłębamii pary, ale wojownicy trzymali go pewnie, dopóki nie znieruchomiał ostatecznie.

Wiele wskazywało na to, że ranny Naganiacz dojdzie do siebie, natomiast Moshkama, wojownik z poszarpaną nogą, leżał blady w kałuży krwi i ciężko oddychał. Pochwycił spojrzenie Jardira i skinął na niego i na Hasika, który stał za nim.

– Dobij mnie – wydyszał. – Nie mam zamiaru żyć jako kaleka.

Jardir zerknął niepewnie na Hasika.

– Dalej – rozkazał ten. – Nie daj mu cierpieć.

Oczami wyobraźni Jardir ujrzał nagle Abbana.

Na ile cierpień skazał swego przyjaciela, odbierając mu śmierć wojownika?

„Zadaniem *dal'Sharum* jest nieść swoim braciom pomoc nie tylko w życiu, ale i w śmierci”, przypomniał sobie nauki Qerana.

– Mój duch jest gotów – wychrypiał Moshkama. Słabymi, drżącymi palcami rozchylił szatę, odsunął utwardzane w ogniu płytki pancerza wszyte w materiał i odsłonił pierś. Jardir

spojrzał mu w oczy i ujrzał honor i odwagę, wszystko, czego Abbanowi brakowało.

Z dumą pchnął włócznią.

* * *

– Dobrze się spisałeś, szczurku – powiedział Hasik, gdy ryk rogu oznajmił, że w Labiryncie nie ma już żywych bądź niewięzionych *alagai*. – Sądziłem, że zmocysz bido, ale stawałeś jak prawdziwy mężczyzna.

Pociągnął kolejny łyk *couzi* i podał flaszkę *Jardirowi*.

– Dziękuję – rzekł chłopak i sam również pociągnął tego, udając, że ostry trunek nie pali mu gardła. Hasik nadal go onieśmiał, ale Mistrz Ćwiczeń miał rację, mówiąc, że wspólna walka w Labiryncie wszystko zmienia. Byli teraz braćmi.

Hasik kroczył tam i z powrotem.

– Moja krew zawsze płonie żywym ogniem po *alagai'sharak* – powiedział. – Niech Nie pochłonie *Damaji*, którzy ogłosili, że wielki harem ma być otwierany dopiero o świcie!

Zewsząd dobiegły pomruki aprobaty.

Jardir przypomniał sobie wojownika niosącego *jiwah'Sharum* do pokoju za zasłonami i jego twarz pokryła się rumieńcem.

Hasik to zauważył.

– Co, podnieciłeś się, szczurku? – zaśmiał się. – Szczynosyn ma ochotę na swoją pierwszą kobietę?

Jardir nie odezwał się ani słowem.

– Obojętnie, czy nosi bido, czy też nie, sądzę, że nasz nowy towarzysz jutro dalej będzie chłopcem – zaśmiał się inny z wojowników, Manik. – Jest tak młody, że na pewno nie ma pojęcia, na czym polegają igraszki na poduszkach!

Jardir otworzył usta, ale natychmiast je zamknął. Wojownicy prowokowali go nie bez celu. Bez względu na to, co się wydarzyło w Labiryncie, Jardir nadal był *nie'Sharum*, dopóki *dama'ting* nie przewidzi jego śmierci. Nadal każdy *dal'Sharum* mógł go zabić za najdrobniejszy nawet akt bezczelności.

O dziwo, Hasik stanął w jego obronie.

– Zostawcie szczurka w spokoju – oznajmił. – Jest moim *ajin'pal*. Szydząc z niego, szydzicie ze mnie.

Słyszając wyzwanie, Manik wyprostował się. Hasik był młodym, silnym wojownikiem – przez moment mierzyli się spojrzeniami, aż w końcu Manik splunął na ziemię.

– Eee tam – prychnął. – Nie chce mi się wypruwać ci flaków, żeby podroczyć się z jakimś szczyłem.

Odwrócił się i odszedł.

– Dziękuję – rzekł Jardir.

– To drobiazg. – Hasik położył mu dłoń na ramieniu. – Zadaniem *ajin'pal* jest wspieranie się w każdej sytuacji, a ty nie jesteś pierwszym chłopakiem, który boi się poduszkowych igraszek bardziej niż *alagai*. *Dama'ting* uczą *jiwah'Sharum* sztuki uprawiania miłości, ale nasi Mistrzowie takich lekcji w *sharaji* nie udzielają.

Jardir znów poczuł, jak twarz oblewa mu rumieniec. W duchu zadał sobie pytanie, cóż czeka go na poduszkach za zasłonami.

– Nie martw się. – Hasik poklepał go po ramieniu. – Nauczę cię, co trzeba zrobić, by kobieta zaczęła jęczeć.

Skończyli flaszkę, a wtedy na twarzy Hasika pojawił się krzywy uśmiech.

– Dobra, szcurku, ruszamy. Jest jeszcze parę innych przyjemnych rzeczy, którymi możemy się zająć.

* * *

– Dokąd idziemy? – zapytał Jardir. Potykając się, szedł za Hasikiem w głąb Labiryntu. Od wypitego couzi kręciło mu się w głowie, a kolana mu miękły. Wydawało mu się, że ściany same przybliżają się i oddalają.

Hasik odwrócił się z szerokim uśmiechem. Szpara między zębami, wybita przez Qerana podczas pierwszej nocy Jardira w Kaji'sharaj, w blasku słonecznym wyglądała jak czarna dziura.

– Dokąd idziemy? – powtórzył pytanie Hasik. – Nigdzie. Jesteśmy na miejscu.

Jardir rozejrzał się zdumiony i w tymże momencie świat eksplodował miriadami kolorów, gdy Hasik zdzielił go w twarz.

Nim zdołał zareagować, Hasik już na nim siedział i wbijał mu twarz w ziemię.

– Obiecałem, że nauczę cię, co trzeba zrobić, by kobieta jęczała – powiedział. – Żeby nauka miała jednak sens, staniesz się kobietą.

– Nie! – wrzasnął Jardir, rzucając się, ale Hasik grzmotnął nim o ziemię, aż chłopakowi zadzwoniło w uszach. Unieruchomił Jardira, wykręcając mu ramię, i ściągnął jego bido.

– Wygląda na to, że jednej nocy rozstaniesz się z bido dwukrotnie, szcurku! – zaśmiał się.

Jardir czuł w ustach smak krwi i pyłu. Próbował otworzyć się na ból, ale w tej jednej sytuacji jego umiejętności zawiodły i jego krzyki poniosły się daleko po Labiryncie.

* * *

Wciąż szlochał, gdy odnalazła go *dama'ting*.

Sunęła niczym duch, a jej białe szaty powiewały, unosząc drobne kłęby pyłu. Jardir przestał szlochać i zapatrzył się na nią, gdy nagle przypomniał sobie o rzeczywistości i zaczął

niezdarnie podciągać bido. Wypełnił go wstyd i ukrył twarz.

– Wstawaj! – warknęła *dama'ting*. – Walczyłeś z *alagai*, a teraz chłopiesz jak kobieta? Everam potrzebuje *dal'Sharum*, a nie *khaffit*!

Jardir modlił się, by mury Labiryntu zwały się na niego, grzebiąc jego ciało na wieki, ale nie odważył się zlekceważyć rozkazów *dama'ting*. Zerwał się na równe nogi, ścierając łzy z policzków i wycierając nos.

– No, trochę lepiej – powiedziała *dama'ting*. – Nawet jeśli późno. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym musiała przejść taki szmat drogi, by przepowiedzieć komuś przyszłość tchórza.

Jej słowa zabolowały. Nie był przecież tchórzem.

– Jak mnie znalazłaś?

– Wiedziałam, gdzie cię znaleźć, już wiele lat temu.

Jardir wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, choć podejrzewał, że jego odczucia nie mają dla niej najmniejszego znaczenia.

– Podejdz, chłopcze. Muszę ci się lepiej przyjrzeć – poleciła.

Jardir spełnił polecenie. *Dama'ting* ujęła jego twarz i przechyliła to w jedną stronę, to w drugą.

– Młody i silny – powiedziała. – Ale w tym akurat to nie różnisz się niczym od pozostałych, którzy dotarli aż tak daleko. Jesteś jednakże od nich dużo młodszy, co często bywa problemem.

– Czy przybyłaś, by przepowiedzieć moją śmierć?

– Śmiały – mruknęła. – No, może jest jeszcze dla ciebie nadzieja. Klękaj, chłopcze.

Wypełnił polecenie, a *dama'ting* rozesała białe płótno, by nie skalać nieskazitelnie czystych szat kurzem Labiryntu, i uklękła obok niego.

– A co mnie twoja śmierć obchodzi? – zapytała. – Przybyłam, żeby ci przepowiedzieć życie. Śmierć to coś między tobą a Everamem.

Sięgnęła między fałdy szaty i wyciągnęła niewielką sakiewkę wykonaną z czarnego filcu, poluzowała ściągające ją rzemienie i wysypała grzechoczącą zawartość na dłoń. Jardir ujrzał kilka osobliwych przedmiotów, czarnych i gładkich niczym obsydian, poznaczonych runami, które połyskiwały czerwono w ciemnościach.

– To *alagai hora* – powiedziała, unosząc wyżej dłoń, by mógł im się lepiej przyjrzeć.

Słyszac nazwę, Jardir otworzył szeroko usta i aż się cofnął. *Dama'ting* trzymała wypolerowane kości demonów, z których uformowano wielościennie kostki. Jardir nie musiał ich dotykać, by poczuć wibrującą emanację złej magii.

– Co, chciałbyś z powrotem zostać tchórzem? – zapytała łagodnie *dama'ting*. – Do czego miałyby służyć runy, jak nie do zmuszenia magii *alagai*, by nam służyła?

Jardir wyprostował się i pochylił ku niej.

– Wyciągnij dłoń – poleciła *dama'ting*. Rozłożyła filcowy woreczek na kolanie i ułożyła

na nim kostki, a potem sięgnęła w głąb swych szat i wyjęła ostry, zakrzywiony sztylet. Wzdłuż jego ostrza układał się rząd runów.

Jardir spełnił polecenie, tylko nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymując drżenie ręki. *Dama'ting* cięła ją szybko, po czym ścisnęła ranę i rozsmarowała krew na swej dłoni. Następnie ujęła *alagai hora* i potrząsnęła nimi.

– Everamie, dawco życia i światła, błagam Cię, obdarz swoją pokorną służkę wiedzą o tym, co ma nadejść. Opowiedz mi o Ahmannie, synu Hoshkamina, ostatnim potomku z linii Jardira, siódmego syna Kajiego.

Gdy potrząsała kośćmi, ich czerwony poblask narastał, przenikał między jej palcami, aż Jardir odniósł wrażenie, że kobieta ścisną rozżarzone węgle. Nagle rozrzuciła je na ziemi.

Oparła dłonie na kolanach i pochyliła się, przyglądając się rozjarzonym znakom. Niespodziewanie otworzyła szerzej oczy i aż syknęła. W jednej chwili zapomniała o brudzie, którym mogła splamić nieskazitelnie białe szaty – pochłonięta tym, co widzi, zaczęła pełzać naokoło, odczytując wzór z gasnących powoli znaków.

– Te runy zostały pewnie wystawione na światło słoneczne – mruknęła i zebrała je raz jeszcze.

Znów nacięła dłoń Jardira, wypowiedziała inkantację, potrząsnęła energicznie kośćmi, a te się rozjarzyły. Rozrzuciła je po ziemi.

– Niemożliwe! – wykrzyknęła, zebrała kości i rzuciła nimi po raz trzeci. Nawet Jardir poznał, że wzór w niczym się nie zmienił.

– Co to takiego? – ośmielił się zapytać. – Co widzisz?

Dama'ting spojrzała na niego, zmrużywszy oczy.

– Przyszłość pozostanie dla ciebie tajemnicą – powiedziała z gniewem w głosie. Jardir aż się skulił, słysząc jej ton, nie wiedząc, czy powodem była jego impertynencja, czy też to, co ujrziała.

A może i jedno, i drugie? Co zdradziły kobiecie magiczne kości? Niespodziewanie przypomniał sobie naczynia, które pozwolił Abbanowi ukraść z Baha kad'Everam i zadał sobie w duchu pytanie, czy *dama'ting* dopatrzyła się w nim również i tego grzechu.

Dama'ting zebrała kości i wsypała je z powrotem do sakiewki, którą wsunęła między poły szaty, i wstała, otrzepując brud.

– Wracaj do pawilonu Kaji i spędź resztę nocy na modlitwie – przykazała i znikła wśród cieni tak szybko, że Jardir zwątpił, czy w ogóle ją widział.

* * *

Qeran zbudził go kopniakiem, gdy wojownicy jeszcze spali.

– Wstawaj, szcurku – rozkazał. – *Dama* cię wzywa.

– Mam pozbyć się bido? – zapytał Jardir.

– Ludzie mówią, że dzielnie stawałeś w nocy – rzekł Qeran. – Ale to nie ja o tym decyduję. Jedyne *dama* może przydzielić *nie'Sharum* jego czarną szatę.

Mistrz Ćwiczeń eskortował go aż do wewnętrznych komnat Sharik Hora. Jardir wyczuwał świętość chłodnej kamiennej podłogi pod bosymi stopami.

– Mistrzu, czy mogę zadać ci pytanie? – odezwał się cicho.

– Być może jest to ostatnie pytanie, które zadasz mi jako swojemu instruktorowi – powiedział Qeran. – Przemyśl je więc dobrze.

– Gdy przyszła do ciebie *dama'ting*, ile razy rzucała kośćmi?

Mistrz Ćwiczeń przyjrzał mu się uważnie.

– Raz. Zawsze rzucają tylko raz. Kości nigdy nie kłamią.

Jardir chciał powiedzieć coś więcej, ale właśnie skręcili za róg i ujrzeni oczekującego na nich *dama* Khevata. Khevat był najsurowszym ze wszystkich nauczycieli Jardira, tym, który kiedyś nazwał go zrodzonym ze szczyń, a potem wrzucił do kloaki za bezczelność. Mistrz Ćwiczeń położył dłoń na ramieniu chłopaka.

– Uważaj na to, co mówisz, jeśli zależy ci na swoim języku – mruknął.

– Niech Everam będzie z wami – pozdrowił ich Khevat.

Mistrz uklonił się, Jardir poszedł w jego ślady. *Dama* skinął głową, a Qeran obrócił się na pięcie i znikł.

Khevat zaprowadził Jardira do niewielkiego pokoiku bez okien, wypełnionego stosami papierów i przesyconego zapachem atramentu i lamp oliwnych. Miejsce wydawało się odpowiedniejsze dla *khaffit* czy kobiety, lecz nawet tutaj znajdowały się kości mężczyzn. Zrobiono z nich krzesło, które *dama* wskazał Jardirovi, i biurko, za którym zasiadł Khevat. Nawet stosy papierów obciążone były ludzkimi czaszkami.

– Nie przestajesz mnie zaskakiwać, synu Hoshkamina – rzekł Khevat. – Nie wierzyłem, gdy oznajmiłeś, że zdobędziesz chwałę zarówno dla siebie, jak i dla twojego ojca, ale wygląda na to, że uparłeś się, by postawić na swoim.

– Wykonałem tylko obowiązek wojownika – wzruszył ramionami Jardir.

– Wojownicy, których poznałem do tej pory, nie byli aż tacy skromni – zachichotał Khevat. – Jeden demon pokonany własnoręcznie i pięć asyst w wieku... Zaraz, ile ty masz lat? Trzyście?

– Dwanaście.

– Dwanaście – powtórzył Khevat. – I pomogłeś Moshkamie odejść zeszłej nocy. Mało który *nie'Sharum* zdobyłby się na taki czyn.

– Jego czas się wypełnił – oznajmił Jardir.

– W rzeczy samej – rzekł Khevat. – Moshkama nie miał synów. Stałeś się jego bratem w śmierci, a zatem twoim obowiązkiem będzie wybielić jego kości do Sharik Hora.

– Jestem zaszczycony – uklonił się Jardir.

– Twoja *dama'ting* odwiedziła mnie zeszłej nocy – rzekł Khevat.

Jardir spojrział na niego z nadzieją.

– Zrzucę bido? – zapytał.

Khevat pokręcił głową.

– Mówi, że jesteś zbyt młody. Powrót do *alagai'sharak* przed ukończeniem szkolenia i dorośnięciem skończy się tylko utratą kolejnego wojownika Kaji.

– Nie boję się śmierci – oznajmił Jardir. – Jeśli to *inevera*.

– Mówisz jak prawdziwy *Sharum* – rzekł Khevat. – Ale to nie jest takie proste. Dekretem *dama'ting* nie wolno ci wrócić do Labiryntu, póki nie dorośniesz.

Jardir skrzywił się.

– A więc mam powrócić do Kaji'sharaj okryty niesławą, po tym jak stanąłem do walki wśród mężczyzn?

Dama pokręcił głową.

– Nie, co do tego prawo wypowiada się jednoznacznie. Żaden chłopiec, który ujrzy wewnątrz pawilonu *Sharum*, nie ma prawa wrócić do *sharaj*.

– Ale skoro nie mogę tam wrócić i nie mogę walczyć u boku mężczyzn... – zaczął Jardir i nagle w pełni zrozumiał tragizm swej sytuacji.

– Stanę się... Stanę się *khaffit*? – zapytał i poczuł, jak po raz pierwszy w życiu ogarnia go przerażenie. Strach przed *dama'ting* był niczym w porównaniu z trwogą, która nim teraz ośwładnęła. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy, gdy przypomniał sobie Abbana żebrzącego o życie.

Wolę umrzeć, pomyślał. Zaatakuję pierwszego *dal'Sharum*, jakiego spotkam, i nie pozostawię mu wyboru, będzie musiał mnie zabić. Lepiej być martwym, niż żyć jako *khaffit*.

– Nie – rzekł *dama* i Jardir poczuł, jak jego serce znów ożywa. – Być może takie rzeczy nie są dla *dama'ting* istotne, gdyż nawet najpodlejszy *khaffit* stoi w hierarchii nad kobietą, ale ja nie pozwolę, by jakikolwiek wojownik upadł tak nisko, po tym jak udowodnił swoją wartość. Od czasów Shar'Dama Ka żadnemu chłopcu, który rozlał krew *alagai* w Labiryncie, nie odmówiono prawa do noszenia czerni. Dekret *dama'ting* przynosi nam hańbę, bo choć to służka Everama, jest też tylko kobietą i nie obejmując rozumem tego, co jej decyzja wyrządzi wszystkim *Sharum*.

– No więc co się ze mną stanie? – zapytał Jardir.

– Zostaniesz zabrany do Sharik Hora – rzekł Khevat. – Już rozmawiałem z *Damaji* Amadeveramem. Mając jego błogosławieństwo, nie musisz się bać nawet *dama'ting*.

– Mam zostać klerykiem? – zapytał Jardir. Próbował ukryć swe niezadowolenie, ale jego głos się załamał, zdradzając intencje.

Khevat zachichotał.

– Nie, chłopcze. Twoim przeznaczeniem nadal jest Labirynt, ale będziesz ćwiczył do czasu, gdy osiągniesz gotowość. Ucz się pilnie, a być może zostaniesz *kai'Sharum*, gdy inni w twoim wieku nadal będą paradować w bido.

* * *

– To będzie twoja cela – rzekł Khevat, prowadząc Jardira do komnaty głęboko w trzewiach Sharik Hora.

Pomieszczenie było wrytym w piaskowcu sześcianem o boku długości dziesięciu stóp. W rogu stała twarda prycza. Do środka prowadziły ciężkie drewniane drzwi, ale Jardir nie dostrzegł w nich zamka ani zasuw. Jedyne źródło światła stanowiła lampa zawieszona w korytarzu, której blask przenikał przez zakratowane okienko w drzwiach. W porównaniu z kamienną podłogą, na której spał z innymi chłopcami w Kaji'sharaj, cela wydawała się niemalże luksusem, gdyby nie to, że przybył tu, uginając się pod ciężarem wstydu i ze wspomnieniem rozkoszy pawilonu Kaji, których mu odmówiono.

– Będziesz tu pościł i wyganiał demony ze swojego umysłu – oznajmił Khevat. – Twoja nauka rozpocznie się jutro.

Z tymi słowami wyszedł, a echo jego kroków oddalało się, aż zapadła całkowita cisza.

Jardir padł na pryczę i ukrył głowę w ramionach. Leżenie na brzuchu jednakże natychmiast przypomniało mu o Hasiku, a wstyd i wściekłość rozgorzały w jego sercu z taką furją, iż myślał, że zaraz go rozniosą. Skoczył na równe nogi, złapał brzeg pryczy i rąbnął nią o ścianę. Wrzeszcząc, walił nią dopóki, dopóty w jego rękach nie pozostały tylko nędzne resztki. Cisnął je na bok, kopnął drewno, zerwał szatę, aż ochrypli i zdyszany stanął pośród rumowiska.

Jardir nagle uświadomił sobie, co takiego zrobił, ale nie było żadnej reakcji na wywołane przez niego zamieszanie. Zepchnął szczątki w kąt i rozpoczął *sharukin*. Seria dobrze opanowanych ruchów *sharusahk* uspokoiła go o wiele lepiej niż jakakolwiek modlitwa.

Wydarzenia minionego tygodnia wirowały mu w pamięci. Abban był już *khaffit*. Jardir wciąż odczuwał wstyd z tego powodu, ale zastanowił się nad swymi uczuciami i dostrzegł kryjącą się pod nimi prawdę. Abban od początku był *khaffit*, a *Hannu Pash* to ujawniła. Jardir odwlekł decyzję Everama, ale nie był w stanie jej powstrzymać. Nikt tego nie potrafił.

Inevera, pomyślał i pogodził się ze stratą.

Przypomniał sobie też o chwale i uniesieniu, które obudziło w nim zabijanie demonów w Labiryncie, po czym pogodził się z tym, że mogło jeszcze upłynąć wiele lat, nim znów doświadczy tej radości. Kości przemówiły.

Inevera.

Znów pomyślał o Hasiku, lecz tu nie było mowy o *inevera*. W tym przypadku zawiódł na całej linii. Jardir był głupcem, pijąc couzi. Był głupcem, skoro zaufał Hasikowi. Był głupcem, ponieważ stracił czujność.

Pogodził się już z bólem swego ciała, pogodził się nawet z upokorzeniem. Widział, jak wykorzystywano innych chłopców w *sharaj*, i potrafił dać sobie z tym radę. Nie mógł

pogodzić się tylko z tym, że nawet teraz Hasik kroczył wśród *dal'Sharum* w przekonaniu, że wygrał, a Jardir został złamany.

Jardir skrzywił się.

Być może naprawdę zostałem złamany, przyznał w duchu. Ale złamane kości stają się silniejsze, po tym jak się zrosną. Jeszcze doczekam swojego dnia w blasku słońca.

Nadeszła noc, co poznał po gasnącej lampie na korytarzu, po czym w celi zapadła całkowita ciemność. Jardir nie lubił mroku. Nie było na świecie runów równie potężnych jak te, które broniły Sharik Hora, a nawet i bez nich świątyni strzegły duchy niezliczonych wojowników. Każdy *alagai*, który wtargnąłby do tego świętego miejsca, spłonąłby równie szybko jak w promieniach słońca.

Jardir nie zasnąłby, nawet gdyby chciał, więc kontynuował swój *sharukin*, powtarzając ruchy do chwili, gdy stały się jego częścią, czymś równie naturalnym jak oddychanie.

Gdy zaskrzypiały zawiasy, Jardir natychmiast zareagował. Pamiętając pierwszą noc w Kaji'sharaj, bezszelestnie wsunął się za drzwi celi i przybrał postawę do walki. Jeśli *nie'dama* szykowali mu podobne powitanie, gorzko tego pożałują.

– Gdybym chciała cię skrzywdzić, nie wysłałabym cię tu na naukę – zabrzmiał znajomy głos. Pojawiło się czerwone światło, opromieniając postać *dama'ting*, którą spotkał zeszłej nocy. Trzymała niewielką czaszkę ognistego demona z wyrytymi runami, które płonęły ostrym, czerwonym blaskiem. W ich świetle Jardir napotkał spojrzenie kobiety, jakby *dama'ting* doskonale wiedziała, gdzie się zaczął.

– Nie ty mnie tu posłałaś – ośmielił się rzec Jardir. – Ty kazałaś *dama* Khevatowi, by odesłał mnie do Kaji'sharaj!

– Wiedziałaś, że i tak tego nie zrobi – odparła *dama'ting*, ignorując jego oskarżycielski ton. – Nie dopuściłby też, byś stał się *khaffit*. Jedyнным rozwiązaniem, jakie mu pozostało, było posłanie cię tutaj.

– Bez honoru. – Jardir zacisnął pięści.

– Lecz po to, byś był bezpieczny! – wysyczała *dama'ting*, unosząc czaszkę *alagai*. Runy zapłonęły jaśniej, z demoniej paszczy buchnęły płomienie. Jardir poczuł gorąco na skórze i cofnął się szybko. – Nawet nie próbuj mnie osądzać, *nie'Sharum* – dodała. – Robię to, co dla ciebie najlepsze, a ty będziesz posłuszny.

Plecy Jardira dotknęły ściany i zrozumiał, że nie ma już dokąd uciec. Pokiwał głową.

– Naucz się tu tyle, ile będziesz w stanie – poleciła mu kobieta na odchodnym. – Nadciąga *Sharak Ka*.

Słowa te uderzyły Jardira mocniej niż pięść. *Sharak Ka*. Nadciągała ostateczna bitwa, a on miał wziąć w niej udział. Wszystkie jego doczesne troski znikły w tej jednej chwili, gdy *dama'ting* zamknęła drzwi i chłopaka znów otoczyła ciemność.

* * *

Lampa na korytarzu zamigotała i ożyła jakiś czas po tym zdarzeniu, po czym rozległo się ciche pukanie. Jardir ujrzał w progu najmłodszego syna Khevata, Ashana. Był to szczupły chłopiec, odziany w bido z pasem przebiegającym przez ramię, co stanowiło atrybut *nie'dama* – kleryka w trakcie nauki. Jego usta zakrywała biała przesłona, co oznaczało, że był to pierwszy rok jego nauki, kiedy to *nie'dama* nie mają prawa zabierać głosu.

Chłopak przywitał Jardira skinieniem głowy, a potem dostrzegł rumowisko w kącie celi. Mrugnął do *nie'Sharum* i uklonił się lekko, jakby dawał mu do zrozumienia, że zdał jakiś tajny test. Następnie Ashan wyrzwał na korytarz i wyszedł, a Jardir zrozumiał sygnał i ruszył za nim.

Chłopcy dotarli do ogromnej komnaty, której podłogę wykonano z wypolerowanego marmuru. Stały tam dziesiątki *dama* i *nie'dama*, być może z całego plemienia. Wszyscy balansowali na szeroko rozstawionych stopach, ćwicząc *sharukin*. Ashan skinął na Jardira i obaj zajęli miejsce w szeregu *nie*, przyłączając się do powolnego tańca. Ich ciała płynnie przechodziły z jednej postawy w drugą, zdawać by się mogło, że obecni w sali oddychają w jednym rytmie.

Wiele ruchów Jardir widział po raz pierwszy, a uczestnictwo w treningu *dama* było dla niego nowym doświadczeniem, całkowicie odmiennym od brutalnych lekcji, w trakcie których Qeran i Kaval przeklinali chłopców, chłostali tych, których ruchy dalekie były od doskonałości, i wymagali coraz większej szybkości. *Dama* ćwiczyli w ciszy, nie potrzebowali też żadnych instrukcji – wpatrywali się jedynie w *dama* prowadzącego trening i w siebie nawzajem. Jardir doszedł do wniosku, że klerycy są słabi i rozpieszceni.

Trening skończył się po godzinie. Szeregi rozproszyły się, *dama* ruszyli ku wyjściu, napelniając pomieszczenie gwarem rozmów. Towarzysz Jardira nakazał mu gestem, by pozostał na miejscu, a wokół nich zgromadzili się pozostali *nie'dama*.

– Macie nowego brata – powiadomił ich *dama* Khevat, wskazując gestem Jardira. – Ukończywszy zaledwie dwanaście lat, Jardir syn Hoshkamina ma już krew *alagai* na rękach. Pozostanie z wami i będzie szkolił się na *dama*, aż *dama'ting* uzna, że jest wystarczająco dojrzały, by założyć czerń.

Chłopcy w ciszy skinęli głowami i uklonili się Jardirowi.

– Ashan! – zawołał *dama*. – Jardir będzie potrzebował twojej pomocy w *sharusahk*. Będziesz go uczył.

Jardir parsknął. *Nie'dama* miałby go uczyć? Ashan był w tym samym wieku co on, a Jardir stał przecież przed o wiele starszymi od siebie *nie'Sharum* w kolejce po owsiankę.

– Wydaje ci się, że nie potrzebujesz nauki? – zapytał Khevat.

– Nie, oczywiście, że nie, czcigodny *dama* – odparł szybko Jardir, kłaniając się klerykowi.

– Ale masz wrażenie, że Ashan nie jest godny, by cię uczyć? – naciskał Khevat. – Jest w

końcu tylko *nie'dama*, nowicjuszem, który nie dorósł jeszcze do tego, by mówić, a ty przecież walczyłeś u boku prawdziwych mężczyzn w *alagai'sharak*.

Jardir bezradnie wzruszył ramionami. Khevat bezbłędnie odczytał jego odczucia i chłopak spodziewał się pułapki.

– Dobrze – stwierdził kleryk. – Stoczysz więc pojedynek z Ashanem. Jeśli go pokonasz, przydzielę ci bardziej odpowiedniego nauczyciela.

Pozostali nowicjusze cofnęli się, tworząc krąg na podłodze z wypolerowanego marmuru. Ashan stanął w centrum i uklonił się Jardirowi.

Ten obrzucił jeszcze spojrzeniem *dama* Khevata, a potem odpowiedział jego synowi identycznym gestem.

– Wybacz, Ashan – powiedział, gdy zbliżyli się do siebie. – Muszę cię pokonać.

Ashan nie odezwał się, lecz tylko przyjął bitewną postawę *sharusahk*. Jardir uczynił to samo, a Khevat klasnął w dłonie.

– Zaczynajcie! – zawołał.

Jardir wystrzelił do przodu, jego sztywne, twarde palce pomknęły ku gardłu Ashana. W ten sposób miał zamiar wyeliminować go z walki szybko, nie zadając mu przy tym wielkiego bólu.

Ashan go jednak zaskoczył – wykonał zręczny unik, piruetem zszedł z linii ataku i wymierzył kopniaka, po którym Jardir nagle znalazł się na ziemi.

Jardir przetoczył się i szybko skoczył na równe nogi, przeklinając się w duchu za zlekceważenie przeciwnika. Znow zaatakował, skupiony tym razem, i zamarkował uderzenie pięścią w szczękę Ashana. Gdy ten już chciał zablokować jego cios, Jardir zawirował, tym razem udając, że chce wbić łokieć w jego nerkę. Ashan uskoczył, tak jak się tego Jardir spodziewał, a wtedy *nie'Sharum* znow się obrócił i wymierzył kopniaka, który w połączeniu z uderzeniem łokcia w klatkę piersiową miał posłać *nie'dama* na ziemię.

Noga Jardira przeszła jednak powietrze, a potem złapał ją Ashan i wykorzystując siłę przeciwnika przeciwko niemu, doprowadził zamierzony przez siebie cios do końca. Jardir naturalnie stracił równowagę, a gdy padał, Ashan grzmotnął łokciem w jego klatkę piersiową, pozbawiając młodzieńca tchu. Jardir mocno uderzył o podłogę, zarówno ciałem, jak i głową, ale poderwał się jeszcze, nim ból rozlał się po jego ciele. Nie da się pokonać, za nic w świecie!

Nim jednak zdążył złapać równowagę, celny cios Ashana znow go jej pozbawił. Jardir upadł i poczuł, jak jego przeciwnik łapie go za lewą stopę, to samo czyni z prawym ramieniem i dociska z całej siły, grożąc wyrwaniem ze stawów.

Jardir wrzasnął, ból przyćmił mu wzrok. Zdławił w sobie cierpienie, wchłonął je, a gdy na powrót odzyskał ostrość widzenia, dojrzał *dama'ting* stojącą w zwieńczonym łukiem wejściu i przyglądającą mu się bacznie.

Kobieta pokręciła głową i odeszła.

* * *

Głęboko w trzewiach Sharik Hora Jardir nie był w stanie odróżnić dnia od nocy. Spał, gdy *dama* kazał mu spać, jadł, gdy przynoszono mu jedzenie, oraz wypełniał wydawane mu polecenia. W świątyni znajdowało się kilku *dal'Sharum*, którzy szkolili się na *kai'Sharum*, ale oprócz Jardira nie było tu żadnych innych *nie'Sharum*. Był ostatnim z ostatnich, zapomniany, pominięty, na szarym końcu, a gdy tylko pomyślał o tym, że ci, którzy kiedyś podrywali się na jego słowo, Shanjat, Jurim i pozostali, zapewne właśnie rozstawali się ze swoimi bido, miał wrażenie, że wstyd pogrąży go bez reszty.

Przez pierwszy rok był cieniem Ashana. Nie mówiąc ani słowa, *nie'dama* uczył towarzysza wszystkiego, czego Jardir potrzebował, by przeżyć wśród kleryków. Uczył go, kiedy należy się modlić, kiedy klękać, jak się kłaniać i jak walczyć.

Jardir nigdy należycie nie docenił umiejętności *dama* w tym zakresie. Być może rzeczywiście stronili od włóczni, ale w sztuce walki gołymi rękami każdy z nich mógł bez wysiłku stawić czoła nawet dwóm *dal'Sharum*.

Walka jednakże była tym, co Jardir doskonale rozumiał. Z zapalem angażował się w treningi i topił swój wstyd w niezliczonych płynnie zmieniających się ruchach i postawach. Nawet po tym, jak wygaszono lampy na korytarzach, Jardir długo jeszcze ćwiczył *sharukin* w ciemnościach swej celi.

Po tym jak grabarze ściągnęli skórę Moshkamy, Jardir i Ashan wygotowali jego ciało w oleju, wyłowili kości i wybielili je w słońcu na szczycie kościanego minaretu, pnącego się ku pustynnemu niebu. *Jiwah'Sharum*, które płakały nad ciałem zmarłego wojownika, napełniły trzy buteleczki łzami, które później zmieszano z lakierem wykorzystywanym do malowania kości przed przekazaniem ich rzemieślnikom. Kości Moshkamy i łzy płaczek miały zwiększyć chwałę Sharik Hora i Jardir marzył o dniu, kiedy on sam również stanie się częścią boskiej świątyni.

Miał jednak i inne zadania, o wiele mniej wdzięczne i chwalebne. Codziennie przez godzinę uczył się, jak mówić na papierze i jak wykorzystywać patyk, by kopiować słowa Ewejah na piasku, recytując je przy tym głośno. Sztuka ta wydawała mu się całkowicie bezużyteczna i niegodna wojownika, ale pamiętał słowa *dama'ting* i pracował ciężko, szybko opanowując litery. Następnie pojął zasady matematyki, historii, filozofii i w końcu sztuki stawiania runów. Ostatnie zajęcie pochłonęło go całkowicie. Do wszystkiego, co mogło wyrządzić krzywdę lub choćby powstrzymać *alagai*, podchodził ze skrajnym poświęceniem.

Mistrz Qeran odwiedzał Jardira kilka razy w tygodniu, by ćwiczyć go przez długie godziny we władaniu włócznią, a nauczyciele *dama* wpajali mu taktykę i historię wojen od czasów Wybawiciela.

– Wojna to coś znacznie bardziej skomplikowanego niż tylko męstwo na polu walki –

mówił *dama* Khevat. – Evejah mówi, że w gruncie rzeczy istota wojny zasadza się na sztuce oszukiwania.

– Oszukiwania? – zapytał Jardir.

Khevat pokiwał głową.

– Podobnie jak ty markujesz uderzenia włócznią, mądry dowódca musi wprowadzić swojego przeciwnika w błąd jeszcze przed rozpoczęciem bitwy. Gdy jest silny, musi udawać słabego. Gdy jest słaby, musi sprawiać wrażenie, że jest gotowy do walki. Gdy szykuje się do uderzenia, musi się wydawać, iż jest nieszkodliwy. Podczas przegrupowania musi wpoić u wrogów przekonanie, że lada chwila zaatakuje. W ten oto sposób zyskuje przewagę nad przeciwnikiem.

Jardir przekrzywił lekko głowę.

– Ale czy atak frontalny nie przyniesie większej chwały?

– Nie zbudowaliśmy Wielkiego Labiryntu po to, by nacierać na *alagai* hurmą – rzekł Khevat. – Nie ma większej chwały ponad zwycięstwo, a żeby je osiągnąć, trzeba wykorzystać każdą przewagę, zarówno tę wielką, jak i drobną. Na tym właśnie polega istota wojny, a wojna z kolei jest istotą wszystkiego, od targów nędznych *khaffit* na bazarze po petycje, których Andrah wysłuchuje w swoim pałacu.

– Rozumiem.

– Udane oszustwo zaś zależy od sztuki zachowania tajemnicy – ciągnął Khevat. – Jeśli szpiedzy wroga wykryją twoje podstępny, odbiorą ci wszelką przewagę. Dobry dowódca musi więc utrzymać swoje decyzje w największej tajemnicy, by nawet grono jego najbliższych popleczników, a czasem nawet i on sam nie myślał o nich, póki nie nadejdzie czas, by zaatakować.

– Ale po co w ogóle toczyć wojny, *dama*? – ośmielił się zapytać Jardir.

– Co?

– Jesteśmy wszyscy dziećmi Everama. Naszym wrogiem są *alagai*. Potrzebujemy każdego zdolnego do noszenia broni, by się przed nimi bronić, a mimo to, gdy słońce świeci na niebie, zabijamy się nawzajem.

Khevat spojrzał na niego i Jardir nie był pewien, czy pytanie rozbawiło go, czy rozdrażniło.

– Jedność – powiedział w końcu *dama*. – Podczas wojny mężczyźni walczą ramię w ramię i to właśnie jedność czyni ich potężnymi. Jak rzekł sam Kaji podczas podboju zielonych krain: „Jedność jest warta ceny zapłaconej we krwi. Gdy zapada noc i pojawiają się nieprzeliczone legiony Nie, sto tysięcy ludzi walczących ramię w ramię jest o wiele lepsze od stu milionów kulących się ze strachu”. Zapamiętaj te słowa, Ahmann.

– Zapamiętam, *dama* – uklonił się Jardir.

5

Jiwah Ka

313 – 316 ROK PLAGI

Trzech *nie'dama* zbliżało się z różnych kierunków, Jardir czuł też obecność *dama'ting*. Nigdzie jej nie widział, ale wiedział, że stoi gdzieś w pobliżu i patrzy. Zawsze patrzyła.

Skupił się na tej chwili, wchłonął ją, tak jak wchłaniał ból, odepchnął wszystkie doczesne troski i zmartwienia. Po spędzeniu ponad pięciu lat w Sharik Hora potrafił przywołać spokój ducha bez najmniejszego wysiłku. Nie było już Jardira. Nie było *nie'dama*. Nie było *dama'ting*. Był tylko taniec.

Ashan zaatakował pierwszy, Jardir zamarkował blok, wykonał piruet i uskoczył z linii ataku, by pięścią uderzyć Halvana w klatkę piersiową. Kopniak Ashana przeszył powietrze, a Jardir złapał rękę Halvana i wykręcił ją, przygniatając *nie'dama* do ziemi. Mógłby bez trudu wyrwać mu ramię ze stawu, ale zakończenie walki tak, by przeciwnikowi nie stała się krzywda, było o wiele trudniejszym testem umiejętności.

Shevali zaczekał, aż Ashan odzyska równowagę. Koordynacja, z jaką obaj zaatakowali jednocześnie, przyniosłaby chwałę każdemu oddziałowi *dal'Sharum*, ale dla Jardira nie miało to żadnego znaczenia. Jego ramiona i nogi poruszały się z taką prędkością, iż trudno je było dostrzec, a trzaski blokowanych ciosów wyznaczały rytm walki, zmierzającej do nieuniknionego zakończenia. Przy piątym uderzeniu Shevali odsłonił gardło i jak zwykle w ostatniej fazie starcia Jardir zmierzył się z Ashanem.

Znając dobrze prędkość przeciwnika, Ashan spróbował przejść do zwarcia, ale Jardir przez ostatnie lata rozrósł się i przybrał na wadze. W wieku lat siedemnastu był wyższy od większości rówieśników, a nieustanny trening sprawił, że jego chude, żyłaste ciało pokryło się smukłymi, twardymi mięśniami. Przygwożdżenie Ashana do ziemi było jedynie kwestią czasu.

Ashan zaśmiał się głośno (pierwszy rok nowicjatu, w trakcie którego nie wolno mu było się odzywać, minął już dawno).

– Któregoś dnia cię pokonam, *nie 'Sharum!*

– Ten dzień nigdy nie nadejdzie – oznajmił Jardir, pomagając mu wstać.

– To prawda – rzekł *dama Khevat*. Otaczający młodzieńców krąg adeptów i instruktorów rozstał się, przepuszczając kleryka w asyście *dama'ting*. Jardir poczuł, jak jego krew zamienia się w lód.

Dama'ting niosła bowiem czarną szatę.

* * *

Dama'ting zaprowadziła Jardira do osobnej komnaty i własnoręcznie zdjęła jego bido. Gdy poczuł dotyk jej dłoni, skupił się i spróbował wchłonąć to wrażenie, lecz była pierwszą kobietą, która dotykała go w tak intymnych miejscach, i po raz pierwszy od wielu lat Jardir nie zdołał odnaleźć w sobie spokoju. Jego ciało wbrew woli zareagowało na dotyk i naraz młodzieniec poczuł strach, iż *dama'ting* każe go zabić za taką manifestację braku szacunku.

Dama'ting jednakże całkowicie zignorowała erekcję Jardira, owijając jego biodra czarną przepaską, a potem pomagając mu nałożyć luźne spodnie, ciężkie sandały, a w końcu szatę *dal'Sharum*.

Jardir nosił bido od ośmiu lat i spodziewał się, że w każdym innym ubiorze czuje się nieswojo, ale był całkowicie nieprzygotowany na ciężar czarnych szat *dal'Sharum*, wzmocnionych od spodu pancerzem. Po wewnętrznej stronie szaty wszyto utwardzone w ogniu płytki – Jardir wiedział, że są w stanie załagodzić potężne uderzenie, ale zazwyczaj od niego pękały i po każdym ciosie wroga należało je wymienić.

Był tak zaabsorbowany, że w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na to, iż przesłona, którą szykowała *dama'ting*, by obwiązać jego twarz, jest biała. Gdy sobie to uświadomił, aż sapnął ze zdumienia.

– Sądziłeś, że czas spędzony wśród *dama* jest pozbawiony znaczenia, synu Hoshkamina?

– zapytała *dama'ting*. – Dołączysz do swoich braci *dal'Sharum* jako ich przywódca, jako *kai'Sharum*.

– Ale ja mam tylko siedemnaście lat! – zaprotestował Jardir.

– Będziesz najmłodszym *kai'Sharum* od wielu wieków – przytaknęła *dama'ting*. – Byłeś też najmłodszym wojownikiem, który strącił wichrowego demona, i najmłodszym, który przeżył *alagai'sharak*. Któż wie co jeszcze zdołasz osiągnąć?

– Ty wiesz – rzekł Jardir. – Kości ci powiedziały.

Dama'ting pokręciła głową.

– Ujrzałam przeznaczenie, ku któremu zmierza twój duch, lecz jest to droga najeżona niebezpieczeństwami i nie ma pewności, czy zdołasz je spełnić.

Poprawiła Jardirowi białą przesłonę na twarzy. Jej dotyk zdawał się niemalże pieszczotą.

– Czeka cię wiele ciężkich prób. Skup się na chwili obecnej. Gdy powrócisz dziś do

pawilonu Kaji, jeden z *Sharum* rzuci ci wyzwanie. Musisz...

Jardir uniósł dłoń, przerywając jej w pół zdania. Oczy *dama'ting* rozbłyły na taką śmiałość.

– Z całym szacunkiem – rzekł chłopak, przypominając sobie kolejki do kotła w Kaji'sharaj. – Rozumiem zasady rządzące światem *Sharum*. Pokonam tego, kto rzuci mi wyzwanie, na oczach wszystkich, by nikt inny nie ośmielił się pójść w jego ślady.

Dama'ting przyglądała mu się przez chwilę, a potem wzruszyła ramionami. W jej oczach błysnął uśmiech.

* * *

Jardir z dumą wkroczył na pola ćwiczeń plemienia Kaji, idąc za *dama* Khevatem oraz *dama'ting*. Widząc ich, *dal'Sharum* przerywali na moment ćwiczenia, tu i ówdzie rozlegał się pomruk świadczący, że rozpoznawano jego twarz. Któryś z wojowników parsknął śmiechem.

– Spójrzcie tylko, szcurek! – wykrzyknął Hasik, nadal sepleniąc mimo upływu lat, i łupnął tępym końcem włóczni o ziemię. – Minęło ledwie pięć lat, a ten już wyskoczył ze swojego bido!

Kilku innych zarechotało, słysząc drwinę.

Jardir uśmiechnął się. Sprawdzanie opanowania nowego *kai* należało do tradycyjnych praktyk *Sharum*, a to, że kpiny rozpoczął Hasik, określić można było tylko i wyłącznie słowem *inevera*. Wojownik nadal był większy od Jardira, ale młodzieniec nie odczuwał lęku, krocząc naprzód.

Hasik obrzucił go zimnym spojrzeniem.

– Może i nosisz białą chustę na twarzy, ale i tak zrodziłeś się ze szczyń – zadrwił cicho, by inni nie słyszeli.

– O, Hasik, mój *ajin'pal* – zawołał Jardir. – Nadal nazywają cię Świstaczem? Jeśli tylko zechcesz, z radością wybiję ci jeszcze kilka zębów, by wyleczyć cię z tej przypadłości.

Zgromadzeni wokół *Sharum* ryknęli śmiechem. Jardir rozejrzał się i ujrzał wielu, którym rozkazywał jako *Nie Ka*.

Hasik warknął i runął na niego, lecz Jardir uskoczył mu z drogi i kopnął z półobrotu, przez co starszy wojownik stracił równowagę i upadł w pył. Jardir poczekał cierpliwie, aż Hasik wstanie. Świstacz kipiał z wściekłości. Nie odniósł żadnych obrażeń.

– Zabiję cię za to, co teraz zrobiłeś – obiecał.

Jardir uśmiechnął się, odczytując jego intencje równie łatwo jak napis na piasku. Hasik runął do ataku, unosząc włócznię, lecz Jardir zszedł piruetem z linii ataku i pojedynczym ciosem odbił ostrze w bok. Hasik stracił równowagę i potknął się, ale zdołał się obrócić i zamachnąć tępym końcem broni. Jardir odchylił się niczym palma targana ostrym wiatrem, unikając ciosu, nawet nie poruszył stopą. Nim Hasik zdołał zareagować, poderwał się, złapał

oburącz włócznie i uderzył w nią kolanem. Grube drzewce pękło z trzaskiem, a Jardir kontynuował uderzenie i trafił Hasika prosto w twarz.

Trzask, z jakim pękła szczeka starszego wojownika, był miły dla ucha, ale Jardir bynajmniej nie zamierzał na tym poprzestać. Odrzucił ostrze i ujął tępy ułomek drzewca, po czym podszedł do wstającego z trudem Hasika.

Ten uderzył go pięścią i Jardir zdziwił się, iż kiedyś uznał ciosy Hasika za zbyt szybkie. Po latach spędzonych wśród *dama* Jardirowi wydawało się, że przeciwnik porusza się, jakby brnął w gęstym miodzie. Młodzieniec złapał go za nadgarstek i wykręcił bez litości, czując, jak ramię wyskakuje ze stawu, a potem uniósł ułomek i strzaskał mu kolano. Hasik runął na ziemię z dzikim wrzaskiem, a wtedy Jardir kopnął go w żołądek. Zabicie *Sharum* w tej sytuacji było jak najbardziej uzasadnione i nikt z przyglądających się starciu nie byłby tym zdziwiony, ale Jardir nie zapomniał tego, co Hasik kiedyś zrobił mu w Labiryncie.

– Teraz, Hasik. – powiedział na oczach wszystkich *dal'Sharum* z plemienia Kaji – Teraz to ja nauczę ciebie, jak być kobietą...

Uniósł kij.

– A to będzie twój mężczyzna.

* * *

– Dopilnuj, by nie przebił się drzewcem ze wstydu – polecił Jardir Shanjatowi, gdy wyjącego z bólu i upokorzenia Hasika powleczono do pawilonu *dama'ting*. – Nie chciałbym, by mojemu *ajin'pal* stała się krzywda.

– Jak sobie mój *kai'Sharum* życzy – powiedział Shanjat. – Choć dodam, że jeżeli Hasik zechce się przebić, najpierw trzeba będzie mu ten kij wyciągnąć.

Uśmiechnął się i pokłonił przed Jardirem, a potem popędził w ślad za rannym. Jardir odprowadził go wzrokiem, dziwiąc się, jak szybko powrócili do rutyny z czasów *nie'Sharum*, chociaż Shanjat zasłużył na czarne szaty wojownika całe lata temu, a on dopiero dziś.

Jardir planował zemstę na Hasiku od lat, tańcząc *sharusahk* w swej ciasnej celi w Sharik Hora. Nie wystarczyło mu, by Hasik po prostu poniósł porażkę – zemsta miała być straszliwym, upokarzającym pokazem, po którym nikt inny nie rzuci już Jardirowi wyzwania. Gdyby Hasik go nie zaczepił, gotów był go odnaleźć, a potem sprowokować.

Dzięki nieskończonej sprawiedliwości Everama wszystko przebiegło dokładnie tak, jak Jardir sobie to założył, lecz teraz, gdy osiągnął całkowity triumf, odkrył, że właściwie nie ma się z czego cieszyć. Jego satysfakcja była umiarkowana, porównywalna z tą, którą odczuł lata temu po wygraniu walki z Shanjatem o miejsce w kolejce po owsiankę.

– Wygląda na to, że panujesz nad sytuacją – rzekł *dama* Khevat, klepiąc Jardira w plecy. – Idź więc do pawilonu Kaji i weź sobie jakąś kobietę przed bitwą tej nocy. Nie, weź dwie! – zaśmiał się. – *Jiwah'Sharum* same będą wskakiwać do łóża najmłodszego *kai'Sharum* od

tysiąca lat.

Jardir zmusił się do śmiechu i skinął głową z udawanym entuzjazmem, choć w żołądku go ścisnęło. Nigdy dotąd nie był z kobietą. Za wyjątkiem kilku przelotnych zerknięć w pawilonie Kaji nigdy nie widział żadnej bez szaty. Oczekiwał go więc ostatni sprawdzian męskości, który nie miał nic wspólnego z pogwałceniem Hasika czy stawieniem czoła *alagai*. Na ten sprawdzian nie przygotował bowiem Jardira żaden z elementów treningu *Sharum*.

Khevat odszedł, a młodzieniec nabrał głęboko tchu i spojrzał ku pawilonowi Kaji.

To tylko kobiety, powtórzył sobie w duchu, robiąc pierwszy, niepewny krok. Są tam po to, by sprawić przyjemność, a nie ból.

Kolejny krok uczynił więc z większą pewnością siebie.

– Pozwól na słowo – szepnęła *dama'ting*, przyciągając jego uwagę.

W jednej chwili opadły go ulga i strach. Jak mógł o niej zapomnieć?

– Na osobności – dodała.

Jardir skinął głową i ruszył w ślad za nią na skraj placu ćwiczebnego, by nie dosłyszał ich żaden z ćwiczących tam *dal'Sharum*.

Jardir był teraz znacznie wyższy od tej kobiety, ale nadal go onieśmielała. Pamiętał wystrzał ognia z czaszki ognistego demona i próbował sobie wmówić, że jej magia *alagai* nie zadziała w świetle dnia, gdy pada na nich blask Everama.

– Rzuciłam *alagai hora*, zanim przyniosłam ci czarne szaty – rzekła. – Powiedziały mi, że jeśli będziesz spał wśród *jiwah'Sharum*, jedna z nich cię zabije.

Oczy Jardira rozwarły się szeroko. Nigdy w życiu nie słyszał o podobnym zdarzeniu.

– Dlaczego? – zapytał.

– Kości nigdy niczego nam nie tłumaczą, synu Hoshkamina – rzekła *dama'ting*. – Mówią nam o tym, co się dzieje, i o tym, co się zdarzyć może. Niewykluczone, że kochanka Hasika będzie chciała wyrzucić na tobie zemstę, być może trafisz na kobietę, która ma krwawy zatarg z twoją rodziną. – Wzruszyła ramionami. – Pewne jest tylko to, że śpiąc wśród *jiwah'Sharum*, ryzykujesz życie.

– A więc nigdy nie mam zaznać przyjemności z kobietą? – zapytał Jardir. – Cóż to za życie dla mężczyzny?

– Nie przesadzaj – rzekła *dama'ting*. – Wciąż przecież możesz brać sobie żony. Rzuceń kośćmi, by znaleźć dla ciebie odpowiednie.

– Dlaczego miałabyś to dla mnie zrobić? – zapytał Jardir.

– Powód, dla którego to czynię, pozostanie moją tajemnicą – odpowiedziała *dama'ting*.

– A jakiej zażadasz ceny? – zapytał Jardir. Opowieści w Evejah zawsze wspominały o ukrytej cenie, którą musiał zapłacić każdy, kto korzystał z magii *hora* dla celów innych niż *sharak*.

– Ach – rzekła *dama'ting*. – Już nie jesteś taki niewinny, jak się wydajesz. Dobrze. W ramach zapłaty weźmiesz mnie za żonę.

Jardir zeszywniał, krew ścięła mu się w żyłach. Wziąć ją za żonę? Przecież to nie do pomyślenia. Ta kobieta napawała go przerażeniem.

– Nie wiedziałem, że *dama'ting* mogą wychodzić za mąż – powiedział, próbując zyskać na czasie. Jego umysł pracował gorączkowo, usiłując znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Możemy, jeśli sobie tego życzymy – odparła. – Pierwszymi *dama'ting* były żony Wybawiciela.

Jardir przyjrzał jej się uważnie. Jej sylwetkę i wszelkie krągłości zasłaniały grube białe tkaniny, zawój na głowie ukrywał włosy, a twarz aż po nos – nieprzeźroczysta woalka, która tłumiała nawet głos. Młodzieniec widział tylko oczy, jasne i lśniące oddaniem oraz pobożnością. Dostrzegał w nich coś znajomego, ale wieku *dama'ting* mógł się tylko domyślać, nie mówiąc już o jej urodzie. Czy była dziewicą? Czy pochodziła z dobrego rodu? Nie było sposobu, by się tego dowiedzieć. *Dama'ting* były odbierane matkom w młodym wieku i wychowywane w tajemnicy.

– Każdy mężczyzna ma prawo ujrzeć twarz kobiety, nim zgodzi się wziąć ją za żonę – rzekł.

– Nie w tej sytuacji – odparła *dama'ting*. – To, czy moja uroda cię poruszy lub czy moje łono jest płodne, nie ma teraz znaczenia. Twoja przyszłość najeżona jest pułapkami, a ty masz dwa wyjścia – albo zgodzisz się, bym została twoją *Jiwah Ka*, albo spędzisz resztę swoich dni, szukając zastawionych na ciebie pułapek bez pomocy moich przepowiedni.

Jiwah Ka. A zatem nie chciała zostać po prostu żoną Jardira, chciała być pierwszą wśród jego żon. *Jiwah Ka* miała prawo sprzeciwić się wzięciu każdej innej *Jiwah Sen* – kolejnej żony – z których wszystkie musiały być jej posłuszne. Dysponowała całkowitą kontrolą nad majątkiem i dziećmi, a w sprawach istotnych podlegała tylko woli męża. Jardir jednakże nie był głupcem i wiedział, że z pewnością *dama'ting* zamierzała rozciągnąć kontrolę również i na niego.

Czy mógł się jednak zdobyć na odmowę w tej sytuacji? Nie obawiał się nikogo, kto mógłby mu rzucić wyzwanie, ale wedle nauk Khevata wojna polegała na oszustwie, a nie wszyscy walczący posługiwali się w walce włóczniami i pięściami. Zatruty napój czy sztylet wbity zniemacka w plecy mogły posłać go do Everama, zanim Jardir zdołałby zdobyć wystarczająco dużą chwałę, by wykupić sobie wejście do Nieba, a dla jego matki i sióstr nie zostałyby zgoła nic.

A nadchodziła *Sharak Ka*.

– Chcesz więc, bym oddał ci wszystko – powiedział ochryple. Gardło wyschło mu na wiór.

Dama'ting zaprzeczyła.

– Nie. Zostawię ci *sharak* – odparła. – To jedyne, czym *Sharum* powinien zaprzętać sobie głowę.

Jardir wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. W końcu kiwnięciem głowy wyraził

zgode.

* * *

Uzyskawszy zgodę, *dama'ting* nie traciła czasu. Nie upłynął nawet tydzień, gdy Jardir stał przed *dama* Khevatem i słuchał, jak kobieta składa śluby.

Spojrzał jej w oczy. Kim była? W jakim wieku? Starsza od matki Jardira? Na tyle młoda, by urodzić mu synów? Co ujrzy, gdy znajdą się w łożu małżeńskim?

– Oddaję ci się w małżeństwo wedle zasad Evejah – mówiła. – Jak zapisane zostało przez Kajiego, Włócznie Everama, który zasiada u jego stołu aż do dnia *Sharak Ka*, kiedy to się odrodzi. Szczerze i uczciwie ślubuję, iż będę dla ciebie posłuszną i wierną żoną.

Ciekaw jestem, czy mówi te słowa na poważnie – zastanawiał się Jardir. – A może to po prostu jej nowy sposób na kontrolowanie mojego życia, po tym jak przywdziałem czarne szaty?

Khevat odwrócił się ku niemu i Jardir rozpoczął własne ślubowanie.

– Przysięgam przed Everamem – mówił, a słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. – Przed Everamem, Stwórcą całego świata, i przed Kajim, który jest Shar'Dama Ka, iż zabiorę cię do swojego domu, a tam będę dla ciebie sprawiedliwym i dobrym mężem.

– Czy przyjmujesz tę oto *dama'ting* jako swoją *Jiwah Ka*? – zapytał Khevat, a ton jego głosu przypominał Jardirovi słowa sprzed kilku dni, gdy poprosił *dama* o przeprowadzenie ceremonii.

„Jesteś pewien, że tego chcesz?” – zapytał wówczas Khevat. „*Dama'ting* to nie zwykła żona, którą możesz rządzić lub oćwiczyć, gdy okaże nieposłuszeństwo”

Jardir przełknął ślinę. Był tego pewien?

– Tak – powiedział, a zebrani *dal'Sharum* krzyknęli chórem, tłukąc włóczniami o tarcze. Jego matka Kajivah tuliła młodsze siostry Jardira i wszystkie szlochały z dumy.

* * *

Serce Jardira waliło mocno, a w głębi duszy o wiele bardziej pragnąłby być teraz w Labiryncie i tańczyć *alagai'sharak*, niż siedzieć w tej słabo oświetlonej, wypełnionej poduszkami komnacie.

– Nie obawiaj się, bo jutro też czeka nas *alagai'sharak*! – śmiał się na odchodnym Shanjat. – A póki co tej nocy stoczysz całkiem inną bitwę!

– Wydajesz się niespokojny – powiedziała *dama'ting*, gdy zaciągnęli zasłony.

– Dziwisz się? – zapytał gorzko Jardir. – Jesteś moją *Jiwah Ka*, a ja nawet nie znam twojego imienia.

Dama'ting roześmiała się po raz pierwszy od początku ich znajomości. Jej śmiech był

piękny i dźwięczny.

– Naprawdę? – zapytała, ściągając zawój. Jardir wybałuszył oczy, lecz nie ze względu na jej piękno czy młodość.

Bo w istocie znał tę kobietę.

– Inevera – szepnął, przypominając sobie *nie'dama'ting*, z którą rozmawiał w pawilonie tyle lat temu.

Pokiwała głową, uśmiechając się. Była piękniejsza, niż ośmielił się zamarzyć.

– Tej nocy, kiedy się poznaliśmy, skończyłam rzeźbienie moich pierwszych *alagai hora* – powiedziała Inevera. – Było to moje przeznaczenie, wola Everama, jak zresztą głosi moje imię. Demoniczne kości należy rzeźbić w całkowitych ciemnościach, kierując się jedynie zmysłem dotyku. Uformowanie jednej z nich może trwać tygodnie, a żeby zebrać cały zestaw, należy niekiedy pracować przez lata. I dopiero po tym, jak zestaw zostanie zakończony, można go przetestować. Jeśli są nieudane, zostaną wystawione na blask słoneczny i całą pracę należy rozpocząć od początku. Jeśli zaś okażą się udane, *nie'dama'ting* staje się *dama'ting* i przywdziewa białą przesłonę. Ja zaś, ukończywszy tej nocy moją pracę, potrzebowałam pytania, które mogłoby sprawdzić, czy kości posiadały władzę nad przeznaczeniem. Głowiłam się nad owym pytaniem, a wówczas przypomniałam sobie chłopca, którego spotkałam wcześniej tego samego dnia, chłopca o śmiałych oczach i równie śmiałym zachowaniu. Potrząsnęłam kośćmi i zadałam pytanie: „Czy ujrzę jeszcze kiedyś Ahmanna Jardira?”. I od tej nocy – ciągnęła – wiedziałam, że znajdę cię w Labiryncie po twoim pierwszym *alagai'sharak*, a potem zostanę twoją żoną i urodzę ci wiele dzieci.

Niespodziewanie poruszyła ramionami i białe szaty osunęły się na ziemię. Jardir obawiał się tej chwili, ale gdy ujrzał nagie ciało Inevery w migotliwym blasku lampy, odczuł, jak jego własne zaczyna reagować, i uświadomił sobie, że podobnie jak wszyscy inni przed nim zda ten ostatni test męskości.

* * *

– Jardir, przejdziesz ze swoimi ludźmi do dziesiątej strefy – rzekł Sharum Ka.

Była to nierozważna decyzja. Jardir nosił białą przesłonę od trzech lat i wszyscy *kai'Sharum* wiedzieli, że jego oddział jest najwaleczniejszą i najlepiej wyćwiczoną jednostką w całej Krasji. Młody dowódca zmuszał swych ludzi do ogromnego wysiłku, ale jego *dal'Sharum* poczytywali sobie to za zaszczyt, a w trakcie jednej bitwy potrafili zniszczyć więcej demonów niż trzy inne oddziały razem wzięte. Przesunięcie ich do dziesiątej strefy było zwykłym marnotrawstwem. Nigdy dotąd *alagai* nie zabrnęły aż tak daleko.

Sharum Ka obrzucił Jardira pogardliwym spojrzeniem, prowokując go do sprzeciwu, ale Jardir przyjął poniżenie z nieporuszoną twarzą.

– Jak Sharum Ka rozkaże – rzekł i pochylił się, dotykając czołem grubego dywanu

wyściełającego posadzkę komnaty audiencyjnej Pierwszego Wojownika. Gdy się wyprostował, na jego twarzy malował się spokój, choć w sercu czuł obrzydzenie. Sharum Ka z założenia miał być najsilniejszym wojownikiem w mieście, a tymczasem człowiek, przed którego obliczem siedział, wydawał się tego całkowitym zaprzeczeniem. Włosy przyprószyła mu siwizna, a twarz poznały głębokie zmarszczki jak u *Damaji*. Wiele lat upłynęło od czasów, gdy stawał w Labiryntie, czego dowodem było jego pokaźne brzuszysko. Pierwszy Wojownik miał prowadzić natarcie podczas *alagai'sharak* i własnym przykładem zachęcać wojowników do chwalebnych czynów, a nie przyglądać się działaniom wojennym zza murów pałacu.

Dopóki jednak nosił biały turban, dopóty jego wola była ostateczna.

Dama Ashan, kleryk oddziału *Jardira*, oraz obaj porucznicy, *Hasik* i *Shanjat*, oczekiwali przed pałacem *Sharum Ka*, by odprowadzić dowódcę do pawilonu *Kaji*. Był jedynie *kai'Sharum*, ale przeżył już kilka prób zabójstwa ze strony zazdrosnych rywali. Paru zabójców pochodziło nawet z jego własnego plemienia, czemu nie należało się dziwić, gdyż wiadomym było, że *Sharum Ka* nie będzie żyć wiecznie, a skoro *Andrah* sam pochodzi z *Kaji*, należało liczyć się z tym, że miejsce pierwszego wojownika zajmie tylko *kai'Sharum* z *Kaji*. *Jardir* stał więc na drodze wielu starszych *kai'Sharum* mających nadzieję na wyniesienie.

Od czasu gdy *Inevera* zaaranżowała małżeństwa między *Hasikiem*, *Shanjatem* i *Ashanem* a trzema siostrami *Jardira*, mężczyźni zawsze stali u jego boku. *Imisandre*, *Hoshvah* i *Hanya* nosiły łachmany, gdy *Jardir* opuścił *Sharik Hora* trzy lata temu, lecz teraz były *Jiwah Ka* jego najbardziej zaufanych poruczników, a rodzeni przez nie siostrzeńcy i siostrzenice tylko wzmacniały ich więzi.

– Nasze rozkazy? – zapytał *Shanjat*.

– Dziesiąta strefa – powiedział *Jardir*.

Hasik splunął na ziemię.

– *Sharum Ka* cię znieważył!

– Uspokój się, *Hasik* – rzekł łagodnie *Jardir* i wielki wojownik natychmiast się uciszył. – Wchłoń tę zniewagę i pozwól, by przez ciebie przeszła, a wtedy ujrzysz wolę *Everama*.

Hasik skinął głową i ruszył za *Jardirem*. Trzy lata temu wyszedł z pawilonu *dama'ting* jako zupełnie inny mężczyzna. Nadal był jednym z najwaleczniejszych wojowników *Kaji*, lecz niczym okiełznany, wytresowany wilk oddał się całkowicie rozkazom *Jardira*. Był to jedyny sposób, by zachować honor po tak upokarzającej porażce.

– *Sharum Ka* obawia się ciebie – poradził mu *Ashan*. – Nic dziwnego. Jeśli nadal będziesz zbierał całą chwałę, *Andraha* może w końcu znużyć to, że jego siłami dowodzi słaby, niedołążny starzec, i pozwoli wyzwać go na pojedynek.

– A kilka sekund po tym, jak wykrzyknie: „Zaczynajcie!”, będziemy mieć nowego Pierwszego Wojownika – rzekł *Shanjat*.

– Wybij to sobie z głowy – odparł Jardir. – Andrah i Sharum Ka są starymi przyjaciółmi. Andrah nie zdradzi swojego lojalnego sługi, nawet jeśli zażądają tego sami *Damaji*.

– Co więc poczniemy? – zapytał Hasik.

– Idź do domu do mojej siostry i podziękuj jej za wspaniały posiłek, który ci bez wątpienia przygotowała – odparł Jardir. – A gdy zapadnie noc, udamy się do dziesiątej strefy i będziemy się modlić, by Everam zesłał nam *alagai*, którym będziemy mogli pokazać słońce.

* * *

Inevera jak zwykle czekała na Jardira, gdy wszedł do swych komnat w pałacu Kaji. Opuściła nieco szatę, by nakarmić najmłodsze dziecko, córkę Anjhę. Synowie Jardira, mali, lecz silni Jayan i Asome, trzymali się sukni.

Chłopcy wybiegli mu na spotkanie. Jardir uklęknął, pochwycił ich w ramiona i roześmianych poderwał do góry. Po chwili postawił ich z powrotem na ziemi, a ci wrócili do matki. Widok synów na nowo zmącił spokój mężczyzny i minął dłuższy moment, nim zdołał zapanować nad tym uczuciem. Sharum Ka nie szargał tylko i wyłącznie jego reputacji. Szkodził również rodzinie Jardira.

– Coś cię dręczy, mężu? – zapytała Inevera.

– Nic takiego – odparł, ale żona naciskała.

– Jestem twą *Jiwah Ka* – przypomniała mu. – Nie musisz dusić w sobie uczuć w mojej obecności.

Jardir spojrział na nią i wreszcie dał upust emocjom, które targały nim od otrzymania rozkazów.

– Sharum Ka wysyła mnie dziś w nocy do dziesiątej strefy – parsknął. – Ilu wojowników straci, podczas gdy jego najlepszy oddział będzie strzegł pustej strefy?

– To dobry znak, mężu – rzekła Inevera. – Wskazuje, że Sharum Ka obawia się ciebie i twoich ambicji.

– A co w tym dobrego, skoro właśnie pozbawił mnie możliwości zdobycia chwały?

– Nie wolno mu na to pozwolić – zgodziła się z nim Inevera. – Musisz teraz zdobyć jeszcze większą chwałę w Labiryncie niż wcześniej. Kości mówią mi, że dni Pierwszego Wojownika są policzone, więc nim odejdzie do Everama, musisz przyćmić swoją chwałą innych, jeśli zależy ci na jego miejscu.

– W jaki sposób mam to niby zrobić, skoro dziś w nocy przyjdzie mi dźgać włócznią powietrze? – warknął Jardir.

– *Sharak* to twoja domena – wzruszyła ramionami Inevera. – Musisz znaleźć jakiś sposób.

Jardir burknął pod nosem przekleństwo, ale kiwnął głową. Żona miała rację, jak zwykle. Istniały przecież rzeczy, w których nawet *dama'ting* nie mogła doradzić.

– Do zachodu słońca mamy jeszcze wiele godzin – dodała. – Nieco miłości i krótka drzemka oczyści twój umysł.

Jardir uśmiechnął się i podszedł do niej.

– Zawołam matkę, by zabrała dzieci – powiedział i rozłożył ramiona, ale Inevera pokręciła głową i cofnęła się.

– Ale nie ze mną. Kości mówią, że Everalia jest właśnie płodna. Jeśli weźmiesz ją od tyłu z wielką siłą i energią, urodzi ci zdrowego syna.

Jardir skrzywił się. Everalia była jego trzecią żoną. Inevera nawet nie pomyślała o tym, by mu ją pokazać przed ceremonią zaślubin, utrzymując, że *Jiwah Sen* została wybrana z powodu szerokich, mocnych bioder i pomyślnych wyroków *alagai hora*, a nie ze względu na urodę.

– Zawsze te kości! – parsknął Jardir. – Chciałbym choć raz zawlec moją żonę do łóżka wtedy, kiedy mi się podoba!

Inevera wzruszyła ramionami.

– Weź Thalaję, jeśli chcesz – powiedziała, mając na myśli jego drugą żonę, o wiele piękniejszą od pierwszej. – Jest również płodna, ale pomyślałam sobie, że wolisz syna od kolejnej córki.

Jardir zacisnął zęby. Nie miał ochoty na Thalaję – pożył jej, Inevery, ale okazywało się, że Khevat nie ostrzegł go nadaremnie. Żona czy nie, Inevera w pierwszej kolejności była *dama'ting* i Jardir nie mógł po prostu pojąć jej jak innej kobiety. Otworzył usta, lecz po chwili je zamknął.

Czy ona rzeczywiście radziła się kości w każdej sytuacji? Czasami odnosił wrażenie, że wykorzystywała swe przepowiednie jako argument, by robił dokładnie to, co sobie umyśliła, lecz jak dotąd nie popełniła żadnego błędu. Nie myliła się też, mówiąc, iż jeśli Jardir chciał przywrócić rodowi dawną sławę, potrzebował więcej synów. Zresztą czy to miało znaczenie, którą żonę weźmie? Z tyłu Everalia nie prezentowała się źle.

Ruszył w kierunku sypialni, ściągając szatę.

* * *

Czekali.

W zewnętrznych strefach rozbrzmiewał zgiełk bitewny, wysoko na niebie wrzeszczały wichrowe demony, a *dal'Sharum* Jardira nadal czekali.

Inni wojownicy odchodzili w chwale do Everama, a oni czekali.

– Żadnych *alagai* w zasięgu – zameldował Shanjat, przesyłając sygnał *nie'Sharum* na murze.

– Chyba nie wierzysz, że jakiś się pojawi! – warknął Hasik.

Jego słowom odpowiedział pomruk aprobaty. Wraz z Hasikiem w zasadzce czuwało

pięćdziesięciu najlepszych wojowników z plemienia Kaji. Na próżno.

– Gdybyśmy dołączyli do innych oddziałów, mielibyśmy jeszcze czas na zdobycie chwały – rzekł Jurim.

Jardir zaś wiedział, że musi położyć kres takim pomysłom, zanim ktokolwiek zacznie je rozważać na poważnie. Obrócił włócznię tępym końcem i grzmotnął nim Jurima między oczy, przewracając go na ziemię.

– Osobiście przebiję każdego, kto opuści stanowisko bez rozkazu – oznajmił głośno. Pozostali wojownicy pokiwali głowami, a Jurim dzwignął się, obmacując zakrwawioną twarz.

Jardir zerknął na swych ludzi, na najdzielniejszych *dal'Sharum* z Pustynnej Włóczni, i poczuł, jak ogarnia go głęboki wstyd. Zazdrość Sharum Ka wymierzona była w Jardira, ale cierpieli z tego powodu jego podwładni. Mężczyźni urodzeni i wychowani tylko po to, by zabijać *alagai*, stracili możliwość wypełnienia swego przeznaczenia za sprawą starca obawiającego się utraty władzy. Nie po raz pierwszy Jardir zaczął się zastanawiać nad zabiciem Pierwszego Wojownika, i to niekoniecznie w uczciwym pojedynku, lecz byłby to czyn niehonorowy, a na dodatek kosztowałby go życie i dziedzictwo.

Niespodziewanie zaryczał róg, wrywając Jardira z zadumy. Sygnał był jasny – wezwanie o pomoc.

– Wypatrywacze! – zawołał wojownik.

Dwóch Wypatrywaczy należących do jego oddziału, Amkaji oraz Coliv, wyrwało się do przodu. Ledwie Amkaji oparł końce okutej żelazem dwunastostopowej drabiny o ścianę, a Coliv już mknął w górę, przeskakując po trzy stopnie naraz. Patrzącym zdawało się, że biegł tak szybko, że ani na chwilę nie oparł ciężaru ciała na szczeblach. Dotarł na górę w okamgnieniu i rozejrzał się czujnie. Chwilę później dał znać, że teren jest bezpieczny.

Gdy Jardir objął dowództwo nad oddziałem, z początku bardzo ostrożnie traktował obu Wypatrywaczy, gdyż pochodzili z innego plemienia – z Krevakh. Z czasem poznał ich obu na wylot i okazało się, że zarówno Amkaji, jak i Coliv są równie lojalni wobec niego i równie skuteczni w *alagai'sharak* jak każdy z Kaji. Krevakh od dawna zresztą wiernie służyli Kaji, podobnie jak ich siostrzane plemię Nanji służyło Majah.

Wedle prawa w oddziale Jardira służyło dwóch Wypatrywaczy, którzy specjalizowali się w posługiwaniu się egzotyczną bronią i równie egzotycznymi stylami walki. Ponadto każdy z nich posiadał umiejętności konieczne dla *kai'Sharum*. Byli akrobatami. Znali się na zbieraniu informacji. Potrafili atakować z zasadzki, a jako skrytobójcy nie mieli sobie równych.

Amkaji nadal trzymał drabinę, a Jardir i Shanjat wbiegli na górę. Coliv podał dowódcy lunetę.

– Plemię Sharach, czwarta strefa – rzucił, wskazując kierunek.

– Dowiedz się więcej – rozkazał Jardir i Coliv ruszył biegiem, bez trudu utrzymując równowagę na wąskim murze. Wypatrywacze nie nosili ani włóczni, ani tarcz, więc poruszali się szybko – minęła ledwie chwila, a Coliv zniknął z pola widzenia.

– Sharach to nieliczne plemię – rzekł Shanjat. – Do *alagai'sharak* wprowadza ledwie dwa tuziny wojowników. Tylko głupiec ustawiłby tak niewielki oddział w czwartej strefie.

– Sharum Ka jest głupcem – odparł Jardir.

Coliv wrócił w chwilę później.

– Opadła ich zgraja *alagai*, która ominęła dół. Wielu wojowników padło, a w pobliżu nie ma żadnego oddziału, który sam nie toczyłby walki. Lada chwila zostaną wybici do nogi!

Jardir zacisnął zęby.

– Niedoczekanie. Szykuj ludzi!

Shanjat położył mu rękę na ramieniu.

– Sharum Ka rozkazał nam bronić dziesiątej strefy! – przypomniał mu, lecz gdy Jardir kiwnął głową i nie odezwał się ani słowem, uśmiechnął się szeroko.

– Nigdy nie damy rady dotrzeć do czwartej strefy na czas, *kai'Sharum* – rzekł Coliv, omiatając Labirynt bystrym wzrokiem. – Zbyt wiele starć po drodze!

– Zatem opuście liny – rozkazał Jardir. – Cały oddział na mury!

* * *

Pędzili po murach niczym *nie'Sharum*, pięćdziesięciu dorosłych wojowników w pełnym rynsztunku bitewnym. Mury, niebezpieczne dla bosych, zwinnych chłopców odzianych jedynie w bido, dla mężczyzn w sandałach i ciężkich szatach, którzy dźwigali włócznie i tarcze, stanowiły o wiele groźniejsze wyzwanie.

Jednakże byli *dal'Sharum* z plemienia Kaji, elitarnym oddziałem Jardira. Mknęli po murach bez cienia strachu i pokrzykiwali z radością podczas skoków nad przepaściami. Gdy nocny wiatr studził ich rozpalone twarze, czuli się znów jak młodzi chłopcy, choć pędzili do walki, gotowi zginąć jak mężczyźni.

Sam Jardir, który biegł na czele, mocniej odczuwał podniecenie zbliżającym się starciem. Sharum Ka będzie na niego wściekły, ale nie miał zamiaru pozwolić, by całe plemię wyginęło tylko po to, by zaspokoić dumę Pierwszego Wojownika. Wolałby już, by pochłonęła go Nie.

Po murach dotarli do Sharach w zaledwie parę chwil i wkrótce ujrzeli osaczone plemię na własne oczy. W kryjówece szalało ponad tuzin *alagai*, uniemożliwiając wojownikom ucieczkę. Przynajmniej połowa z nich padła w boju, a reszta broniła się w kręgu z tarczami zwróconymi na zewnątrz przed nacierającymi zewsząd potworami.

Sharach wstrzymywali napór przeważających sił wroga z odwagą właściwą prawdziwym mężczyznom i widok ten obudził wściekłość w krasjańskim sercu Jardira. Nie zamierzał dopuścić do tego, by choć jeden *dal'Sharum* zginął tej nocy.

– Odwagi, Sharach! – wykrzyknął. – Kaji idą wam z pomocą!

Był pierwszym, który wbił hak, spuścił linę i odbiwszy się od muru, zaledwie dwukrotnie pokonał dzielące go od ziemi dwadzieścia stóp. Nie czekał nawet na swoich ludzi, bez

namysłu rzucił się z wysuniętą tarczą na najbliższego piaskowego demona. Uderzył go z wielką siłą, runy aż zaskrzyły, a demon poleciał daleko od kręgu broniących się desperacko Sharach.

Jardir nie zwracał już uwagi na oszołomioną bestię i zaatakował następnego potwora włócznią, odganiając go serią precyzyjnie zadanych ciosów w najwrażliwsze części pancerza. Za plecami młody *kai'Sharum* słyszał ryki swego oddziału – podlegli mu wojownicy zeskakiwali z muru i wiedział, że nie musi się martwić o tyły.

– Everam przyglądał się twojej mężnej walce, bracie! – wykrzyknął Jardir do *kai'Sharum* Sharach, którego biała przesłona zboczona była krwią. – Zajmijcie się swoimi rannymi! My dokończymy to, co wyście tak wspaniale zaczęli, i zadbamy, by Sharach również i jutro stanęli do walki!

Trzeci demon, na którego natarł, odwrócił się i zatrzasnął szczęki na drzewcu włóczni Jardira, łamiąc ją w kilku miejscach. Szarpnął przy tym z takim impetem, że wojownik stracił równowagę, a bestia dosięgła go szponem. Naprężyła muskularne ramię i niespodziewanie rzemienie mocujące tarczę do ręki Jardira pękły, a on sam runął na ziemię, przetaczając się w bok, by uniknąć kolejnego natarcia. Przez krótką chwilę przewaga była po stronie *alagai*, lecz wtedy *kai'Sharum* Sharach grzmotnął demona w bok i odrzucił daleko.

– Sharach będą walczyć do ostatniego wojownika, bracie! – wykrzyknął, lecz w tej samej chwili uderzył znów piaskowy demon. Jego ogon śmignął, trafił wojownika w nieosłonięte miejsce i przewrócił, a bestia napięła mięśnie do skoku na ofiarę.

Jardir rozejrzał się. Jego wojownicy zajęci byli bojem, nie widział żadnej broni w zasięgu.

„Urodziłem się po to, by umrzeć na szponach *alagai*”, przypomniał sam sobie i z dzikim warknięciem skoczył na piaskowego demona. Zderzył się z nim w powietrzu, gdy ten już padał na *kai'Sharum* Sharach.

Demon był silniejszy, lecz w walce kierował się jedynie instynktem, nie miał pojęcia o brutalnej sztuce *sharusahk*. Jardir złapał go za ramię i wykonał obrót, wykorzystując siłę przeciwnika i ciskając go prosto do odległego o piętnaście stóp demoniego dołu w centrum zasadzki. *Alagai* wpadł do środka z przerażającym wyciem i miał tam doczekać śmiercionośnych promieni wschodzącego słońca.

Jardira zaatakował kolejny piaskowy demon, lecz wojownik walnął go z całej siły w gardło i kopnął pod kolana, po czym przygwoździł do ziemi i natychmiast zaczął szukać odpowiedniej pozycji do rzutu, unikając zębów i szponów bestii i nieprzerwanie wykorzystując siłę szarpiącego się *alagai* przeciwko niemu.

Grudy i kolce, którymi najeżony był pancerz demona, rozdzierały szaty i cięży skórę Jardira, jego mięśnie paliły żywym ogniem, rozciągnięte do granic wytrzymałości, ale wojownik nie ustawał w wysiłkach. Bez litości dla siebie i wroga, cal za calem przemieszczał się, aż wreszcie wsunął ramiona pod jego pachy i splótł dłonie na potylicy. Poderwał się na

równe nogi. Był wyższy od potwora, a dzięki założonemu chwytowi bez wysiłku uniósł go z ziemi. *Alagai* kopał powietrze i wrzeszczał, ale Jardir wykonał obrót wokół własnej osi, trzymając się jak najdalej od jego tylnych kończyn, i cisnął demonem w kierunku dołu.

Bestia przetoczyła się po ziemi i znikła w chronionej runami dziurze, a Jardir z zadowoleniem zauważył, że jego ludzie zagnali tam już większość pozostałych. Na dnie jamy widać było wściekłą płataninę łusek i szponów, a wyryte na ścianach pułapki runy błyskały gniewnie, gdy któryś ze stworów usiłował się wydostać.

– Będę przyglądał się waszej śmierci w płomieniach! – wykrzyknął Jardir.

Odwrócił się ku starciu. Rozpierało go poczucie triumfu i zapął do dalszej walki, lecz potyczka z wolna dobiegała końca. Jedynie kilku wojowników wciąż mierzyło się z *alagai*, lecz ci całkowicie panowali nad sytuacją.

Pozostali po prostu stali i wpatrywali się w niego szeroko otwartymi oczami.

* * *

Jardir i *kai'Sharum* Sharach trzymali straż nad demonim dołem przez resztę nocy. Ich podwładni otaczali ich kręgiem i gdy promienie słońca zalały dół, rozległy się głośnie wiwaty. Demony wyły i dymiły, aż wreszcie jeden po drugim stawały w płomieniach, a wojownicy z dumą spoglądali, jak światło Everama na powrót zamieniało je w nicość, z której się wywiodły.

Jardir oraz pozostali *Sharum* opuścili przesłony, jak przystało w blasku słońca. Za dnia Sharach, którzy służyli Majah, byli zaprzysięgłymi wrogami Kaji. Jardir uważnie śledził wzrokiem ich *kai'Sharum*. Starcie na neutralnym gruncie Labiryntu okryłoby ich obu niesławą, ale Jardir słyszał o podobnych zdarzeniach.

Miast tego dowódca Sharach pochylił głowę.

– Moje plemię ma wobec was dług krwi.

Jardir pokręcił głową.

– Postępowaliśmy jedynie wedle woli Everama. Żaden *dal'Sharum* nigdy nie porzuci brata w potrzebie, a gdy zapada noc, wszyscy mężczyźni są braćmi.

– Byłem obecny, gdy Sharum Ka przydzielił wam dziesiątą strefę, miejsce, w którym my powinniśmy się znaleźć – rzekł Sharach. – Przybyliście z daleka i zaryzykowaliście dla nas wiele.

Tymczasem pojawili się inni wojownicy, którzy wracali z Labiryntu, po tym jak ich demonie doły stanęły już w ogniu. Na widok dwóch zaprzysięgłych wrogów, którzy stali obok siebie, zatrzymywali się zaintrygowani jeden po drugim i niespodziewanie dookoła zaczął tworzyć się tłum. Jardir słyszał gwar coraz głośniejszych rozmów. Jego ludzie współ z niedobitkami Sharach rozpowiadali o tym, jak bez broni walczył z *alagai*. Jego wyczyny potęgniały z każdą chwilą i nie upłynęło wiele czasu, jak zaczęto opowiadać, iż Jardir pokonał

gołymi rękami pięć demonów. Niejednokrotnie zdarzało się, że wojownicy wyolbrzymiają czyjeś przewagi bitewne – do zmroku okaże się, iż Jardir posłał do dołu przynajmniej tuzin bestii, a za miesiąc – że pięćdziesiąt.

Do dowódcy Sharach i Jardira podszedł *kai 'Sharum* Majah.

– W imieniu wszystkich Majah dziękuję wam za to, że przyszliście Sharach z odsieczą. Sharum Ka okazał... cóż, brak roztropności, narażając ich na niebezpieczeństwo.

Jego słowa oznaczały niemalże zdradę, ale Jardir pokiwał tylko głową.

– Sharach dzielnie stawali – rzekł. – A że przetrwali, by kontynuować wojnę, to *inevera*.

– *Inevera* – zgodził się Majah i uklonił głębiej, niż się utarło między *kai 'Sharum*. – Czy ty naprawdę gołymi rękami wrzuciłeś sześć demonów do dołu?

Jardir pokręcił głową i otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz przeszkodził mu okrzyk. Na plac wtargnęli wojownicy elitarniej gwardii Sharum Ka, robiąc przejście dla Pierwszego Wojownika.

– Zlekceważyłeś rozkazy i opuściłeś swoje stanowisko! – krzyknął Sharum Ka, mierząc palcem w Jardira.

– Sharach wołali o pomoc, a my nie uczestniczyliśmy w żadnym starciu – odparł Jardir. – Evejah uczy nas, iż nocą powinniśmy czynić wszystko, co w naszej mocy, by przyjść z pomocą naszym braciom.

– Nie waż mi się cytować świętego tekstu! – parsknął Sharum Ka. – Uczyłem go moich synów, gdy twój ojciec nosił jeszcze bido, i znam święte prawdy o wiele lepiej od ciebie. Dlatego wiem doskonale, że nigdzie nie zachęca się, by gnać całym oddziałem po murach Labiryntu, pozostawiając własną strefę bez ochrony!

– Bez ochrony! – Jardir wytrzeszczył oczy. – Demony nie dotarły nawet do ósmej, nie mówiąc już o dziesiątej!

– Nie wolno ci lekceważyć rozkazów i uparcie szukać chwały tam, gdzie pisana jest ona innym, *kai 'Sharum*! – zagrział Sharum Ka.

W sercu Jardira zapłonął gniew.

– Być może rozkazy, które otrzymałem, nie byłyby tak bezmyślne, gdyby ten, kto je wydał, nie chował się w swoim pałacu aż do świtu – rzekł, wiedząc, że mógł równie dobrze pochwycić za włóczęgę. Takiej zniewagi Pierwszego Wojownika nie puszczało się płazem. Gdyby Sharum Ka był człowiekiem honoru, natychmiast porwałby za broń i zaatakował Jardira, zabijając go na oczach zgromadzonych.

Lecz Sharum Ka był człowiekiem starym, a dookoła słyszał szept o tym, jak Jardir załatwił pół tuzina demonów gołymi rękami. Jardir z kolei nie miał prawa zaatakować Pierwszego Wojownika, co innego, gdyby ten rozpoczął walkę, wtedy Jardir mógłby bez trudu pozbawić go życia i rozpocząć starania o tytuł Sharum Ka. Młody *kai 'Sharum* zadawał sobie w duchu pytanie, czy właśnie ten los przepowiedziały kości Inevery tyle lat temu.

Stali i mierzyli się spojrzzeniami, a Jardir doskonale wiedział, że Sharum Ka myśli

dokładnie o tym, co i on. Odgadł też, że starzec nie zdobędzie się na odwagę i nie zaatakuje. Skrzywił się z pogardą.

– Aresztować go! – rozkazał Sharum Ka. Jego strażnicy natychmiast ruszyli ku Jardirowi.

Młody wojownik wyszczerzył zęby, ale nie stawiał oporu, gdy zbrojni krępowali mu nadgarstki, co stanowiło poważną ujmę na honorze. Pośród zgromadzonych, nawet wśród Majah, poniósł się pomruk niezadowolenia. Wielu pochwyciło mocniej włócznie i uniosło tarcze. Liczebnie wielokrotnie przewyższali straż Pierwszego Wojownika.

– Co wyczyniacie? – huknął Sharum Ka. – Opuścić broń!

Pomruk jednak narastał, a niektórzy wojownicy już się przesunęli, by zablokować wyjścia z Labiryntu. Sharum Ka nagle stracił pewność siebie i zrobił krok do tyłu. Jardir ponownie pochwycił jego spojrzenie i uśmiechnął się.

– Nic nie róbcie! – powiedział głośno, nie spuszczać wzroku z Pierwszego Wojownika.

– Sharum Ka wydał rozkaz i wszyscy *Sharum* mają go wykonać. Everam zadecyduje o moim losie.

Pomruk ucichł natychmiast, a wojownicy wycofali się z wyjść. Wydawało się, że demonstracja władzy, jaką Jardir miał nad *dal'Sharum*, zwielokrotniła wściekłość Pierwszego Wojownika. *Kai'Sharum* znów pogardliwie wydał wargi, próbując sprowokować go do ataku.

– Zabrać go! – wrzasnął Sharum Ka.

Jardir wyszedł z Labiryntu dumnie wyprostowany, jakby nie zauważał tego, że jego ręce są spętane i prowadzą go strażnicy Pierwszego Wojownika.

* * *

Inevera czekała na jego przybycie w pałacu Andraha.

Ciekawe, czy o tym dniu kości też powiedziały lata temu? – zastanawiał się Jardir.

Prowadzący go strażnicy pochwycili go mocniej na widok kobiety, lecz bynajmniej nie z obawy, że więzień spróbuje się wyrwać. To Inevera ich przerażała.

– Zostawcie nas samych – rozkazała zbrojnym. – Powiedzcie swojemu panu, że mój mąż spotka się z nim w komnacie audiencyjnej Andraha za jakąś godzinę.

Strażnicy natychmiast puścili ramiona Jardira i pokłonili się.

– Jak sobie *dama'ting* życzy – wybełkotał jeden z nich i obaj czmychnęli.

Inevera parsknęła i przecięła więzy męża runicznym sztyletem.

– Doskonale się sprawiłeś tej nocy – szepnęła, gdy zostali sami. – Przez najbliższych kilka godzin musisz okazać odwagę i wiarę w siebie. Gdy nadejdzie czas audiencji u Andraha, musisz sprowokować Sharum Ka, ale nie przestając okazywać uległości. Doprowadź go do furii, lecz nie dawaj mu żadnego powodu, by cię zaatakował.

– Nie mam zamiaru – rzekł Jardir.

– Ale przecież postąpiłeś już tak w Labiryncie! – warknęła Inevera. – Teraz to o wiele

ważniejsze!

– Widzisz wszystko – przyznał Jardir – ale chyba niewiele rozumiesz, skoro wydaje ci się, że ukorzę się przed tym człowiekiem. Próbowałem go sprowokować do ataku.

Inevera wzruszyła ramionami.

– Rób to, co uważasz za stosowne, ale miej oczy i uszy szeroko otwarte. Ten człowiek nigdy nie uderzy na ciebie osobiście, ale jeśli uzna cię za zagrożenie, jego ludzie odbiorą ci życie.

– Masz mnie za głupca? – zapytał Jardir.

Inevera parsknęła.

– Obudź w nim wściekłość. Reszta to *inevera*.

– Jak sobie *dama'ting* życzy – westchnął Jardir.

Inevera skinęła głową. Dotarli do poczekali, której podłoga wyścielona była poduszkami.

– Poczekaj tutaj – poleciła mu. – Udam się do Andraha, by zamienić z nim kilka słów na osobności przed twoim procesem.

– Procesem? – zapytał Jardir, ale Inevera już wyslizgnęła się z komnaty.

* * *

Jardir nigdy dotąd nie znalazł się na tyle blisko Andraha, by ujrzeć jego oblicze. Teraz wiedział, iż była to twarz człowieka starego, twarz poznaczona zmarszczkami i ozdobiona śnieżnobiałą brodą. Był pulchnym człowiekiem, najwidoczniej niestroniącym od dobrego jadła. Jego otyłość była odrażająca i Jardir z trudem mógł uwierzyć, iż tego samego mężczyznę swego czasu uważano za największego mistrza *sharusahk*, który w pojedynkach pokonał najzdolniejszych *Damaji* i zdobył Tron Czaszek. Kiedy Jardir pobierał nauki w trzewiach Sharik Hora, na własne oczy widział *Damaji* Kaji, Amadeverama, człowieka liczącego sobie około sześćdziesięciu lat, który w kręgu *sharusahk* rozłożył na łopatki pół tuzina młodych, sprawnych *dama*.

Wojownik przyjrzał się baczniej, poszukując śladów podobnego wyszkolenia u Andraha, ale doszedł do wniosku, że obecność strażników i służących, którzy nigdy nie opuszczali boku Sharum Ka, doprowadziła do tego, że człowiek ten całkiem stracił formę. Nawet w tej chwili nie przestawał raczyć się słodzonymi daktylami.

Jardir zerknął ku ludziom stojącym po obu stronach tronu. Po prawej widział dwunastu *Damaji*, przywódców wszystkich plemion Krasji. Odziani w białe szaty i czarne turbany, mamrotali między sobą z niezadowoleniem o tajemniczej sprawie, która oderwała ich od interesów i przyciągnęła do pałacu tak wcześnie, gdy słońce ledwie wzniosło się nad horyzont. Po lewej, dwa kroki od tronu, stały *Damaji'ting*. Podobnie jak *Damaji*, miały na sobie czarne zawoje i woalki, stanowiące ostry kontrast z bielą ich szat. W przeciwieństwie do *Damaji* natomiast stały w całkowitym milczeniu, a ich oczy zdawały się przenikać

wszystko.

Czy one również znają moje przeznaczenie? – zastanawiał się Jardir, a potem zerknął na swą *Jiwah Ka*, która stała obok.

A może wiedzą tylko to, co im powie Inevera?

– Synu Hoshkamina – powitał go *Damaji Amadeveram* – przedstaw nam, proszę, swoją wersję wydarzeń z zeszłej nocy.

Pochodził z Kaji i jako Pierwszy Minister Andraha był najprawdopodobniej najpotężniejszym klerykiem w Krasji. Andrah miał reprezentować wszystkie plemiona, ale to on mianował Sharum Ka oraz Pierwszego Ministra. Jardir zaś pamiętał ze swoich lekcji, że upłynęło już wiele lat od chwili, gdy Andrah wyznaczył na którekolwiek z tych stanowisk człowieka z innego plemienia. Uważane to było za oznakę słabości.

Sharum Ka skrzywił się. Najwidoczniej spodziewał się, iż zostanie poproszony, by przedstawić swoją wersję wydarzeń jako pierwszy. Podszedł gwałtownie do serwisu do herbaty, który ustawiono specjalnie dla niego, i ujął filiżankę. Jardir dostrzegł, że unosząca się znad czarki para drżała, co oznaczało, że starcowi drżały dłonie.

– Tego wieczoru podczas kolacji *kai'Sharum* Sharum Ka jak zwykle przedstawił nam swoje rozkazy – zaczął Jardir. – Moi ludzie zaś walczyli tej nocy z powodzeniem i z zapalem posłali wiele *alagai* z powrotem do Nie.

Damaji pokiwał głową.

– Wasze sukcesy nie przeszły niezauważone – oznajmił. – A twoi nauczyciele z Sharik Hora również wyrażają się o tobie z uznaniem. Mów dalej.

– Ze zgrozą dowiedzieliśmy się, iż zostaliśmy wysłani do dziesiątej strefy – ciągnął Jardir. – Nie tak dawno broniliśmy pierwszej, za każdego utraconego wojownika posyłając setkę *alagai* na powitanie słońca. Potem zostaliśmy przesunięci do drugiej, a następnie do trzeciej. Przyjęliśmy decyzję Sharum Ka z pokorą i zrozumieniem – przecież w bardziej cofniętych strefach jest wystarczająco dużo sposobności do zdobycia chwały. Spodziewaliśmy się, że zostaniemy cofnięci do strefy czwartej, lecz wtedy Sharum Ka posłał tam Sharach, a nam przeznaczył ich tradycyjne miejsce w strefie dziesiątej.

Jardir ujrzał, jak *Damaji* Kevera z Sharach sztywnieje i prostuje się, lecz nie był pewien, czy z powodu wzmiankowanej decyzji Pierwszego Wojownika, czy może dyshonoru, z jakim wiązało się przydzielone jego plemieniu „tradycyjne miejsce”, które nie przynosiło chwały.

Jardir zerknął na *Damaji'ting*, lecz te nie okazywały żadnych emocji, wszystkie też wyglądały identycznie, przez co nie był w stanie ustalić, która reprezentowała Sharach. Nie miało to jednak znaczenia, gdyż żadna w najmniejszym nawet stopniu nie zareagowała na jego słowa.

– Wojownicy Sharach są dzielnymi mężami – powiedział. – Przyjęli swój nowy przydział z dumą. Trzeba nam jednak pamiętać, że Sharach nie wystawiają wielu wojowników do *alagai'sharak*. Nawet gdyby każdy z nich walczył za dwóch – zerknął przy tych słowach na

Keverę – co zresztą miało miejsce, nie dysponują odpowiednią liczbą ludzi, by w pełni obsadzić pułapkę w czwartej strefie.

Damaji Sharach pokiwał głową i Jardir poczuł przyływ ulgi.

– Cóż zatem uczyniłeś? – zapytał Amadeveram.

– Sharum Ka wydał nam rozkaz, więc go wypełniliśmy – wrzucił ramionami Jardir.

– Kłamca! – wrzasnął Sharum Ka. – Opuściłeś swoją pozycję, synu wielbłądzich szczyń!

Nikt nie odważył się nazwać Jardira tymi słowami od czasu, gdy upokorzył Hasika, i zniewaga zaboląła mocno. Przez ułamek sekundy rozważał, czy przebiec przez komnatę i zabić jednym ciosem Andraha, choć najprawdopodobniej skończyłoby się to dla Jardira śmiercią z rąk strażników. Pozostał więc tam, gdzie stał, wchłonął zniewagę i pozwolił, by odpłynęła w niepamięć, pozostawiając w sercu lodowaty gniew.

– Spędziliśmy w dziesiątej strefie połowę nocy. – W żaden sposób nie dał po sobie poznać, iż usłyszał wykrzyczane przez Sharum Ka słowa, nie odwrócił nawet głowy ku niemu. – Wypatrywacze nie dostrzegli żadnych *alagai* w naszej strefie, nie dostrzegli ich również w dziewiątej, ani nawet w ósmej. Mimo to staliśmy i czekaliśmy.

– Kłamca! – wykrzyknął znów Sharum Ka.

Tym razem Jardir odpowiedział na obelgę.

– Czyżbyś był tam, Pierwszy Wojowniku, skoro z taką ochotą zaprzeczasz prawdzie w moich słowach? Czy w ogóle byłeś tej nocy w Labiryncie?

Sharum Ka otworzył szerzej oczy, a na jego twarzy pojawiła się wściekłość. Słowa Jardira ugodziły go celniej niż fizyczny cios. Już otworzył usta, by się odciąć, ale przerwało mu syknięcie Andraha. Oczy wszystkich zebranych zwróciły się ku niemu.

– Zachowaj pokój, mój przyjacielu – powiedział Andrah do Sharum Ka. – Pozwól, by opowiedział swoją historię. Ty będziesz miał ostatnie słowo.

Jardir z zaskoczeniem uzmysłowił sobie nagle, jak bliskie więzi łączyły tych dwóch mężczyzn. Obaj piastowali wysokie, otoczone powszechnym szacunkiem stanowiska od niemalże czterech dekad. Jardir co prawda łudził się, że Andrah może potrzebować silnego, zdecydowanego Sharum Ka, ale widok jego rozdętego brzuszyska obudził w nim poważne wątpliwości. Skoro sam Andrah zapomniał o wartościach najważniejszych dla wojownika, jak mógł potępić za to samo wykroczenie swego lojalnego Sharum Ka?

– Ktoś zagrał na rogu, wzywając pomocy – podjął Jardir. – Nie byliśmy związani bojem, więc wspiąłem się na szczyt muru, by się przekonać, czy możemy przyjść z odsieczą. Wezwanie o pomoc dobiegało z czwartej strefy, a między czwartą a dziesiątą toczyło się wiele starć. Już miałem zejść, gdy wysłany przeze mnie Wypatrywacz powrócił z wieścią, że Sharach zostali otoczeni i wkrótce zostaną starci z powierzchni ziemi.

Przerwał na chwilę.

– Wszyscy *dal'Sharum* spodziewają się zginąć w Labiryncie. Obojętnie, czy jednej nocy zginie tuzin wojowników, dwa tuziny czy nawet cała setka. Cóż to ma za znaczenie, skoro

ginęli, wypełniając wolę Everama? Dostrzegam jednak wielką różnicę pomiędzy śmiercią wielu ludzi a zgonem całego plemienia. Czy godziło się stać i bezczynnie przyglądać, jak giną Sharach?

– Powiedziałeś przed chwilą, że drogę zagrażały wam inne starcia – zauważył Amadeveram.

– To prawda – zgodził się Jardir. – Ale mój Wypatrywacz dotarł tam bez trudu, a ja przypomniałem sobie czasy *nie’Sharum*, gdy wraz z moimi ludźmi uganiałem się po murach. „Czy istnieje coś, czemu poddała chłopiec, a co okaże się zbyt trudne dla mężczyzny?” – zapytałem siebie i wydałem rozkaz, by wspiąć się na mury. Pobiegliśmy wzdłuż ich szczytów, modląc się do Everama, by zdążyć na czas.

– A co zastaliście po dotarciu na miejsce? – zapytał Amadeveram.

– Połowa Sharach padła w boju – rzekł Jardir. – Zostało ich może z tuzin, wszyscy ranni. Walczyli przeciwko wielkiej liczbie *alagai*, a że dół w czwartej strefie został odsłonięty, potwory wiedziały, jak go unikać.

Przy tych słowach Jardir znów spojrzał na *Damaji* Sharach.

– Ci, którzy pozostali przy życiu, stawali z dumą i honorem. Krew Sharacha, który walczył u boku samego Shar’Dama Ka, bez wątpienia płynie w ich żyłach.

– A co było potem? – nalegał *Damaji*.

– Moi ludzie wsparli naszych braci Sharach i razem zagnaliśmy *alagai* do demoniego dołu.

– Ludzie mówią, że zabiłeś kilka z nich gołymi rękami, jedynie za pomocą sztuki *sharusahk* – rzekł Amadeveram, nawet nie kryjąc dumy.

– Posłałem w ten sposób do dołu zaledwie dwóch – odparł Jardir. Wiedział, że w tym samym momencie jego żona skrzywiła się z dezaprobatą, ale nie dbał o to. Nie miał zamiaru okłamywać *Damaji* czy przypisywać sobie czynów, których nie dokonał.

– Tak czy owak, to wielki czyn – rzekł Amadeveram. – Piaskowe demony są wielokrotnie silniejsze od dorosłego mężczyzny.

– Lata, które spędziłem w Sharik Hora, nauczyły mnie, że siła jest pojęciem względnym – odparł Jardir z ukłonem.

– Co bynajmniej cię nie rozgrzesza, zdrajco! – parsknął Sharum Ka.

– Na czym polega moja zdrada? – zapytał Jardir.

– Wydałem ci rozkaz! – krzyknął Sharum Ka.

– Był to rozkaz godny głupca! – odparł Jardir. – Nie dość, że zmarnowałeś potencjał swoich najlepszych wojowników, to jeszcze skazałeś Sharach na zagładę! A mimo to wypełniłem twoją wolę!

Na te słowa wystąpił *Damaji* Majah, Aleverak. Był sędziwym człowiekiem, starszym nawet od Amadeverama. Z wyglądu i charakteru przypominał włóczęgę, gdyż był chudy niczym kij, ale nadal dumnie wyprostowany, choć zbliżał się do siedemdziesiątego roku

życia.

– Jedynym zdrajcą, którego tu widzę, jesteś ty! – warknął na Sharum Ka. – Twoim zadaniem jest reprezentować wszystkich *Sharum* w Krasji, a gotów byłeś poświęcić *Sharach* tylko po to, by pognać rywala!

Sharum Ka zrobił krok ku *Damaji*, ale Aleverak bynajmniej się nie cofnął. Wręcz przeciwnie, postąpił do przodu i przyjął postawę *sharusahk*. W przeciwieństwie do Jardira, który był zwykłym *kai 'Sharum*, *Damaji* mógł rzucić wyzwanie i zabić Sharum Ka.

– Dość tego! – wykrzyknął Andrah. – Na miejsca!

Obaj pochylili głowy i posłuchali rozkazu.

– Jeszcze tego brakowało, byście walczyli w mojej sali tronowej jak... Jak...

– Mężczyźni? – podpowiedziała Inevera.

Jardir aż się zachłysnął, słysząc taką bezczelność, ale Andrah skrzywił się jedynie i nie wygłosił słowa reprimendy. Westchnął tylko ze zmęczeniem, a Jardir nagle dostrzegł ciężar wielu lat na jego barkach.

Everamie, spraw, bym umarł młodo, pomodlił się w duchu.

– Nikt z zamieszanych w ten incydent nie popełnił przestępstwa – oznajmił w końcu Andrah. – Nikt – dodał, patrząc na Majah. – Sharum Ka wydał rozkazy zgodnie ze swoim obowiązkiem, a *kai 'Sharum* podjął decyzję w zamieszaniu bitewnym.

– Znieważył mnie przed moimi ludźmi! – wykrzyknął Sharum Ka. – To daje mi prawo, bym kazał go zabić!

– Przykro mi, że muszę cię poprawić, Sharum Ka, lecz to nieprawda – rzekł Amadeveram. – Zniewaga daje ci jedynie prawo, byś sam go zabił, a nie rozkazał innym, by zrobili to za ciebie. Gdybyś tak postąpił, sprawa byłaby zamknięta. Czy mógłbym się dowiedzieć, dlaczego tego nie zrobiłeś?

Zapadła cisza. Sharum Ka rozpaczliwie szukał stosownej odpowiedzi, a Jardir nagle poczuł delikatne szturchnięcie Inevery.

Spojrzał na żonę.

„Czyżbyśmy już wygrali?” – pytało jego spojrzenie, ale oczy Inevery załśniły stałą w odpowiedzi.

– Ponieważ jest tchórzem – oznajmił Jardir. – Brak mu sił, by bronić swego białego turbanu, więc chowa się w pałacu i wysyła innych, by walczyli za niego! Niczym *khaffit* czeka, aż śmierć po niego przyjdzie, zamiast szukać jej w Labiryncie, jak przystało na *Sharum*.

Sharum Ka wybałuszył oczy i zacisnął z furią zęby, aż pokazały mu się żyły na czole i karku. Jardir napiął mięśnie, oczekując ataku. W wyobraźni nagle ujrzał wszystkie możliwe scenariusze starcia i sposoby na zabicie starego człowieka.

Nie było jednak potrzeby, gdyż Sharum Ka niespodziewanie złapał się za klatkę piersiową i upadł. Wił się i rzucał przez chwilę, piana wystąpiła mu na usta, aż wreszcie

znieruchomiał.

* * *

– Wiedziałaś, że do tego dojdzie – rzekł Jardir oskarżycielskim tonem, gdy znaleźli się z Ineverą na osobności. – Wiedziałaś, że jeśli doprowadzę Sharum Ka do furii, jego serce zawiedzie.

– A nawet jeśli, to co z tego? – wzruszyła ramionami Inevera.

– Ty głupia kobieto! – wykrzyknął Jardir. – To hańba zabić mężczyznę w taki sposób!

– Bacz na swój język! – ostrzegła go Inevera, unosząc palec. – Nie jesteś jeszcze Sharum Ka, a bez mojej pomocy nigdy się nim nie staniesz.

Jardir skrzywił się, zastanawiając się nad znaczeniem jej słów. Czyżby godność Sharum Ka była mu przeznaczona? A jeśli tak, to czy przeznaczenie można zmienić?

– Jeśli po tym wszystkim uda mi się pozostać *kai'Sharum*, uznam to za niezwykle uśmiech losu – odpowiedział. – Właśnie zabiłem przyjaciela Andraha.

– Nonsens – rzekła Inevera, uśmiechając się chytrze. – Andrah jest człowiekiem... jak by to rzec... elastycznym. Stanowisko jest wolne, a ty zdobyłeś ogromną sławę, czemu nie zaprzeczą nawet Majah. Przekonam go, że wyznaczając cię na to stanowisko może tylko zyskać na znaczeniu.

– W jaki sposób? – zapytał Jardir.

– Zostaw to mnie – powiedziała Inevera. – Masz teraz inne zmartwienia. Gdy Andrah włoży ci biały turban, w swoim pierwszym rozporządzeniu ogłosisz, że jako symbol jedności przyjmiesz po jednej płodnej żonie z każdego plemienia.

Jardir był wstrząśnięty.

– Mam mieszać krew Kajiego, pierwszego Wybawiciela, z krwią niższych plemion?

Inevera uderzyła go mocno palcem w pierś.

– Zostaniesz Sharum Ka, jeśli przestaniesz zachowywać się jak głupiec i zaczniesz robić to, co ci każe. Gdy uda ci się spłodzić potomka z kobietą z każdego plemienia...

– ...Krasja będzie zjednoczona jak nigdy dotąd – podchwycił Jardir. – Mógłbym zaproponować *Damaji*, by pomógł mi je wybrać – zastanowił się. – To powinno przysporzyć mi popularności.

– Nie – powiedziała Inevera. – To akurat zostaw mnie. W takich sytuacjach *Damaji* kierowałyby się względami politycznymi. *Alagai hora* wybiorą w imieniu Everama.

– I ciągle te kości – mruknął Jardir. – Czy sam Kaji był nimi związany?

– To właśnie Kaji jako pierwszy dał nam runy przepowiedni – powiedziała Inevera.

* * *

Następnego dnia Jardir raz jeszcze znalazł się w sali tronowej Andraha. *Damaji* zaczęli szeptać między sobą na jego widok, a *Damaji'ting* przyglądały się, ciche i nieprzeniknione jak zawsze.

Andrah siedział na swym tronie i bawił się turbanem Sharum Ka. Stalowy hełm, który owinięto materiałem, rozbrzmiewał czystą nutą, gdy mężczyzna stukał w niego długim, lakierowanym paznokciem.

– Sharum Ka był wielkim wojownikiem – rzekł, jak gdyby czytał w myślach. Wstał, a Jardir natychmiast padł na kolana, rozkładając pokornie ramiona.

– Tak, Wasza Świątość – odparł, lecz Andrah uciszył go machnięciem dłoni.

– Nie pamiętasz go takim, to pewne. Gdy ty jeszcze nosiłeś bido, liczył sobie więcej lat, niż większość *Sharum* jest w stanie dożyć, i nie mógł już stawiać czoła *alagai* jak młodzi.

Jardir pochylił głowę.

– Młodzi ludzie popełniają jeden zasadniczy błąd, a mianowicie utrzymują, iż wartość człowieka należy mierzyć siłą jego ramienia – mówił Andrah. – Czy mnie będziesz oceniał w ten sam sposób?

– Proszę o wybaczenie, Wasza Świątość, lecz wy nie jesteście wojownikiem – powiedział Jardir. – To *Sharum* są waszym ramieniem w mroku nocy, a to ramię musi być silne.

Andrah chrząknął.

– Śmiałe słowa – skwitował. – Choć, jak sądzę, każdego mężczyznę, który wziął *dama'ting* za żonę, można nazwać śmiałkiem.

Jardir nie odpowiedział.

– Próbowaleś go sprowokować – ciągnął duchowny. – Chciałeś, by cię zaatakował. Bez wątplenia sądziłeś, iż w ten właśnie sposób powinien umrzeć dzielny człowiek.

Jardir nadal milczał.

– Gdyby cię jednak zaatakował, wyszłoby na to, że jest głupcem. A Everam nie ma cierpliwości dla głupców.

– Tak, Wasza Świątość.

– A teraz nie żyje. Mój przyjaciel, człowiek, który pokazał słońce niezliczonym *alagai*, leży martwy i pohańbiony na podłodze, ponieważ to ty nie potrafiłeś okazać mu szacunku, na który zasługiwał.

Jardir przełknął ślinę. Andrah sprawiał wrażenie, jakby szykował się, by go uderzyć. Wszystko toczyło się nie tak, jak obiecywała Inevera, co więcej, nigdzie jej nie dostrzegali. Rozejrzał się po komnacie, szukając wsparcia, lecz *Damaji* pokornie spuścili wzrok, jak zawsze, gdy przemawiał Andrah, a *Damaji'ting* po prostu przyglądały mu się bez zainteresowania.

Andrah westchnął, a nagromadzony w nim gniew wydawał się uchodzić. Znow podszedł do swego tronu i zasiadł na nim ciężko.

– Z bólem patrzę, jak człowiek, który zdobył tak wielką sławę, umiera w hańbie. Moje

serce domaga się pomsty, ale nic nie zmieni faktu, że Sharum Ka nie żyje, a ja byłbym głupcem, gdybym zignorował to, że po raz pierwszy od wieków *Damaji* zgadzają się w kwestii sukcesji.

Jardir raz jeszcze zerknął na *Damaji*. Mogło mu się co prawda wydawać, ale odniósł wrażenie, że Amadeveram skinął lekko w jego kierunku.

– Zostaniesz Sharum Ka – rzekł ostro Andrah. – Noc należy do ciebie.

Jardir rozłożył ramiona i nie wstając z klęczek, pochylił się, dotykając czołem grubych dywanów rozłożonych przed tronem.

– Będę waszym silnym ramieniem w mroku nocy, Wasza Świątość – przysiągł.

– Ogłoszę wieści dziś wieczorem w Sharik Hora – oznajmił Andrah. – Możesz odejść.

Jardir raz jeszcze dotknął czołem podłogi i przypomniał sobie zalecenia Inevery. *Damaji* już zaczęli szeptać między sobą. Jeśli chciał zabrać głos, musiał zrobić to teraz.

– Wasza Świątość! – zaczął. Andrah znów spojrzał na niego, tym razem z podirytowaniem. – Chcę prosić o błogosławieństwo wasze i wszystkich *Damaji*, albowiem na znak jedności *Sharum* chciałbym wziąć po jednej płodnej żonie z każdego plemienia.

Andrah spojrzał na niego z nagłym zdumieniem, podobnie jak *Damaji*. Nawet *Damaji'ting* poruszyły się, zdradzając zainteresowanie niespodziewaną prośbą.

– To dość niezwykle życzenie – rzekł Andrah po dłuższej chwili.

– Niezwykle? – odezwał się Amadeveram. – To niesłychane! Jesteś Kaji! Nie pobłogosławię ślubu z jakąś...

– Nie musisz – przerwał mu Aleverak z szerokim uśmiechem. – Jeśli Sharum Ka zażyczy sobie wziąć żonę z Majah, z największą ochotą przeprowadzę ceremonię.

– Nie wątpię, że z radością będziesz patrzył, jak rozcieńcza się czysta krew Kajiego – warknął Amadeveram, lecz Aleverak nie podjął kłótni, nadal szczerząc zęby w uśmiechu.

– Ja zaś pobłogosławię twój ślub z córką Sharach – oznajmił *Damaji* Kevera z Sharach. Pozostali *Damaji* nie potrzebowali dalszych zachęt, jeden po drugim ogłaszali swą zgodę. Nic dziwnego, pragnęli zapewnić sobie na przyszłość, że będą mieć wpływy na dworze Pierwszego Wojownika.

– Przecież nie możesz się na to zgodzić! – Amadeveram odwrócił się do Andraha.

– To ja jestem Andrahem, a nie ty, Amadeveramie – odrzekł tamten. – Jeśli Sharum Ka życzy sobie jedności, a *Damaji* się zgadzają, nie widzę powodu, by protestować. Jak i ja, Pierwszy Wojownik pragnie znieść podziały i zrobi to, gdy tylko przywdzieje biały turban.

Wtedy po raz pierwszy Andrah zwrócił się ku *Damaji'ting*.

– Ta kwestia leży bardziej w gestii kobiet aniżeli tego, kto dzierży pierwszą włócznię – powiedział, nie zwracając się do żadnej konkretnej kobiety. – Co *Damaji'ting* mają do powiedzenia na tę propozycję?

Odziane na biało kobiety odwróciły się plecami do mężczyzn i zbiły w gromadkę, nad którą poniósł się szmer toczonych szeptem rozmów. Niedługo to trwało, nim odwróciły się z

powrotem ku Andrahowi.

– *Damaji'ting* nie wyrażają sprzeciwu – rzekła jedna z nich.

Amadeveram skrzywił się, a Jardir wiedział, że obudził w nim gniew, którego być może nigdy nie ukoł, ale teraz nie mógł temu zaradzić. Miał już trzy żony z plemienia Kaji, w tym *Jiwah Ka*. Powinno wystarczyć.

– A więc uzgodnione – rzekł Aleverak. – Moja własna wnuczka właśnie ukończyła czternasty rok życia, Sharum Ka, jest piękna i nigdy nie zaznała mężczyzny. Urodzi ci silnych synów.

Jardir uklonił się nisko.

– Proszę o wybaczenie, *Damaji*, lecz obowiązek wybrania odpowiednich żon musi przypaść mojej *Jiwah Ka*. Wybierając je, będzie się kierowała wyrokiem *alagai hora*, by zapewnić małżeństwom błogosławieństwo Everama.

Damaji'ting znów zaczęły szeptać, a szeroki uśmiech Aleveraka znikł w okamgnieniu, podobnie jak uśmiechy wielu innych *Damaji*, ale było już za późno, by wycofać poparcie dla Jardira. Wściekły wyraz twarzy Amadeverama znikł, a w jego miejsce pojawiła się przebiegła satysfakcja.

– Dość już gadania o żonach! – warknął Andrah. – Masz, czego chciałeś, Sharum Ka. Idź więc i nie siej już zamieszania moim dworze!

Jardir uklonił się i wyszedł.

* * *

– Czyś ty rozum postradał? – zapytał gniewnie Amadeveram. Stary *Damaji* dogonił Jardira, nim ten zdążył wyjść z pałacu, a potem zaciągnął go do swojej komnaty.

– Oczywiście, że nie, mój *Damaji* – odpowiedział Jardir.

– Zdaje się, że „twoim” *Damaji* będę jeszcze tylko przez parę godzin – stwierdził Amadeveram.

Jardir wzruszył ramionami.

– Nadal będzie rządziła mną rada *Damaji*, którzy przemawiają twoim głosem. Lecz jako Sharum Ka muszę reprezentować wojowników ze wszystkich plemion.

– Sharum Ka nie reprezentuje wojowników, on nimi rządzi! – krzyknął Amadeveram. – To, że jesteś Kaji, stanowi najlepszy dowód, iż Everam chce, by Kaji rządzili! Nie możesz zrealizować tego szalonego planu!

– Mogę i nie zawaham się przed tym, dla dobra całej Krasji – odparł Jardir. – Nie będę marionetką w twoich rękach, jak ostatni Sharum Ka. Jeśli chcemy, by nasza armia była silna, wojownicy muszą się zjednoczyć, a jedyny sposób, by zdobyć ich oddanie, to stać się jednym z nich.

– Odwracasz się od własnego plemienia!

– Nie, zwracam się ku innym. I błagam cię, zwróć się razem ze mną.

– Ku naszym zaprzysięgłym wrogom? – wykrzyknął ze zgrozą Amadeveram. – Wolałbym umrzeć w hańbie!

– Za czasów Kajiego było tylko jedno plemię – przypomniał mu Jardir. – Nasi zaprzysięgli wrogowie pochodzą z tej samej krwi co my.

– Ty nie jesteś krwią Kajiego – oznajmił Amadeveram i splunął przed jego stopy. – Krew Shar'Dama Ka zamieniła się w twoich żyłach w wielbłądzie szczyny.

Twarz Jardira pociemniała i przez krótką chwilę rozważał pomysł zabicia Amadeverama. Był on co prawda mistrzem *sharusahk*, ale Jardir miał przewagę młodości i szybkości. Pokonałby go bez trudu.

Jednakże nie został jeszcze Sharum Ka. Zabicie Amadeverama zrujnowałoby plan Inevery i kosztowało Jardira Tron Włóczni.

Czy od tej pory już zawsze sukcesy będą przychodziły bez poczucia dumy? – zapytał się w duchu.

* * *

– Sharum Ka nie żyje! – wykrzyknął Andrah do wojowników stłoczonych w Sharik Hora, na co ci odpowiedzieli chóralnym wyciem, spotęgowanym waleniem włóczni o tarcze. Owa ogłuszająca kakofonia miała zaanonsować Pierwszego Wojownika stojącego u bram Everama. – Nie zarzucimy jednak walki jak ci na Północy! – krzyczał Andrah, gdy ucichł zgiełk. – Jesteśmy Krasjanami! Jesteśmy krwią samego Shar'Dama'Ka! Będziemy walczyć aż do powrotu Wybawiciela lub do chwili, gdy z ręki ostatniego *nie'Sharum* wypadnie włócznia, a Krasja pogrąży się w piasku!

Wojownicy znów zakrzyknęli, unosząc włócznie w powietrze.

– Wyznaczyłem więc nowego Sharum Ka, który będzie wami dowodził podczas *alagai'sharak*. Gdy był zaledwie *nie'Sharum*, został mianowany *Nie Ka* i służył na murach już jako dwunastolatek, najmłodszy *nie'Sharum* od stu lat! Po zaledwie sześciu miesiącach służby strącił siecią wichrowego demona, który zabił Wypatrywacza i wyeliminował z walki Mistrza Ćwiczeń! W uznaniu zasług ten młodzieniec został zaproszony do pawilonu Kaji jako najmłodszy człowiek od czasu Powrotu. Pierwszej nocy *alagai'sharak* walczył tak dzielnie, że został wysłany do Sharik Hora, gdzie studiował pięć długich lat pod czujnym okiem *dama*, by założyć czarną szatę jako *kai'Sharum*, najmłodszy od czasu samego Wybawiciela!

Wśród Kaji, którzy znali dokonania Jardira, poniósł się szmer ożywionych rozmów. Andrah odczekał chwilę, by jeszcze podbudować nastrój, a potem podjął:

– Zaledwie dwie noce temu ów *kai'Sharum* poprowadził swoich wojowników na odsiecz Sharach, którym w oczy wejrzała zagłada, i nim jego ludzie naszykowali włócznie, on już zabijał *alagai* gołymi rękami!

Szmer spotężniał, przeszedł w gwar. Nie było w Krasji mężczyzny, nie było kobiety czy dziecka, którzy nie słyszeliby tej opowieści.

– Ahmann asu Hoshkamin am’Jardir am’Kaji, stań przed Tronem Czaszek! – rozkazał Andrah, a gdy pojawił się Jardir, ubrany w czarne szaty *Sharum*, lecz z odsłoniętą głową, wojownicy zakrzyknęli chórem i znów uderzyli włóczniami o tarcze.

Inevera szła w milczeniu u jego boku i gdy Jardir szykował się, by złożyć ceremonialny pokłon, uklękła, by ułożyć Evejah Andraha w miejscu, którego miało dotknąć jego czoło. Święta księga została wypisana krwią *dal’Sharum* na pergaminie ze skóry *kai’Sharum*, a oprawiona w skórę Sharum Ka. Gdyby skłamał podczas swej przysięgi, księga rozerwałaby mu czaszkę.

– Czy służyysz Everamowi we wszystkim, co czynisz? – zapytał Andrah.

– Tak, Wasza Świętość – poprzysiągł Jardir.

– Czy będziesz Jego silnym ramieniem w nocy i będziesz walczył na chwałę tronów Sharik Hora?

– Będę, Wasza Świętość.

– Czy jesteś gotów prowadzić *alagai’sharak* do powrotu Shar’Dama Ka lub własnej śmierci?

– Jestem, Wasza Świętość.

– A zatem powstań – rzekł Andrah, unosząc biały turban Sharum Ka wysoko, tak by wszyscy go widzieli. – Noc czeka na swojego Sharum Ka.

Jardir powstał, a Andrah odwrócił się ku Ineverze. Podał jej turban, a ona umieściła go na głowie Jardira.

Sharum ryczeli i tupali z zachwytem, lecz Jardir ledwie to zauważył. Dlaczego Andrah nie nałożył mu turbanu osobiście, jak nakazywał obyczaj? Dlaczego oddał ów zaszczyt Ineverze?

– Przestań wygrzewać się w blasku chwały i powiedz to, co należy – szepnęła Inevera, wrywając go z zadumy.

Jardir odwrócił się ku zebranych *Sharum* – patrzyło na niego prawie sześć tysięcy wojowników. Jeszcze nie tak dawno było ich dziesięć tysięcy, ale poprzedni Sharum Ka nie dbał o ludzkie życie. Jardir poprzysiągł sobie w duchu, iż nie popełni tego samego błędu.

– Moi bracia w nocy! – zawołał. – Cóż to za wspaniałe czasy, by walczyć jako jeden z *Sharum*! Każde z krasjańskich plemion z osobna potrafi sprawić, że *alagai* kulą ogony ze strachu, lecz dziś, gdy staniemy razem, nie będzie dla nas rzeczy niemożliwych!

Wojownicy ryknęli z entuzjazmem i Jardir zaczekał, aż zgiełk przycichnie.

– Kiedy patrzę na was, widzę jednak podziały! – wykrzyknął. – Przejście oddziela Majah od Kaji! Jama unikają Khanjin! Nie ma plemienia, które nie widzi w tej świątyni swoich wrogów! Mamy być braćmi w nocy, ale kto z was z własnej woli pognął na odsiecz Sharach, gdy wróg wycinał ich w pień?

Zapadła cisza, nikt spośród zebranych nie wiedział, jak zareagować na słowa Jardira.

Wojownicy wiedzieli, że ma rację, ale nienawiść plemienna była głęboko zakorzeniona i nie ustępowała łatwo, nawet gdy ktoś próbował ją przemóc. A niewielu próbowało.

– Mówi się, że Sharum Ka nie pochodzi z żadnego plemienia – ciągnął Jardir. – Moim zdaniem jednak to jeszcze gorzej! Na jaką lojalność może bowiem liczyć człowiek bez plemienia? Evejah uczy nas, że prawdziwą lojalność budują dopiero więzy krwi. Tak więc – wskazał dłonią Andraha oraz *Damaji*, siedzących na swych tronach – zdecydowałem się poprosić naszych przywódców o zgodę na połączenie swojej krwi z waszą. Z błogosławieństwem Andraha każdy z *Damaji* zgodził się oddać mi jedną płodną córkę z waszego plemienia, by zrodziła mi syna *Sharum*. Tym sposobem każde plemię będzie mogło liczyć na moją lojalność.

Zaskoczenie na dłuższą chwilę odjęło wszystkim mowę, po czym świątynia aż się zatrzęsała od entuzjastycznego wrzasku zebranych. Radości nie okazali jedynie Kaji, którzy najprawdopodobniej sądzili, iż Jardir, podobnie jak jego poprzednicy, bez względu na zapisy w Evejah zachowa lojalność wobec własnego plemienia.

Niech się gryzą i dręczą, pomyślał Jardir. Odzyskam ich serca w Labiryncie.

– A zatem – zakrzyknął, a zgromadzeni znów ucichli – gdy tylko moja *Jiwah Ka* dobierze właściwe żony, *Damaji* przeprowadzą rytuały zaślubin.

A wtedy krok do przodu zrobiła Inevera, zaskakując wszystkich łącznie z samym Jardirem. Czyżby miała przemówić? Nikt nigdy nie słyszał, by kobieta przemawiała w Sharik Hora, bez względu na to, czy była *dama'ting* czy też nie.

Wyglądało jednak na to, że domeną Inevery były rzeczy, o których nikt nigdy nie słyszał.

– Nie ma na co czekać – powiedziała głośno. – Niech wystąpią przyszłe żony Sharum Ka! Jardir otworzył usta. Już wybrała jego przyszłe żony? Przecież to niemożliwe!

A wtedy pojawiło się jedenaście kobiet, które weszły na wielki ołtarz Sharik Hora i uklękły przed kompletnie oniemiałymi *Damaji* swych plemion. Na ich widok Jardir poczuł czarną rozpacz.

Wszystkie były *dama'ting*.

* * *

Pałac Sharum Ka był mniejszy od pałacu Kaji, ale gdy tamten stanowił kwaterę dla tuzinów *kai'Sharum*, *dama* i ich rodzin, ten należał tylko i wyłącznie do Jardira. Młody Sharum Ka dobrze pamiętał lata przespane pod brudną szmatą na zatłoczonej kamiennej podłodze Kaji'sharaj i nie mógł się teraz nadziwić otaczającemu go splendorowi. Gdziekolwiek się udał, wszędzie natrafiał na pluszowe dywany, aksamit i jedwab. Jadał na porcelanowych talerzach, które były tak delikatne, iż obawiał się ich dotknąć, pił ze złotych kielichów wysadzanych diamentami. A te fontanny! Najcenniejszym surowcem Krasji była woda, a tymczasem nawet w sypialni jego matki szemrała niewielka fontanna.

Rzucił Qashę na stos poduszek, sycąc oczy drzeniem jej miękkich piersi, wyraźnie widocznych przez przejrzystą bluzkę. Nosiła spodnie z tego samego przezroczystego materiału, które odsłaniały jej kobiecość, starannie ogoloną i wyperfumowaną. Przepełniony pożądaniem, padł na nią, a wtedy przyszło mu do głowy, iż być może ślub z dwunastoma *dama'ting* nie jest aż tak straszny, jak się tego obawiał.

Wśród jego nowych żon Qasha z Sharach była ulubioną. Urodą niemalże dorównywała Ineverze, a ponadto była od niej o wiele posłuszniejsza i zrzucała szaty na każde życzenie męża. Została mu poślubiona zaledwie sześć tygodni temu i brzuch miała nadal płaski, ale już nosiła pod sercem dziecko – syna – pierwszego potomka, który zrodzi się z nowych żon. Jardir wiedział, że powinien już wziąć kolejną i zapełnić pałac ciężarnymi, które zwiążą Sharum Ka z plemionami, lecz stan Qashy tylko potęgował pożądanie wojownika. Inevera zaś zupełnie się tym nie przejmowała. W kwestii *Jiwah Sen* okazała się znacznie mniej surowa i pozwalała Jardirovi pokładać się, z którąkolwiek zechce. On zaś lubił mieć Qashę blisko siebie, albowiem służyła mu tak, jak prawowita żona powinna.

Śmiejąc się, Qasha odepchnęła go, przewróciła na plecy i dosiadła skwapliwie.

– Na kości Everama, kobieto! – Jardir aż sapnął.

– Powinnam okazywać uległość na poduszkach z Sharum Ka? – zapytała, unosząc lekko biodra i opuszczając je zdecydowanie. – Dopiero co Andrah opowiadał o chwale, jaką zdobyłeś w Labiryncie od chwili, gdy zostałeś Sharum Ka. To honor być pochwą dla twojej włóczni.

Pochyliła się, poruszając się rytmicznie.

– Kobieta może nosić dwójkę dzieci w łonie – szepnęła między jednym pachnącym pocałunkiem a drugim. – Może uda ci się zapłodnić mnie po raz drugi, bym urodziła ci drugiego syna.

Jardir zaczął coś mówić, lecz zachichotała i przerwała jego słowa, wciskając mu sutek do ust. Przez długie minuty pocili się i zmagali w jedynej bitwie, która mogła się równać *alagai'sharak*.

Gdy dobiegła końca, Qasha odtoczyła się na bok i uniosła nogi, by zatrzymać w sobie nasienie męża.

– Byłaś w pałacu zeszłej nocy, gdy wyszedłem o zmierzchu – odezwał Jardir się po chwili.

Qasha spojrzała na niego i przez jej nadobną twarz przemknął lęk, który natychmiast został wyparty przez chłodną maskę *dama'ting*. Jardir zdążył już do tego przywyknąć, żony przybierały ją bowiem za każdym razem, gdy poruszał jakikolwiek inny temat poza uprawianiem miłości czy dziećmi.

– Tak, byłam – przyznała.

– A zatem kiedy widziałas się z Andrahem? – zapytał Jardir. – Brzemieniom kobietom, nawet *dama'ting*, nie wolno opuszczać pałacu w nocy.

– Złe się wyraziłam – odparła Qasha. – Chodziło mi o inną noc?

– Którą? – naciskał Jardir. – W którą to noc bez mojej zgody zabrałaś mojego nienarodzonego syna z bezpiecznego pałacu?

Qasha uniosła się.

– Jestem *dama'ting* i nie będę...

– Jesteś moją *jiwah!* – ryknął Jardir i Qasha aż się skuliła. – Evejah nie czyni wyjątku dla *dama'ting*, gdy przykazuje wszystkim żonom posłuszeństwo wobec mężów!

Jardir miał dość tego, że Inevera nagminnie naginała święte prawo do własnych celów bądź zgoła je ignorowała. Nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić, by pozostałe żony czyniły to samo. Był przecież Sharum Ka!

– Nie wyszłam poza barierę runiczną! – wykrzyknęła Qasha, unosząc dłonie. – Przysięgam!

– A skłamałaś w sprawie słów Andraha? – zapytał Jardir, zaciskając pięść.

– Nie!

– A zatem Andrah był tutaj, w moim pałacu?

– Proszę, nie wolno mi o tym mówić. – Qasha opuściła wzrok. – Zabroniono mi.

Jardir złapał ją bez litości, szarpnął, zmusił, by spojrzała mu w oczy.

– Jestem jedynym człowiekiem na świecie, który może ci cegokolwiek zabronić!

Qasha targnęła się i wyrwała z jego uścisku, lecz straciła równowagę i runęła na podłogę. Wybuchła płaczem i zakryła twarz dłońmi, drżąc na całym ciele. Sprawiała wrażenie tak kruchej i przerażonej, iż Jardir poczuł, jak cały gniew z niego uchodzi. Uklęknął i delikatnie położył dłonie na jej ramionach.

– Ze wszystkich moich żon ciebie cenię najbardziej – rzekł. – Proszę cię tylko o lojalność. Nie zostaniesz ukarana za odpowiedź, przysięgam.

Uniosła załzawione oczy, a Jardir odgarnął jej włosy z twarzy i otarł łzy kciukiem. Wyrwała się i wbiła wzrok w podłogę. Gdy wreszcie się odezwała, mówiła tak cicho, że ledwie mógł ją dosłyszeć:

– Nocą, gdy nasz pan walczy w *alagai'sharak*, w pałacu Sharum Ka nie zawsze panuje cisza i spokój.

Jardir stłumił falę gniewu.

– A kiedy znów cisza i spokój zostaną zakłócone?

– Nie wiem – zaszlochała Qasha, kręcąc głową.

– A więc rzuć kośćmi i się dowiedz – rozkazał jej Jardir.

– Nigdy bym się nie odważyła! – Spojrzała na niego z przerażeniem.

Jardir warknął, a gniew znów w nim rozgorzał, gdy przeklął w duszy dzień, kiedy to poślubił *dama'ting*. Nie mógłby jej uderzyć, nawet gdyby nie nosiła jego dziecka, i Qasha dobrze o tym wiedziała. W otchłani Nie istniała bowiem specjalna strefa przeznaczona dla mężczyzn, którzy skrzywdzili *dama'ting*.

Jardir nie zamierzał jednak pozwolić na to, by rządziły nim żony tylko dlatego, że nie mógł narzucić im posłuszeństwa wedle nauk Evejah. Istniały przecież inne sposoby na wywołanie lęku.

– Nuży mnie twoje nieposłuszeństwo, *jiwah* – oznajmił. – Rzuć kośćmi albo pchnę Sharach do pierwszej strefy i twoje plemię zostanie pożarte przez noc. Wasi chłopcy zostaną wyrzuceni z *Hannu Pash* jako *khaffit*, a kobiety skazane na los dziewczek obsługujących pośledniejsze plemiona.

Oczywiście nigdy nie posunąłby się tak daleko, ale Qasha nie musiała o tym wiedzieć.

– Nie ośmielisz się!

– Czemu miałbym pozwolić, by twoje plemię zdobywało chwałę, skoro nawet ty okazujesz mi brak szacunku? – zapytał Jardir. Jej szloch przeszedł w rozpaczliwy płacz, ale sięgnęła do talii po sakiewkę z czarnego filcu i kolorowych paciorków, która była nieodłącznym atrybutem każdej *dama'ting*.

Jardir, który zdążył już się co nieco o rzucaniu kośćmi dowiedzieć, zasunął ciężkie aksamitne zasłony, by do środka nie wpadł najslabszy nawet promyk światła. Światło niszczyło bowiem magię kości i czyniło je bezużytecznymi.

Qasha zapaliła świecę i spojrzała na niego z przestachem w oczach.

– Przysięgnij mi – poprosiła. – Przysięgnij, że nigdy nie zdradzisz *Jiwah Ka*, co zrobiłam dla ciebie.

Inevera. Oczywiście Jardir spodziewał się, że jego Pierwsza Żona znajdzie się w centrum każdej pałacowej intrygi, ale wzmianka o niej i tak go zabolala. Był teraz Sharum Ka, a Inevera nadal nie zdradzała mu swoich planów.

– Przysięgam na Everama i na krew moich synów – rzekł Jardir.

Qasha skinęła głową i rzuciła kośćmi. Jardir przyglądał się ich złowrogemu poblaskowi i po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy one na pewno są głosem Everama na Ala.

– Dziś w nocy – szepnęła.

– Schowaj kości. Nie będziemy już o tym rozmawiać.

– A Sharach? – zapytała Qasha.

– Nigdy nie zaspokoilibym własnej wściekłości kosztem plemienia mojego syna – powiedział Jardir, kładąc dłoń na jej brzuchu. Qasha westchnęła i oparła głowę na jego ramieniu, pozwalając, by uszło z niej napięcie.

* * *

Gdy słońce zbliżało się do kresu swej codziennej wędrówki, Jardir opuścił Qasę, śpiącą na poduszkach, wdział czarną szatę i nałożył biały turban. Wybrał ulubioną włócznię i tarczę i zszedł na kolację, którą spożywał wraz ze swymi *kai'Sharum*.

Tego wieczoru raczyli się przyprawionym mięsem, zapijanym zimną wodą, a przy stole

usługiwały im matka Jardira, jego obie *dal'ting* żony oraz siostry. Jego żony *dama'ting* bez wątpienia czaiły się w cieniach, podsłuchując rozmowy wojowników. Nigdy nie zniżyłyby się do tego, by usługiwać przy stole. Ashan, jego duchowy doradca, zasiadł naprzeciw przy końcu stołu, Shanjat, który zastąpił Jardira na stanowisku *kai'Sharum* jego oddziału, siedział po prawicy, a Hasik, osobisty ochroniarz, po lewicy.

– Jakie straty ponieśliśmy zeszłej nocy? – zapytał Jardir, gdy podano herbatę.

– Straciliśmy czterech braci, Pierwszy Wojownik – rzekł Ashan.

Jardir spojrział na niego z zaskoczeniem.

– Kaji stracili czterech ludzi?

– Nie, mój przyjacielu – uśmiechnął się Ashan. – Nie Kaji, a Krasja. Krasja straciła czterech ludzi, dwóch Naganiaczy oraz dwóch Wypatrywaczy. Wszyscy byli *dal'Sharum* nie pierwszej młodości, a odeszli w glorii i chwale.

Jardir również się uśmiechnął. Odkąd został Sharum Ka, nocne straty się zmniejszyły, a ilość zniszczonych demonów wzrosła.

– A *alagai*? – zapytał. – Ile z nich ujrzało słońce?

– Ponad pięć setek.

Jardir roześmiał się. Nie sądził, by udało im się zniszczyć choć połowę tego, gdyż każde plemię tradycyjnie przesadzało z raportami o liczbie zniszczonych *alagai*, ale tak czy owak był to niezły rezultat, o wiele lepszy niż za czasów poprzedniego Sharum Ka.

– Plemiona broniące ósmej strefy nie miały okazji do zdobycia chwały – ciągnął Ashan. – Zastanawialiśmy się nad pozostawieniem bram Labiryntu otwartych nieco dłużej, by wystarczyło *alagai* dla wszystkich.

Jardir skinął głową.

– Dodatkowe dziesięć minut. Jeśli nie wystarczy, jutro zwiększymy czas o kolejne dziesięć minut. Będę tej nocy na murach, chciałbym się przyjrzeć nowym skorpionom i miotaczom kamieni.

– Jak Sharum Ka rozkaże. – Ashan uklonił się.

Po posiłku wojownicy udali się do Sharik Hora, gdzie *Damaji* chwalił ich zwycięstwa i błogosławił przed nadchodzącą bitwą. Gdy udali się w stronę Labiryntu, Jardir zatrzymał swych poruczników.

– Hasik, dziś to ty będziesz nosił biały turban – powiedział.

W oczach Hasika pojawił się dziki błysk.

– Jak Sharum Ka rozkaże – uklonił się.

– Chyba sobie stroisz żarty! – powiedział Ashan. – Nie możesz rozkazać *dal'Sharum*, by odgrywał rolę Sharum Ka, to pogwałcenie naszych świętych przysięg!

– Nonsens – rzekł Jardir. – Opowieści w Ewejah mówią o tym, że Kaji często uciekał się do tej sztuczki, gdy nie chciał, by przeciwnik poznał jego zamiary.

– Wybacz mi, Pierwszy Wojownik, lecz nie jesteś Wybawicielem – sprzeciwił się

Ashan.

– Może – uśmiechnął się Jardir. – Lecz czym jest Evejah, jeśli nie tym, co Shar'Dama Ka pozostawił, byśmy się uczyli?

– A co będzie, jak Hasik zostanie odkryty? – zmarszczył brwi Ashan.

– Nie zostanie – rzekł Jardir. – Będzie miał przesłoniętą twarz, drużyny miotaczy go nie rozpoznają. Miotacze bowiem widywali mnie rzadko, a jeśli już, to z oddali. Hasik jednakże będzie widziany na murach przez wszystkich *Sharum* i nikt mi nie zarzuci, że nie było mnie tej nocy w Labiryncie.

– Jeśli się mylisz, Hasik zginie – ostrzegł go Ashan.

– Hasik zabił setki *alagai*. – Jardir wzruszył ramionami. – Jeśli rzeczywiście przyjdzie mu zginąć, to obudzi się w raju.

– Nie lękam się, Sharum Ka – rzekł Hasik.

– Mało który głupiec wie, co to lęk – parsknął Ashan. – A dokąd ty sam masz zamiar się udać, gdy inni będą myśleć, że jesteś na murach?

– A to już moja sprawa – rzekł Jardir, biorąc czarny turban Hasika.

* * *

Nocą na ulicach Fortu Krasja panuje cisza i pustka, gdyż prawdziwi mężczyźni walczą z demonami, a zwykli *khaffit*, kobiety i dzieci zamknięci są w Podmieście. Podobnie jak wszystkie inne pałace w mieście, pałac Sharum Ka otoczony był murami krytymi wieloma runami, a jego niższe poziomy łączyły się z Podmiastem w kilku miejscach. Na wypadek przedarcia się *alagai* pałac był więc najbezpieczniejszym miejscem na świecie, ale należało przecież pamiętać o tym, że nigdy demonom nie udało się sforsować zewnętrznych murów miasta.

Jardir trzymał się jednak cieni, a jego czarne szaty *dal'Sharum* czyniły go niewidzialnym w ciemnościach. Nawet gdyby na kogoś się natknął, nikt nie zauważyłby jego przejścia.

Bramy do pałacu były zamknięte, ale przez długie lata jako *nie'Sharum* nauczył się wspinać po murach bez żadnych trudności. W okamgnieniu znalazł się na górze i zeskoczył w ciemność po drugiej stronie.

Na pierwszy rzut oka nic nie odbiegało od normy. Okna były ciemne, wszędzie panowała cisza, lecz Jardir nie mógł zapomnieć słów Qashy. „Nocą w pałacu Sharum Ka nie zawsze panuje cisza i spokój”.

Jardir przemykał po ciemnych, cichych korytarzach swego domu niczym złodziej, wykorzystując wszystkie sztuczki, których nauczył się, gdy podchodził demony w Labiryncie. Prześlizgiwał się bezszelestnie, a jedynym pozostawianym przez niego śladem były kołyszące się ledwie dostrzegalnie kotary. Sprawdził komnaty audiencyjne i bawialnie, a po nich wszelkie inne pomieszczenia, w których mogliby się spotykać ludzie śmiali i bezczelni na

tylę, by ignorować zakaz poruszania się, ale nie znalazł nikogo.

I nic w tym dziwnego, pomyślał Jardir. Wszyscy siedzą pewnie na niższych poziomach, zamknięci od wewnątrz, jak wymaga prawo. Jestem głupcem, skoro zaryzykowałem taką wyprawę. Ashan miał rację. Unikam obowiązków, uprawiam gierki dla zaspokojenia własnej ciekawości. Ludzie giną w bitwie, a ja uganiam się po własnym domu.

Już miał wyjść i wrócić do Labiryntu, gdy niespodziewanie usłyszał odgłos dobiegający z jego komnat sypialnych. Ostrożnie ruszył w tamtym kierunku. Z każdym krokiem odgłos stawał się wyraźniejszy. Jardir wyjrzał zza kotary i dostrzegł dwóch *kai'Sharum* noszących białą wstęgę gwardii przybocznej Andraha, którzy trzymali straż przed drzwiami sypialni. Owe odgłosy przybrały na sile i nagle uświadomił sobie, czym są.

Były to krzyki Inevery.

Niespodziewanie wybuchł w nich gniew, ostry i gwałtowny, jakiego Jardir nigdy nie słyszał u swej Pierwszej Żony. Nim w ogóle uświadomił sobie, że się porusza, już jego pięść grzmotnęła w kręgosłup pierwszego z *kai'Sharum*. Mężczyzna chrząknął i zwałił się na podłogę, ale nim zdążył wydać z siebie choć westchnienie, Jardir zmiażdżył mu piętą gardło.

Drugi z wojowników obrócił się błyskawicznie. Poruszał się z płynną gracją typową dla kogoś, kto trenował w Sharik Hora, lecz wściekłość Jardira nie znała granic. Przeciwnik próbował go pochwycić, ale Pierwszy Wojownik przemknął pod jego wyciągniętymi ramionami, złapał *kai'Sharum* za podbródek i potylicę. Szarpnął ostro i pozwolił, by zwłoki osunęły się na posadzkę.

Jardir zawirował i natarł na drzwi. Kopnął raz, lecz nie ustąpiły, najwidoczniej od środka założono kłode. Zaciśnął mocno zęby i kopnął raz jeszcze, tym razem zrywając mocowania i otwierając drzwi na oścież z głośnym hukiem.

Scena, którą ujrzał, sprawiła, że zatrzymał się jak wryty. Poczuł się, jakby wbito mu włócznię w klatkę piersiową. Spodziewał się, iż ujrzy Andraha przytrzymującego Ineverę, gwałcącego ją wbrew jej woli, lecz było na odwrót – to jego naga żona dosiadała grubego kapłana i ujeżdżała go dziko, zupełnie jak Qasha ujeżdżała Jardira tego ranka. Andrah popatrzył z przestachem, lecz nie mógł wstać, przygnieciony ciężarem Inevery. Ona zaś odwróciła się – Jardira wciąż oślepiała wściekłość i nie był pewien, czy tylko sobie to wyobraził, czy rzeczywiście przez jej usta przemknął drwiący uśmieszek, odbierający mu resztki honoru.

Jeśli dotąd jego gniew można było przyrównać do huczącego ogniem pieca, teraz przeobraził się w piątą warstwę otchłani Nie. Jardir przypadł do stojaka przy ścianie i pochwycił krótką włócznię. Gdy się odwrócił, Andrah zdołał się już wydostać spod Inevery i stał nagi w sypialni Jardira. Jego zwiotczały członek był ledwie widoczny pod obwisłym brzuszyskiem. Jardira przepełniło obrzydzenie.

– Zatrzymaj się! Rozkazuję ci! – wykrzyknął Andrah, widząc broń w ręku wojownika, lecz ten puścił jego słowa mimo uszu i z całej siły grzmotnął kleryka w szczękę tępym

końcem włóczni.

– Nawet ty nie jesteś w stanie odebrać mężowi prawa do tego! – krzyknął, gdy Andrah zwalił się na podłogę. – Tej nocy wyświadczam przysługę całej Krasji!

Uniósł włócznię, by przebić zdrajcę, lecz Inevera niespodziewanie pochwyciła jego ramię.

– Ty głupcze! – krzyknęła. – Wszystko zrujnujesz!

Jardir obrócił się i smagnął Ineverę w twarz. Kobieta zatoczyła się i cofnęła.

– Nie bój się, niewierna *jiwah* – rzekł, odwracając się z powrotem ku Andrahowi. – Moja włócznia rychło znajdzie i ciebie.

Znów uniósł ostrze i Andrah wrzasnął. Niespodziewanie świat przed oczami Jardira zalały jaskrawe odcienie czerwieni, mężczyzna poczuł, jak niewiarygodna siła odrywa go od ofiary i ciska w tył. Utwardzane w ogniu płytki wszyte w jego szatę przyjęły impet uderzenia, lecz mimo to Jardir mocno grzmotnął w ścianę. Odzyskał równowagę niemal natychmiast, a wtedy zauważył, że jego szata stała w ogniu. Zdarł ją z głośnym okrzykiem.

Spojrzał na Ineverę. Trzymała czaszkę ognistego demona, tę samą, którą przyniosła na ich pierwsze spotkanie w Sharik Hora. Kobieta bez wstydu stała naga między oboma mężczyznami, świadoma, iż nawet w tej chwili jej piękno nie ma sobie równych. W sercu Jardira nienawiść starła się z pożądaniem.

– Skończ te wygłupy! – syknęła.

– Nie przyjmę od ciebie żadnego polecenia – oznajmił Jardir. – Spal cały pałac, jeśli tego chcesz, a ja i tak zatłukę tę tłustą świnię, a potem wezmę cię na jego trupie!

Andrah zaczął bełkotać, ale Jardir uciszył go krótkim warknięciem.

Inevera nawet nie drgnęła, tylko w jej dłoni pojawił się przedmiot, który Jardir w pierwszej chwili wziął za bryłkę węgla, dopóki nie rozjarzył się wryty na jego powierzchni run. Była to *alagai hora*. Poczerniały kawałek kości zaskwierczał i niespodziewanie wystrzelił z niego srebrny zygzak.

Impet uderzenia zbił Jardira z nóg i cisnął nim o ścianę, a jego ciało przeszył straszliwy, niewyobrażalny ból. Wojownik próbował się na niego otworzyć, wchłonąć go i oswoić, ale cierpienie urwało się równie szybko, jak się zaczęło, pozostawiając po sobie jedynie czyste przerażenie. Odwrócił się ku Ineverze, lecz ta po raz kolejny uniosła kość i błyskawica wbiła się w ciało Jardira po raz drugi, a potem, gdy znów zdołał powstać, po raz trzeci. Chciał się podnieść i po trzecim ataku, ale drżące spazmatycznie mięśnie tym razem go nie posłuchały.

– No, w końcu zaczęliśmy się rozumieć – powiedziała Inevera. – Ja jestem wolą Everama i najlepiej zrobisz, jeśli zrzucisz wszelkie myśli o stawianiu mi oporu. Dzięki temu, że poszłam do łóżka z tym tłustym wieprzem, dostałeś swój biały turban, a więc powinieneś podziękować mi za poświęcenie, a nie próbować wszystko zepsuć.

– Tłustym wieprzem? – krzyknął Andrah, który wreszcie zdołał się dźwignąć. – Ja jestem...

– Niczym – dokończyła za niego Inevera, unosząc czaszkę ognistego demona. Spomiędzy szczęk buchnęły płomienie i Andrah pobladł. – A żyjesz tylko dlatego, że tak mi się podoba. Potrzebowałam twojego wsparcia ze względu na Jardira do chwili, gdy ten uzyskał przychylność *Sharum* i *Damaji* z innych plemion, lecz teraz, gdy Qasha jest w ciąży, *Sharum* będą uważać go za swojego brata nie tylko w nocy, ale i w blasku dnia. Już się go nie pozbędziesz.

– Jestem Andrahem! – wykrzyknął kapłan. – Starczy, że kiwnę palcem, a ten pałac legnie w gruzach!

– Czym wywołasz jedynie wojnę domową! – zaśmiała się Inevera. – A nawet jeśli zdołasz zabić Ahmanna, to co z *dama'ting*, które są jego żonami? Każesz je zgwałcić i pomordować, jak nakazuje zwyczaj? Evejah w sposób jasny wypowiada się na temat losu człowieka, który ośmieli się podnieść rękę na *dama'ting*.

Andrah skrzywił się, lecz nie odpowiedział.

– Bramy Niebios niniejszym są dla ciebie zamknięte – powiedziała Inevera, narzucając na ramiona jedwabną szatę, by okryć swą nagość. – Być może otworzą się jeszcze kiedyś, jeśli będę potrzebowała twojego poparcia, choć przecież wystarczy, bym wezwała Ahmanna, a on wyciśnie je wraz z twoją krwią. Póki co jednak schowaj tę zeschniętą starą dzidę i wracaj do swego pałacu.

Upokorzony Andrah zebrał odzienie i chyłkiem wymknął się z komnaty, ani myśląc o tym, by się ubrać.

Gdy zostali sami, Inevera podeszła do Jardira i uklękła przy nim. Kość demona, którą wykorzystwała, by ciskać srebrne błyskawice, rozpadła się i kobieta z zadumą otrzepała dłonie z pyłu.

– Silny jesteś – powiedziała. – Mało kto wstałby po jednym uderzeniu, nie mówiąc już o trzech. Nim zabiorę się do rzeźbienia tej nocy, muszę sobie wybrać większą kość.

Delikatnym gestem przyglądała włosy i pieściła twarz Jardira.

– Mój ukochany – powiedziała ze smutkiem – naprawdę żałuję, że musiałeś to wszystko zobaczyć.

Jardir miał wrażenie, że język spuchł mu do takich rozmiarów, iż niemal wypełnił całe usta.

– Dlaczego? – zdołał w końcu wychrypieć.

– Andrah miał cię skazać na śmierć za to, że ściągnąłeś na jego przyjaciela tak niesławną zgubę. Zrobiłam to, co należało, by ocalić ci życie i zdobyć dla ciebie władzę. Nie bój się jednak. Niebawem nadejdzie dzień, kiedy przejmiesz jego tron i tego też dnia będziesz mógł oderżnąć mu jego męskość.

– Wiedziałaś... – zaczął Jardir, ale nie mógł wykrztusić ani słowa więcej. Przełknął z trudem ślinę, mając nadzieję, że uda mu się nawilżyć obrzmiały język, ale nawet to było ponad jego siły.

Inevera powstała i przyniosła nieco wody, którą połała jego usta, masując mu przy tym gardło, by pomóc w przełykaniu. Otarła jego wargi ręką swej szaty, odsłaniając przy tym pierś. Jardir zastanawiał się, jak po tym wszystkim może jeszcze pożądać tej kobiety, ale uczucie było nie do pokonania.

– Wiedziałaś, że do tego dojdzie, gdy sprowokowałaś mnie do zabicia Sharum Ka? – zapytał. Znow próbował się poruszyć, ale ciało nadal pozostawało bezwolne.

Inevera znow westchnęła.

– Liczysz sobie dopiero dwadzieścia zim, mój kochany, ale nawet ty pamiętasz czasy, kiedy Krasji broniło dziesięć tysięcy *dal'Sharum*. Najstarsi *Damaji* pamiętają, gdy było was dziesięć razy więcej, a wedle starożytnych pergaminów przed Powrotem Krasję zamieszkiwały miliony ludzi. Wymieramy, Ahmann, a dzieje się to dlatego, że brak nam przywódcy. Potrzebujemy kogoś więcej niż tylko silnego Sharum Ka, kogoś więcej niż tylko potężnego Andraha. Potrzebujemy Shar'Dama Ka, i to szybko, zanim Nie rozpędzi nas po pustyni.

Inevera urwała i odwróciła wzrok. Jardir odniósł wrażenie, iż bardzo ostrożnie dobiera kolejne słowa.

– Owej pierwszej nocy nie pytałam kości, czy dane mi będzie jeszcze kiedyś cię ujrzeć – wyznała. – Spytałam, czy w Krasji jest człowiek, który może powstrzymać nas od zagłady i poprowadzić ku chwale, a kości wskazały chłopca, którego miałam za wiele lat znaleźć szlochającego w Labiryncie.

– Czy jestem Wybawicielem? – zapytał Jardir ochryple. W jego głosie pobrzmiwało niedowierzanie.

– Kości nigdy nie kłamią, ale nigdy też nie dają konkretnych odpowiedzi. – Inevera wzruszyła ramionami. – Istnieje kilka wizji przyszłości, w których ludzie uwierzą, że jesteś Wybawicielem, i zjednoczą się pod twoimi rozkazami, jednak są też inne, w których wojownicy skupią się wokół kogoś innego lub w ogóle tego nie zrobią.

– To na co nam one? – zapytał Jardir. – Jeśli to *inevera*, przeznaczenie samo zadecyduje.

– Nie ma przeznaczenia w takim sensie, w jakim je pojmujesz – odrzekła Inevera. – Pewne jest tylko, że *Sharak Ka*, ostateczna bitwa, wkrótce się rozegra. Nie możemy pozwolić, by przyszłość rozwijała się przypadkowo, bez naszej kontroli. Obserwuję cię od chwili, gdy zdjąłeś bido, mój słodki. Jesteś ostatnią nadzieją Krasji na zbawienie, a ja zapewnię ci każdą możliwą przewagę, nawet jeśli wiązałoby się to z utratą mojej czci lub nawet twojej.

Jardir patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma. Już nie tylko ciało przestało go słuchać, słowa również nie chciały układać się w zdania. Inevera pochyliła się i ucałowała męża w czoło. Jej wargi były miękkie i chłodne. Powstała i spojrzała ze smutkiem na bezwładnego nadal, drgającego w konwulsjach męczyznę.

– Wszystko to robię dla ciebie i dla *Sharak Ka* – powiedziała i opuściła komnatę.

6

Falszywy prorok

333 ROK PLAGI, ZIMA

– *Chin* okazali się idealnymi niewolnikami – rzekł Jayan. – Nawet najparszywsi z nich przywiązują tak wielką wagę do własnego życia, iż nigdy nie zbiorą się na odwagę, by stawić nam czoła. Zaprawdę to wielki podbój, ojcze. Sława, którą zdobyłeś, nie zna granic.

Jardir pokręcił głową.

– To, że widzisz słońce, nie oznacza, że masz bystry wzrok, to, że uniosłeś kilka ziarenek piasku, nie świadczy o twojej wielkiej sile. Nie ma chwały w zapanowaniu nad ludźmi słabymi i pozbawionymi ducha.

– Tak czy owak, dostrzegam w tym dla nas korzyści – utrzymywał Jayan. – Nie dość, że odnieśliśmy zwycięstwo, to jeszcze nie ponieśliśmy strat.

Abban, pochylony nad niewielkim pulpitem po drugiej stronie sali, prychnął cicho.

– Masz coś do powiedzenia, *khaffit*? – spytał Jayan.

– Nic takiego, mój książę – odparł szybko Abban, spoglądając znad swych rachunków. Poderwał się i wsparł na lasce zwieńczonej rzeźbą wielbłądziej głowy, by złożyć mu głęboki pokłon. – Tylko kaszlnąłem.

– Skądże znowu, nie krępuj się – rzekł Jayan. – Powiedz nam, co cię tak rozbawiło.

Abban zerknął na Jardira, który pokiwał głową.

– Może i rzeczywiście nie ponieśliśmy strat wśród *dal'Sharum*, mój książę, ale nie można powiedzieć, by nas to zwycięstwo nic nie kosztowało – objaśnił. – A kosztowało nas w istocie drogo. Mam na myśli jedzenie, odzież, kwatery i transport. Utrzymywanie tak wielkiej armii w stanie gotowości wiąże się z niewyobrażalnymi kosztami. Twój ojciec, książę, może kontrolować skarbcę wszystkich dwunastu plemion, a do tego również Lenno Everama, ale nawet i to bogactwo ma swój kres.

Asome pokiwał głową.

– Evejah uczy nas: Gdy w sakiewce mężczyzny widać dno, jego rywale nabierają

śmiałości.

– A kto ośmieli się stawić ojcu czoła? – roześmiał się Jayan. – Poza tym dlaczego Shar'Dama Ka ma za cokolwiek płacić? Podbiliśmy tę krainę i możemy wziąć wszystko, czego zapagniemy!

– To prawda – zgodził się Abban. – Pamiętaj jednak, że obrabowany kupiec nie ma kapitału, by pomnożyć swoje zasoby. Możesz zabrać kupcowi wszystkie jego świeczki, ale jeśli nie zwrócisz mu przynajmniej kosztów ich wyrobu, skążesz się na siedzenie w ciemnościach, gdy ostatnia z nich się wypali.

– Świeczki są dobre dla tłustych *khaffit*, którzy czczą swoje pergaminy – parsknął Jayan. – Dla wojowników walczących w mroku nocy nie mają one znaczenia.

– Weźmy więc drewno i stal, z których wyrabia się włócznie – tłumaczył Abban cierpliwie, jakby przemawiał do dziecka. – Weźmy materiał na wasze szaty i surowiec do wyrobu pancerzy. Te rzeczy nie spadają nam z nieba, a jeśli teraz zrabujemy całe ziarno i każdą kożę, za rok nie będziemy mieli czym napełnić brzuchów.

– Nie podoba mi się twój ton, wieprzoadzie – warknął Jayan.

– Zamilcz i wysłuchaj jego słów – nakazał ostro Jardir. – Słowa tego *khaffit* kryją w sobie mądrość, mój synu, i dobrze by było, byś wziął je do serca.

Jayan spojrział na ojca ze zdumieniem, lecz pokłonił się szybko.

– Oczywiście, ojcze – powiedział, lecz nie omieszkał obrzucić Abbana wściekłym wzrokiem.

Jardir spojrział na Asome, który stał nieopodal i milczał.

– A ty, mój synu? Co ty powiesz na słowa tego *khaffit*?

– Niegodny ma rację – przyznał Asome. – Nie można też zapomnieć, iż wielu *Damaji* nadal nienawidzi cię za pozycję, jaką zdobyłeś, i skwapliwie wykorzystaliby to, że w ich plemienu panuje głód i niedostatek, jako powód, by siać niezgodę.

– A jak ty zaradziłyś temu problemowi? – zapytał Jardir.

– Kazałbym pozabijać nielojalnych *Damaji*, nim staną się zbyt zuchwali – wzruszył ramionami Asome. – Potem zastąpiłbym ich bardziej tobie przychylnymi.

– Czym niewątpliwie również zacząłbyś siać niezgodę – zauważył Jardir, po czym znów spojrział na Abbana.

– Utrzymanie naszej armii w mieście kosztuje nas o wiele za dużo – powiedział tamten. – Należy więc ją podzielić i rozmieścić w okolicznych wsiach.

Synowie Jardira spojrzeli z niedowierzaniem na grubego kupca.

– Rozproszyć armię? Cóż to za bzdury? – odezwał się z gniewem Jayan. – Ojcze, ten *khaffit* jest nie tylko tchórzem, ale i głupcem! Błagam cię, pozwól mi go zabić!

– Ty nieopierzony półgłówku! – warknął Jardir. – Czy sądzisz, że *khaffit* powiedział coś, z czego nie zdaję sobie sprawy?

Jayan wpatrywał się w niego wstrząśnięty.

– Któregoś dnia, moi synowie... – rzekł Jardir, patrząc to na Jayana, to na Asome – któregoś dnia odejdę z tego świata. Wy zaś, jeśli chcecie przeżyć dni, które nastaną później, musicie już teraz zewsząd gromadzić mądrość.

Jayan zwrócił się ku Abbanowi i wykonał lekki, ledwie dostrzegalny ukłon, lecz jego oczy nadal skrzyły się, a wzrok obiecywał grubemu kupcowi śmierć za okrycie wstydem syna Jardira.

– A więc proszę, *khaffit*, podziel się z nami swoją wiedzą.

Ukłon Abbana w odpowiedzi również mógł być o wiele głębszy, pomimo że kupiec wspierał się na lasce.

– Po utracie spichlerzy Fortu Rizon nie jesteśmy już w stanie wyżywić wszystkich ludów Krasji, mój książę. Dookoła miasta jednakże znajdują się całe setki małych wsi, rozsianych na podobieństwo szprych w kole. Każemu dotychczasowemu księciu tej krainy przygotować ich listę, a następnie podzielimy wsie między plemiona.

– Będziemy musieli utrzymać spore terytorium – zauważył Asome.

– Utrzymać? – wzruszył ramionami Abban. – A kto mu zagraża? Nie ma w pobliżu żadnej wrogiej armii, a jak mój książę sam raczył zauważyć, *chin* są idealnymi niewolnikami. O wiele lepiej jest pozwolić armiom Shar'Dama Ka rozproszyć się do chwili, gdy znów staną się potrzebne, i zdjąć z barków dowódcy obowiązek troszczenia się o ich wyżywienie. Każde plemię otrzyma terytorium, które będzie je żywić i dostarczać mu dochód, a nocami będzie tępić prześladowające je *alagai*. W międzyczasie wojownicy utworzą *sharaji*, by wyszkolić chłopców na podległych im terytoriach, a kobietom i starszym każą obsadzić pola na wiosnę. Za rok plemiona staną się bogatsze, a do swojej dyspozycji będą mieć tysiące *nie'Sharum* z zielonych krain. Daj plemionom bogactwo zamiast głodu i niedostatku, a zanim nowicjusze wyrosną na mężczyzn, Shar'Dama będzie miał na swoje rozkazy największą armię tego świata, fanatycznie lojalną, a co najważniejsze, żywiącą się samodzielnie.

Jardir spojrział na synów.

– Czy już rozumiecie, po co nam *khaffit*?

– Tak, ojcze – odpowiedzieli i złożyli mu identyczne ukłony.

* * *

Damaji Ashan wszedł do sali tronowej, opadł płynnie na kolana i dotknął czołem podłogi. Jego białe szaty zbryzgane były krwią, a w jego oczach, skrytych w cieniu czarnego turbanu, widać było ponurą zawziętość.

– Powstań, przyjacielu – rzekł Jardir. Ashan zawsze był jego najbardziej lojalnym doradcą, na długo nim zdobył władzę. Teraz przemawiał w imieniu Kaji, najpotężniejszego krasjańskiego plemienia, a swoim następcą mianował już najstarszego syna, Asukajiego, zrodzonego z siostry Jardira Imisandre. Był drugim najpotężniejszym człowiekiem na świecie

zaraz po Jardirze.

– Shar'Dama Ka, pojawiły się wieści, których musisz wysłuchać – powiedział.

Jardir skinął głową.

– Twoje rady są zawsze mile widziane, przyjacielu. Mów.

– Najlepiej będzie, jeśli wysłuchasz tych wieści bezpośrednio od źródła, Wybawicielu – zastrzegł Ashan.

Jardir uniósł brew, słysząc te słowa, ale pokiwał głową i wyszedł w ślad za Ashanem z rezydencji prosto na zamrożone ulice miasta. Niedaleko znajdowała się jedna ze świątyń *chin*, uboga i mizerna w porównaniu z wielką Sharik Hora, lecz wedle północnych standardów imponowała swym rozmachem. Była trzypiętrowym gmachem z grubego kamienia, bronionym przez potężne runy.

Ashan zaprowadził go do środka, gdzie Jardir przekonał się, że *dama* nie poprzestali na zwykłym przejściu Świętego Domu. Już przystrajali jego ściany wybielonymi, polakierowanymi kośćmi wojowników, którzy polegli od opuszczenia Pustynnej Włóczni. Teraz broniona przez duchy wojowników poległych śmiercią bohaterów świątynia była najbezpieczniejszym miejscem na Północy.

Mężczyźni zeszli po kamiennych schodach w chłodny labirynt katakumb ciągnący się pod świątynią.

– *Chin* chowali tu swoich najbardziej zasłużonych – wyjaśnił Ashan, gdy Jardir z zainteresowaniem przyglądał się pustym niszom. – Oczyszciliśmy je już z wszelkiego niegodnego śmiecia i przeznacziliśmy te tunele do lepszych celów.

Jak na komendę z oddali dobiegł wrzask bólu niosący się echem po opuszczonych korytarzach. Ashan nie zwrócił na to uwagi, prowadząc Jardira tunelami do konkretnej celi, w której znajdowało się kilku kleryków z Północy, Opiekunów, jak ich tutaj nazywano. Wszystkich przywiązano za nadgarstki do belki biegnącej w poprzek sufitu. Zdarto z nich szaty, a plecy nosiły głębokie ślady uderzeń ogona *alagai* – biczka, który mógł złamać wolę nawet najsilniejszego mężczyzny.

Ashan machnięciem dłoni odesłał *dal'Sharum*, którzy zajmowali się torturami, i podszedł do jednego z więźniów.

– Ty – wskazał. – Powtórz, co mi powiedziałaś, przed samym Shar'Dama Ka, jeśli się odważysz.

Opiekun z trudem uniósł głowę. Powiekę miał tak spuchniętą, iż nie był w stanie otworzyć jednego oka, a z drugiego płynęły łzy, mieszające się z krwią i brudem na jego policzku.

– Niech cię Otchłań pochłonie – wymamrotał i spróbował splunąć na Ashana, lecz krwawa plwocina zwisała bezwładnie z jego dolnej wargi.

W odpowiedzi natychmiast pojawił się przy nim oprawca z obcęgami w dłoni. Złapał mocno twarz Opiekuna i zmusił go, by otworzył usta, po czym zacisnął obcęgami na jednym z

jego przednich zębów. Wrzask mężczyzny wypełnił pomieszczenie.

– Dość – rzekł po chwili Jardir. Oprawca przerwał natychmiast, uklonił się i cofnął pod ścianę. Opiekun całkiem opadł z sił i zwisł nieruchomo na kajdanach obejmujących jego nadgarstki. Jardir podszedł do niego i obrzucił spojrzeniem przepelnionym smutkiem.

– Jestem Shar'Dama Ka, zesłany przez Everama, którego miłosierdzie nie zna granic. Powiedz mi prawdę, a położę kres twojemu cierpieniu.

Opiekun spojrział na niego i chyba odzyskał przytomność.

– Znam cię – wychrypiał. – Twierdzisz, że jesteś Wybawicielem, lecz to nieprawda.

– A skąd to wiesz? – zapytał Jardir.

– Bo Wybawiciel już nadszedł – rzekł Opiekun. – Malowany Człowiek, zwany też Naznaczonym, wędruje przez mrok, a demony pierzchają na jego widok. Ocalił Zakątek Wybawiciela przed zagładą i w swoim czasie policzy się również i z tobą.

Jardir spojrział na Ashana z zaskoczeniem.

– Nie on jeden tak mówi, Shar'Dama Ka – powiedział *Damaji*. – Inni *chin* również wspominają o niewiernym, którego ciało pokryte jest runami. Będziesz musiał zniszczyć tego fałszywego proroka, i to szybko, jeśli masz zająć należne ci miejsce.

Jardir pokręcił głową.

– Zupełnie jakbym słucał swej żony przyjacielu.

7

Człowiek z zielonych krain

326 ROK PLAGI

– Pewnego dnia to ja zostanę Sharum Ka! – wrzasnął Jayan i wbił włócznię w szmacianą kukłę zrobioną przez Jardira, która kołysała się leniwie na belce pod sufitem.

Jardir zaśmiał się, zachwycony energią i entuzjazmem swego syna. Jayan miał już dwanaście lat, już nosił bido i nigdy nie cierpiał głodu w Kaji'sharaj. Jardir rozpoczął uczenie synów *sharukin*, ledwie postawili swe pierwsze kroki.

– To ja chcę zostać Sharum Ka! – uskarżał się Asome, który miał jedenaście lat. – Nie chcę być głupim *dama*.

Szarpnął ze złością białą szarfę przewieszoną przez ramię.

– Nie dziwię się, lecz ty zostaniesz tym, który będzie łączył Sharum Ka z Everamem – wyjaśnił mu Jardir. – A pewnego dnia być może zostaniesz *Damaji* dla wszystkich Kaji, a może nawet Andrahem.

Uśmiechał się przy tych słowach, ale w duchu zgadzał się z chłopcem. Wolał, by jego synowie zostali wojownikami, a nie klerykami. Nadciągał bowiem dzień *Sharak Ka*.

Inevera z początku nalegała, by Jayan nosił biel, ale Jardir sprzeciwił się kategorycznie, odnosząc jedno z nielicznych zwycięstw nad żoną. Teraz zastanawiał się, czy to aby naprawdę było zwycięstwo, gdyż miał neodparte wrażenie, że żona chciała, by to właśnie Asome został *dama*. Pozostali chłopcy zgromadzili się wokół i z nabożnym podziwem przyglądali się starszym braciom. Większość pozostałych synów Jardira była zbyt młoda na *Hannu Pash* i wciąż musiała czekać na ten moment w życiu, kiedy to zacznie szukać swego powołania. Drugi syn z każdego małżeństwa z reguły przywdziewał szaty *dama*, a pozostali *Sharum*. Nastąpiła właśnie pierwsza noc Nowiu, kiedy siły Nie rzekomo były najpotężniejsze, a w mroku kroczył sam Alagai Ka. W taką noc nic nie dodawało wojownikowi większej otuchy niż widok synów.

I córek, pomyślał Jardir.

– Cieszyłbym się, gdyby moje córki również co miesiąc wracały do domu na Nów – powiedział do żony.

Inevera pokręciła głową.

– Nie wolno przerywać ich nauk, mężu. *Hannu Pash* dla *nie'dama'ting* jest... Cóż, bardzo rygorystyczna.

W rzeczy samej dziewczęta zabierane w o wiele młodszym wieku niż synowie. Najstarszych córek Jardir nie widział już od lat.

– Ale nie wszystkie zostaną *dama'ting* – powiedział. – Muszę je wydać za lojalnych sojuszników.

– I tak też się stanie – odpowiedziała Inevera. – Będziesz miał córki, których nie odważy się skrzywdzić żaden mężczyzna, a których lojalność wobec ciebie będzie silniejsza nawet od wierności wobec swoich mężów.

– A ich posłuszeństwo wobec Everama przeważy nad tym wobec ojca – mruknął Jardir.

– Oczywiście – odparła Inevera.

Miał wrażenie, że jej woalka skrywa lekki uśmiech, i już miał się odciąć, gdy do komnaty wszedł Ashan. Jego syn, Asukaji, chłopiec w tym samym wieku co Asome, włókł się za nim w bido typowym dla *nie'dama*. Ashan złożył Jardirowi ukłon.

– Sharum Ka, pojawiła się pewna sprawa i *kai'Sharum* chcieliby, byś ją rozstrzygnął.

– Zajmuję się synami, Ashan – odparł Jardir. – Czy to nie może poczekać?

– Proszę o wybaczenie, Pierwszy Wojownik, ale nie wydaje mi się.

– Dobrze więc – westchnął Jardir. – Co to takiego?

Ashan znów się uklonił.

– Moim zdaniem, najlepiej będzie, jeśli Sharum Ka ujrzy ów problem na własne oczy.

Jardir uniósł brew. Jak dotąd Ashan nigdy nie wahał się przed wyrażeniem własnych osądów, nawet gdy wiedział, że Jardir się z nimi nie zgodzi.

– Jayan! – zawołał. – Przynieś moją włócznię i tarczę! Asome, moja szata!

Chłopcy popędzili, by wypełnić polecenia, a wtedy ku ich zdumieniu powstała również Inevera.

– Pójdę z moim mężem.

– Oczywiście, *dama'ting* – uklonił się Ashan.

Jardir spojrzał na nią ostro. Czyżby znów coś wiedziała? Cóż zdradziły jej nocą te przeklęte kości?

Dzieci pozostały w komnatach, a troje dorosłych ruszyło ku wielkim kamiennym schodom prowadzącym z pałacu Sharum Ka na tereny treningowe *Sharum*. Po przeciwnej stronie znajdowała się Sharik Hora, a po obu jej stronach ciągnęły się pawilony plemion.

U podnóża stopni, w obrębie murów pałacowych, stała grupa *Sharum* i *dama*. Otaczali dwóch ludzi. Na ten widok Jardir poczuł, jak narasta w nim gniew – to, że stopy *khaffit* kalają świętą ziemię twierdzy Sharum Ka, było zniewagą. Już otworzył usta, by to powiedzieć, gdy

jeden z *khaffit* przykuł jego uwagę.

Był to Abban.

Od dawna Jardir nie zaszczyił swego starego przyjaciela ani jedną myślą, zupełnie jakby Abban rzeczywiście umarł tamtej nocy, gdy młody wojownik złamał przysięgę. Od tej chwili upłynęło już piętnaście lat, a zmiana, którą przeszedł Jardir z drobnego, chudziutkiego chłopca w bido, była niczym w porównaniu ze zmianą, jaka zaszła w Abbanie.

Były *nie 'Sharum* niesamowicie utył i wyglądał niemalże tak groteskowo jak Andrah. Nadal nosił stożkową czapkę typową dla *khaffit* i płócienną kamizelę, pod którą widać było barwną koszulę i pantalon z wielobarwnego jedwabiu. Także czapkę owijał turban z czerwonego jedwabiu ozdobionego klejnotem. Pas i trzewiki wykonane były ze skóry węża. Abban opierał się na lasce z kości słoniowej zwieńczonej podobizną wielbłąda.

– Skąd przyszło ci do głowy, że jesteś godnym, by stąpać między mężczyznami? – zapytał ostro Jardir.

– Proszę o wybaczenie – rzekł Abban, padł przed nim na kolana i dotknął czołem ziemi u jego stóp. Shanjat, który teraz pełnił funkcję *kai 'Sharum*, zaśmiał się i kopnął go w bok.

– Spójrz tylko na siebie – warknął Jardir. – Ubierasz się jak kobieta i obnosisz się ze swoim obrzydliwym bogactwem, jakbyś nie wiedział, że to zniewaga wobec wszystkiego, w co wierzymy. Doprawdy powinienem był pozwolić ci spaść.

– Wybacz, wielki panie – powiedział Abban. – Nie chciałem nikogo urazić. Jestem tu po to, by tłumaczyć!

– Tłumaczyć? – zdziwił się Jardir i spojrzał na drugiego *khaffit*, który przybył z Abbanem.

Nie był to jednak *khaffit*, co dało się od razu zauważyć po jego jasnej skórze i jasnych włosach, po stroju, a zwłaszcza po starej, zużytej włóczni, którą dzierzył. Był to *chin*. Przybysz z zielonych krain na Północy.

– *Chin?* – zapytał Jardir, odwracając się do swego *dama*. – Wezwałeś mnie tutaj, bym porozmawiał z *chin*?

– Posłuchaj go – zachęcił go Ashan. – Posłuchaj go, a sam się przekonasz.

Jardir spojrzał na człowieka z zielonych krain, gdyż nigdy z bliska *chin* nie widział. Wiedział, że Posłańcy z Północy czasami odwiedzają Wielki Bazar, ale to nie było miejsce godne mężczyzn, a wspomnienia Jardira z dzieciństwa były już niewyraźne, zniekształcone głodem i wstydem.

Ten *chin* był jednak inny. Młody – mniej więcej w tym samym wieku co Jardir, gdy ten włożył czarne szaty – i niezbyt rosły, sprawiał jednak wrażenie twardego i zahartowanego. Postawa i sposób poruszania się świadczyły, iż przybysz ma naturę wojownika. Śmiało zniósł spojrzenie Jardira.

Jardir wiedział, że mężczyźni na Północy zarzucili *alagai'sharak* i woleli chować się w nocy za runami jak kobiety. Ale piaski dzielące Północ od Krasji ciągnęły się na setki mil i

nie dawały żadnego schronienia przed demonami, stąd każdy człowiek, który przebył ten dystans, musiał spoglądać *alagai* prosto w oczy co noc. Może i ten *chin* nie należał do *Sharum*, ale na pewno nie był tchórzem.

Jardir spojrział na tłuste cielsko Abbana i stłumił obrzydzenie.

– A więc mów, ale lepiej się streszczaj. Twoja obecność jest dla mnie zniewagą.

Abban pokiwał głową i odwrócił się do przybysza, rzucając kilka słów w chrapliwym, gardłowym języku. *Chin* odpowiedział dumnie, podkreślając swą wypowiedź uderzeniem włóczni o ziemię.

– To Arlen asu Jeph am'Bales am'Tibbet – przetłumaczył Abban, nie ośmielając się spojrzeć na Jardira. – Ostatnio mieszkał w Forcie Rizon na Północy. Przekazuje ci pozdrowienia, panie, i błaga, by dziś w nocy mógł walczyć u boku wojowników z Krasji w *alagai'sharak*.

Jardir był wstrząśnięty. Człowiek z Północy, który chce walczyć? To niesłychane.

– Pierwszy Wojownik – warknął Hasik – przecież on pochodzi z rasy tchórzów! Nie jest godzien udziału w walce!

– Gdyby był tchórzem, nie dotarłby tutaj – zauważył Ashan. – Wielu Posłańców odwiedziło Krasję, ale tylko ten trafił do pałacu. Pragnie walczyć wraz z nami, a więc obrazilibyśmy Everama, gdybyśmy mu na to nie pozwolili.

– Przecież nie powierzę swojego bezpieczeństwa przybłędzie z łąk! – oznajmił Hasik i splunął Posłańcowi pod nogi. Wielu spośród *Sharum* pokiwało głowami i mruknęło z aprobatą pomimo słów *dama*. W końcu klerycy też nie byli nieomylni.

Jardir zastanowił się. Już rozumiał, dlaczego Ashan chciał, by to on podjął decyzję, gdyż zarówno zgoda na udział *chin* w bitwie, jak i odmówienie mu jej pociągały za sobą poważne reperkusje.

Raz jeszcze przyjrzał się przybyszowi, ciekaw, jak też zachowa się w sercu bitwy. Inevera przepowiedziała mu kiedyś, iż być może najedzie zielone krainy, a Ewejah nauczał, iż przed rozpoczęciem walk należy poznać swego wroga.

– Mężu – odezwała się cichym głosem Inevera, dotykając jego ramienia – jeśli *chin* życzy sobie walczyć w Labiryncie jak *Sharum*, trzeba odczytać jego przyszłość.

A więc to dlatego chciała mu towarzyszyć. Zapewne wiedziała, iż w tym człowieku kryło się coś niezwykłego, i potrzebowała jego krwi, by przepowiednia okazała się prawdziwa. Jardir zmrużył oczy, zastanawiając się, czego żona mu nie mówi, lecz z drugiej strony był jej winien wdzięczność. Zaproponowała mu wyjście z trudnej sytuacji i byłby głupcem, gdyby je odrzucił. Odwrócił się do Abbana, który nadal kulił się na ziemi.

– Powiedz temu *chin*, że *dama'ting* rzuci kośćmi, by odczytać jego przyszłość. Jeśli będą mu sprzyjać, pozwolę mu walczyć u naszego boku.

Abban skinął głową i znów przemówił ostrym językiem Północy. Przez twarz przybysza przemknęła irytacja, uczucie doskonale znane Jardirowi, który sam był niewolnikiem kości

przez pół życia. Przez chwilę rozmawiali, po czym *chin* zacisnęła zęby i kiwnęła głową, wyrażając zgodę.

– Zabiorę go do pałacu, by tam przeprowadzić rytuał – zaproponowała Inevera.

– Dotrzymam ci towarzystwa – rzekł Jardir. – Dla twojego bezpieczeństwa.

– To nie będzie konieczne. Żaden człowiek nie ośmieli się skrzywdzić *dama'ting*.

– Żaden Krasjanin – poprawił ją Jardir. – Nie wiadomo, do czego zdolni są ci barbarzyńcy z Północy.

Nagle uśmiechnął się i dodał:

– Nie mam zamiaru narazić na szwank twojej nieskazitelnej reputacji, zostawiając cię sam na sam z tym człowiekiem.

Nie widział twarzy Inevery, ale wiedział, że się skrzywiła, było mu to jednak obojętne. Nie miał pojęcia, co się może wydarzyć między nią a przybyszem, lecz nie zamierzał tego przepuścić. Skinął na Hasika i Ashana – nie chciał bowiem, by wyгнаła przybysza bez świadków. Abban zaś powłókł się za Jardirem, choć obecność kupca znieważała dostojeństwo pałacowych korytarzy. Splugawione podłogi czekało szorowanie wodą z krwią.

Po chwili Jardir, Inevera oraz *chin* znaleźli się sami w zaciemnionym pomieszczeniu. Jardir spojrzał na przybysza.

– Podaj nam rękę, Arlenie synu Jepha.

Chin przyglądał mu się tylko z zaciekawieniem, więc Jardir wyciągnął ramię, udał, że wykonuje na nim płytkie nacięcie, a potem przesunął je nad *alagai hora*.

Chin zmarszczył brwi, ale nie zawahał się i podwinął rękaw.

Ja za pierwszym razem nie byłem taki odważny, pomyślał Jardir.

Inevera nacięła skórę obcego i wkrótce kości zapłonęły czerwienią w jej dłoni. *Chin*, wytrzeszczywszy oczy, przyglądał się kobiecie z napięciem. Inevera potoczyła kośćmi, a Jardir prędko przyjrzał się, w jakim położeniu zamarty. Nie miał wykształcenia *dama'ting*, lecz podczas pobierania nauk w Sharik Hora dowiedział się sporo o symbolach. Na każdej z kości znajdował się tylko jeden run – run przepowiedni. Pozostałe symbole były po prostu słowami i to właśnie słowa oraz sposób, w jaki się ułożyły, zdradzały, co się wydarzy lub przynajmniej co wydarzyć się może.

Nim Inevera zdążyła zagarnąć kości, Jardir pochwycił słowa takie, jak: *Sharum*, *dama* oraz „jeden”. Shar'Dama Ka. Cóż to oznaczało? Przecież *chin* nie może zostać Wybawicielem. Czyżby był w jakiś sposób z Jardirem związany?

Ku jego zdumieniu Inevera potrząsnęła kośćmi i rzuciła nimi po raz drugi.

Od czasu owej nocy w Labiryntcie Jardir nigdy nie widział, by ona czy jakakolwiek inna *dama'ting* zrobiła coś podobnego. Żona nadal utrzymywała chłodny spokój typowy dla *dama'ting*, ale to, iż rzuciła kośćmi po raz drugi, zdradzało, że daleko jej do opanowania.

Trzeci rzut utwierdził Jardira w tym przekonaniu.

Nie mam pojęcia, coż ona teraz widzi – pomyślał – ale na pewno chce się upewnić.

Spojrzał na nieznanego. Zdaje się, że choć ten przyglądał się czynnościom Inevery z uwagą, brał je tylko za prymitywny rytuał konieczny do wstąpienia do Labiryntu.

Ech, synu Jepha, żeby to wszystko rzeczywiście było takie proste...

– Może walczyć z wami – oznajmiła Inevera, po czym wyciągnęła spod szyi fałd szaty gliniany dzbanek i posmarowała ranę *chin* cuchnącą pastą, a na koniec owinęła ją czystym płótnem.

Jardir pokiwał głową – znał swą żonę dobrze i nie oczekiwał żadnych wyjaśnień. Wyprowadził *chin* z komnaty.

– *Khaffit* – zawołał Abban – powiedz synowi Jepha, że może pisać na mury. Jeśli uda mu się pochwycić jakiegoś *alagai* w sieć, pozwolę mu dołączyć do nas w Labiryncie.

– Nie ma mowy, by mu się udało – skomentował Hasik.

– To słowa Everama – rzucił ostro Jardir i wojownik umilkł.

Abban szybko przełożył rozkaz, a *chin* parsknął, zupełnie jakby złapanie wichrowego demona w sieć było błahostką. Jardir uśmiechnął się. Czuł, że byłby w stanie polubić tego człowieka.

– Wracaj do nory, z której wypęzłeś – powiedział Abbanowi. – Niewykluczone, że syn Jepha jest godzien podjąć walkę na murach, ale ty straciłeś to prawo. Będziemy musieli rozmawiać językiem włóczni.

Abban uklonił się i odwrócił do przybysza, tłumacząc mu sytuację. *Chin* spojrzał na Jardira i skinął na znak, że rozumie. Miał ponurą, zawziętą twarz, a w jego oczach Sharum Ka dostrzegł zapal. Wyglądał zupełnie jak *dal'Sharum* po zmroku.

Jardir odwrócił się już, by skierować się ku placom ćwiczeń, gdy nagle Inevera ujęła go za ramię. Ashan i Hasik odwrócili się z wahaniem.

– Zostańcie z tym *chin* i spróbujcie nauczyć go podstawowych sygnałów – rzekł Jardir. – Wkrótce do was dołączę.

– Ten *chin* odegra kluczową rolę w walce o pozycję Shar'Dama Ka – powiedziała żona wprost, gdy zostali sami. – Przyjmij go jak brata, ale nie spuszczań go z oczu i zawsze trzymaj włócznię w pogotowiu. Jeśli chcesz zostać Wybawicielem, pewnego dnia będziesz musiał zabić tego przybysza.

Jardir wbił wzrok w nieprzeniknione oczy Inevery.

Jest coś, czego mi nie mówi, pomyślał. Co to takiego?

* * *

Przybysz z zielonych krain nie okazał ani cienia strachu czy wahania, gdy słońce skryło się za horyzontem. Stał dumnie wyprostowany na murach i z uwagą wpatrywał się w piaski, oczekując pierwszego sygnału, że demony podnoszą się z Otchłani.

W rzeczy samej w niczym nie przypominał słabych, mizernych półludzi z Północy, o

których Jardir słuchał podczas lekcji. Ile czasu minęło, odkąd którykolwiek Krasjanin odwiedził zielone krainy i na własne oczy ujrzał ich mieszkańców? Sto lat? Dwieście? Czy ktokolwiek z Pustynnej Włóczni to zrobił od czasu Powrotu?

Dwóch wojowników drwiło za jego plecami. Pochodzili z plemienia Mehnding, najpotężniejszego po Majah i całkiem oddanego doskonaleniu sztuki walki z dystansu. Budowali skorpiony i katapulty, wydobywali kamienie odpowiednie do wykorzystania w charakterze amunicji i konstruowali ogromne miotacze żądła – długich lanc, które były w stanie przebić pancerz piaskowego demona z odległości tysiąca stóp. Choć w sztuce walki włócznią byli nieco mniej sprawni od reszty plemion, ich honor nie znał granic, gdyż Mehnding zabijali więcej *alagai* niż Kaji i Majah razem wzięci.

– Ciekaw jestem, ile to potrwa, zanim zabije go pierwszy *alagai* – rzekł jeden z Mehnding.

– Ja uważam, że ledwie się pojawią demony, nasz *chin* zmoczy się i czmychnie, wrzeszcząc ze strachu – zaśmiał się drugi.

Przybysz z zielonych krain zerknął na wojowników. Z wyrazu jego twarzy łatwo można było wyczytać, iż doskonale wie, że drwią z niego, ale nie zwrócił na to uwagi i znów skupił się na piaskach.

Ignoruje upokorzenie, gdy osiągnął cel, pomyślał Jardir, wspominając drwiny, które sam musiał ścierpieć podczas swej pierwszej nocy w Labiryncie. Podszedł do obu Mehnding.

– Słońce już zaszło, a wy nie macie nic lepszego do roboty, jak tylko stać tutaj i kpić ze swojego brata, który dzierży włócznię tak jak i wy? – zapytał głośno, przyciągając uwagę wszystkich obecnych.

– Ale, Sharum Ka... – zaprotestował jeden z nich. – Przecież to tylko dzikus!

– Tymczasem ten dzikus wypatruje wroga, a wy urządzacie sobie kpiny za jego plecami jak *khaffit*! – warknął Jardir. – Jeszcze jeden żart, a wyśle was na dwa tygodnie do pawilonu *dama'ting* na naukę dobrych manier.

Wypowiedział te słowa spokojnym głosem, ale obaj wojownicy cofnęli się, jakby smagnął ich biczem.

Wtedy przybysz zakrzyknął. Jardir odwrócił się i ujrzał, jak *chin* wali końcem włóczni w mur i wrzeszczy w swym gardłowym języku. Wskazywał piaski i Jardir natychmiast zrozumiał jego intencje.

Alagai powstawały.

– Na miejsca! – rozkazał i Mehnding skoczyli do skorpionów.

Rozpalono podsycane oliwą ognie, a ogromne lustra skierowały ich blask na pole bitwy, dając wystarczająco dużo światła, by Mehnding mogli wykorzystać najlepiej swoją śmiercionośną sztukę.

Przybysz przyglądał się obsadzie skorpionia z uwagą. Jeden z wojowników odciągał cięciwę, drugi umieszczał żądło na miejscu, a trzeci celował i odpalał. Dobry zespół mógł

oddawać jeden strzał co kilka sekund.

Gdy pierwsze żądło przeszło piaskowego demona, przybysz z zielonych krain krzyknął i wyrzucił pięść w powietrze z triumfem, zupełnie jak Jardir, gdy widział to po raz pierwszy jako *nie'Sharum*.

Na Północy nie mają skorpionów, uświadomił sobie Jardir.

Przez jakiś czas słychać było brzęczenie cięciw, a drużyny katapult umieszczały w machinach ogromne bloki skalne i przecinały liny, by uwolnić przeciwwagę i posłać pocisk prosto w rosnące szeregi *alagai*. Jak zwykle jednak przypominało to wybieranie ziarenek piasku z wydm. Naliczono kilka tuzinów demonów ognistych i wichrowych, ale przeważały piaskowe, których było tak dużo, iż przypominały nawałnicę mogącą zrównać z ziemią górę.

Mehnding skupili się na strefie dookoła bramy Labiryntu, szykując powitanie dla potworów. Gdy tych zgromadziło się odpowiednio dużo, Jardir dał sygnał *nie'Sharum*, który zadał w Róg Sharak, wygrywając długą, czystą nutę. Bramy otwarły się niemal natychmiast. Najstarsi *Sharum* ze wszystkich plemion, którzy stali po drugiej stronie, zaczęli tłuc w tarcze i szydzić z demonów, próbując skłonić je do pościgu.

Tej nocy chwała krasjańskich wojowników nie miała granic. Nawet przybysz z zielonych krain wyszeptał coś, co zabrzmiało jak słowa zachwytu.

Alagai wrzasnęły i pognały w głąb Labiryntu. Naganiacze zakrzyknęli raz jeszcze i rzucili się do ucieczki, prowadząc demony coraz dalej przez zakręcające ostro uliczki tam, gdzie czekali członkowie ich plemion.

Minęło kilka minut i Jardir dał znać, by zamknięto bramy. Skrzydła zatrzasnęły się grzmącym echem.

– Weź sieci – przykazał Jardir *nie'Sharum*. – Udamy się w głąb Labiryntu i tam poddamy człowieka z zielonych krain próbie.

Chłopiec jednakże ani drgnął, na jego twarzy Jardir dostrzegł czystą zgrozę. Z irytacją odwrócił się w kierunku, w którym patrzył chłopiec. Wielu spośród wojowników również stało nieruchomo, wstrząśniętych i ogłupiałych.

– Co wy wszyscy... – zaczął, lecz wtedy w blasku ognisk podsycanych olejem ujrzał *alagai* idącego po grzbietach wydm ku miastu.

Nie był to jednak zwykły demon. Nawet z tej odległości Jardir mógł ocenić, iż był ogromny. Demony piaskowe zazwyczaj przewyższały swych ognistych i wichrowych pobratymców, nie licząc oczywiście rozpiętości skrzydeł tych ostatnich, ale nawet najroślejsze z nich nie były większe od człowieka i gdy biegały na czworakach, mierzyły sobie zaledwie trzy stopy w kłębie.

Demon, który nadciągał, poruszał się na tylnych nogach, a wzrostem przewyższał dwukrotnie rosłego mężczyznę. Nawet jego najeżony kolcami ogon był długości dorosłego człowieka. Rogi przypominały włócznie, pazury noże rzeźnicze, a czarny pancerz wydawał się gruby i twardy. Jedno z ramion demona kończyło się tuż przed łokciem, tworząc włócznię,

która mogłaby przebić ludzką czaszkę.

Jardir nie wyobrażał sobie nawet, że istnieją tak duże demony. Jego ludzie stali jak wryci, choć trudno było powiedzieć, czy ze strachu, czy ze zdumienia. Jedyne przybysz wydawał się nieporuszony i wpatrywał się w giganta z nieskrywaną nienawiścią.

Ale dlaczego? Przecież to niemożliwe, by jednoczesne pojawienie się tak ogromnego potwora oraz *chin* błagającego o pozwolenie na wzięcie udziału w walce było zbiegiem okoliczności. Co wiązało obcego z tym demonem? Jardir przeklął swą nieznajomość barbarzyńskiego języka przybysza.

– A wy na co czekacie! – ryknął do obsady skorpiona. – *Alagai* to *alagai*! Zabijcie go!

Jego rozkaz przerwał zakłętą ciszę, ludzie otrząsnęli się i skoczyli na stanowiska. Przybysz zacisnął pięść, gdy *dal'Sharum* wycelowali i odpalili żądła, ogromne włócznie z ciężkimi żelaznymi głowicami. Pociski wystrzeliły wysoko w niebo, zakreśliły łuk i runęły na demona z miażdżącym impetem.

Ogromny *alagai* został trafiony przez prawie tuzin włóczy, lecz wszystkie roztrzaskały się o jego pancerz, nie wyrządzając mu krzywdy. Demon wrzasnął z wściekłością, ale nie przerwał natarcia.

Niespodziewanie Jardir zrozumiał, że miasto znalazło się w niebezpieczeństwie. Uczył się sztuki stawiania runów w Sharik Hora i wiedział, że każdy z nich działa skutecznie tylko na jeden rodzaj demona. Runy, które wryto na murach Krasji, pochodziły z dawnych czasów i nigdy nie zostały pokonane, ale czy kiedykolwiek sprawdzono, czy powstrzymają taką istotę?

Jardir złapał przybysza za ramię i jednym szarpnięciem obrócił go ku sobie.

– Co o nim wiesz? – zapytał ostro. – Co to jest? Niech cię szlag trafi, z czym się mierzymy?

Przybysz pokiwał głową, jakby rozumiał, i rozejrzał się, a potem podszedł do katapulty i dotknął kamienia przygotowanego do wyrzutu. Potem wskazał demona.

– *Alagai* – powiedział.

Jardir pokiwał głową, po czym zwrócił się do Mehnding dowodzącego obsadą katapulty.

– Możesz go trafić? – zapytał.

– Coś tak wielkiego? – parsknął *dal'Sharum*. – Mogę trafić go w drugie ramię, jeśli sobie tego życzysz.

Jardir klepnął go w plecy.

– Traf więc go w głowę. Usmażymy go sobie.

– Zagotujcie smołę! – rozkazał wojownik, sam regulując kąt i napięcie łyżki katapulty.

Przybysz podbiegł do Jardira, mówiąc coś szybko w swym nieprzyjemnie brzmiącym języku. Wymachiwał ramionami i wydawał się coraz bardziej wściekły, iż nie jest w stanie niczego wytłumaczyć. Co chwila pokazywał katapultę i wykrzykiwał jedyne sobie znane krasjańskie słowo: *alagai*!

– Ryczy jak wielbłąd – stwierdził Hasik.

– Zamilcz – warknął Jardir. Zmrużył oczy, ale gdy dowódca obsady katapulty zameldował gotowość, wykrzyknął: – Ognia!

Przybysz skoczył ku wojownikowi, który przeciął linę, ale Hasik złapał go w porę i odepchnął bezceremonialnie.

– Wiedziałem, że nie wolno ufać *chin*, Pierwszy Wojownik! – warknął. – On chroni tego demona!

Jardir nie miał wszakże tej samej pewności. Wpatrywał się w nieznajomego, który szarpał się dziko w uścisku Hasika i nadal wykrzykiwał: *alagai!*, tym razem wskazując mur.

Niespodziewanie Jardir przypomniał sobie lekcje, które już dawno uznał za mało ważne legendy – opowieści o wielkich demonach, które atakowały mury Krasji w czasach pierwszego Wybawiciela – i naraz wszystko stało się jasne. Przecież ten przybysz nie wskazywał katapulty, on pokazywał ułożony w niej kamień!

Skalny demon, uświadomił sobie Jardir z rosnącym przerażeniem.

– To skalny demon! – krzyknął, ale było już za późno. Długie ramię katapulty wyrzuciło już pocisk i wojownik mógł tylko patrzeć bezradnie, jak ten mknie do celu. Przybysz z Północy jęknął.

Kamień wzbił się wysoko i przez moment wydawało się, że zarówno człowiek, jak i demon wstrzymali oddechy. Jednoręki potwór uniósł głowę i spojrzał na głaz, tak ciężki, że potrzeba było trzech wojowników, by załadować nim katapultę.

A wtedy, choć wydawało się to niemożliwością, demon zdrowym ramieniem pochwycił kamień i cisnął nim z ogromną siłą.

Głaz uderzył w główną bramę, wybijając w niej dziurę, od której rozbiegły się pajęczynki pęknięć. Skalny demon zaszarżował i uderzył w wyrwę. Walił raz za razem, runy skrzyły się i jarzyły, ale bariera była nazbyt uszkodzona, by powstrzymać potwora. Skrzydła drżały i dygotały, aż wreszcie jedno z nich wypadło z zawiasów i uderzyło w ziemię.

Skalny demon wskoczył do środka i z rykiem wbiegł do Labiryntu. Za nim hurmą ruszyły inne demony.

Jardir poczuł, jak jego twarz płonie, a potem ogarniają lodowate zimno. Wielkie bramy Krasji nigdy dotąd nie zostały sforsowane. *Dal'Sharum* uwięzieni w Labiryncie mieli stać się teraz zwierzyną łowną dla demonów, a wszystko to było jego winą, gdyż nie posłuchał przybysza z zielonych krain.

Ściągnąłem zgubę na swój lud, pomyślał Jardir i przez chwilę stał nieruchomo, tylko bezradnie wpatrywał się w *alagai* wdzierające się do Labiryntu.

Pokonaj swój strach, głupcze! – wrzasnął na siebie w myślach. Wchłoń go! Noc nie została jeszcze stracona!

– Skorpiony! – wykrzyknął. – Zmienić pozycję i prowadzić ogień osłonowy, gdy my będziemy latać wyłom! Katapulty! Puścić grad kamieni na bramę, by zabić każdego

usiłującego tu wejść *alagai* i zablokować drogę reszcie!

– Nie możemy strzelać na tak bliski dystans – powiedział jeden z nich, a pozostali pokiwali głowami. Jardir widział na ich twarzach to samo przerażenie, z którego sam dopiero co się otrząsnął. Tak, tym, co mogło ich wyrwać z odrętwienia, było tylko bliższe, o wiele realniejsze zagrożenie.

Grzmotnął wojownika w twarz, a ten padł jak długi.

– Gdzieś to mam, jak to zrobicie! – ryknął. – Jak dla mnie, możecie rzucać kamienie gołymi rękami, ale rozkaz macie wypełnić, i to już!

Przesłona dowódcy Mehnding, tradycyjnie zakrywająca twarze wojowników na czas nocnej bitwy, przesiąkła krwią i stłumiła słowa, ale mężczyzna bez wahania przytknął pięść do klatki piersiowej i chwiejnie podniósł się, by wypełnić rozkaz. Pozostali Mehnding zrobili to samo, a gorączkowa krzątanina wokół machin sprawiła, że szybko zapomnieli o strachu.

Jardir spojrzał na towarzyszącego mu *nie 'Sharum*.

– Zagraj sygnał: „Wyłom” – polecił, a gdy chłopiec uniósł róg do ust, wojownik poczuł, jak jego serce zalewa wstyd i gorycz porażki, iż musiał wydać taki rozkaz. Szybko jednak strząsnął z siebie to uczucie, gdyż miał zbyt wiele do zrobienia. Odwrócił się do Hasika: – Zbierz tylu wojowników i Wnykarzy, ilu będziesz w stanie, i pędź do bramy. Spotkajmy się tam jak najszybciej. Będziemy musieli zablokować wyłom.

Hasik wykrzyknął z triumfem i popędził, by wypełnić rozkaz, zupełnie jakby szczytem jego marzeń był skok w rój *alagai*. Jardir zaś pobiegł wzdłuż murów tam, gdzie walczył jego osobisty oddział pod wodzą Shanjata. W takiej chwili potrzebował wsparcia własnych ludzi. Inni Kaji mogli nadal nienawidzić Jardira za to, że zdradził swe plemię, ale ludzie, z którymi przez całe lata noc w noc szedł do bitwy, nadal byli mu całkowicie oddani.

Przybysz dotrzymywał mu kroku, a Jardir żałował, że nie wie, jak się go pozbyć, ani też nie ma czasu, by wytłumaczyć mu, iż go nie potrzebuje. Nawet jeśli *chin* rzeczywiście chciał pomóc, nie miał należytego wyszkolenia, a w zwartym, doskonale wytrenowanym oddziale Jardira ktoś taki mógł tylko przeszkadzać.

Na niebo wzbił się wrzask i przybysz zawołał:

– *Alagai!*

Wpadł na Jardira i przygniótł go do ziemi. Sharum Ka poczuł na twarzy podmuch skórzastych skrzydeł. Zaklął, odtaczając się na bok, rozejrzał się w poszukiwaniu sieci, lecz oczywiście żadnej w pobliżu nie było. Człowiek z Północy poderwał się nieco szybciej i przyczał z włócznią w pogotowiu, patrząc, jak wichrowy demon zawraca i znów nurkuje.

Może i jest głupcem, ale odwagi mu nie brakuje, pomyślał Jardir. Tylko co on ma nadzieję zdziałać bez sieci?

Demon opadał coraz niżej, a gdy znalazł się już w pozycji do ataku, nieznajomy błyskawicznie opadł na jedno kolano i pchnął wściekle długą włócznią. Ząbkowane ostrze przebiło cienką błonę skrzydła tuż przy stawie, a wtedy przybysz obrócił broń i zakręcił nią,

by wykorzystać pęd demona przeciwko niemu. Szarpnięty z całej siły potwór grzmotnął plecami o mur.

Nie doznał co prawda poważniejszych obrażeń, ale przybysz wykorzystał chwilę, by błyskawicznie złapać runiczną tarczę zwisającą mu luźno z ramienia i przycisnąć ją do klatki piersiowej demona. Rozbłysła magia, przesywany jej strumieniami potwór wił się, ciskał i wrzeszczał. Jardir bez wahania wbił włócznię w oko oszołomionej bestii. Ta nadal usiłowała się wyrwać, więc Sharum Ka wyszarpnął broń, wbił w drugie oko i obracał, dopóki bestia nie znieruchomiła.

Przybysz z zielonych krain spojrzał na niego z ekscytacją. Powiedział coś w swoim języku, a Jardir zaśmiał się i klepnął go w ramię.

– Zaskakujesz mnie, Arlenie synu Jepha!

Ramię w ramię pobiegli po murach ku ludziom Jardira.

* * *

Gdziekolwiek spojrzał, *dal'Sharum* walczyli o życie, ale Jardir nie mógł się zatrzymać, by im pomóc. Wiedział, że jeśli wyłom nie zostanie naprawiony, wstające słońce oświetli tylko zwłoki rozszarpanych na strzępy wojowników.

– Drogo sprzedajcie własne życia! – krzyczał, mijając walczących. – Everam się wam przygląda!

W korytarzach Labiryntu niósł się echem dziki ryk skalnego demona, zdawało się, że wstrząsa ścianami. Gdzieś daleko za nim gigantyczna bestia szerzyła spustoszenie wśród ludzi Jardira.

Nie oglądaj się za siebie – napomniął sam siebie. – Trzeba naprawić wyłom. Jeśli to się nie uda, wszystko inne będzie bez znaczenia.

Dziedziniec przed wielką bramą znajdował się w ruinie. Wszędzie dookoła zalegały ciała martwych bądź konających *alagai* przebitych pociskami ze skorpionów, jak i *dal'Sharum*, których ciała poszarpały kły i pazury demonów. Mehnding zdołali zasypać gruzem pęknięte wrota, ale zwinne *alagai* przedostawały się bez trudu przez rumowisko.

– Z drogi! – krzyknął Jardir, a kilku obdartych, zakrwawionych *dal'Sharum*, którzy nadal walczyli na dziedzińcu, wycofało się w pośpiechu.

Wojownicy Jardira uformowali mur tarcz i ruszyli szybkim tempem do wyłomu, który liczył sobie dziesięć stóp szerokości i mniej więcej tyle samo wysokości. Obok Sharum Ka biegł przybysz, który bez trudu dotrzymywał kroku oddziałowi, zupełnie jakby ćwiczył z *dal'Sharum* przez całe życie. Może i był *chin*, ale włócznią i tarczą władał wysmienicie.

Wojownicy na obu krańcach szyku przyspieszyli, formując teraz płytki półksiężyc, by zgarnąć wdzierające się do miasta piaskowe demony i spychać je w kierunku bramy.

Fala nacierających potworów uderzyła w mur tarcz i niemalże zatrzymała oddział w

miejscu. Runy jednakże rozbłysły niemal natychmiast i *alagai* zostały odrzucone. Wojownicy ryknęli z gniewem, czując opór przeciwnika, a towarzysze z tylnych szeregów wsparli ich własnymi ramionami. Oddzielona od demonów skrzącą nieustannie barierą runiczną setka Jardira powoli, lecz skutecznie zaczęła odzyskiwać teren i spychać wrogów ku bramie.

– Tylne szeregi! – krzyknął Jardir.

Wojownicy zamykający oddział odwrócili się błyskawicznie i unosząc wysoko tarcze, ruszyli przed siebie, tworząc przestrzeń, w której mogli działać Wnykarze, elita pośród *dal'Sharum*. Ci zaś opuścili włócznie, zarzucili tarcze na plecy i zaczęli wyciągać z plecaków ceramiczne, polakierowane płytki. Dwóch mężczyzn ułożyło je w poprzek dziedzińca przed wylotem, a pozostałych dwóch ujęło włócznie i za ich pomocą wyrównało położenie płytek.

Jardir wbił ostrze w oko piaskowego demona – jeden z niewielu wrażliwych punktów w ciele tego gatunku *alagai*. Walczący obok niego człowiek z Północy odnalazł innego i z całej siły wepchnął broń w gardziel ryczącego potwora. Co rusz w szczeliny między skrzącymi tarczami wbijały się pazurzaste łapy i każdy z walczących wił się w unikach.

Zza bramy Jardir z niedowierzaniem ujrzał, że armia *alagai* zwiększyła się wielokrotnie. Odniósł wrażenie, że wydmy aż się roily od piaskowych demonów, z których wszystkie gnały prosto ku twierdzy wroga. Głazy i włócznie nieprzerwanie wpadały w ich szeregi, ale nikły w masie niczym kamyki wrzucone w toń jeziora.

Wnykarze zameldowali koniec pracy i Jardir wraz ze swymi ludźmi zaczął się wycofywać.

– Jeszcze nie tej nocy! – obiecał demonom, które zderzyły się z mocą runów wyrysowanych na płytkach. – Jutro Krasja znów stanie do boju!

Odwrócił się. Dziedziniec był pusty, a pozostałe *alagai* czmychnęły do Labiryntu.

– Wpatrywacz! – krzyknął Jardir.

Kilka sekund później Coliv opuścił drabinę z muru i podbiegł z meldunkiem.

– Wieści nie są najlepsze, Pierwszy Wojowniku – rzekł. – Majah przegrupowali się w szóstej strefie i stawiają czoła większości piaskowych demonów, ale rozproszone plemiona walczą w całym Labiryncie i mało które starcie przebiega pomyślnie. Ten gigant zapuszcza się coraz głębiej w kierunku głównej bramy i wybija całe oddziały. Właśnie dostrzeżono go w ósmej strefie.

– Przecież na pewno nie jest w stanie odnaleźć drogi w Labiryncie!

– Wygląda na to, że podąża za jakimś tropem, Pierwszy Wojowniku – rzekł Coliv. – Co chwila zatrzymuje się, by węszyć. Garść piaskowych i ognistych demonów tańczy u jego stóp, ale nie zwraca na nie uwagi.

Jardir uniósł przesłonę, by wypluć z ust kurz.

– Wracaj na mury i wraz z innymi Wpatrywaczami wybierzcie najlepszą trasę, by zebrać rozproszone plemiona i przyjsć z odsieczą Majah.

Coliv grzmotnął pięścią w klatkę piersiową i pomknął po drabinie na szczyt muru. Jardir

zaś odwrócił się, by zebrać swych ludzi, i dostrzegł, że nieznajomy z Północy próbuje porozumieć się z jednym z Wnykarzy, wymachując dziko ramionami. Wojownik patrzył zaś bezradnie, niczego nie rozumiejąc.

– Nie jest potężna tego Nowiu! – wykrzyknął Jardir, przyciągając uwagę wszystkich. – Everam jednak jest jeszcze silniejszy! Musimy mu zawierzyć, iż przeprowadzi nas przez noc, a Ala nie zostanie zalana czernią Nie! Pokażcie *alagai*, czym się kończy rzucenie wyzwania wojownikom z Pustynnej Włóczni, i wiedźcie, że czeka was Niebo!

Uniósł pięść ku niebu, a *Sharum* uczynili to samo i z gromkim okrzykiem popędzili za Jardirem w głąb Labiryntu.

* * *

Noc trwała nadal, a ludzie Jardira nacierali na hordy potworów, wpychając je do demonich dołów, i łączyli się z niedobitkami z rozproszonych oddziałów. Gdy Jardir dotarł do Majah, którzy bronili wąskiego korytarza prowadzącego do szóstej strefy, miał ze sobą hufiec złożony z ponad tysiąca wojowników.

Uderzyli wściekle na szeregi *alagai* od tyłu, spychając je runicznymi tarczami. Majah rozstapili się i ludzie Jardira przebiegli przez lukę w murze tarcz równie płynnie jak na ćwiczeniach w *sharaj*.

– Melduj – rzucił Jardir ku jednemu z *kai 'Sharum* Majah.

– Trzymamy się, Pierwszy Wojowniku – powiedział tamten. – Ale nie jesteśmy w stanie powrzucać demonów do dołów!

– To dajcie sobie z tym spokój. Niech wasi Wnykarze odetną tę strefę, potem zostaw tu setkę najlepszych ludzi na straży, a reszta niech pędzi do wschodniej części siódmej strefy na pomoc Bajin.

– A ty dokąd zmierzasz? – zapytał *kai 'Sharum*.

– Chcę odnaleźć tego demona i posłać go do otchłani Nie – oznajmił Jardir, po czym zebrał tylu ludzi, ilu Majah mogli oddać, i pognął ku bramom miasta, modląc się w duchu, by nie było zbyt późno.

* * *

Jednoręki demon skalny stał przed główną bramą miasta i tłukł w barierę runiczną. Z każdym uderzeniem magiczne znaki buchały blaskiem, który przepędzał mrok nocy, a łomot niósł się echem po ulicach miasta, lecz starożytne runy wytrzymały napór. Demon był z bezsilnej wściekłości.

Dal 'Sharum nacierali, kłując go włóczniami z twardej pustynnej stali, lecz ataki nie wywierały na stworze żadnego wrażenia. Na oczach Jardira machnął ogonem, niemalże od

niechcenia, miażdżąc tarcze, łamiąc włócznie i ciskając odważnych wojowników w powietrze.

– Everamie, miejże łaskę – szepnął Pierwszy Wojownik.

– Przynajmniej brama się trzyma – rzekł Shanjat.

– A wytrzyma do świtu? – burknął Jardir. – Ośmielimy się zaryzykować?

– A cóż innego możemy zrobić? – zapytał Shanjat. – Przecież nawet skorpiony nie są w stanie przebić skóry tego stwora, jest też zbyt duży, by zwabić go do demoniego dołu! Jego łeb wystawałby poza krawędź!

– Dajcie spokój, przecież to tylko duży demon! – rzekł Hasik. – Mając odpowiednią liczbę wojowników, dalibyśmy radę go przewrócić i związać mu ręce.

– Rękę – poprawił go Shanjat. – Stracilibyśmy w ten sposób wielu wojowników, i to bez gwarancji, że atak przyniesie skutek. Nigdy dotąd nie widziałem tak silnego *alagai*. Obawiam się, że to sam Alagai Ka nadszedł wraz z Nowiem.

– Nonsens – rzekł Jardir, przyglądając się demonowi w trakcie kłótni swych poruczników.

Na Everama, znajdę sposób, by cię zabić, poprzysiągł w duchu.

Miał nadzieję, że przewagą liczebną ludzie zdołają obalić demona. Jardir już miał wydać rozkaz do natarcia, gdy odnalazł go jeden z Wnykarzy.

– Proszę o wybaczenie, Pierwszy Wojowniku, ale *chin* ma plan – oznajmił.

Jardir odwrócił się i ujrzał przybysza z zielonych krain pogrążonego w rozmowie na migi z Wnykarzami i desperacko usiłującego przekazać swe zamiary.

– Cóż to za plan? – zapytał.

– Przecież nie zamierzasz chyba nadal mu ufać? – rzekł Hasik.

– A może ty masz jakiś plan, który nie polegałby na rzucaniu ludzi na pastwę tego potwora z głębi Nie? – Hasik nie odpowiedział, więc Jardir odwrócił się do Wnykarza: – Na czym polega ów plan?

– Ten *chin* zna się runach – objaśnił Wnykarz.

– Trudno się dziwić – mruknął Hasik. – *Chin* nie znają się na niczym innym poza chowaniem się za runami.

– Zamknij się wreszcie! – warknął Jardir.

Wnykarz zignorował wymianę zdań.

– Ten obcy ma runy, które są w stanie uwięzić tę bestię, o ile uda nam się zwabić ją w jakiś ślepy zaułek, a potem je odsłonić. Runy są zresztą podobne do tych, które zatrzymują piaskowe. Ściany Labiryntu posłużą nam do świtu jako pułapka.

Jardir przyjrzał się uważnie symbolom. Rzeczywiście, runy były podobne, lecz większe i pochylone w innym kierunku, jedna z linii była też przerwana. Powiodł palcem po jej kształcie.

– Jest jeden ślepy zaułek dwa zakręty stąd, w dziesiątej strefie – powiedział.

– Wiem, Pierwszy Wojowniku – odrzekł Wnykarz z ukłonem.

Jardir odwrócił się do Hasika i Shanjata.

– Nie spuszczajcie demona z oczu i nie róbcie nic, dopóki nie nabierzecie pewności, że runy słabną. Jeśli do tego dojdzie, macie go zaatakować. Wszyscy, co do jednego.

Obaj wojownicy grzotnęli się pięściami w piersi i pokłonili dowódcy, a ten wybrał trzech najlepszych Wnykarzy i razem z przybyszem ruszyli do miejsca zasadzki. Gdy całą piątką doszli do wniosku, że runy na ścianach i przy wejściu wytrzymają, rozmieścili płytki przybysza w odpowiednim miejscu i przykryli je płótnem w kolorze piasku, które można było łatwo ściągnąć.

Człowiek z Północy znów zaimponował Jardirowi. Wykonywanie runów było w Krasji rzadko spotykaną, elitarną umiejętnością, którą zajmowali się jedynie *dama* oraz nieliczni, osobiście przez nich wybrani wojownicy.

– Kim ty jesteś? – zapytał, ale przybysz wzruszył jedynie ramionami, niczego nie rozumiejąc.

Gdy wrócili, okazało się, że gigantyczny demon nie zaprzestał prób i nadal systematycznie tłukł w barierę, cał po cału sprawdzając moc runów broniących bramy. Na jego widok Jardir znów poczuł ukłucie strachu, ale był Pierwszym Wojownikiem i nie miał zamiaru prosić kogokolwiek, by zamiast niego zwabił bestię w pułapkę.

Jestem Wybawicielem czy nie? – napomniął się surowo i zmusił, by ponownie w to uwierzyć. Wiedział jednak, że Inevera kłamie w różnych sprawach bez skrepowania, więc może oszukała go i w tej kwestii?

Wyprostował się, nakreślił run w powietrzu i zrobił krok do przodu.

– Nie, Sharum Ka! – wykrzyknął Hasik. – Jestem twoim ochroniarzem! Pozwól mi zwabić demona w zasadzkę!

– Twoja odwaga przynosi ci chwałę – pokręcił głową Jardir. – To jednak zadanie tylko i wyłącznie dla mnie.

Przybysz coś powiedział i machnął ręką, naśladując gest rąbania, ale Jardir nie miał już czasu na rozszyfrowywanie jego niejasnych komunikatów. Przewyciężył strach i ruszył prosto na demona, krzycząc i tłukąc włócznią o tarczę.

Ten zignorował go i nadal nacierał na bramę.

Jardir przypadł doń i z całej siły wbił włócznię pod kolano bestii, ale pancerz zatrzymał impet uderzenia, a potwór machnął jedynie potężnym ogonem, zupełnie jak koń oganiający się od dokuczliwej muchy. Jardir unikiem zszedł z linii ciosu i nachylił się, a najeżony kolcami ogon przemknął ze świstem nad jego głową. Zerknął na włócznię, koniec ostrza został złamany.

– Wielbądźcie szczyny! – mruknął i odwrócił się, by podbiec do swych ludzi i wziąć od Hasika nową broń.

– Pierwszy Wojowniku! – zakrzyknął tamten, wskazując na *chin*, który szedł właśnie w

kierunku demona.

– Ty głupcze! – wrzasnął Jardir. – Co ty wyczyniasz!

Przybysz z zielonych łąk nie dał jednak poznać po sobie, że cokolwiek usłyszał, a co dopiero zrozumiał. Zatrzymał się tuż poza zasięgiem demona i wydał głośny okrzyk.

Usłyszawszy go, demon naraz przerwał natarcie, przechylił głowę i zaczął węszyć. Odwrócił się, by przyjrzeć się przybyszowi, a jego ślepie nagle błysnęły, jakby go rozpoznał.

– Na krew Nie! – zaklął Hasik. – Ten potwór go zna!

Alagai ryknął i rzucił się na człowieka, przecinając powietrze pazurami zdrowego ramienia, ale nieznajomy uskoczył sprawnie i runął ku zasadzce.

– Z drogi! – wykrzyknął Jardir i krasjańscy wojownicy jak jeden mąż usunęli się przed nadbiegającym *chin* i ścigającym go demonem. Gdy ci ich minęli, Jardir ruszył za nimi wraz ze wszystkimi zgromadzonymi wokół ludźmi.

Labirynt aż się trząsnął pod stopami gigantycznego demona, a każdy jego krok wzbijał ogromne tumany pyłu, przez co trudno było dostrzec uciekającego przybysza. *Alagai* był jednak i nadal gnał przed siebie, a Jardir mógł się tylko domyślać, że obcy kontynuuje ucieczkę.

Wykonali dwa ostre zakręty i w przytłumionym świetle lamp olejnych Jardir ujrzał, że przybysz skręcił prosto w zasadzkę. Demon pobiegł tam za nim, a Wnykarze wyskoczyli z ukrycia, by odsłonić runy.

Gigant zaryczał z triumfem, widząc zdobycz w pułapce. Runął prosto na uciekiniera, a ten odwrócił się i skoczył ku bestii. Zajaśniały runy na jego tarczy, odpychając ogromną, pazurzastą łapę, ale impet uderzenia zbił wojownika z nóg. Przetoczył się i skoczył na równe nogi niczym kot, a potem przemknął obok demona, nim ten zdołał zaatakować go po raz drugi.

Runy zostały odsłonięte, ale w tej samej chwili Jardir dostrzegł, że demon nadepnął na jeden z nich, niszcząc go całkowicie. Przybysz również to zauważył. Jardir sądził, że wyskoczy z zasadzki, nim demon zdoła się odwrócić, ale człowiek z Północy znów go zaskoczył. Wskazał włócznią zepsuty run i wykrzyknął coś w swym gardłowym języku, po czym odwrócił się ku *alagai*.

– Naprawcie ten run! – wykrzyknął Jardir, lecz było to zbyteczne, bo Wnykarze już malowali nowy znak na płytce i lada chwila mieli skończyć.

Demon zaatakował po raz kolejny, człowiek z Północy uskoczył, wyłapując uderzenie skrajem tarczy. Tym razem jednak potwór nie tracił czasu i uderzył kikutem ramienia niczym gigantyczną włócznią. Przybysz rzucił się na ziemię i uniknął ataku, lecz demon już poderwał stopę, by zmiążdżyć go, póki był bezbronny, i Jardir zrozumiał, że nieznajomy nie zdoła poderwać się na czas.

Wnykarze już prawie zakończyli pracę. Przybysza czekała bohaterska śmierć, lecz Krasji miało już nic nie zagrażać. Wystarczyło, by Jardir machnął ręką na tajemniczego przybysza z

Pólnocy i odwrócił się od niego.

Zamiast tego krzyknął jednak i sam wskoczył do zasadzki.

8

Par'chin

326 – 328 ROK PLAGI

Skalny demon zaryczał i już miał uderzyć pazurzastą stopą, gdy Jardir runął na kolana i przypadł do przybysza, osłaniając ich obu wzniesioną do góry tarczą.

Uderzenie było potworne. Kręgosłup Jardira przeszył ból, a ramię trzymające tarczę obwisło, wyrwane ze stawu, ale runy rozbłysły i wielki *alagai* został odrzucony w tył. Stracił równowagę i uderzył w jedną ze ścian. Znajdujące się tam runy rozjarzyły się i pchnęły go na przeciwległą ścianę, gdzie spotkało go to samo. Wrzasnął z wściekłością, objając się od murów niczym dziecinna zabawka.

Przybysz z zielonych krain poderwał się prędko, pochwycił Jardira za zdrowe ramię i mocnym szarpnięciem postawił go na nogi. Wnykarze zakończyli już pracę, utykając, wycofali się z zasadzki za plecami rozwścieczonego demona.

Ten w chwilę później odzyskał równowagę i rzucił się w ślad za nimi, ale wtedy mrok rozjaśnił błysk runów z Północy i potwór poleciał do tyłu. Przybysz wykrzyknął coś do niego i wykonał pewien znany Jardirowi gest, który na Północy musiał być równie obsceniczny jak w Krasji. Znow się zaśmiał.

– Co meldują Wypatrywacze? – zapytał Jardir Shanjata.

– Połowa Labiryntu nadal pod kontrolą *alagai* – odparł Shanjat. – Kilku wojowników kryje się w zasadzkach, ale większość udała się już w objęcia Everama. Majah nadal trzymają się w szóstej strefie, demonom nie udało się sforsować ich bariery runicznej.

– Ilu wojowników straciliśmy? – zapytał Jardir, bojąc się odpowiedzi.

– Nie dowiemy się tego aż do świtu – wzruszył ramionami Shanjat. – Dopiero wtedy wyjdą ludzie kryjący się w zasadzkach i będzie można policzyć straty.

– A twoim zdaniem?

– Padła nie mniej niż jedna trzecia – zmarszczył brwi Shanjat. – Może nawet połowa.

Jardir skrzywił się. Od czasów Powrotu *dal'Sharum* nigdy nie ponieśli takich strat w

jednej bitwie. Andrah zażąda jego głowy.

– Skoro wewnętrzny Labirynt jest oczyszczony, zaczniście zanoszenie rannych do pawilonów *dama'ting* – powiedział.

– Powinieneś znaleźć się wśród nich, Pierwszy Wojownika – zaprotestował Shanjat. – Twoje ramię...

Jardir zerknął na swoje ramię, zwisające bezwładnie i luźno. Wchłonął już ból, przegnał go i zapomniał o ranie, lecz teraz, gdy na powrót uświadomił sobie jej istnienie, ból buchnął ze zdwojoną siłą, póki wojownik znów go nie zdławił. Pokręcił głową, przypomniawszy sobie słowa Shanjata.

– Nie, ramię może poczekać. Niech Wypatrywacze przynoszą mi tu meldunki. Niebawem wszędzie słońce i chcę ujrzeć, jak *alagai* płoną.

Shanjat skinął i ruszył, wykrzykując rozkazy. Jardir odwrócił się i raz jeszcze przyjrzał skalnemu demonowi, który walił pazurami w runy i ryczał, próbując dopaść przybysza z zielonych krain. Ten zaś stał spokojnie tuż przed barierą. Obaj – zarówno człowiek, jak i potwór – mieli w oczach tę samą nienawiść.

– Cóż takiego wydarzyło się między wami? – zapytał Jardir, wiedząc jednak dobrze, że ten i tak nie zrozumie jego słów.

Coś – być może ton jego głosu – sprawiło jednak, że człowiek z Północy pojął treść pytania. Ku zaskoczeniu Jardira wykonał ten sam gest co wcześniej. Wyciągnął prawe ramię i udał, że rąbie je drugą ręką, uderzając tuż poniżej łokcia.

Jardir wybałuszył oczy, nagle pojawiwszy, co chce przekazać obcy.

– Ty odrąbałeś mu łapę? – zapytał.

Pozostali znieruchomieli i wbili w niego spojrzenia. Gdy nieznajomy potwierdził skinieniem głowy, dookoła poniósł się szmer zaskoczonych głosów i Jardir zrozumiał, że plotka rozprzestrzeni się po mieście niczym piasek niesiony wiatrem.

– Nie doceniałem cię, mój przyjacielu – rzekł. – To prawdziwy honor być twoim *ajin'pal*.

Przybysz wzruszył ramionami i uśmiechnął się, tym razem nie rozumiawszy ani słowa.

Niebawem kolor nieba zaczął się zmieniać, zdradzając, iż świt jest już bliski. Skalny demon również to wyczuł i wyprostował się czujnie. Jardir widywał to przedstawienie już setki razy, lecz nigdy go nie nużyło. Lada chwila potwór miał odkryć, że kamienny bruk znajdujący się pod piaskiem wyściełającym korytarze Labiryntu uniemożliwi mu odnalezienie drogi do otchłani Nie w samym sercu Ala. Będzie wrzeszczał i tłukł w runy, ale wtedy dopadną go promienie słońca i spopieli go światło Everama.

Alagai w istocie wrzasnął, lecz potem zrobił coś, czego Jardir nigdy nie widział na oczy. Zaczął odgarniać ziemię, aż odnalazł ogromny kamienny blok, który ułożono wzdłuż ulic całe wieki temu. Jednym uderzeniem wielkiej, pazurzastej łapy rozbił kamień i zaczął wyrzywać popękane okruchy.

– Nie! – krzyknął Jardir. Przybysz z zielonych krain również głośno zaprotestował, ale

nie miało to większego znaczenia. Potwór wślizgnął się na powrót do Otchłani, na długo nim promienie słońca zdążyły mu zaszkodzić.

* * *

Inevera czekała na wojowników, gdy utykając, szli w kierunku placów ćwiczebnych. Widząc, że jedno z ramion Jardira zwisa bezwładnie, odwróciła się do Hasika.

– Zaprowadź go do pałacu – rozkazała. – Zawlec go siłą, jeśli będzie trzeba.

– Jak *dama'ting* każe – skłonił się Hasik i szarpnął Pierwszego Wojownika za szatę.

– Znajdź Abbana – ten zdążył jeszcze przykazać Shanjatowi. – Znajdź go i przyprowadź wraz z przybyszem do mojej sali audiencyjnej.

Shanjat skinął głową i pchnął gońca, a Jardir i Hasik ruszyli w stronę pałacu, ale nim dotarli do schodów, place ćwiczebne zaroily się od *dama'ting*, które zajęły się rannymi i kobietami oplakującymi zaginionych mężów i synów. Za nimi pojawili się *dama* – szybko wyłowili swych rodaków z tłumów *Sharum* wracających z Labiryntu. Armia, która walczyła jak jeden mąż w mroku nocy, jak zwykle w kilka chwil rozproszyła się w blasku dnia.

Ledwie Jardir dotarł do połowy schodków, gdy ujrzał palankiny. Zmierzało tu wszystkich dwunastu *Damaji* oraz Andrah we własnej osobie, nieśli ich *nie'dama*, a osłaniali najbardziej lojalni klerycy. Wojownik zatrzymał się w pół kroku, zdając sobie sprawę, że żadna rana nie była ważniejsza od obowiązku złożenia natychmiastowego meldunku z tego, co wydarzyło się przekłętej nocy. Ale cóż Jardir miał powiedzieć? Utracił przynajmniej trzecią część wojowników Krasji i co uzyskał w zamian?

– Co się stało? – wrzasnął z wściekłością Andrah, idąc ku niemu szybkim krokiem. W jednej chwili u boku Jardira pojawiła się Inevera, ale Andrah w blasku dnia, uzbrojony w świadomość klęski Jardira, a do tego w towarzystwie swych *Damaji*, nie wystraszył się nawet jej.

Nadal po upływie tylu lat widok tłściocha natychmiast przeppełnił Jardira nienawiścią i obrzydzeniem. Jednak wydawało się, że dzień, który przepowiedziała Inevera – dzień, w którym Jardir nakarmi nim swą włócznie i odetnie męskość Andraha, nigdy nie nadejdzie. Jardir wiedział, że będzie miał dużo szczęścia, jeśli nie skończy jako *khaffit*.

– Zewnętrzna brama została sforsowana – oznajmił. – I wróg przedostał się do Labiryntu.

– Utraciłeś bramę? – spytał groźnym tonem Andrah.

Jardir potaknął.

– A straty?

– Nadal liczymy. Przynajmniej setki, jeśli nie tysiące.

Damaji pograżyli się w ożywionych, prowadzonych szeptem rozmowach. Jardir stał wyprostowany, czując, że wszyscy zebrani na placach ćwiczeń *Sharum* i *dama* przyglądają się konfrontacji.

– Zatknię swoją głowę na włóczni przed nową bramą! – poprzysiął mu Andrah.

Nim Jardir zdołał odpowiedzieć, Hasik stanął przed nim i padł do stóp Andraha, przykładając czoło do stopni.

– Co ty wyczyniasz, głupcze? – usiłował zatrzymać go Jardir, ale Hasik go zignorował.

– Proszę o wybaczenie, mój Andrahu – powiedział – ale to nie wina Pierwszego Wojownika! Bez Ahmanna Jardira ta noc zakończyłaby się zupełną klęską.

Wśród zebranych wokół wojowników poniósł się szmer.

– Wyciągnął mnie z demoniego dołu! – wykrzyknął jeden z nich.

– Jego natarcie uratowało mój oddział! – zawołał inny.

– Nie tłumaczy to utraty bramy! – warknął Andrah.

– Sam Alagai Ka przypuścił atak na nasze mury tej nocy! – wyjaśnił Hasik. – Pochwyił kamień z katapulty i rzucił nim w skrzydła bramy, całkiem rozbijając jedno z nich. Gdyby nie szybki kontratak Pierwszego Wojownika, ponieśliśmy wielką porażkę.

– Trwa Nów, ale Alagai Ka nie widziano w Krasji od ponad trzech tysięcy lat! – oznajmił *Damaji Amadeveram*.

– To nie był Alagai Ka – rzekł Jardir. – To tylko skalny demon z gór.

– Tak czy owak, to niesłychane – stwierdził *Amadeveram*. – Lecz cóż takiego ściągnęło tu skalnego demona z jego górzyściej ojczyzny?

Hasik rozejrzał się. Jardir syknął ostrzegawczo, lecz porucznik znów go zlekceważył.

– On – powiedział, wskazując przybysza z Północy.

Spojrzenia wszystkich zwróciły się ku nieznanemu, który uświadomił sobie, iż znalazł się w centrum uwagi, i cofnął się o krok.

– Jakiś *chin*? – zapytał Andrah. – A cóż takiego porabia *chin* wśród *Sharum* z Krasji? Powinien siedzieć gdzieś na rynku z innymi *khaffit*.

Pewien *dama* wyszeptał kilka słów do ucha *Amadeverama*.

– Doniesiono mi, że stanął zeszłej nocy przed obliczem Pierwszego Wojownika i błagał o pozwolenie na wzięcie udziału w bitwie – powiedział *Damaji*.

– I ty udzieliłeś mu pozwolenia? – zapytał z niedowierzaniem Andrah, patrząc na Jardira.

Inevera napięła się, ale Jardir uspokoił ją ruchem ręki. W zaciszu alkowy być może dzierżyła władzę absolutną, ale tu nie powinna zabierać głosu. Pomimo że sprawowała funkcję *dama'ting*, była tylko kobietą i gdyby zabrała głos w jego obronie przed zgromadzonymi wojownikami, pogorszyłaby jedynie sytuację.

– Tak – rzekł.

– A więc to nieszczęście, które na nas spadło, jest twoją winą! – wrzasnął Andrah. – Głowa *chin* zostanie nadziana na włócznię tuż obok twojej i niech sokoły wyżrą wam obu oczy!

Już się odwrócił, chcąc odejść, ale Jardir bynajmniej nie miał zamiaru pozwolić mu na triumf. Zbyt wiele poświęcił dla przybysza z zielonych krain, żeby teraz pozwolić, by Andrah

go zabił. Inevera powiedziała, że losy Jardira i *chin* były połączone, a zatem tym bardziej można było się wahać. Ramię nadal pulsowało wściekłym bólem, Jardir był zmęczony i poraniony po całonocnej walce, kręciło mu się w głowie z wyczerpania, ale wchłonał wszystkie te odczucia i z pasją odrzucił od siebie. Na odpoczynek miał przyjść czas w objęciach Everama, a póki co Pierwszy Wojownik stał jeszcze obiema nogami na tym padole.

– A więc powinienem być go oddalić, tak? – zapytał głośno, by wszyscy usłyszeli wymianę zdań. – Przybył do nas dręczony przez *alagai*, który jest jego osobistym wrogiem, a my mielibyśmy odwrócić się do niego plecami? Jesteśmy mężczyznomi czy *khaffit*?

Andrah stanął jak wryty, a potem odwrócił się ku Jardirowi. Nachmurzył się, na twarzy odmalowała mu się wściekłość.

– On przywłókł tego skalnego demona ze sobą! – wrzasnął.

– Gdzieś to mam! – odkrzyknął Jardir. – Równie dobrze mógłby to być sam Alagai Ka! Zagłada czeka nas wszystkich, skoro boimy się *alagai* do tego stopnia, że gotowi jesteśmy wygnać człowieka w noc, nawet jeśli to tylko *chin*!

Wskazał przybysza, który dotarł do połowy schodów. Trzymał włócznię mocno, jakby spodziewał się, że tłum runie na niego łąda chwila. Błysk zaciętości w jego oczach zdradzał, że drogo sprzeda swoje życie.

To człowiek bez strachu, pomyślał Jardir. Czy mógłbym połączyć swój los z kimś godniejszym od niego?

– To nie tchórzliwy obcy z Północy, który orze ziemię jak kobieta – oznajmił. – To Par'chin, odważny wędrowiec, który walczy jak *dal'Sharum*! Niech Alagai Ka przybędzie! Skoro łąknie krwi tego człowieka, tedy każdy mąż, który chce bez wstydu stanąć przed obliczem Everama, powinien zrobić wszystko, co w jego mocy, by powstrzymać demona!

Shanjat wykrzyknął z entuzjazmem, a jego okrzyk został pochwycony przez setkę osobistych wojowników Jardira. W jednej chwili wszyscy obecni *dal'Sharum* unieśli włócznie, a ku niebu wzbił się ryk z setek gardeł.

– Wytrzymał się tej nocy napór Nie i odepchnęliśmy jej gigantycznego sługę – ciągnął Jardir. – Pełnie on teraz do Otchłani, czując gorycz swojej porażki, drżąc z lęku przed *dal'Sharum* z Pustynnej Włóczni!

Andrah parsknął, szukając gorączkowo odpowiedzi, ale niepotrzebnie, gdyż cokolwiek by powiedział, każde jego słowo utonęłoby w chóralnym zgiełku, do którego dołączyli nawet *dama*. Skrzywił się z niechęcią, ale wobec tak ogromnego poparcia dla Jardira nie mógł nic przedsięwziąć. Odwrócił się więc i opadł w palankin. *Nie'Sharum* aż jęknęli pod jego ciężarem, gdy pochwycili za drągi, by umieścić je na swych ramionach.

– Grasz w niebezpieczną grę – ostrzegł go Amadeveram, gdy wynoszony Andrah nie mógł już ich usłyszeć.

– *Sharak* to nie gra, *Damaji* – odparł Jardir.

* * *

– Dobra robota – powiedziała Inevera, ułożywszy męża na stole operacyjnym. – Tak dogadałeś tej tłustej świni, że zmykała z podwiniętym ogonkiem!

Zaśmiała się, tnąc jego szaty. Bark wojownika i znaczna część ramienia zdążyły już poczerwieć.

– To był jeden z tych rzadkich momentów, kiedy mogłem wykazać się kompetencją – rzekł Jardir.

Inevera mruknęła coś pod nosem, po czym ujęła jego ramię i nastawiła jednym ostrym szarpnięciem. Jardir był przygotowany na ból, który owionął go niczym gorący wiatr.

– Chcesz wywar z korzenia na wytłumienie bólu? – zapytała.

Jardir parsknął.

– Ależ ty jesteś silny – mruknęła niczym kot, przesuając dłonie po jego ciele w poszukiwaniu kolejnych obrażeń. Gdziekolwiek spojrzała, widziała siniaki i draśnięcia, ale wyglądało na to, że żadna z ran nie wymaga natychmiastowej uwagi, gdyż szaty Inevery niespodziewanie opadły na podłogę, a ona sama wdrapała się na stół i stanęła nad Jardirem w rozkroku.

Nic nie podniecało jej bardziej niż zwycięstwo.

– Mój bohaterze! – wyszeptała, opadłszy na kolana i całując pierś męża. – Mój Shar'Dama Ka.

* * *

Jardir zasiadł na Tronie Włóczni i zaczął przyjmować meldunki od *kai'Sharum*. Jego lewe ramię spoczywało na temblaku. Choć skupiał się na słowach swoich ludzi i odepchnął ból, który nie sprawiał mu już większych kłopotów, Pierwszy Wojownik wciąż nie mógł się pogodzić z tymczasowym kalectwem. Żony usiłowały mu wyperswadować udział w *alagai'sharak* tej nocy, ale nie chciał nawet o tym słyszeć.

Przed jego obliczem stanął Evakh, *kai'Sharum* plemienia Sharach.

– Zostało nam jedynie czterech *dal'Sharum*, przez co z żalem melduję, Sharum Ka, że moje plemię nie ma dość ludzi, by wystawić własny oddział – mówił, spuszczając ze wstydem głowę. – Minie wiele lat, nim nasza liczebność należycie wzrośnie.

Nie powiedział tego, o czym wszyscy pomyśleli, a mianowicie, że Sharach najprawdopodobniej nigdy się nie podniosą i czeka ich wymarcie lub wchłonięcie przez inne plemię.

Jardir zmarszczył brwi.

– Wiele oddziałów zostało przerzedzonych zeszłej nocy. Wezwę *dal'Sharum*, by wsparli naszych braci Sharach. Jeszcze tej nocy będziesz miał wojowników pod swoimi rozkazami.

Kai'Sharum wybałuszył oczy.

– To niezwykła hojność z twojej strony, Pierwszy Wojownika!

– Bzdura – rzekł *Jardir*. – Przecież robię to, co należy. Co więcej, kupię wam kilka żon z własnej kiesy, by pomóc wam jak najszybciej się odrodzić.

Uśmiechnął się przy tych słowach.

– Jeśli wasi ludzie przyłożą się do tego z takim entuzjazmem i energią jak do *alagai'sharak*, *Sharach* szybko się odrodzą.

– *Sharach* będą ci wdzięczni po kres świata, Pierwszy Wojownika – rzekł mężczyzna i przypadł do ziemi, dotykając czołem podłogi.

Jardir powstał z podium i położył zdrową rękę na ramieniu wojownika.

– Sam jestem *Sharach* – powiedział. – Mam przecież trzech synów i dwie córki z *Qashą*. Nie pozwolę, by nasze plemię pochłonęła noc.

Wojownik ucałował jego sandał, a *Jardir* poczuł, jak oczy wzbierają mu łzami.

– *Kaji* i *Majah* nie zechcą sprzedać swoich żon innemu plemieniu – poinformował go *Ashan* po wyjściu *Evakha* – ale *Mehnding* mają nadmiar córek, a ich lojalność wobec *Sharum Ka* nie ma granic. Ponadto tej nocy nie ponieśli wielu strat.

Jardir pokiwał głową.

– Zaproponuj kupno tyłu, na ile się zgodzą. Pieniądze nie grają roli. Inne plemiona również będą potrzebować świeżej krwi po tym, co wydarzyło się tej nocy.

Ashan uklonił się.

– Zajmę się tym. Ale czy odbudowywanie plemion nie jest aby zadaniem *Damaji*?

Jardir spojrział na niego z sympatią.

– Dajże spokój, przyjacielu, wiesz równie dobrze jak ja, że te staruchy palcem nie kiwną, by pomóc komuś innemu. *Sharum* muszą sami troszczyć się o siebie.

Ashan znów się uklonił.

Kolejni *kai'Sharum* stawiali się z meldunkami, wielu przynosiło złe wieści. *Jardir* słuchał ich z narastającym znużeniem, starając się pomóc wszystkim i zastanawiając się nad stanem wojsk, które przyjdzie mu wystawić o zmierzchu.

Gdy wyszedł ostatni z jego oficerów, pozwolił sobie na głębokie westchnienie.

– Przywołaj *Par'china* oraz *khaffit* – rzekł.

Ashan dał znać strażnikom, którzy wprowadzili obu oczekiwanych. Jeden z *dal'Sharum* bez litości pchnął *Abbana* na kolana przed podium *Jardira*.

– Będziesz tłumaczył słowa *Sharum Ka*, *khaffit* – oznajmił *Ashan*.

– Tak, mój *dama* – odparł *Abban*, dotykając czołem podłogi.

Przybysz z zielonych krain powiedział coś i *Abban* wymamrotał odpowiedź przez zaciśnięte zęby.

– Co powiedział? – zapytał *Jardir*.

Abban przełknął ślinę, wahając się, ale stojący za nim strażnik grzmotnął go tępym

końcem włóczy w plecy.

– Sharum Ka zadał ci pytanie, pomioście wielbłądzich szczyń!

Abban wrzasnął z bólu. Przybysz krzyknął, odepchnął wojownika i stanął między nim a *khaffit*. Przez chwilę obcy i *dal'Sharum* mierzyli się zaciętym spojrzeniem, lecz wzrok tego pierwszego umknął ku Jardirowi. Błysnęła w nim niepewność.

Shar'Dama Ka zignorował starcie.

– Nie zapytam po raz drugi – powiedział Abbanowi.

Kupiec otarł pot z czoła.

– Powiedział, że to nie w porządku, bym tak się przed tobą płaszczył – bąknął i skulił się, zamykając oczy, jakby w oczekiwaniu na kolejny cios.

Jardir skinął głową.

– Powiedz mu więc, że okryłeś siebie i swoją rodzinę wstydem w Labiryncie i nie nadajesz się już do tego, by na powrót stanąć między mężczyznami.

Abban kiwnął głową i szybko przełożył jego słowa. Przybysz odpowiedział bez wahania.

– Mówi, że to bez znaczenia – powiedział Abban. – Żaden człowiek nie powinien czołgać się jak pies.

– Dziwne zwyczaje panują wśród tych dzikusów. – Ashan pokręcił głową.

– Zaiste – rzekł Jardir. – Niemniej nie spotkaliśmy się tutaj, by prowadzić dyskusje o traktowaniu *khaffit*. Abban, możesz się wyprostować.

– Dziękuję, Pierwszy Wojowniku – powiedział Abban, prostując się. Widząc to, przybysz wyraźnie się rozluźnił i cofnął od strażnika.

– Dobrze walczyłeś tej nocy, Par'chin – powiedział Jardir, a Abban pospiesznie przetłumaczył.

Przybysz z zielonych krain uklonił się i odpowiedział w swoim gardłowym języku, patrząc Jardirowi w oczy.

– Zaszczycem dla mnie było stanąć u boku tak dzielnych mężów – przełożył Abban.

– Czy inni ludzie na Północy również walczą tak jak ty? – zapytał Jardir.

Przybysz pokręcił głową.

– Moi rodacy walczą tylko wtedy, kiedy muszą ratować życie własne lub innych ludzi – przetłumaczył Abban.

Wtedy syn Jepha dodał coś jeszcze i splunął.

– A bywa, że i wtedy tego nie robią – objaśnił Abban.

– A zatem są rasą tchórzy, jak uczy nas Evejah – oznajmił Ashan. Abban już otworzył usta, ale *dama* cisnął w niego pucharem, zalewając jego piękną jedwabną szatę ciemnym trunkiem. – Nie tłumacz tego, głupcze!

Przybysz z zielonych krain zacisnął pięści, ale nie spuszczał wzroku z Jardira.

– A zatem co sprawia, że ty jesteś inny? – zapytał Jardir przez Abbana.

Przybysz wzruszył jedynie ramionami i nie odpowiedział.

– Ty odciąłeś rękę temu demonowi?

Przybysz przytaknął.

– Uciekłem z domu, gdy byłem małym chłopcem – przełożył jego słowa Abban. – Gdy zaszło słońce, wykonałem wokół siebie krąg runów i wnet otoczyły mnie otchłańce...

– Otchłańce? – przerwał mu Jardir, unosząc dłoń.

– Tak na Północy nazywa się *alagai*, Pierwszy Wojownik – powiedział. – To słowo oznacza „ci, którzy mieszkają w centrum”. Podobnie jak my wierzą, że otchłań Nie znajduje się w środku Ała.

Jardir skinął głową, dając znak, by kontynuował.

– Demon pojawił się tej nocy – tłumaczył Abban – a ja w swojej głupocie zacząłem się z niego naigrywać, szydzić i skakać dookoła, aż się poślizgnąłem i naruszyłem jeden z runów. Otchłańiec zaatakował i chlasnął mnie przez plecy, ale udało mi się naprawić run, zanim demon całkiem się przebił. Bariera zadziałała błyskawicznie i odcięła mu ramię.

Ashan parsknął.

– To niemożliwe. Ten *chin* z pewnością kłamie, Sharum Ka. Nikt nie byłby w stanie przeżyć ciosu takiej bestii.

Przybysz z zielonych krain spojrział na Abbana, lecz *khaffit* milczał, zatem *chin* odwrócił się ku Jardirowi. Powiedział coś, wskazując Ashana.

– Nasz gość chciałby się dowiedzieć, co powiedział Święty Mąż – rzekł Abban.

Jardir obrzucił spojrzeniem Ashana, a potem przybysza.

– Powiedział, że jesteś kłamcą.

Ten pokiwał głową, jakby spodziewał się tych słów. Odłożył włócznię i podciągnął koszulę, odsłaniając plecy.

– Na czarne serce Nie! – Abban zbladł na widok grubych blizn. Z biegiem czasu pobielaly, ale nadal nie było wątpliwości, że pozostawiły je szpony istoty o wiele większej niż demon piaskowy.

Przybysz z zielonych krain odwrócił się i wbił wzrok w Ashana.

– Nadal uważasz, że jestem kłamcą? – przełożył Abban.

– Przepróż – mruknął Jardir.

Ashan uklonił się nisko.

– Przyjmij moje przeprosiny, Par'chin.

Ten skinął głową, gdy Abban przełożył słowa *dama*.

– Czy demon prześladowuje cię od tej pory? – zapytał Jardir.

– Od prawie siedmiu lat – przetłumaczył Abban. – Ale któregoś dnia pokażę mu słońce.

– Dlaczego nie powiedziałeś nam, że prześladowuje cię tak potężny wróg? – zapytał Jardir. – Przez ciebie moje miasto znalazło się w niebezpieczeństwie.

Odpowiedź człowieka sprawiła, że Abban otworzył szeroko oczy. Zaczął coś mówić, ale nieznajomy potrząsnął głową i dodał kilka słów.

– Nie myśl sobie, że wolno ci toczyć osobiste rozmowy, *khaffit!* – wykrzyknął Jardir, podrywając się z tronu. *Dal'Sharum* przy drzwiach pochylili włócznie.

– Proszę o wybaczenie, Pierwszy Wojownik! – wykrzyknął Abban i ponownie dotknął czołem podłogi. – Chciałem się tylko upewnić, czy dobrze rozumiem!

– To ja będę decydował o tym, co jest jasne, a co nie – rzekł Jardir. – Jeśli jeszcze raz odezwiesz się z własnej woli, poobrzynam ci kciuki. A teraz przetłumacz wszystko, co zostało powiedziane!

– Przybysz powiedział: „To tylko skalny demon”. Twierdzi, że na Północy nie są niczym niezwykłym i dlatego nie uznał za stosowne przekazać nam, że jeden z nich żywi do niego osobistą urazę. Ja na to powiedziałem, że z pewnością przesadza, bo przecież nie może być drugiego tak wielkiego *alagai*, a on rzekł, że w górach na Północy jest ich mnóstwo.

Jardir skinął głową i spytał:

– A jakie są ich słabe strony?

– Z tego, co wiem, nie ma żadnych. A szukam od dawna – rzekł przybysz przez Abbana.

– Znajdziemy jakąś, Par'chin – stwierdził Jardir. – Razem.

* * *

– Ta forma komunikacji jest nie do przyjęcia – oznajmił Jardir, gdy przybysz został wyprowadzony.

– Par'chin szybko się uczy – rzekł Abban. – I bardzo przykłada się do nauki języka. Niebawem będzie władał naszą mową, obiecuję.

– To za mało – stwierdził Jardir. – W zielonych krainach mieszkają jeszcze inni ludzie, a ja chciałbym się z nimi porozumieć. Skoro nikt z naszych uczonych mężów – obrzucił Ashana pogardliwym spojrzeniem – nie uznał za stosowne nauczyć się mowy dzikusów, zadanie nauczania nas wszystkich przypadnie tobie. Zacznesz zaś ode mnie.

– Ja? – pisnął pobladły Abban. – Mam cię uczyć?

Jardir znów poczuł napływ obrzydzenia.

– Przestań się więc i jęczeć. Tak, ty! A są jeszcze inni, którzy władają językiem ludzi Północy?

Abban wzruszył ramionami.

– To cenna umiejętność na targowisku. Moje żony i córki znają parę słów, by mogły podsłuchiwać, jak rozmawiają Posłańcy. Wiele innych kobiet na bazarze to potrafi.

– Chcesz, żeby to kobieta uczyła Sharum Ka? – zapytał ostro Ashan, a Jardir przełknął ślinę, udając, że nie dostrzegł ironii sytuacji. Gdyby nie Inevera, nadal byłby niepiśmiennym *dal'Sharum*.

– Wybiorę jakiegoś innego kupca – zaproponował Abban. – Nie jestem jedynym, który prowadzi handel z Północą.

– Ale czynisz to częściej od innych – rzekł Jardir. – Widać to po tych wszystkich kobiecych fataląszkach, jakimi się obwieszasz, oraz po tym, że choć jesteś tylko płaszczącym się tłustym wieprzem, masz więcej żon niż wojownik. Co więcej, Par’chin zna cię i ci ufa. Jeśli nie ma żadnego innego prawdziwego mężczyzny, który mówi językiem Północy, to ty będziesz nas uczył.

– Ale... – zaczął Abban, wpatrując się w niego błagalnym wzrokiem, Jardir jednak uniósł dłoń i kupiec natychmiast zamilkł.

– Powiedziałeś kiedyś, że zawdzięczasz mi życie – oznajmił. – Nadszedł więc czas, byś spłacił swój dług.

Abban pokłonił się nisko, dotykając czołem podłogi.

* * *

Do zmroku miejskie bramy zostały naprawione i choć skalny gigant niestrudzenie nacierał na mury miejskie, obsady katapult unikały strzelania pociskami, którymi mógłby uszkodzić ściany. Par’chin znów wziął udział w *alagai’sharak* tej nocy i każdej następnej przez cały tydzień. Za dnia ćwiczył intensywnie z *dal’Sharum*.

– Nie będę się wypowiadał za innych Posłańców z zielonych krain – rzekł Mistrz Ćwiczeń Kaval, spluwając na ziemię – ale ten Par’chin został dobrze wyćwiczony. Znakomicie włada włócznią, a *sharusahk* przyswaja, jakby się do tego urodził. Z początku przydzieliłem go, by ćwiczył z *nie’Sharum*, ale już prześcignął nawet tych, którzy gotowi są do służby na murach.

Jardir pokiwał głową. Tego oczekiwał.

Niespodziewanie Par’chin podszedł do nich, zupełnie jakby wiedział, że o nim rozmawiają, a Abban posłusznie przydreptał za nim. Ukłonił się i powiedział kilka słów:

– Jutro wracam na Północ, Pierwszy Wojownik – przełożył Abban.

„Trzymaj go blisko siebie”, słowa Inevery rozbrzmiały w głowie Jardira.

– Już? – zapytał. – Dopiero co przybyłeś, Par’chin!

– Ja również odnoszę takie wrażenie – rzekł Par’chin. – Mam jednak pewne zobowiązania. Muszę dostarczyć towary i wiadomości.

– Zobowiązania wobec *chin*! – parsknął Jardir. Ledwie jego słowa przebrzmiały, a zrozumiał, że popełnił błąd. Sformułowanie to było bowiem bardzo obraźliwe i przez moment zastanawiał się, czy przybysz z zielonych krain nie rzuci się na niego z gniewem.

Par’chin jednakże uniósł jedynie brew.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytał przez Abbana.

– Nie, oczywiście, że nie – rzekł Jardir i ukłonił się głęboko ku zaskoczeniu wszystkich obecnych. – Proszę o wybaczenie. Jestem po prostu rozczarowany, że już nas opuszczasz.

– Wkrótce powrócę – obiecał Par’chin i pokazał zwój papierów owinięty rzemieniem. –

Abban okazał się bardzo pomocny i wypisał mi słowa, których mam się nauczyć. Gdy się znów spotkamy, mam nadzieję, iż będę lepiej władał waszą mową.

– Nie wątpię – rzekł Jardir, objął Par’china i ucałował jego bezwłose policzki. – Zawsze będziesz mile widziany w Krasji, mój bracie, ale będziesz przyciągał mniej uwagi, jeśli zapuścisz brodę, jak na mężczyznę przystało.

Par’chin uśmiechnął się.

– Zrobię to – obiecał, a Jardir klepnął go w plecy.

– Chodźmy więc, przyjacielu. Nadciąga noc. Zabijemy jeszcze parę *alagai*, zanim wyruszysz w drogę przez gorące piaski.

* * *

Przez kilka miesięcy po wyjeździe Par’china Jardir zaczął baczniej przyglądać się innym Posłańcom z Północy. Abban dysponował rozległymi kontaktami na bazarze i gdy któryś z nich przybywał do Pustynnej Włóczni, dowiadywał się o tym natychmiast. Każdego z nich Jardir zapraszał do pałacu, co było zaszczytem jeszcze nie tak dawno nie do pomyślenia, a ci po całych wiekach traktowania jak śmieci gorsze nawet od *khaffit* skwapliwie zaproszenie przyjmowali.

– Cieszę się na każdą możliwość ćwiczenia języka Północy – mówił Posłańcom, gdy ci siadali przy jego stole, obsługiwani przez jego żony. Długo z każdym rozmawiał i w istocie doskonalił swój język, lecz po prawdzie jego rozmowy służyły czemuś zupełnie innemu. Gdy posiłek dobiegał końca, zawsze składał przybyszom identyczną propozycję.

– Nosisz włócznię niczym prawdziwy mężczyzna – powiedział. – Dołącz do nas w Labiryntcie i stań się naszym bratem we krwi.

Ci zaś spoglądali bez zrozumienia, a Jardir widział w ich oczach, że zupełnie nie zdawali sobie sprawy z ogromu zaszczytu, jaki ich spotkał.

I jeden po drugim odmawiali.

A Par’chin dotrzymał słowa i odwiedzał Pustynną Włócznię przynajmniej dwa razy do roku. Czasami zatrzymywał się zaledwie na kilka dni, czasem spędzał w mieście i okolicznych wsiach długie miesiące. Za każdym razem jednakże zjawiał się na placach ćwiczebnych i błagał o zgodę na przyłączenie się do *alagai’sharak*.

Czy Par’chin jest jedynym prawdziwym mężczyzną na Północy? – zastanawiał się Jardir.

* * *

Ciało Wnykarza buchnęło fontanną krwi, lecz nim padło na ziemię, pojawił się Par’chin. Unieruchomił nogę piaskowego demona i padł na ziemię, wykonując bezbłędną dźwignię wedle zasad *sharusahk*. Kolana demona zgięły się, potwór stracił równowagę i wpadł do dołu.

Nie tracąc ani sekundy, mężczyzna płynnym ruchem wydobyl rysik i naprawil uszkodzony run, zamykajac runiczna bariera, nim kolejny demon zdoalal uciec z pulapki. W jednej chwili Par'chin znalazl sie u boku Wnykarza, rozcial jego szate i odrzucil na bok wszyte w plotno stalowe plytki. Byla to specjalna ochrona przed szponami *alagai*, ktora przysluzigwala Wnykarzom, ale byla mizerna rekompensata za tarcze i wlócznie, ktorymi wladala reszta wojownikow. Wnykarze musieli bowiem miec przez caly czas wolne rece.

Dlonie i ramiona Par'china byly sliskie od krwi, ale nie zwroutil na to uwagi, grzebiac pospiesznie w sakwie z ziolami i opatrunkami. Nie byla to pierwsza sytuacja, kiedy przybysz z zielonych krain opatrywatal rannego wojownika w korytarzu Labiryntu. Czy wszyscy ludzie na Pólnocy byli zarazem Wnykarzami i *dama'ting*?

Wnykarz wil sie slabo, ale Par'chin przycisnal go kolanami do ziemi i nie przestawal oczyszczac rany.

– Pomozcie mi! – wykrzyknal po krasjańsku, ale *dal'Sharum* przygladali mu sie bezradnie, calkiem oszołomieni. Jardir podzielal to uczucie. Przeciez to nie byly zwykle rany. Czyzby naprawde nie widzial, ze ten Wnykarz jest skazany na zywot kaleki, o ile oczywiscie uda mu sie doczekac switu?

Jardir podszedl, gdy Par'chin usilowal nawlec haczykowata igle, jednoczesnie przyciskajac bandaze lokciem. Opatrywany wojownik nadal sie szarpal, przez co zadanie stawalo sie niemozliwe.

– Przytrzymaj go! – wykrzyknal Par'chin. Jardir zignorowal jednakze jego slowa i spojrzal prosto w oczy wojownika. *Dal'Sharum* pokrecil lekko glowa.

Jardir uniosl wlócznie i wbil ja prosto w serce Wnykarza.

Par'chin wrzasnal, upuszczajac igle. Poderwal sie, przyskoczyl do Jardira i zlapawszy go za szate, grzmotnal nim o sciane Labiryntu.

– Co ty wyczyniasz? – krzyknal.

Dal'Sharum w zasadzce zlapali za wlócznie i otoczyli ich kregiem. Nikt nie mial prawa podniec reki na Pierwszego Wojownika.

Jardir uniosl dlon, by ich powstrzymac. Wbil spojrzenie w oczy przybysza, przekonany, iz ten nie mial pojecia, jak blisko byl smierci. Ujrzawszy jednak jego twarz, zmuszony byl zmienic zdanie. Byc moze Par'chin zdawal sobie sprawe z zagrozenia, ale przestalo go to obchodzic. Zabicie Wnykarza rozwscieczyl go bowiem do tego stopnia, ze przestal nad soba panowac.

– Pozwalam moim ludziom umrzec z honorem, synu Jepha – powiedzial. – On nie chcial twojej pomocy. Nie potrzebowal jej. Wypelnil swoj obowiazek, a teraz znalazl sie w Niebie.

– Nie ma zadnego Nieba! – warknal Par'chin. – A ty po prostu zamordowales wlasnego czlowieka!

Jardir napial miesnie i bez trudu uwolnil sie z uscisku Par'china. Przybysz szybko przyswoil sobie *sharusahk* przez ostatnie dwa lata, ale nadal nie stanowil rownorzednego

przeciwnika dla *dal'Sharum*, zwłaszcza dla tych, którzy zdobywali nauki w Sharik Hora. Jardir grzmotnął Par'china w szczękę, z łatwością uniknął jego ciosu, po czym wykręcił ramię przybysza i pchnął go na ziemię.

– Po raz ostatni – wyszeptał mu do ucha. – Po raz ostatni udam, że tego nie słyszałem. Wygłoś któreś z tych twoich bluźnierstw z Północy raz jeszcze, a będzie po tobie.

* * *

„Trzymaj go blisko”, przykazała mu Inevera, ale Jardirowi się nie udało.

Pierwszy Wojownik stał na szczycie muru i przyglądał się, jak *alagai* umykają przed wschodzącym słońcem. Ogromny skalny demon, przez ludzi Jardira przezywany Alagai Ka, kroczył przed odbudowaną bramą, ale runy okazały się zbyt silne. Wkrótce i on miał zapaść się w otchłań Nie na kolejny dzień.

Jardir nie mógł zapomnieć rozpaczy w oczach Par'china, nie mógł przestać myśleć o determinacji, z jaką obcy chciał ocalić życie Wnykarza. Pierwszy Wojownik wiedział, że postąpił słusznie – zapewnił towarzyszowi broni śmierć z honorem, pozwolił mu uniknąć losu kaleki – ale był również świadom, że zraził do siebie Par'china.

Dobijanie ciężko rannych było czymś powszechnym wśród wojowników Pustynnej Włóczni i żaden z nich nigdy nie rzuciłby się na przełożonego w obronie życia kaleki. Jardir jednakże nieraz już się przekonał, że ludzie z zielonych krain w niczym nie przypominali jego rodaków. Nie uważali śmierci za element życia. Opierali się jej równie zaciekle, jak *dal'Sharum* walczyli z *alagai*.

Niewątpliwie zasługiwali tym na swego rodzaju szacunek. *Dama* niesłusznie nazywali ich dzikusami i bez względu na wytyczne Inevery Jardir po prostu polubił Par'china. Gryzł się z powodu przepaści, która niespodziewanie między nimi się pojawiła, i szukał sposobu, by to naprawić.

Nagle usłyszał za plecami głos:

– Od razu wiedziałem, że cię tu znajdę.

Jardir zachichotał. Doprawdy przybysz z zielonych krain miał talent do pojawiania się dokładnie wtedy, gdy zaczynało się o nim myśleć.

Par'chin stał na murze i patrzył w dół. Odchrząknął głośno i splunął, a jego płwocina trafiła prosto w głowę skalnego demona, który znajdował się dwadzieścia stóp niżej. Ten zaryczał, a obaj wojownicy wybuchnęli śmiechem, widząc, jak stwór zapada się pod ziemię.

– Któregoś dnia zobaczysz, jak leży martwy u twoich stóp – powiedział Jardir. – Światło Everama spali jego kości na popiół.

– Któregoś dnia – zgodził się Par'chin.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu, obaj zagubieni we własnych myślach. Zgodnie z sugestiami Jardira przybysz z Północy zapuścił brodę, ale jego zarost był jasny i wyróżniał go

bardziej niż niegdyś nagie policzki.

– Przyszedłem, by cię przeprosić – rzekł w końcu Par'chin. – Nie mam prawa osądzać twoich zwyczajów.

Jardir pokiwał głową.

– Ja zaś nie mam prawa osądzać twoich. Kierowałeś się lojalnością, a ja ją znieważylem, co było niewłaściwą decyzją. Wiem, że bardzo zżyłeś się z Wnykarzami, odkąd poznałeś naszą mowę. *Dal'Sharum* wiele się od ciebie nauczyli.

– A ja od nich – rzekł Par'chin. – Nie chciałem was urazić.

– Wygląda na to, że kultura mojego ludu sama w sobie stanowi zniewagę dla twojej i na odwrót, Par'chin – stwierdził Jardir. – Jeśli mamy nadal uczyć się od siebie, musimy powstrzymać się od gwałtownych reakcji, gdy coś wydaje nam się nie w porządku.

– Dziękuję – rzekł Par'chin. – To znaczy dla mnie bardzo wiele.

Jardir machnął ręką.

– Nie rozmawiajmy już o tym, przyjacielu.

Przybysz skinął głową i odwrócił się, by odejść.

– Czy wszyscy ludzie na Północy wierzą w to, co ty? – zapytał nagle Jardir. – Że Niebo nie istnieje?

Par'chin pokręcił głową.

– Opiekunowie na Północy, podobnie jak twoi *dama*, opowiadają o Stwórcy, który mieszka w Niebie i gromadzi wokół siebie dusze wiernych. Większość ludzi wierzy ich słowom.

– Ale ty nie.

– Opiekunowie twierdzą również, że otchłańce są Plagą – rzekł Par'chin. – Utrzymują, że ludzkość popełniła potworne grzechy i Stwórca zesłał demony, by nas ukarały. Ja nigdy w to nie uwierzę. A jeśli Opiekunowie nie mają racji w tym, czy mogę uwierzyć w resztę ich słów?

– Po co więc walczysz, jeśli nie dla chwały Stwórcy?

– Nie potrzebuję Świętych Mężów, by wiedzieć, że otchłańce są złem, które należy zniszczyć – odparł Par'chin. – Zabiły mi matkę, ojciec stracił przez nie ducha walki. Mordowały moich przyjaciół, sąsiadów i członków rodziny. Gdzieś tam – wskazał horyzont szerokim ruchem dłoni – kryje się sposób, by je zniszczyć, i będę go szukał, aż znajdę.

– Słusznie wątpisz w tych twoich Opiekunów – stwierdził Jardir. – *Alagai* nie są plagą. One są próbą.

– Próbą?

– Tak. Sprawdzianem naszej lojalności wobec Everama. Próbą naszej odwagi i gotowości do walki z mrocznymi mocami Nie. Mylisz się jednak w czymś innym. Sposób na ich zniszczenie nie kryje się tam – machnął dłonią na horyzont – a tu.

Z tymi słowami stuknął palcem w pierś Par'china, tam, gdzie biło serce.

– Któregoś dnia wszyscy mężczyźni nabiorą odwagi, a gdy zjednoczymy siły, Nie nie

będzie w stanie stawić nam oporu.

Par'chin milczał przez długą chwilę.

– Marzę o tym dniu – powiedział w końcu.

– Ja również, mój przyjacielu – rzekł Jardir. – Tak, ja również.

* * *

Jakieś dwa lata po pierwszej wizycie Par'chin powrócił znowu. Jardir uniósł wzrok znad tabliczek, na których wyrysowywał plany bitwy, i gdy ujrzał przybysza krocącego przez plac ćwiczebny, poczuł się jak na widok własnego brata powracającego z dalekiej podróży.

– Par'chin! – wykrzyknął i rozrzucił ramiona, chcąc go uściskać. – Witaj w Pustynnej Włóczni!

Jardir mówił już płynnie językiem ludu z Północy, choć nadal nie przepadał za jego brzmieniem.

– Nie wiedziałem, że powróciłeś – dodał. – *Alagai* będą dziś w nocy dygotać ze strachu!

Dopiero w tym momencie dostrzegł, że za Par'chinem truchta Abban, choć ani on sam, ani Jardir nie potrzebowali grubego *khaffit*, by się porozumieć.

Jardir spojrział na Abbana z obrzydzeniem. Kupiec roztył się jeszcze bardziej od czasu ich ostatniego spotkania i nadal ubierał się w jedwab niczym żona *Damaji*. Mówiło się, że kontrolował teraz handel na bazarze, co z pewnością w znacznym stopniu zawdzięczał swoim rozległym kontaktom na Północy. Był pijawką, która dossała się do bogactwa, nie zważając na Everama, honor czy Krasję.

– A czego ty szukasz pośród mężczyzn, *khaffit*? – zapytał ostro. – Nie wzywałem ciebie.

– Jest tu ze mną – rzekł Par'chin.

– Był – rzucił z naciskiem Jardir.

Abban uklonił się i czmychnął.

– Wciąż nie wiem, dlaczego marnujesz czas z tym *khaffit*, Par'chin – splunął Jardir.

– Tam, skąd pochodzę, wartości człowieka nie ocenia się po tym, czy potrafi unieść włócznię – odparł Par'chin.

– Tam, skąd pochodzisz, ludzie w ogóle tego nie potrafią – zaśmiał się Jardir.

– Twój thesański się poprawił – zauważył Par'chin.

– Język *chin* nie jest łatwy, a konieczność uczenia się go w towarzystwie *khaffit*, gdy ciebie nie ma, czyni go dwakroć trudniejszym – parsknął Jardir i obrzucił plecy oddalającego się Abbana niechętnym spojrzeniem. – Spójrz tylko. Przecież on się nosi jak kobieta.

– Nigdy nie widziałem tak ubranej kobiety – oznajmił Par'chin.

– Zapewne dlatego, że wciąż nie pozwoliłeś mi wybrać dla ciebie żony, która mogłaby rzucić przed tobą szatę – stwierdził Jardir. Posłuszny poleceniom Inevery, wielokrotnie próbował znaleźć przyjacielowi żonę, by związać go z Krasją.

„Pewnego dnia będziesz musiał go zabić”, słowa Inevery nadal rozbrzmiewały echem w głowie Pierwszego Wojownika, ale odrzucał je, nie chciał w nie uwierzyć. Gdyby tylko mógł znaleźć mu żonę, przybysz z zielonych krain nie byłby już *chin*, a odrodziłby się jako *dal'Sharum*. Być może owa symboliczna „śmierć” wypełniłaby przepowiednię.

– Wątpię, by *dama* pozwolili bezplemiennemu *chin* poślubić jedną z waszych – stwierdził Par'chin, na co Jardir machnął tylko ręką.

– Bzdura – rzucił. – Ramię w ramię przelewaliśmy krew w Labiryncie, mój bracie. Gdybym chciał cię przygarnąć, sam Andrah nie ośmieliłby się zaprotestować!

– Nie sądzę, aby nadszedł już mój czas na ożenek – oznajmił Par'chin.

Jardir zmarszczył brwi. Byli ze sobą blisko zaprzyjaźnieni, a mimo to przybysz z zielonych krain nie przestawał go zadziwiać. Krasjanie walczyli z *alagai* i wlekli kobiety do komnat sypialnych z tym samym ognistym zapachem. Jak dotąd Jardir nie miał żadnego dowodu na to, że Par'chin preferował towarzystwo mężczyzn, ale zawsze wydawał się bardziej zainteresowany samą bitwą niż nagrodami czekającymi na tych, którzy dożyli świtu.

– Cóż, nie zwlekaj zbyt długo, bo jeszcze zostaniesz uznany za *push'ting* – oznajmił wojownik, używając pojęcia „fałszywa kobieta”. Pokładanie się z innym mężczyzną w oczach Everama grzechem nie było, ale jeżeli *push'ting* całkowicie unikał towarzystwa kobiet, pozbawiał swe plemię przyszłych pokoleń. Bywało, że pobratymcy *push'ting* źle to znosili. – Kiedy przybyłeś do miasta, przyjacielu? – zapytał Jardir.

– Ledwie kilka godzin temu – odparł Par'chin. – Właśnie dostarczyłem wieści do pałacu.

– I już przybyłeś zaoferować swą włócznię?! – zawołał Jardir tak, by wszyscy go usłyszeli. – W żyłach tego Par'china musi płynąć krasjańska krew!

Wojownicy wybuchli gromkim śmiechem.

– Chodź ze mną. – Otoczył gościa ramieniem, a w myślach już rozważał plan nocnej bitwy, poszukując honorowego miejsca dla swego dzielnego przyjaciela. – Bajin stracili zeszłej nocy Wnykarza – powiedział. – Mógłbyś go zastąpić.

– Wołałbym walczyć jako Spychacz – odparł Par'chin.

Jardir pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać.

– Zawsze prosisz o najtrudniejsze zadania – skarcił go. – Kto będzie dostarczać nasze listy, jeśli zginiesz?

– Tej nocy nie będzie ono tak trudne – stwierdził Par'chin i zdjął płótno z broni, którą niósł.

Nie była to zwykła włócznia. Wykonano ją z lśniącego srebrzystego metalu, a wygrawerowane na całej długości runy migotały w blasku słońca. Jardir zmierzył broń okiem znawcy i nagle poczuł, jak jego serce zaczyna bić żywiej. Wiele z owych runów było mu nieznanymi, lecz wyczuwał drżącą w nich moc.

Par'chin wyprostował się z dumą, czekając na reakcję. Jardir stłumił podziw oraz zdumienie, a potem mrugnął kilka razy, by przegnać błysk pożądliwości z oczu. Miał

nadzieję, że jego przyjaciel tego nie zauważył.

– Królewska broń – zgodził się – ale wojownik dożywa świtu dzięki umiejętnościom, a nie broni.

Z tymi słowami położył dłoń na ramieniu Par'china i spojrział mu w oczy.

– Nie pokładaj w niej zbyt wielu nadziei. Widziałem już wojowników o wiele bardziej doświadczonych od ciebie, którzy malowali runy na broni, a i tak źle skończyli.

– To nie ja wykonałem tę włócznię – rzekł Par'chin. – Znalazłem ją w ruinach Słońca Anocha.

Szybko bijące serce Jardira nagle zamarło. Czy to prawda? Zmusił się do śmiechu.

– W miejscu narodzin Wybawiciela? – zapytał. – Włócznia Kajiego to mit, Par'chin, a zaginione miasto pochłonęły piaski.

Par'chin potrząsnął głową.

– Ale ja tam byłem. Jeśli chcesz, mogę cię tam zabrać.

Jardir zawahał się. Par'chin nie był kłamcą, a w jego głosie nie wyczuwało się kpiarskiej nuty. Naprawdę wierzył w to, co mówił. Przez moment Jardir ujrzał przed oczyma duszy, jak on i jego przyjaciel z Północy przemierzają piaski i odkrywają tajemnicę runów wojennych z zamierzchłej przeszłości. Z największym trudem przypomniał sobie o swoich obowiązkach i z żalem przegnał wizję.

– Jestem Sharum Ka Pustynnej Włóczni – odparł. – Nie mogę tak po prostu obłożyć wielbłąda jukami i wyruszyć na poszukiwanie miasta, które istnieje wyłącznie na kartach starożytnych ksiąg.

– Myślę, że zdołam cię przekonać, gdy tylko zapadnie noc.

Jardir zmusił się do uśmiechu.

– Obiecuj mi jednak, że nie zrobisz niczego głupiego. Bez względu na to, jakie runy okrywają twoje ostrze, nie jesteś Wybawicielem. Przykro by mi było cię chować, gdy wszędzie słońce.

* * *

– To się wydarzy tej nocy – rzekła Inevera. – Przepowiedziałam to dawno temu. Zabij go i zabierz jego włócznię. O świcie obwołasz się Shar'Dama Ka, a za miesiąc będziesz rządził całą Krasją.

– Nie – odparł Jardir.

Przez dłuższą chwilę Inevera nie zwracała na jego słowa uwagi.

– ...Sharach poprą cię natychmiast – mówiła – ale Kaji i Majah ostro się sprzeciwią... Zaraz, co powiedziałeś?

Odwróciła się do męża, unosząc brwi tak wysoko, że znikły pod zawojem.

– Przepowiednia... – zaczęła.

– Niech szlag trafi przepowiednię! – prychnął Jardir. – Nie zamorduję przyjaciela bez względu na to, co mówią twoje demoniczne kości. Nie obrabuję go. Jestem Sharum Ka, a nie podstępny złodziejem.

Uderzyła go w twarz, aż echo poszło wśród kamiennych korytarzy.

– Jesteś głupcem! – warknęła. – Nastąpiła właśnie rozstrzygająca chwila, kiedy przepowiedziane zdarzenia mogą stać się rzeczywistością. O świcie jeden z was zostanie ogłoszony Wybawicielem i od ciebie zależy, czy będzie to Sharum Ka Pustynnej Włóczni, czy rabujący groby *chin* z Północy.

– Jestem znużony twoimi przepowiedniami – oznajmił Jardir. – Mam dosyć ciebie i wszystkich *dama'ting*! Wszystko to tylko domysły, których celem jest manipulacja! Wymyślasz to, by sterować mężczyznami wedle własnej woli! Ja jednakże nie zdradzę przyjaciela i nie obchodzą mnie kłamstwa o tym, co wyczytujesz z tych swoich porytych runami demonich bobków!

Inevera wrzasnęła i znów uniosła rękę, by go uderzyć, ale Jardir złapał ją za nadgarstek. Przez moment próbowała walczyć, lecz równie dobrze mogła zmagać się z kamiennym murem.

– Nie zmuszaj mnie, bym cię skrzywdził – ostrzegł ją Jardir.

Inevera zmrużyła oczy, wyprostowała palec wskazujący i środkowy, po czym niespodziewanie wbiła je w ramię męża. Chwył Jardira osłabł i kobieta bez trudu wyrwała rękę z uścisku. Cofnęła się o krok i wygładziła szatę.

– Nadal uważasz *dama'ting* za bezbronne, mój mężu – powiedziała, gdy Jardir nadal wpatrywał się w nią otwartymi szeroko oczyma. – A sądziłam, że ty akurat ze wszystkich ludzi na świecie powinieneś się domyślać prawdy.

Jardir patrzył z przerażeniem na rękę, która zwisała bezwładnie.

Inevera podeszła, ujęła zdrętwiałe ramię męża. Szarpnęła ostro i niespodziewanie odrętwienie ustąpiło miejsca silnemu mrowieniu.

– Nie jesteś złodziejem – odezwała się na powrót spokojnym głosem. – Przecież ty tylko chcesz odzyskać coś, co się prawnie należy.

– Co się mnie należy? – zapytał Jardir, wpatrując się w swą dłoń. Jego palce znów zaczęły się poruszać.

– Kto jest złodziejem? – zapytała Inevera. – *Chin*, który rabuje grób Kajiego, czy ty, jego potomek, który odzyskuje to, co zostało zabrane?

– Nie wiemy, czy to naprawdę jest Włócznia Kajiego – rzekł Jardir.

Inevera skrzyżowała ramiona na piersi.

– Wiesz to doskonale. Wiedziałeś to w chwili, gdy ujrzałeś ją po raz pierwszy. Wiedziałeś dobrze, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Nigdy tego przed tobą nie kryłam.

Jardir nie odezwał się ani słowem.

Inevera delikatnie dotknęła jego ramienia.

– Jeśli chcesz, mogę coś wlać do jego herbaty. Odejdzie szybko.

– Nie! – wykrzyknął Jardir, odsuwając się. – Dlaczego ty zawsze proponujesz tak haniebne rozwiązania? Chcesz go zabić jak zwykłego psa? Przecież Par'chin to nie *khaffit*! Zasluguje na śmierć godną wojownika!

– A zatem zatroszcz się o to! – ponagliła go Inevera. – I to już, zanim rozpocznie się *alagai'sharak* i wszyscy poznają moc włóczni!

Jardir pokręcił głową.

– Jeśli Par'chin ma zginąć, stanie się to w Labiryncie.

Gdy wychodził, w jego sercu nadal gościła niepewność. Nie był przekonany, czy zabójstwo przybysza jest słusznym postępkim. Jak Jardir miałby z dumą obwołać się Shar'Dama Ka po zamordowaniu przyjaciela?

* * *

– Par'chin! Par'chin!

Krzyki rozbrzmiewały echem w całym Labiryncie. Jardir przyglądał się ze szczytu muru, jak przybysz z zielonych krain wiedzie *dal'Sharum* ku kolejnym zwycięstwom. Żaden *alagai* nie potrafił stawić czoła Włóczni Kajiego.

Dziś jest tylko dzielnym przybyszem z dalekich stron, pomyślał Jardir. Lecz jutro zostanie obwołany Shar'Dama Ka.

A co, jeśli taka była właśnie wola Everama? Przecież kiedy formował świat z pustki Nie, stworzył również zielone krainy i ich mieszkańców. Everam z całą pewnością musi mieć jakiś plan również i dla nich.

– Lecz Par'chin nie wierzy w Everama – stwierdził na głos.

– Jak człowiek, który nie kłania się Stwórcy, może być Wybawicielem? – zapytał Hasik.

Jardir nabrał głęboko tchu.

– Nie może. Skrzyknij Shanjata i naszych najlojalniejszych ludzi. Ze względu na nasz świat Wybawicielem musi zostać ktoś inny.

* * *

Jardir znalazł Par'china pędzącego na czele wielkiego hufca *Sharum* skandujących jego imię. Od stóp do głów zboczony był czarną demonią juchą, lecz jego oczy płonęły dziką radością. Wzniósł włócznie wysoko, chcąc oddać salut przywódcy, a Jardira aż zabolalo serce na myśl, co musi zrobić. Gotował bowiem przyjacielowi los o wiele gorszy, niż Hasik swego czasu zgotował jemu.

– Sharum Ka! – wykrzyknął Par'chin. – Ani jeden demon nie ucieknie dziś z twego Labiryntu!

„Wojna polega na oszustwie”, przypomniał sobie Jardir i zmusił się do śmiechu. Poderwał włócznię w odpowiedzi na salut Par’china, a potem podbiegł do niego i uściskał go po raz ostatni.

– Nie doceniałem cię, Par’chin – powiedział. – Już nigdy nie popełnię tego błędu.

Par’chin uśmiechnął się.

– Za każdym razem tak mówisz – odparł.

Otoczali go wojownicy, rozradowani zwycięstwem. Jardir od razu się zorientował, że nie wolno mu niczego przedsięwziąć na ich oczach.

– *Dal’Sharum!* – wykrzyknął do swoich ludzi i wskazał trupy *alagai* zalegające na ulicach Labiryntu. – Bierzcie się za te ścierwa i wyrzucicie je za mury. Naszym Miotaczom dobrze zrobi odrobina wysiłku. Niech te przeklęte potwory za murami zrozumieją, jaką głupotą jest atakować Fort Krasja!

Jego ludzie zakrzyknęli z entuzjazmem i zakrzętnęli się, by wypełnić polecenie, a Jardir odwrócił się do Arlena.

– Miotacze meldują, że w jednej ze wschodnich pułapek nadal wrze walka. Masz jeszcze trochę siły?

Par’chin błysnął zębami.

– Prowadź!

Popędzili przez puste już ulice Labiryntu, zostawiając *Sharum* za plecami. Niczym Naganiacz, Jardir prowadził Par’china ku przeznaczeniu, ku zasadzce.

– To tam! Tuż przed nami! – krzyknął Jardir.

Z ukrycia Hasik podłożył Par’chinowi nogę. Ten natychmiast stracił równowagę, uderzył o ziemię, przetoczył się i szybko wstał, ale najlojalniejsi z ludzi Jardira odcięli mu już drogę ucieczki.

– O co chodzi? – zapytał Par’chin.

Jardir znów poczuł ból w sercu na widok twarzy przyjaciela, gdy ten uzmysłowił sobie zdradę. Pierwszy Wojownik wiedział, że postępuje podle, ale nie było odwrotu – przybysz znalazł się w pułapce i Jardir teraz musiał zakończyć sprawę.

– Włócznia Kajiego należy do Shar’Dama Ka – powiedział. – Ty nim nie jesteś.

– Nie chcę z tobą walczyć – rzekł Par’chin.

– Więc tego nie rób, przyjacielu – poprosił go Jardir. – Oddaj mi włócznię, wskakuj na konia, wyjedź o brzasku i nigdy tu nie wracaj.

Gdyby Inevera dowiedziała się o propozycji, jaką Jardir właśnie złożył, bez wątpienia nazwałaby go głupcem. Nawet jego porucznicy mamrotali pod nosem zaskoczeni. On zaś modlił się w duchu, by przyjaciel się zgodził, choć w głębi serca wiedział, że to nie nastąpi. Syn Jepha nie był tchórzem. Za jego plecami w demonim dole rozległo się warknięcie. Czekala go śmierć godna wojownika.

Dal’Sharum opadli go ze wszystkich stron. Par’chin stawiał im zaciekły opór, walczył,

łamał kości, lecz nawet w takiej chwili powstrzymywał się od zadawania śmierci. Jardir nie wziął w bójce udziału – stał kilka kroków dalej i czuł, jak trawi go wstyd.

W końcu Par'chin został obezwładniony przez Hasika i Shanjata, a Jardir pochylił się, by podnieść włócznię. Gdy zacisnął na niej palce, poczuł jej moc, ogarnęło go przemożne wrażenie, że oręż należy do niego. Bez wątplenia była to broń Kajiego, którego siódmy syn był pierwszym Jardirem.

– Jest mi naprawdę przykro, przyjacielu – powiedział. – Żałuję, że nie ma innego sposobu.

Par'chin splunął mu w twarz.

– Everam patrzy na twą zemstę!

W sercu Jardira zapłonął gniew. Par'chin nie wierzył w Niebo, ale bez zażenowania używał imienia Everama, gdy służyło to jego celom. Nie miał żon ani dzieci, nie należał do żadnej rodziny, ani też do plemienia, a mimo to sądził, że wie, co jest najlepsze dla innych. Jego arogancja nie miała granic.

– Nie waż się używać imienia Everama, *chin* – powiedział Jardir. – To ja jestem jego Sharum Ka, a nie ty. Beze mnie Krasja upadnie.

* * *

Wyjechali z miasta w tajemnicy, tuż przed nastaniem świtu. Większość *alagai* już umknęła do Otchłani, ale jakiś piaskowy demon musiał usłyszeć ludzi z daleka i postanowił się przyczaić, gdyż wyskoczył z cienia wydmy dosłownie kilka minut przed wschodem słońca.

Jardir był gotów, a ochronne runy na włóczni zapłonęły, gdy sparował atak. Magia odrzuciła demona daleko na piasek. Wojownik zerknął na jaśniejące niebo, ale nim zdążył się zdematerializować, Jardir dopadł go, zeskoczywszy z konia.

Gdy wzmocnione runami ostrze przebiło chropowaty pancerz stworzenia, buchnęło światło, a Jardir poczuł, jak broń ożywa mu w dłoni. Jego ciało przeszył dreszcz przypominający błyskawicę, którą poraziła go Inevera, lecz nie dreszcz bólu, a ekstazy. Mężczyzna natychmiast poczuł przyływ sił. Ból promieniujący z dawno odniesionych i zapomnianych ran, ból, który stanowił dlań codzienność do tego stopnia, iż Jardir przestał już go zauważać, niespodziewanie znikł. Wojownik miał wrażenie, że jest nieśmiertelny. Niepokonany. Uniósł ścierwo demona i bez wysiłku odrzucił je na trzydzieści stóp, ku wschodzącemu słońcu.

Ów przyływ mocy opuścił go niedługo po zabiciu demona, ale ból nie powrócił i jego ciało nadal wydawało się zdrowe. Już dawno ukończył trzydziesty rok życia, lecz nagle przypomniał sobie, jak to jest, gdy się ma ledwie dwadzieścia lat. Nie mógł się nadziwić, że to zapomniał.

I to wszystko po zabiciu jednego piaskowego demona, zadumał się. Co musiał czuć Par'chin, po tym jak położył ich całe tuziny w Labiryncie?

Tego jednak nie miał się już nigdy dowiedzieć, gdyż porzucili nieprzytomnego Par'china na kilka chwil przed wschodem słońca na dalekiej wydmie, wiele mil od miasta i ponad dzień drogi od najbliższej wsi.

Jardir patrzył na nieruchome ciało, a w jego umyśle znów pojawiły się słowa, które przybysz z zielonych krain wykrzyczał nie tak dawno: „Everam patrzy na twą zemstę!”.

– Dlaczego nie wyjechałeś, gdy cię o to prosiłem? – zapytał wówczas, lecz było to kolejne pytanie, na które Par'chin nie mógł już odpowiedzieć.

Jardir patrzył ze smutkiem na przyjaciela, gdy Hasik i Shanjat wspinali się na siodła. Niespodziewanie ujął bukłak z chłodną wodą, przytroczony do łęku, i rzucił go na piasek. Upadł tuż obok przybysza z zielonych krain.

– Co ty wyczyniasz? – zapytał Ashan. – Powinniśmy go teraz dobić, a nie mu pomagać.

– Nie przebiję włócznią nieprzytomnego wojownika – rzekł Jardir. – Ten bukłak przecież nie przeniesie go do najbliższej osady nad piaskami pustyni. Gdy się przebudzi, będzie mógł się napić, a gdy nadejdą *alagai*, umrze, stojąc, jak na mężczyznę przystało, i trafi do raju.

– A jeśli wróci do miasta? – zapytał Shanjat.

– Rozstaw Mehnding na murach – rozkazał Jardir. – Niech czuwają przez cały dzień, a jeśli Par'chin się pojawi, mają go zastrzelić.

Obejrzał się.

Nie wrócisz, prawda, Par'chin? – pomyślał. Masz duszę *Sharum* i umrzesz, walcząc z *alagai* gołymi rękami.

– To przecież *chin* – powiedział Ashan. – Niewierny. Skąd przekonanie, że Everam powita go w Niebie?

Jardir uniósł włócznię, aż przejrzały się w niej promienie wschodzącego słońca.

– Ponieważ jestem Shar'Dama Ka i tak właśnie twierdzę.

Pozostali wybałuszyli oczy, lecz żaden nie ośmielił się podważyć jego słów.

Wtedy powróciły doń słowa Inevery wypowiedziane ledwie kilka godzin temu.

„O świcie obwołasz się Shar'Dama Ka”.

Znów spojrział na ciało Par'china.

Modłę się o dobrą śmierć dla ciebie, pomyślał. Kiedyś spotkamy się w Niebie, a wtedy, jeśli nie spełniłem ani swoich marzeń, ani twoich, rozliczymy się ze swoich czynów.

Jardir zawrócił konia i ruszył z powrotem do miasta.

9

Shar'Dama Ka

329 ROK PLAGI

Do swojego miasta.

– Ani kroku dalej, zdrajco! – oznajmił *dama* Everal, blokując własnym ciałem drogę do sali tronowej Andraha. Był najstarszym z jego synów i bez wątpienia po śmierci Amadeverama miał zostać *Damaji*, a potem najprawdopodobniej również Andrahem. Liczył sobie pięćdziesiąt lat, ale wciąż był mężczyzną krzepkim, a jego włosów nie tknęła siwizna. Mówiono o nim, że w *sharusahk* nikt mu nie dorówna.

Był również ostatnim z synów Andraha, których Jardir musiał zabić, by móc wypruć starcowi wnętrzności.

Nie upłynął miesiąc od nocy, gdy Jardir, zbryzgany demonią posoką, ogłosił się w Labiryncie Wybawicielem. Trzy czwarte *Sharum* z miejsca go poparło, a po nich połowa *dama*, ich liczba jednakże zwiększyła się w ciągu dnia. Pozostali skupili się wokół swych *Damaji*, którzy najpierw próbowali bronić pałaców, lecz w miarę jak rosła potęga Jardira, umknęli do tuneli Podmiasta i zabarykadowali się w siedzibie Andraha.

Zdobycie całkowitej władzy trwałoby o wiele krócej, gdyby Jardir nie dał codziennie o zmroku w Róg Sharak i nie wzywał *dal'Sharum* do Labiryntu. Nawet najpodlejszy miał teraz włócznie krytą runami. Lecz i tak dziesiątki wojowników nie dożywały wschodu słońca.

Z początku Andrah i *Damaji* uważali to za swą przewagę, gdyż mogli bez przeszkód przegrupowywać się pod osłoną mroku, lecz nie zdawali sobie sprawy z upokorzenia, jakiego doznawali wierni im *Sharum*. Zmuszeni do pozostania u boku przywódców cierpieli męki psychiczne, wiedząc, że ich bracia pod wodzą Jardira zdobywają wieczną chwałę. Uciekali więc z nastaniem mroku, a w Labiryncie witano ich bez zadawania pytań. W końcu przy Andrahu pozostało tak niewiele, że nie byli nawet w stanie bronić murów. Jardir przedarł się przez bramę krótko po świcie, a niedługo potem zdobył pałac. Od zemsty dzielił teraz Jardira już tylko jeden człowiek.

– Proszę o wybaczenie, *dama* – Jardir uklonił się Everalowi – ale nie mogę, jak innym, zaproponować ci, abyś się poddał, albowiem któż zaufałby człowiekowi, który nie chce zginąć za swojego ojca? Doprawdy lepiej będzie, jeśli umrzesz z honorem.

– Ty uzurpatorze! – splunął Everal. – Nie jesteś Wybawicielem, a jedynie mordercą z ukradzioną włócznią! Bez niej jesteś niczym!

Jardir zatrzymał się i uniół rękę, by powstrzymać idących za nim wojowników.

– Naprawdę tak sądzisz? – zapytał.

Everal splunął po raz kolejny. Plwocina padła u stóp Jardira.

– Odrzuć broń i staw mi czoła bez pomocy tej wypaczonej magii!

– *Acha!* – zawołał Jardir i rzucił włócznię Everalowi. *Dama* złapał ją odruchowo i wytrzeszczył oczy, gdy uświadomił sobie, co trzyma.

Niespodziewanie zaszła w nim subtelna przemiana – w postawie i nastawieniu. Inni zapewne tego nie zauważyli, lecz dla Jardira było to tak oczywiste, jakby *dama* sam mu o tym powiedział. Jeszcze chwilę temu Everal uważał się za człowieka skazanego na śmierć, którego ostatnim życiowym zadaniem było wyrządzenie jak największych szkód przed odejściem na łono Everama, lecz teraz w jego oczach pojawił się promyk nadziei, iż może uda mu się zabić Jardira i powstrzymać rebelię rozdzierającą serce Krasji.

Jardir skinął głową.

– Teraz jesteś gotów, by stanąć przed Everamem z honorem – oznajmił i rzucił się do ataku.

Everal był mistrzem *sharusahk*, ale ustępy Evejah zabraniały klerykom władania włócznią i przez cały okres nauki w Sharik Hora Jardir nigdy nie widział, by któryś z nich tę zasadę złamał. Spodziewał się więc, że walczący włócznią *dama* będzie łatwy do pokonania.

„Wykorzystuj każdą przewagę”, uczył go niegdyś Khevat.

Everal jednakże zaskoczył przeciwnika, zakręcił włócznią z gracją, i to tak szybko, że stała się nieomal niewidoczna. Kleryk rzucił się do ataku i przez kilka dłuższych chwil Jardir był w stanie jedynie schodzić z linii jego ciosów. Ruchy *dama* były szybkie i precyzyjne, jedno natarcie płynnie przechodziło w drugie, czego zresztą należało się spodziewać po człowieku, który spędził cztery dekady w Sharik Hora. Wkrótce zaczął wyprowadzać pchnięcia i najpierw na policzku Jardira, a potem na jego ramieniu pojawiły się skaleczenia.

W końcu Jardir rozpracował rytm ataków kleryka. Błyskawicznie złapał włócznię, otoczył ją ramieniem i wykonał obrót, który cisnął klerykiem przez całą szerokość korytarza. Everal uderzył o kolumnę i osunął się na ziemię.

Jardir odczekał, aż kleryk wstanie, a potem położył włócznię na ziemi. *Dama* otworzył szerzej oczy.

– Tylko głupiec wyrzeka się swojej przewagi – rzekł, ale Jardir uśmiechnął się lekko i ruszył ku niemu z rozłożonymi ramionami. Everal podjął wyzwanie.

Dla *Sharum* bez doświadczenia starcie Jardira i Everalą mogło wyglądać na zwykłą

walkę, w której o zwycięstwie decydowała siła, lecz w rzeczywistości na pojedynek złożyły się setki subtelnych, mało dostrzegalnych zmian pozycji zwanych *sharukin*, służących wykorzystaniu siły przeciwnika przeciwko niemu samemu.

Jardir przebijał się przez opór Everala powoli, lecz skutecznie. Starał się znaleźć pozycję, w której będzie mógł założyć śmiertelny chwyt. Wiedział, że nikt i nic nie odbierze mu już zwycięstwa, a w oczach *dama* wyczytał, że on również zdaje sobie z tego sprawę.

– To niemożliwe – wydyszał, gdy dłoń Jardira zacisnęła się na jego gardle.

– Istnieje ogromna różnica, *dama* – odparł Jardir – między siłą, którą się zdobywa podczas treningu, a siłą zdobytą w walce z *alagai*.

Szarpnął mocniej i kark Everala złamał się z trzaskiem, który poniósł się echem po korytarzu.

* * *

Damaji skupili się u stóp podwyższenia. Wszyscy jednocześnie unieśli głowy, gdy ludzie Jardira wyłamali drzwi do sali. Na Tronie Czaszek Andrah kulił się i trząsał ze strachu, wpijając dłonie w poręcze z taką siłą, aż pobieleły mu kłykcie.

Jardir przyjrzał się gromadce starców okiem drapieżnika. Prawo Evejah pozwalało każdemu z nich na rzucenie wyzwania. Jardir nie obawiał się *Damaji*, ale nie chciał ich zabijać.

„Zabij ich, jeśli będziesz musiał – poinstruowała go Inevera – lecz osiągniesz o wiele pełniejsze zwycięstwo, gdy po prostu złamiesz w nich wolę walki”.

Powiedziała mu nawet, co powinien zaoferować.

– *Damaji* – oznajmił – jesteście lojalnymi sługami Everama i nie chcę wchodzić z wami w zatarg. Chcę jedynie, byście zeszli mi z drogi.

– A co się stanie z nami, gdy zasiądziesz na Tronie Czaszek? – zapytał Kevera z Sharach. Jako *Damaji* najmniej licznego plemienia Krasji to on miał rzucić wyzwanie jako pierwszy.

Jardir uśmiechnął się.

– Nic, mój przyjacielu. Czyżbyście wy, *Damaji*, obawiali się o swoje pałace? Ależ zatrzymajcie je i zarządzajcie nimi dla swoich plemion, jak czynicie to od wieków. Proszę was jedynie o symboliczny gest poparcia.

Kevera zmrużył oczy.

– Co konkretnie masz na myśli?

– Mój drugi syn z Qashą jest *nie'dama* – powiedział Jardir.

– Obiecujący dzieciak – pokiwał głową Kevera.

Jardir uśmiechnął się znowu.

– Poprosiłbym cię więc, byś od tej pory zawsze trzymał go blisko siebie, by mógł się uczyć z twoich sandałów.

– I by mógł mnie któregoś dnia zastąpić – rzekł Kevera. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Jeśli to *inevera* – wzruszył ramionami Jardir.

Przyjrzał się pozostałym *Damaji*, którzy zastanawiali się nad propozycją, i znów nie mógł się nadziwić, jak bardzo precyzyjny i kompletny okazał się plan *Inevery*. Żony Jardira, *dama'ting*, były płodne, a dzięki kościom umiały zawsze przewidzieć idealny moment na poczęcie. Po czterech latach małżeństwa każda urodziła Jardirovi dwóch synów i córkę, ale na tym się nie skończyło. Po jednym synu z każdego plemienia służyło teraz jako *nie'dama*, by w przyszłości przejąć czarny turban po śmierci obecnego *Damaji*, podobnie jak żony Jardira oczekiwały na objęcie godności *Damaji'ting* w swoim plemienu. *Inevera* przygotowała grunt do przejęcia władzy ponad dziesięć lat temu. Było to... Cóż, co najmniej niepokojące.

Damaji nadal się zastanawiali. Ich godność nie była dziedziczna, lecz każdy miał synów i wnuków pośród *dama* swego plemienia i często się zdarzało, że czarny turban przechodził z rąk do rąk w rodzinie. Tak czy owak, zachowanie własnej pozycji mogło osłodzić nieco gorzyc porażki, którą stanowiło wyniesienie Jardira, a to, że *Damaji* musieli pogodzić się z utratą karier własnych synów, nie powinno ich specjalnie zabołeć. Porzucenie aspiracji było o wiele lepsze od przebicia włócznią, co zwykł czynić Kaji synom pokonanych wrogów. Jardir bez wątplenia był do tego zdolny. Nie musiał przecież oddawać własnych synów na zakładników, uczynił to w szczerym geście pojednania.

Mniej znaczące plemiona nie miały więc żadnych dylematów.

– Shar'Dama Ka – oznajmił Kevera z Sharach, uklonił się i odstąpił.

Pozostali poszli w jego ślady i usuwali się przed Jardirem niczym *ala* cięta pługiem. *Dama* Bajin, Anjha, Jama, Khanjin, Halvas i Shunjin – wszyscy zeszli mu z drogi bez słowa. Wojownik napiął mięśnie, dopiero gdy zbliżył się do *Damaji* Krevakha i Nanji. Plemiona Wypatrywaczy były lojalne ponad wszelką wątpliwość, a uprawiały własną szkołę *sharusahk*, która uchodziła za najbardziej zabójczą z praktykowanych w Pustynnej Włóczni. Jardir czuł, jak w jego sercu pulsuje wola Everama, i nie było na ziemi człowieka, którego by się obawiał, ale szanował umiejętności Wypatrywaczy, dlatego zachował czujność.

Niepotrzebnie się jednak przejmował. *Damaji* obu plemion niewiele różnili się od swych *Sharum* i zamiast przewodzić, woleli obserwować i służyć radą. Zeszli mu z drogi bez wahania, a wtedy Jardir uświadomił sobie, że od Tronu Czaszek dzielą go jedynie trzej najpotężniejsi *Damaji*: Enkaji z Mehnding, Aleverak z Majah i Amadeveram z Kaji. Ci mężczyźni rządzą tysiącami dusz i żyli otoczeni ogromnym zbytkiem. Z ich plemion pochodziły tuziny kleryków, w tym ich synowie i wnukowie. Wiedział, że ci nie ustąpią łatwo.

Enkaji z Mehnding był potężnie zbudowanym mężczyzną, nadal silnym i energicznym, mimo że ukończył już pięćdziesiąty piąty rok życia. Przewodził plemieniu znawców machin

bitewnych i słynął z ogromnego sprytu oraz przebiegłości. Mehnding nie dorównywali liczebnie Kaji i Majah, ale Enkaji był zamożniejszy od duchowych przywódców obu pozostałych plemion razem wziętych i nie stanowiło sekretu, że od dawna chciał przekazać swe bogactwo najstarszemu synowi.

Ich spojrzenia spotkały się i przez chwilę Jardir sądził, że ten człowiek rzeczywiście może rzucić mu wyzwanie. Już szykował się do walki, gdy *Damaji* wybuchnął ponurym śmiechem i rozłożył ręce, składając przesadnie głęboki ukłon Jardirowi. Następnie zszedł mu z drogi.

Kolejnym był staruszek Aleverak z Majah, który liczył sobie prawie osiemdziesiąt lat. Mimo sędziwego wieku przyjął pozycję *sharusahk*. Jardir skinął głową, a *Sharum* i *Damaji* za jego plecami usunęli się, by zrobić przeciwnikom miejsce.

Jardir uklonił się nisko.

– Czynisz mi wielki zaszczyt, *Damaji* – powiedział i przyjął odpowiednią postawę. Imponowało mu, że starzec nadal jest pełen siły, a do tego nie zatracił ducha walki. Zdecydowanie zasługiwał na honorową śmierć.

– Zaczynajcie! – wykrzyknął Amadeveram i Jardir wystrzelił do przodu, chcąc złapać przeciwnika i zakończyć starcie szybko i bezkrwawo. Być może zdążyłby zmusić *Damaji*, by przed śmiercią okazał uległość.

Lecz Aleverak nieoczekiwanie wykonał ostry obrót – Jardir nigdy by nie przypuszczał, że ktoś może ruszać się aż tak szybko – po czym złapał wojownika za ramię i wykorzystał jego własny pęd przeciwko niemu.

Stawy Jardira przeszły ból i mężczyzna nie miał wyboru – musiał ustąpić i pozwolić starcowi na wykonanie rzutu. Jardir wylądował na plecach, a zebrany wokół tłum aż westchnął ze zdumienia. Aleverak doskoczył szybko i już chciał wbić kościstą piętę w gardło przeciwnika, lecz ten zdołał pochwycić ją i wykręcić ostro to w jedną, to w drugą stronę, sam zrywając się przy tym na równe nogi.

Aleverak nie stawiał oporu, obracał się wraz z wykręcaną stopą, po czym znów wykorzystał moc Jardira i z całej siły kopnął go w twarz. *Sharum Ka* ponownie znalazł się na marmurowej podłodze.

Wszyscy przyglądali się starciu z ogromnym zainteresowaniem. Jeszcze chwilę temu toczyło się tylko po to, by starzec mógł odejść z honorem i zasłużyć na wzmiankę w opowieści o wyniesieniu Jardira. Teraz jednak sytuacja uległa niebezpiecznej zmianie. Synowie Jardira nadal byli zbyt młodzi, by obronić się przed nożami wroga. *Andrah* pochylił się na tronie i śledził pojedynek z napięciem.

Aleverak znów zaszarżował, ale Jardir zdążył zerwać się i w porę zwrócić ku niemu. Tym razem odpowiednio rozstawił stopy i starzec nie mógł już wykorzystać siły przeciwnika. Jego ciosy były zaskakująco szybkie, lecz Jardir zdołał zablokować dwa pierwsze. Przepuścił natomiast trzeci – w szczękę, ale zdołał założyć *Damaji* chwyt na ramię.

Jardir nie był co prawda w stanie zwrócić pędu Aleveraka przeciwko niemu, ale nie zaszła taka konieczność. Sędziwy *Damaji* był człowiekiem chudym i żyłastym, natomiast Jardir, wojownik w kwiecie wieku, mógł się poszczycić wspaniałą muskulaturą i nie musiał kraść energii, by rzucić lekkiego jak piórko przeciwnika.

Jardir napiął mięśnie i wykonał ostry obrót, a potem cisnął Aleverakiem jak najdalej się dało. Odrzucony *Damaji* nawet w tej sytuacji ani na chwilę nie stracił równowagi i Sharum Ka zrozumiał, że i tym razem starzec się nie przewróci.

Złapał więc ponownie ramię przeciwnika, przemknął pod nim, by wzmocnić swój impet, i pchnąwszy go, wbił stopę w plecy Alevaraka, ledwie ten znieruchomiał. Jardir szarpnął mocno i trzask łamanego ramienia odbił się echem od kopulastego sufitu. Przez białą szatę *Damaji* przebiła się kość, a tkanina zaczęła natychmiast przesiąkać krwią. Jardir przypadł do niego, chcąc skończyć walkę, nim ból odbierze starcowi panowanie nad sobą. Aleverak jednakże nie wydał nawet jęku, nie okazał uległości. Jardir spojrzał mu w oczy i ujrzał zawziętość, która tamowała cierpienia. Honor starego *Damaji* nie znał granic. Starzec dźwignął się i na powrót przybrał postawę walki, tym razem z wysuniętym lewym ramieniem, gdyż prawe zwisało bezwładnie, złamane i zakrwawione.

– Nie przeszkodzisz mi w wejściu na Tron Czaszek, *Damaji* – rzekł Jardir, gdy powoli zataczali wokół siebie kręgi. – Większość twoich współplemieńców już poprzysięgła mi wierność. Błagam cię, przejrzyj na oczy. Posłuchaj rozsądku. Czy grób jest ci miłszy od pozycji doradcy Shar’Dama Ka? Czy pragniesz śmierci swoich synów?

– Moi synowie poprowadzą nasze plemię do walki z tobą – oznajmił Aleverak. Jardir wiedział, że to prawda, ale mimo to nie chciał pozbawiać Aleveraka życia. Nadejście *Sharak Ka* pociągnęło za sobą śmierć zbyt wielu ludzi honoru i zbyt niewiele pozostało na Ala, by pozwolić sobie na utratę kolejnych. Jardir wspomniawszy Par’china leżącego twarzą w piasku. Wstyd, którym zapłonęło jego serce, skłonił go do zaproponowania łaski Aleverakowi.

– Pozwolę twoim synom, by jeden rzucił po twojej śmierci wyzwanie mojemu – zaoferował. – Sami zdecydują, który to będzie.

Wśród zebranych *Damaji* poniosł się gniewny gwar, ale Jardir smagnął ich wściekłym spojrzeniem.

– Milczeć! – ryknął i zapadła cisza, a wtedy znów zwrócił się do Aleveraka:

– Będziesz u mego boku, *Damaji*, gdy Krasja znów powstanie i odzyska dawną chwałę? – zapytał.

Twarz starca bladła coraz bardziej od utraty krwi. Wszyscy wiedzieli, że jeśli się nie podda, umrze z ręki Jardira, ale na stojąco, jak przystało mężczyźnie.

Jednak Aleverak uklonił się i zerknął na swe krwawiące ramię.

– Przyjmuję twoją ofertę, choć owo wyzwanie może nadejść o wiele szybciej, niż sądzisz.

To była prawda. Syn Jardira zrodzony z kobiety Majah, chłopiec o imieniu Maji, miał dopiero jedenaście lat i gdyby *Damaji* umarł z ran, nie miałby szans z starciem z którymś z

synów Aleveraka.

– Hasik, zabierz *Damaji* Aleveraka do *dama'ting* na leczenie – rozkazał.

Hasik podszedł do starca, lecz ten niespodziewanie podniósł dłoń.

– Chciałbym zostać do końca – oznajmił. – Everam zadecyduje, czy to dzień mojej śmierci, czy też przyjdzie mi żyć dalej.

Jego głos zadźwięczał stalą i Hasik się zawahał. Jardir skinął głową i odwrócił się ku Amadeveramowi, ostatniemu *Damaji*, który oddzielał go od trzęsącego się ze strachu Andraha.

Amadeveram był młodszy od Aleveraka, ale i tak liczył sobie ponad siedemdziesiąt lat. Jardir nie miał jednak zamiaru go lekceważyć, zwłaszcza po wspaniałym popisie Majah.

– Mnie będziesz musiał zabić – rzekł Amadeveram. – Mnie nie można bowiem kupić kuszącymi obietnicami.

– Przykro mi, *Damaji* – ukłonił się Jardir. – Zrobię jednak wszystko, co trzeba, by zjednoczyć plemiona.

– Obojętne, czy zamordujesz mnie teraz, czy kiedy twój syn dorośnie – skwitował Amadeveram. – I tak będzie to morderstwo.

– Przecież i tak wyzioniesz ducha do tego czasu, starcze! – warknął Jardir. – Cóż to ma dla ciebie za znaczenie?

– Dla mnie liczy się tylko suwerenność plemienia Kaji! – wykrzyknął Amadeveram. – Dzierżymy Tron Czaszek od stu lat i będziemy go dzierżyć przez sto następnych!

– Nie – rzekł Jardir. – Mylisz się. Ja położę kres podziałom na plemiona. Krasja się zjednoczy, jak za czasów Kajiego.

– Jeszcze zobaczymy – stwierdził Amadeveram i przybrał pozycję *sharusahk*.

– Everam powita cię z radością – obiecał mu Jardir z ukłonem. – Masz serce *Sharum*.

* * *

Chwilę później Jardir uniósł głowę i spojrzał na kulącego się Andraha.

– Jesteś zniewagą dla czaszek dzielnych *Sharum*, na których umościłeś swój tłusty zad – oznajmił. – Zejdź tu i zakończmy to.

Andrah nie wykonał najmniejszego ruchu, miast tego wydawało się, iż kurczy się jeszcze bardziej na wielkim tronie. Jardir skrzywił się, ujął Włócznie Kajiego i ruszył w górę po siedmiu stopniach prowadzących do Tronu Czaszek.

– Nie! – wykrzyknął Andrah, zakrywając twarz, gdy Jardir uniósł włócznie.

Od chwili gdy ujrzał grubasa we własnym łóżu małżeńskim z Ineverą, minęło kilkanaście lat, lecz nie było dnia, by Jardir nie wyobrażał sobie chwili, kiedy będzie zadawał mu śmierć. Kości przepowiedziały, że któregoś dnia wyrze zemstę, i desperacko wierzył, że proroctwo się spełni. Tylko *alagai'sharak* stanowiło dla Jardira wytchnienie – w trakcie bitwy

zapominał o nienawiści do kapłana, lecz z nastaniem dnia Andrah był nadal przy życiu, co stanowiło wielką ujmę dla honoru Pierwszego Wojownika. Ileż to razy ćwiczył przemowę, którą wygłosi przed tym człowiekiem w chwili jego śmierci?

Teraz jednak obrzydzenie wezbrało w gardle młodszego mężczyzny niczym żółć. Ów żaloszny tłusciuch rządził całą Krasją na długo przed narodzeniem Jardira, a teraz nie miał nawet odwagi spojrzeć śmierci w oczy. Był podlejszy od *khaffit*. Nikczemniejszy nawet niż brudne świnię, którymi *khaffit* się żywili. Nie zasłużył na słowa szacunku. Na żadne słowa.

Jego śmierć nie przyniosła satysfakcji, o której Jardir marzył od tak dawna. Zabicie tego człowieka było przysługą dla świata, który tak długo go nosił.

* * *

Jardir naciągnął zbryzgane krwią białe szaty Andraha na swój czarny strój *Sharum*. Czuł ciężar spojrzeń ludzi stłoczonych w sali, lecz znalazł w sobie siłę, by się wyprostować.

Aleverak leżał na podłodze, a *dama* Shevali uciskał jego ranę. Trup Amadeverama zalegał w połowie schodów. Jardir podszedł i ściągnął czarny turban z jego głowy.

– *Dama* Ashan z Kaji, wystąp – rozkazał.

Ashan zbliżył się do podium i uklęknął, dotykając podłogi dłońmi i czołem. Jardir zdjął biały turban z głowy przyjaciela i nałożył czarny zawój zabitego *Damaji*.

– *Damaji* Ashan będzie przewodził Kaji – oznajmił głośno. – Potem będzie mógł przekazać czarny turban synom, zrodzonym z mojej siostry Imisandre.

Z tymi słowami objął Ashana niczym brata.

– Wojna w Blasku Dnia dobiegła końca – stwierdził Ashan.

– Nie, mój przyjacielu. – Jardir pokręcił głową. – Wojna teraz dopiero się rozpocznie. Musimy odbudować nasze siły, nappełnić łona naszych kobiet nasieniem i przygotować się na *Sharak Suun*.

– Czy ty myślisz o... – urwał Ashan.

– O Północy? – dokończył za niego Jardir. – Tak. Planuję podbić zielone krainy i podporządkować ich lud *Sharak Ka*.

Zebrani *Damaji* aż sapanęli ze zdumienia, ale żaden nie ośmielił się odezwać.

W chwilę później *Sharum* stojący na straży u wejścia również otworzyli szeroko oczy ze zdumienia i usunęli się w pośpiechu na boki. Przez powstałą w ten sposób lukę przeszła grupa *Damaji'ting* i żon Jardira. Wedle zasad spisanych w *Evejah* skrzywdzenie *dama'ting* stanowiło czyn karygodny, stąd też władza Jardira nad kobietami była mocno ograniczona, a prowadziły one w pawilonie *dama'ting* własne intrygi i wszystko wskazywało na to, że Inevera manipulowała polityką kobiet równie zręcznie jak polityką mężczyzn. Każda z nich założyła czarny zawój z białą woalką, a do tego białą szatę *dama'ting*, czym dały do zrozumienia, że uważały się za następczynię *Damaji'ting* swych plemion. Jardir nie miał

pojęcia, jak Inevera tego dokonała.

Belina, jego żona z plemienia Majah, odbiegła od reszty i przypadła do leżącego Aleveraka. Jardir potrafił od razu rozpoznać każdą ze swoich kobiet, nawet w szatach. Qasha nie była w stanie ukryć krągłości, a Umshala wzrostu. Belina z kolei chodziła w charakterystyczny sposób, który zdradzał jej tożsamość równie wyraźnie jak rysy twarzy. *Damaji'ting* Majah, która ruszyła w ślad za nią, wyglądała bardziej na jej uczennicę niż panią.

Jardir nie widział nigdzie Inevery, lecz po chwili ujrzał, jak *Sharum* zamierają i sztywnieją, wstrząśnięci do głębi. Uniósł wzrok. Pierwsza Żona wkroczyła do sali. Mężczyzna oniemiał na jej widok, gdyż Inevera była ubrana tak, jak tylko jemu wolno było ją oglądać. Otulał ją barwny szal i zwiewna woalka, podobnie jak przeźrocyste skrawki jedwabiu, które unosiły się przy każdym jej kroku niczym smużki dymu, ukazując wdzięki kobiety i nie pozostawiając pola do popisu dla wyobraźni. Czarne niczym noc, uperfumowane włosy spinała złocista siateczka. Na nadgarstkach i kostkach podzwaniały wysadzone brylantami bransolety i runiczne ozdoby ze złota. Tylko sakiewka z *hora*, przytroczona do paska, zdradzała, że kobieta jest kimś więcej niż tylko ulubioną kochanicą zamożnego *Damaji*.

Inevera wkroczyła z wdziękiem do sali, przyciągając spojrzenia wszystkich zebranych, zarówno oniemiałych *Sharum*, którzy gapili się z szeroko otwartymi ustami, jak i *Damaji'ting*, które przyglądały jej się chłodno. Jardir czuł, jak twarz oblewa mu gorąco. Uświadomił sobie też, jak wbrew jego woli budzą się w nim żądze, które dotąd znał tylko z alkowy. Próbował zachować spokój i opanowanie, ale żona stanęła przed nim i odsunęła woal, by pocałować mocno męża. Otarła się miękkim ciałem o Jardira na oczach zgromadzonych, niczym samica znacząca swe terytorium.

– Cóż ty znowu wyczyniasz, na otchłanie Nie? – szepnął ostro.

– Przypominam im, że Shar'Dama Ka stoi ponad prawem obowiązującym innych ludzi – odparła. – Weź mnie na Tronie Czaszek na oczach wszystkich, jeśli zechcesz. Nikt się nie ośmieli zaprotestować.

Wsunęła dłoń między jego nogi i zaczęła go pieścić delikatnie. Jardir aż jęknął.

– Oni nie, ale ja tak! – syknął i odsunął ją stanowczo. Inevera wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i pogłaskała Jardira po policzku.

– Cała Krasja raduje się twoim zwycięstwem, mężu – powiedziała głośno, chcąc, by usłyszeli ją wszyscy w pomieszczeniu.

Jardir wiedział, że powinien odpowiedzieć na te słowa i wygłosić jakąś śmiałą mowę, ale polityczne wystąpienia nadal go mierzily, a poza tym miał inne zmartwienia.

– Przeżyje? – zapytał, wskazując Aleveraka ruchem głowy. *Damaji* stracił ogromną ilość krwi, a jego ramię było w opłakanym stanie.

Belina pokręciła głową.

– Wątpliwe, mój mężu – powiedziała i pochyliła głowę, jak przystało posłusznej żonie.

Nigdy dotąd nie widział, by jego żony *dama'ting* zachowywały się w ten sposób.

– Uratuj go – szepnął Jardir do Inevery.

– Po co? – Szepnęła Pierwsza Żona przez woal. – Aleverak jest uparty i zbyt potężny. Lepiej się go pozbyć.

– Obiecałem mu, że gdy umrze, jego dziedzic może rzucić wyzwanie Majiemu o pałac Majah.

– Co takiego? – Inevera wybałuszyła oczy.

Wszyscy spojrzeli w jej kierunku, ale *dama'ting* błyskawicznie się opanowała i rozluźniła mięśnie. Odsunęła się i zeszła po stopniach podium, kołysząc biodrami, widocznymi przez półprzejrystą szatę. Jardir czuł się upokorzony tą sytuacją – jego serce aż kipiało z gniewu i miał ochotę wydrzeć ślepią każdemu mężczyźnie napawającemu oczy tym, co należało tylko i wyłącznie do Pierwszego Wojownika.

Belina i *Damaji'ting* Majah pokłoniły się i usunęły z drogi Ineverze.

– *Damajah* – pozdrowiły ją chórem.

Nim Inevera skończyła oglądać ranę, Aleverak zemdlął z upływu krwi. Wstała wówczas i zwróciła się do *Sharum*:

– Zasłońcie wszystkie okna i zamknijcie wszystkie drzwi – rzekła i kilku wojowników skoczyło, by wypełnić polecenie. Pozostałym kazała odwrócić się i wnieść tarcze wokół siebie i rannego *Damaji*, by pogłębić mrok.

W sali zapadły całkowite ciemności, lecz mimo to Jardir dostrzegł słaby poblask *alagai hora*, pulsujący przez mur z ludzkich ciał, usłyszał też rytmiczną modlitwę nuconą przez Ineverę. Kości mieniły się przez dobre kilka minut, a stojący w pomieszczeniu mężczyźni milczeli w nabożnym lęku.

Inevera nagle wydała polecenie i krąg *dal'Sharum* pękł. Wojownicy odsunęli zasłony i do pomieszczenia wpadły promienie słońca, oświetlając sylwetkę *Damaji* Aleveraka leżącego na podłodze. *Dama'ting* obnażyła go do pasa i widać było, że starzec oddycha spokojnie, a jego skóra odzyskała swój normalny odcień. Po jego ranie nie został już ślad, ani złamana kość, ani smuga krwi, ani nawet blizna. Tylko gładkie ciało.

Tylko skóra. Ramię znikło.

– Everam przyjął ramię *Damaji* Aleveraka jako dowód uległości – oznajmiła głośno Inevera. – Wybaczone mu również to, że zważył w Wybawiciela, i jeśli będzie od tej pory wiernie podążał wytyczoną przez Niego ścieżką, odzyska utraconą kończynę w Niebie.

Podeszła znów do Jardira i otarła się o jego ciało.

– Krew mojego męża musi wystygnać po tak wspaniałym zwycięstwie – powiedziała głośno, kierując słowa do wszystkich zgromadzonych w pokoju. – Wyjdźcie, bym mogła zająć się nim na osobności, tak jak tylko żona potrafi.

Znów rozległy się szepty zaskoczonych ludzi. Nikt dotąd nie słyszał, by kobieta, nawet *Damaji'ting*, wydała takie polecenia *Damaji*. Spojrzeli na Jardira, ale ten nie sprzeciwił się

im, tak więc nie mieli wyboru. Wyszli co do jednego.

* * *

– Czyś ty rozum postradał? – warknęła Inevera, gdy zostali sami. – Żeby położyć na szali kontrolę nad Majah, nie mówiąc już o życiu syna? I to w imię czego?

Jardir nie mógł nie zauważyć, że wymieniła Majiego w drugiej kolejności.

– Wątpię, czy zrozumiesz, dlaczego musiałem to zrobić.

– Tak? – zapytała zjadliwie. – A więc twoja *Jiwah Ka* jest aż tak głupia? Dlaczego twoim zdaniem nie byłaby w stanie pojąć mądrości, która kryje się za twoją decyzją?

– Bo to kwestia honoru! – warknął Jardir. – A ty już niejednokrotnie udowodniłaś, że nie zawracasz sobie głowy takimi bzdurami.

Inevera miażdżyła go przez chwilę spojrzeniem, a potem odwróciła się, pozwalając, by na powrót ogarnął ją spokój godny *dama'ting*.

– To nie ma znaczenia. Kiedy indziej zajmiemy się spadkobiercami Aleveraka.

– Trzymaj się od tego z daleka – powiedział Jardir. – Maji po prostu będzie musiał okazać się silniejszy.

– A jeśli przegra?

– Będzie to znak, iż Everam nie życzy sobie, by przewodził Majah.

Wydawało się, że Inevera ma gotową odpowiedź, ale nie powiedziała ani słowa i zamiast tego pokręciła tylko głową.

– To jeszcze nie kompletna porażka. Opowieść o tym, jak okaleczyłeś Aleveraka, ale pozwoliłeś mu żyć i służyć, tylko umocni twoją legendę.

– Zupełnie jakbym słyszał Abbana – mruknął Jardir.

– Co? – zapytała, choć wiedział, że dobrze słyszała.

– Dość tego – oznajmił. – Stało się i nikt nie już na to nie poradzi. Załóż jakąś przyzwoitą szatę i przesłoń twarz, zanim znów obudzisz nieczyste myśli u moich ludzi.

– Śmiały jak zawsze – powiedziała, ale uśmiechnęła się za przeźroczystą zasłoną, bardziej rozbawiona niż podirytowana. – Evejah nakazuje kobietom nosić woalki po to, by żaden mężczyzna nie pożądał tego, co do niego nie należy, lecz przecież ty jesteś Wybawicielem. Kto ośmieli się pożądać jego kobiet? Nie mam się czego obawiać, nawet jeśli będę chodziła nago ulicami miasta.

– Może i rzeczywiście nie masz się czego bać, ale cóż za pożytek będziesz miała z obnażania się na oczach wszystkich niczym dziwka?

Inevera zmarszczyła brwi, ale na jej twarzy nadal widniał spokój.

– Obnażam twarz, by każdy mnie zapamiętał. Obnażam ciało, by twoja potęga wzrosła – ludzie będą mówili, że rozsadzają cię takie żądze, że nawet przywódczyni *Damaji'ting* musi być gotowa, by natychmiast ci się oddać.

– Kolejne oszustwo – powiedział Jardir ze znużeniem i opadł na tron.

– Ależ skąd – mruknęła Inevera, osuwając się na jego kolano. – Jestem przygotowana, by wziąć na siebie odpowiedzialność za żądze Shar'Dama Ka.

– Zabrzmiało to jak zadanie – stwierdził Jardir. – Jakby była to cena, którą z trudem uiszczasz, by nadal trzymać władzę.

– Nie przesadzajmy z tym trudem – powiedziała Inevera, przesuując palec po jego klatce piersiowej. Rozplątała wiązania pantalonów i zajęła się erekcją męża.

Jej piękno w istocie obudziło w Jardirze żądze, ale nie mógł zapomnieć, że siedzi na Tronie Czaszek, i gdy Inevera wspięła mu się na kolana i wsunęła w siebie jego męskość, zupełnie jak kiedyś Andraha, Shar'Dama Ka uniósł nagle wzrok. Wspomnienie pozostało i śmierć Andraha tego nie zmieniła. Nadal prześladowało Jardira niczym duch, któremu odmówiono wstępu do kolejnego życia.

Czy dotyk męża naprawdę rozbudzał w Ineverze rozkosz, czy też jej jęki i wicie się były tylko kolejną maską podobną do nieprzeźroczystej woalki, którą odrzuciła? Jardir nie wiedział.

Wstał i zdjął z siebie kobietę.

– Nie jestem w nastroju na takie gierki.

Inevera otworzyła szerzej oczy, ale powstrzymała wybuch.

– Tutaj mamy dowód, że jest inaczej – mruknęła, ściskając nabrzmiąły członek męża.

– Nie jestem służką własnej żądz – rzekł Jardir i odepchnął ją na bok, zawiązując pantalonny.

Inevera obrzuciła go spojrzeniem skulonej, gotowej do ataku żmii i przez moment Jardir miał wrażenie, że zaraz na niego skoczy, ale wtedy na jej twarzy ponownie zagościł spokój *dama'ting*. Wzruszyła ramionami, jak gdyby odmowa nie miała dla niej znaczenia, i zeszła z podium, kołysząc hipnotycznie biodrami.

* * *

Hasik dotknął czołem marmurowej podłogi przed podium, na którym wznosił się Tron Czaszek.

– Przywiodłem *khaffit*, Wybawicielu – oznajmił z niesmakiem.

Jardir skinął głową, a strażnicy otworzyli drzwi i do środka, utykając, wszedł Abban.

Gdy znalazł się blisko podium, Hasik złapał go za szatę i pchnął, chcąc zmusić do ukłęknięcia, ale ten w porę wsparł się na włóczni i zachował równowagę.

– Ukłęknij przed Shar'Dama Ka! – ryknął Hasik, ale Jardir uniósł dłoń, chcąc go powstrzymać.

– Skoro mam umrzeć, przynajmniej pozwól mi zginąć na stojąco – rzekł Abban.

Jardir uśmiechnął się.

– A skąd ci przyszło do głowy, że mam ochotę cię zabić?

– Czyżbym nie był tylko nitką, którą należy przyciąć w strzępiącej się tkaninie? – zapytał Abban. – Jak Par'chin przede mną?

Hasik warknął i zacisnął dłoń na włóczni, a w jego oczach błysnęła mordercza wściekłość.

– Wyjdźcie stąd – oznajmił Jardir i machnął dłonią na Hasika i pozostałych strażników. Gdy sala opustoszała, zszedł z podium i stanął przed Abbanem.

– Mówisz o rzeczach, o których lepiej jest milczeć – rzekł cicho.

– Był twoim przyjacielem, Ahmann – stwierdził Abban, ignorując go. – Lecz cóż, ja też kiedyś nim byłem.

– Par'chin pokazał ci włócznię – uświadomił sobie nagle Jardir. – Ty, mizdrzący się tłusty *khaffit*, ujrzałeś Włócznię Kajiego przede mną!

– Tak – zgodził się Abban. – Ujrzałem ją i rozpoznałem. Mogłem mu ją ukraść, ale nie zrobiłem tego. Może i jestem mizdrzącym się tłustym *khaffit*, ale nie jestem złodziejem.

– Nie? – zaśmiał się Jardir. – Abban, a czym ty jesteś, jak nie złodziejem? Okradasz martwych i dzień w dzień oszukujesz ludzi na bazarze!

Abban wzruszył ramionami.

– Nie widzę nic złego w zabieraniu tego, do czego nikt z żyjących nie rości sobie pretensji, a targowanie się jest po prostu innym rodzajem bitwy, której wygranie wcale nie jest hańbą. Ja mówię o zabiciu człowieka – przyjaciela – i zabraniu tego, co do niego należało.

Jardir warknął i błyskawicznie chwycił Abbana za gardło. Tłusty kupiec aż sapnął i złapał palce Jardira, lecz równie dobrze mógłby próbować odgiąć stalowe pręty. Ugiął nogi w kolanach, lecz ramię Jardira ani drgnęło, bez trudu utrzymując ciężar kupca. Tylko twarz Jardira poczerwieniała.

– Nie pozwolę na to, by jakiś *khaffit* kwestionował mój honor – oznajmił. – Jestem lojalny najpierw wobec Krasji i Everama, a dopiero potem wobec przyjaciół, bez względu na to, jacy są dzielni. A wobec kogo ty jesteś lojalny, Abban? Zależy ci na czymkolwiek poza swoją tuszą?

Wypuścił Abbana, który padł na podłogę, z trudem łapiąc oddech.

– A co to ma za znaczenie? – wykrztusił po chwili. – Par'chin nie żyje, a więc do niczego się Krasji nie przydam.

– Par'chin to nie jedyny człowiek z zielonych krain – rzekł Jardir. – A żaden Krasjanin nie wie o nich tyle, co *khaffit* Abban. Jesteś mi przydatny.

Abban uniósł brew.

– Dlaczego? – zapytał, a z jego głosu umknął już gniew.

– Nie muszę odpowiadać na twoje pytania, *khaffit* – rzekł Jardir. – I tak powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć.

– Oczywiście – skinął głową Abban. – Niemniej o wiele prościej byłoby odpowiedzieć na moje pytanie, zamiast wzywać oprawców i odsiewać prawdę z moich wrzasków.

Jardir przyglądał mu się przez chwilę, a potem pokręcił głową i zachichotał wbrew woli.

– Zapomniałem na śmierć, że zdobywasz się na odwagę tylko wtedy, gdy zwąchasz zysk – oznajmił i wyciągnął dłoń, by pomóc kupcowi wstać.

Abban uklonił się z uśmiechem.

– *Inevera*, mój przyjacielu. Wszyscy jesteśmy tym, czym stworzył nas Everam.

Przez moment zdawało się, że dzieląca ich przeszłość znikła i znów byli dla siebie tym, czym kiedyś.

– Mam zamiar rozpocząć *Sharak Suun* – Wojnę w Blasku Dnia – powiedział Jardir. – Tak jak Kaji przede mną, podbiję zielone krainy i zjednoczę je wszystkie na *Sharak Ka*.

– Ambitne zadanie – odparł Abban, ale w jego głosie zabrzmiało powątpiewanie.

– Nie wierzysz, że mi się to uda? – zapytał Jardir. – Przecież jestem Wybawicielem!

– Nie, Ahmann, nie jesteś nim – rzekł szybko Abban. – Obaj wiemy, że Wybawicielem był Par'chin.

Jardir wbił w kupca złowrogie spojrzenie, a Abban odpowiedział tym samym, jakby chciał go sprowokować.

– A więc nie pomożesz mi z własnej woli – rzekł Jardir.

Abban uśmiechnął się.

– Tego nie powiedziałem, przyjacielu. Wojna oznacza wielkie dochody.

– Niemniej jednak wątpisz w mój sukces.

– Północ jest o wiele większa, niż ci się wydaje, Ahmann. – Abban wzruszył ramionami.
– I o wiele gęściej zaludniona niż Krasja.

– Nie sądzisz chyba, że dziesięciu tych tchórzy z Północy, ba, nawet stu, wartych jest choć jednego *dal'Sharum*? – parsknął Jardir.

Abban pokręcił głową.

– W kwestii wielkich spraw, takich jak bitwy, nigdy w ciebie nie wątpiłem. – Abban potrząsnął głową. – Ja jednakże jestem *khaffit* i martwię się drobnymi sprawami, choćby zapasami żywności i wody potrzebnymi do przekroczenia pustyni. Albo załogą, którą będziesz musiał obsadzić Pustynną Włócznię i podbite terytoria. Martwię się karawanami *khaffit* służącymi potrzebom wojowników i kobietami zaspokajającymi żądze *Sharum*. A kto będzie bronił kobiet i dzieci, które pozostawisz tutaj? *Dama*? W co oni zamienią to miasto pod twoją nieobecność?

Jardir był całkiem zaskoczony. W rzeczywistości, snując marzenia o podbojach, kwestie wymienione przez Abbana uznał za zbyt mało istotne, by zaprzętać sobie nimi głowę. *Inevera* sterowała karierą Jardira z prawdziwym mistrzostwem, ale wątpił, czy i ona wzięła podobne sprawy pod uwagę. Spojrzał na Abbana z na nowo rozbudzonym szacunkiem.

– Mój skarbiec stanie otworem przed kimś, kto potrafi zająć się takimi drobiazgami.

Abban uśmiechnął się i uklonił tak nisko, jak to było możliwe z jego laską.

– Służenie Shar'Dama Ka będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością.

Jardir skinął.

– Chcę wyruszyć za trzy lata – powiedział, a potem otoczył Abbana ramieniem, przyciągnął do siebie niczym przyjaciela i przysunął usta do jego ucha. – A jeśli kiedykolwiek spróbujesz mnie oszukać jak jakiegoś kupczyka na bazarze – szepnął – każę zedrzeć z ciebie skórę, wygarbować i uszyć z niej worek na gnój. Zapamiętaj sobie tę obietnicę.

Abban pobałdł i skwapliwie pokiwał głową.

– Nigdy jej nie zapomnę.

10

Kha'Sharum

331 ROK PLAGI

Jardir syknął, wchłaniając ból.

– Przysparzam ci cierpienia? – zapytała Inevera.

– W Labiryncie zniosłem swego czasu o wiele więcej – parsknął. – Ale jeśli przetniesz jakieś ścięgno...

– Znam budowę ludzkiego ciała o wiele lepiej od ciebie, mężu – burknęła Inevera. – To, czym teraz się zajmuję, nie różni się wiele od rzeźbienia *alagai hora*.

Jardir spojrział na srebrną tackę, na której znajdowały się cieniutkie pasemka skóry wycięte z jego dłoni. Przeszyło go kolejne ukłucie bólu, gdy Inevera zaczęła wpychać zioła w rany, ale odepchnął doznania bez trudu.

– Nadal nie widzę w tym sensu.

– Wedle Kanonu, który zabraliśmy jednemu z Posłańców trzymany w lochach, w zielonych krainach wierzą, że ciało Wybawiciela będzie poznaczone runami i żaden otchłaniec nie będzie miał do niego przystępu – wyjaśniła Inevera i puściła dłoń męża. Jardir uniósł ją i przyjrzał się dokładnie, podziwiając precyzję runu, który kobieta wycięła w jego skórze.

– Czy to zadziała? – zapytał, zaciskając pięść na próbę.

Inevera potaknęła.

– Gdy skończę, twój dotyk będzie dla *alagai* o wiele groźniejszy niż pchnięcie Włócznią Kajiego.

Jardir poczuł, jak przeszywa go dreszcz emocji. Sama myśl o pokonaniu demona w walce na gołe pięści była upajająca.

Inevera właśnie zakończyła bandażowanie mu ręki, gdy do sali tronowej wszedł *Damaji* Ashan, a za nim jego syn Asukaji i drugi syn Jardira, Asome. Obaj młodzieńcy nie dorośli jeszcze do białych szat *dama*, ale byli krwią Wybawiciela i nikt nie ośmielił się tego

zakwestionować.

– Wybawicielu – powitał go z ukłonem Ashan – przybył tu ten *khaffit* – wypluł to słowo, jakby pozostawiło gorzki smak na ustach. – Przyniósł rejestry i wyliczenia.

Jardir skinął i Abban przykuszykał, opierając się na lasce z kości słoniowej, zwieńczonej rzeźbą wielbłądziej głowy. Inevera tymczasem ułożyła się u nóg Jardira. Za Abbanem wszedł *Damaji Aleverak*, pusty rękaw szaty, gdzie winno znajdować się prawe ramię, upięty był z tyłu. Starcowi towarzyszył Maji, ubrany w bido typowe dla *nie'dama*. Przybyli dołączyli do Ashana, Asukajiego i Asome przed Tronem Czaszek.

Abban uklonił się i wyciągnął zza pasa niewielką fiolkę, którą rzucił Jardirowi.

– *Dama Qavan* z Mehnding kazał ci to dać – rzekł.

Jardir złapał buteleczkę i przyjrzał jej się z zaciekawieniem.

– Kazał mi dać?

– Nie tyle samą fiolkę, co jej zawartość. W napoju bądź jedzeniu.

Inevera wyrwała fiolkę z ręki Jardira, usunęła zatyczkę i powąchała zawartość. Upuściła kroplę na palec i posmakowała ostrożnie.

– Jad żmii tunelowej – splunęła. – Dość, by zabić dziesięciu ludzi.

Jardir przechylił głowę, by spojrzeć na Abbana.

– Czym ci zapłacił?

Abban uśmiechnął się i potrząsnął brzęczącą sakiewką.

– Okup *Damaji*!

Jardir znów pokiwał głową. *Damaji Enkaji* z Mehnding nie od dziś głośił publicznie poparcie dla Jardira, ale nie była to pierwsza próba zabójstwa ze strony podległych mu kleryków.

– Każę aresztować *dama Qavana* i wtrącić go do więzienia – oznajmił Ashan.

– To tylko strata czasu – stwierdził Abban. – Nie wyda swojego *Damaji* waszym oprawcom. Lepiej zostawić go w spokoju.

– Nikt cię nie pytał o zdanie, *khaffit*! – warknął *Damaji Aleverak*. Przestraszony Abban aż podskoczył. – Nie możemy pozwolić, by ten człowiek nadal żył i spiskował przeciwko Shar'Dama Ka.

– Być może jednak w tym, co mówi *khaffit*, jest trochę racji, mężu – przerwała Inevera, ściągając na siebie wściekle, oburzone spojrzenie Aleveraka, jakim starzec zawsze obrzucał kobietę, która ośmieliła się wygłosić opinię przed Tronem Czaszek. – Abban może powiedzieć Qawanowi, że zjadłeś zatruty posiłek, ale poza paroma skurczami nic się nie stało, a potem rozpuścić plotkę na bazarze. Ludzie mają myśleć, że jesteś niezniszczalny, a nawet najodważniejszy zabójca dwa razy pomyśli, nim targnie się na twoje życie.

– Mądrość *Damajah* nie ma granic – rzekł Abban z ukłonem. Byli z Ineverą niezmiernie do siebie podobni, ani na chwilę nie przestawali naginać innych do swej woli. Jardir ujrzał, jak oczy *khaffit* prześlizgują się ku Ineverze, by napawać się jej bezwstydnie

wyeksponowanym pięknem. Zdusił w sobie wściekłość. Żona powiedziała, że chwalenie się tym, czego inni mogą mu tylko pozazdrościć, sprawi, iż Jardir poczuje się potężniejszy, ale upłynęły dwa lata, a skutek nadal był odwrotny do zamierzeń.

Czy mu się to podobało czy nie, zarówno Abban, jak i Inevera dysponowali umiejętnościami, których Jardir potrzebował, umiejętnościami, których brakowało i *dama*, i *Sharum*. Rachunki Abbana i kości Inevery przekazywały jedynie brutalną prawdę, podczas gdy każdy człowiek w Krasji wołał kłamać i mówić to, co jego zdaniem Jardir chciał usłyszeć.

Jardir nauczył się polegać na żonie i kupcu, z czego oboje zdawali sobie sprawę. Nadal więc ubierali się wykwintnie i obwieszali złotem oraz ozdobami, jakby chcieli sprowokować Jardira do ukarania ich za łamanie obyczaju.

– *Damaji* Enkaji jest potężnym człowiekiem, Wybawicielu – przypomniał mu Abban. – A bez umiejętności inżynierskich jego plemienia nie będziesz w stanie kontynuować przygotowań do wojny. Czuje się już znieważony tym, że nie włączyłeś go w skład swojej tajnej rady. Być może to nie jest jeszcze najważniejszy moment, by podjąć działania przeciw temu klerykowi.

– Savas nie jest jeszcze na tyle dojrzały, by zająć miejsce *Damaji* Mehnding – dodała Inevera, mając na myśli syna Jardira z małżeństwa z *dama'ting* z Mehnding. – Wojownicy nie pójdą przecież za chłopcem w bido.

Oboje mieli rację. Gdyby Jardir zabił Enkajiego przed tym, jak Savas zdobędzie białą szatę, jego czarny turban przeszedłby na któregoś z synów Enkajiego, a ten z pewnością żywiłby do Jardira tę samą wrogość co ojciec, jeśli nie większą.

– Dobrze – powiedział w końcu, choć uczestniczenie w intrygach Inevery i Abbana obrzydzało go do granic wytrzymałości. – Zarzucicie więc swoją sieć na Qavana. A teraz przejdźmy do liczb.

– Tego poranka w Pustynnej Włóczni znajdowało się 217 *dama*, 322 *dama'ting*, 5012 *Sharum*, 17 256 kobiet, 15 623 dzieci, wliczając te, które znajdują się na *Hannu Pash*, oraz 21 733 *khaffit* – wymienił Abban.

– Zbyt mało, nawet gdybyśmy mieli wyruszyć za rok – stwierdził Jardir. – Z *Hannu Pash* wychodzi co rok ledwie kilkuset wojowników.

– Może powinieneś przełożyć swoje plany – zasugerował Abban. – Za jakieś dziesięć lat podwoisz siły.

Jardir poczuł, jak dłoń Inevery zaciska się na jego nodze, a jej długie paznokcie wbijają mu się w skórę.

– I tak zwlekamy już zbyt długo. – Pokręcił głową.

– A zatem wyruszysz z tymi wojownikami, których będziesz miał pod swoimi rozkazami w przyszłym roku – wzruszył ramionami Abban. – Ale nie będzie to sześć tysięcy.

– Potrzeba mi więcej ludzi! – nalegał Jardir.

– Cóż ci na to poradzę? – zdumiał się Abban. – Przecież *dal'Sharum* to nie spichlerze ziarna poukrywane przez kupców, którzy czekają, aż cena na bazarze wzrośnie!

Jardir spojrzał na niego tak ostro, że Abban drgnął.

– Powiedziałem coś nie tak? – zapytał.

– Bazar – odparł Jardir. – Nie byłem tam od chwili, gdy Kaval i Qeran zabrali nas z domów.

Wstał, naciągając białą szatę na czarny strój *Sharum*, który nosił niezmiennie.

– Zaprowadź mnie tam – rozkazał.

– Ja? – zawahał się Abban. – Chcesz chodzić po ulicach w towarzystwie *khaffit*?

– A jest ktoś, kto się do tego lepiej nadaje? – zapytał Jardir.

Wszyscy obecni wpatrywali się w niego z przerażeniem.

– Wybawicielu! – zaprotestował Ashan. – Bazar to miejsce dla kobiet i *khaffit*...

– Ta ziemia jest niegodna stóp Shar'Dama Ka – poparł go Aleverak.

– Ja o tym decyduję – uciął rozmowę Jardir. – Być może da się tam znaleźć coś godnego uwagi.

Ashan zmarszczył brwi, lecz tylko się pokłonił.

– Oczywiście, Wybawicielu. Przygotuję ochronę. Setka lojalnych *Sharum*...

– Nie potrzebuję ochrony – przerwał mu Jardir. – Potrafię się obronić przed kobietami i *khaffit*.

Inevera powstała, by pomóc mu nałożyć szatę.

– Pozwól mi chociaż najpierw rzucić kośćmi – szepnęła. – Przyciągniesz zabójców równie skutecznie, jak wóz z gnojem wabi muchy.

– Nie tym razem, *jiwah*. – Jardir pokręcił głową. – Czuję dziś na sobie dotyk dłoni Everama.

Inevera nie wyglądała na przekonaną, ale ustąpiła.

* * *

Z chwilą gdy wyszedł z pałacu, poczuł, jak z jego serca spada wielki ciężar. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni wyszedł z pałacu w świetle dnia. A przecież swego czasu tak bardzo kochał blask słońca. Wyprostował się, a wtedy zrozumiał, że coś w nim podśpiewuje. Wypełniła go niezbita pewność, że właśnie czyni rzecz słuszną, zupełnie jakby prowadził go Everam we własnej osobie.

Wydawało się, że czas się zatrzymał, gdy Jardir i Abban szli przez Wielki Bazar, a kupcy i klienci zamierali na ich widok. Niektórzy patrzyli ze zdumieniem na Wybawiciela, inni, jeszcze bardziej wstrząśnięci, na *khaffit* u jego boku. Za plecami niezwyklej pary narastały szepty, a wielu ludzi ruszyło w ślad za nią.

Bazar rozciągał się po obu stronach głównej bramy na wiele mil pod murami miejskimi.

Wszędzie widać było z pozoru nieprzeliczone namioty i wozy, pawilony i niewielkie stragany, nie mówiąc o licznych sprzedawcach jedzenia oraz błyskotek oraz tragarzach oferujących zaniesienie zakupów, a także tłumach kupujących, targujących się zaciekle o jak najlepsze ceny.

– Jest o wiele większy, niż zapamiętałem – rzekł zaskoczony Jardir. – Tyle tu zakrętów i zaułków. Nawet Labirynt wydaje się mniej przytłaczający.

– Mówi się, że nikt nie jest w stanie chodzić tak długo, by jednego dnia minąć wszystkich kupców – powiedział Abban. – Niejeden głupiec tu błędził, próbując w ostatniej chwili wydostać się z bazaru, gdy *dama* z minaretów Sharik Hora ogłaszają nakaz schronienia się w domach.

– Tylu tu *khaffit* – mówił zadziwionym głosem Jardir, spoglądając na tłumy w płóciennych tunikach. Ludzie mieli ogolone twarze. – Co dzień rano składasz mi meldunek co do liczebności, ale sama liczba jakoś nigdy mnie nie zaskoczyła. Przewyższacie liczebnie wszystkich w Krasji.

– Brak wstępu do Labiryntu ma swoje dobre strony – stwierdził Abban. – Długie życie to jedna z nich.

Jardir pokiwał głową. Cóż, kolejna rzecz, nad którą nigdy się nie zastanawiał.

– Czy twoje serce czasami za tym nie tęskni? – zapytał. – Czy pod tchórzostwem nie kryje się marzenie, by znaleźć się w Labiryncie?

Abban przez dłuższą chwilę utykał w ciszy.

– To bez znaczenia – rzucił w końcu. – Nie tak miało się zdarzyć.

Przeszli jeszcze kawałek. Naraz Jardir zatrzymał się jak wryty – jego uwagę przyciągnął ogromny, muskularny *khaffit*, wzrostu przynajmniej siedmiu stóp. Taszczył dwie beczki z wodą równie łatwo, jakby niósł parę sandałów.

– Hej, ty! – zawołał, lecz olbrzym nie zareagował. Jardir przeszedł więc przez ulicę i złapał go za ramię.

Khaffit odwrócił się przestraszony i o mało co nie upuścił obu beczek.

– Wołałem do ciebie, *khaffit* – warknął Jardir, lecz Abban położył mu dłoń na ramieniu.

– On cię nie słyszał, Wybawicielu. Urodził się głuchy!

W rzeczy samej, olbrzym jęczał i z rozpaczą pokazywał swoje uszy. Abban wykonał kilka szybkich gestów, które uspokoiły giganta.

– Głuchy? Czy dlatego nie ukończył *Hannu Pash*? – spytał Jardir.

Abban wybuchnął śmiechem.

– Zaczniemy od tego, że dzieci upośledzone nigdy nie zostają wezwane na *Hannu Pash*, Wybawicielu. Ten człowiek urodził się jako *khaffit*.

Inny *khaffit*, zdrowy, żwawy mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, wyszedł z kramu i zatrzymał się na widok mężczyzn. Na jego twarzy odbiło się skrajne zdumienie.

– Stój – rozkazał Jardir, gdy *khaffit* drgnął, jakby chciał się ulotnić. Nieznajomy

natychmiast padł na kolana i wbił twarz w brud ulicy.

– O wielki Shar'Dama Ka! – wybełkotał, płaszcząc się przed wojownikiem. – Nie jestem godzien, byś na mnie patrzył!

– Nie obawiaj się, mój bracie – powiedział Jardir i delikatnie położył dłoń na ramieniu przerażonego mężczyzny. – Nie pochodzę z żadnego plemienia ani żadnej kasty. Reprezentuję całą Krasję, wszystkich *dama*, *Sharum* i *khaffit*.

Mężczyzna uspokoił się nieco, usłyszawszy te słowa.

– Powiedz mi, bracie, dlaczego nosisz zwykłą tunikę?

– Ponieważ jestem tchórzem, Wybawicielu – powiedział *khaffit* zdławionym ze wstydu głosem. – Moja odwaga skruszyła się już pierwszej nocy w Labiryncie. Przeciąłem więzy i... I uciekłem od mojego *ajin'pal*!

Zaczął szlochać. Jardir odczekał chwilę, a potem ścisnął jego ramię. *Khaffit* uniósł spojrzenie.

– Chcę obejść bazar, a ty możesz iść za mną – oznajmił Wybawiciel, a mężczyzna rozdziawił usta ze zdziwienia.

– Ten głuchy również – rzucił Abbanowi, który przekazał olbrzymowi kilka sygnałów. Obaj mężczyźni ruszyli posłusznie za Abbanem i Jardirem, a za nimi wszyscy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, którzy byli świadkami zdarzenia. Nawet kupcy porzucili dobytek wystawiony na sprzedaż i udali się w ślad za Wybawicielem.

Gdziekolwiek spojrzał, wszędzie dostrzegał zdrowych, silnych mężczyzn w zwykłych tunikach. Pytał każdego, dlaczego odmówiono mu czarnych szat, i nikt nie ośmielił się kłamać.

– Chorowałem jako dziecko – powiedział jeden z nich.

– Nie odróżniam kolorów – rzekł inny.

– Mój ojciec przekupił *dama*, by mnie przeoczyli – ośmielił się przyznać trzeci.

– Potrzebuję szkieł, by dobrze widzieć – przyznało mu się wielu, natomiast inni zostali odrzuceni ze względu na swą leworęczność.

Jardir ścisnął każdego za ramię i pozwalał im podążać za sobą. Niebawem prowadził ogromny tłum wchłaniający wszystkich, którzy podeszli bliżej. W końcu Jardir odwrócił się, spojrzał na wielotysięczne zgromadzenie i skinął z aprobatą. Wskoczył na wóz jakiegoś kupca, by znaleźć się nad głowami kobiet i *khaffit*.

– Jestem Ahmann asu Hoshkamin am'Jardir am'Kaji! – wykrzyknął, unosząc Włócznię Kajiego. – Jestem Shar'Dama Ka!

Tłum zawył w odpowiedzi z oszałamiającą mocą. Nigdy dotąd Jardir nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia.

– Everam złożył na moje barki zadanie zniszczenia *alagai* – wykrzyknął. – Lecz nie wypełnię jego woli bez *Sharum*!

Zatoczył łuk dłonią, wskazując wszystkich zgromadzonych.

– Widzę wśród was ludzi zdrowych i silnych, którym odmówiono wstępu na ścieżkę wojownika, których zmuszono do życia we wstydzie i w ubóstwie, podczas gdy waszych braci i kuzynów opromienia blask Everama. Nie tylko wy zresztą zostaliście skazani na życie w hańbie, ale i wasze dzieci.

Ludzie, którym Jardir kazał iść za sobą, potakiwali zgodnie.

– Dysponujemy teraz magią, która potrafi niszczyć *alagai* – mówił. – Nasze włócznie rozpruwają ich setki, ale mamy więcej włócznie niż ludzi, którzy mogą je nosić. Oferuję wam zatem drugą szansę. Wszyscy sprawni *khaffit*, którzy chcieliby przystąpić do *alagai'sharak*, mogą jutro stawić się na polach ćwiczeń, gdzie każde plemię wzniesie *khaffit'sharaj*, by was uczyć. Ci z was, którzy ukończą szkolenie, zwać się będą *kha'Sharum* i otrzymają runiczną broń, by zdobyć sławę i wywalczyć drogę do Nieba dla was i waszych rodzin!

Jego słowa wywołały ciszę pełną zdumienia. Ludzie, którzy przeżyli całe dotychczasowe życie pod butem *Sharum*, którzy harowali, uginając się pod ciężarem przynależności do niższej kasty, zaczęli się teraz prostować. Jardir miał wrażenie, że zagląda w ich umysły i widzi, jak niespodziewanie ożywają marzenia ludzi o chwale i szansach na lepsze życie.

– Nadchodzi *Sharak Ka!* – wykrzyknął Jardir. – Podczas Wielkiej Wojny chwały nie zbraknie dla nikogo! Kto złoży mi przysięgę wierności i chwyci za broń, by walczyć u mego boku?

Ów pierwszy mężczyzna, któremu Jardir kazał iść za sobą, ten, który porzucił swego *ajin'pal* w Labiryncie, przepchnął się na czoło tłumu i uklęknął.

– Wybawicielu! – powiedział. – Od chwili mojej porażki w Labiryncie nigdy nie zaznałem radości w sercu. Błagam cię o drugą szansę!

Jardir ujął Włócznie Kajiego i dotknął nią ramienia klęczącego.

– Wstawaj, *kha'Sharum* – oznajmił.

Mężczyzna chciał wypełnić polecenie, lecz nim zdołał się wyprostować, plecy przeszła mu włócznia. Jardir złapał go, nim upadł, i spojrzał mu w oczy. Z ust *kha'Sharum* popłynął strumień krwi.

– Jesteś ocalony – powiedział Jardir. – Bramy Nieba stoją przed tobą otworem, bracie.

Mężczyzna uśmiechnął się, nim światło zgasło w jego oczach.

Jardir ułożył go na ziemi i spojrzał na włócznie sterczącą z jego pleców. Był to krótki oręż wykorzystywany w walce na mały dystans, ulubiony wśród Wypatrywaczy Nanji.

Jardir uniósł wzrok i dostrzegł trzech, każdego z krótką włócznią i linką z ciężarkami. Pomimo że na niebie świeciło słońce, zakryli twarze nocnymi przesłonami.

– Zapędziłeś się za daleko, *Sharum Ka*, oferując włócznie *khaffit* – zawołał jeden z Wypatrywaczy Nanji.

– Musimy zakończyć twoje życie – dodał drugi.

Ruszyli w kierunku Jardira, lecz wtedy z tłumu wybiegło kilku *khaffit*, by osłonić Wybawiciela własnymi ciałami.

Nanji wybuchli śmiechem.

– Głupio postąpiłeś, opuszczając swój pałac bez ochrony – stwierdził jeden z Nanji. – Ci *khaffit* nie są w stanie cię ochronić.

Wojownicy nie uważali kobiet i *khaffit* za zagrożenie, ale Jardir, który dopiero co odczuł drżącą w nich moc, nie podzielał tej opinii. Tak czy owak, nie miał zamiaru pozwolić, by ktoś bez potrzeby zginął za niego.

„Ludzie mają myśleć, że jesteś niezniszczalny – powiedziała Inevera – a wówczas nawet najodważniejszy zabójca dwa razy pomyśli, nim targnie się na twoje życie”.

– Z drogi! – wykrzyknął, zeskakując z wozu.

Wystraszeni ludzie natychmiast się usunęli.

– Sądźcie, że trzech wojowników zdoła mnie pokonać? – zaśmiał się. – Nawet gdyby cała setka Nanji czyhała na mnie w ciemnościach, nie potrzebowałbym żadnej ochrony!

Uniósł Włócznię Kajiego i wypiął pierś, zachęcając Nanji do ataku.

– Jestem Shar'Dama Ka! – wykrzyknął, czując, jak przepełnia go wiara we własne słowa.
– Atakujcie! Atakujcie, jeśli się ośmielicie!

Nanji zbliżali się, lecz Jardir wyczuwał w ich ruchach niepewność. Jego obecność wyprowadziła Wypatrywaczy z równowagi. Ich włócznie drżały lekko, co rusz zerkali po sobie z wahaniem, jakby próbowali ustalić, kto ma poprowadzić atak.

– Uderzajcie albo na kolana! – ryknął Jardir.

Uniósł Włócznię Kajiego, a błyszczący metal odbił blask słońca, przez co broń wydawała się skrzyć mocą.

Jeden z Nanji opuścił broń i padł na kolana.

– Zdrajco! – krzyknął drugi i już uniósł własny oręż do ciosu, lecz wyprzedził go trzeci, który wpadł między nich i przytknął ostrze do piersi agresora.

Jardir usłyszał nagle cichy odgłos za plecami, jakby szelest sandałów na płótnie. Znał dobrze taktykę Nanji, więc odwrócił się błyskawicznie w poszukiwaniu prawdziwego zamachowca. Dostrzegł go na szczycie pawilonu. Ten Wypatrywacz powinien był uderzyć, gdy uwagę Jardira przyciągnęła trójka na ulicy. Zabiłby go wówczas bez trudu.

Ich spojrzenia spotkały się, ale Jardir nie odezwał się ani słowem. Stał i czekał. Po chwili mężczyzna odrzucił włócznię, wykonał salto w powietrzu i wylądował przed Jardirem, po czym uklęknął u jego stóp.

Jardir podszedł do zabitego i wyrwał włócznię z jego pleców, po czym uniósł ją tak, by wszyscy mogli ją ujrzeć.

– To nie jest krew *khaffit*! – zawołał. – To krew prawdziwego wojownika, pierwszego z *kha'Sharum*, dlatego też powlekę jego czaszkę lakierem i dodam do swojego tronu, bym zawsze go pamiętał.

Spojrzał na *khaffit*.

– Kto z was wystąpi, by zająć jego miejsce?

Nagle rozległ się nieartykułowany jęk i przez ciżbę przebił się ów głuchy olbrzym. Rzucił się Jardirowi do stóp. Inni bezzwłocznie ruszyli za nim i zrobił się ogromny ścisk, gdy tłum chciał uklęknąć przed majestatem Jardira. Ten dotykał ramienia każdego z korzących się przed nim *khaffit*, a Abban korzystał z okazji.

– Niech nie obawiają się ci, którym wiek czy kalectwo nie pozwoli chwycić za broń! – wykrzyknął. – Nie obawiajcie się, kobiety, nie bójcie się, dzieci! Wybawiciel nie potrzebuje tylko i wyłącznie *Sharum*! Potrzebuje tkaczy, by wykonywali dlań sieci i kowali, by kuli ostrza włócznie! Potrzebuje płótna na namioty dla *kha'Sharum* i jedzenia dla tych, którzy w nich mieszkają! Przyjdźcie do mojego pawilonu jutro, jeśli chcecie pomóc Krasji i zdobyć chwałę!

Jardir zmarszczył brwi. Wiedział, że choć Abban chce pomóc w wysiłku wojennym, to jednak równie mocno zależy mu na zdobyciu taniej siły roboczej, ale nie przerwał kupcowi. Jeśli armia miała wyruszyć za rok, potrzebni byli robotnicy.

Tłum zaczął skandować jego imię, a Jardir nadal dotykał mężczyzn Włócznie Kajiego i mianował ich *kha'Sharum*. Skandowanie stawało się coraz głośniejsze, niesło się echem po bazarze, a potem po całym mieście.

– Jardir! Jardir! Jardir!

– Wspaniała robota – szepnął mu Abban do ucha, gdy został mianowany ostatni *khaffit*. – Właśnie kupiłeś sobie dziesięć tysięcy wojowników i dwakroć tyle niewolników tylko i wyłącznie za poczucie szacunku.

– Czy to wszystko, co dostrzega twoje kupieckie serce? – Jardir zmierzył towarzysza spojrzeniem. – Czy dla ciebie to jedynie transakcja?

Abban okazał na tyle przyzwoitości, iż przybrał zawstydzony wyraz twarzy, choć Jardir wątpił w jego szczerść.

* * *

Następnego dnia na placach ćwiczebnych, gdzie plemiona wznosiły swe *khaffit'sharaji*, stawiło się dwa tysiące mężczyzn. W ciągu następnego tygodnia ich liczba się potroiła, lecz na tym się nie skończyło. Szerokim strumieniem do miasta napływali ludzie z okolicznych wsi. Ci, którzy od dziesięciu pokoleń byli *khaffit*, porzucali swoją kastę i przyprowadzali całe rodziny, by pomóc w przygotowaniach do wojny. Nie minął miesiąc, a Jardir powiększył armię, a miasto od wielu dekad nie tętniło życiem tak jak teraz.

– Wyruszamy za rok – powtórzył Jardir, gdy Abban przedstawił mu swój poranny raport.

– Mieszkańcy zielonych krain nadal wielokrotnie przeważają nad nami liczebnie – przypomniał mu Abban.

– Tak, ale nawet najlepsi spośród tych północnych słabeuszy nie zdołają stawić czoła *kha'Sharum*.

– Ilu chcesz zostawić, by zabezpieczyć Pustynną Włócznie? – zapytał Ashan.

– Ani jednego – rzekł Jardir.

Wszyscy obecni, nie wyłączając Inevery, spojrzeli na niego z zaskoczeniem.

– Zabierzesz wszystkich wojowników? – zapytał Aleverak. – A kto będzie bronił miasta?

– Nie chodziło mi tylko o wojowników, *Damaji* – rzekł Jardir. – Miałem na myśli każdego. Wszyscy opuścimy Słoneczne Krainy. Wszyscy, co do jednego. Nawet starcy, kaleki i chorzy. Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko, każdy mieszkaniec miasta i każdy wieśniak. Wyjdziemy z Pustynnej Włóчни i zamkniemy jej bramy, by niepokonane mury broniły jej przed *alagai* do naszego powrotu.

W oczach Aleveraka zapłonął fanatyczny blask.

– To niebezpieczny plan, Wybawicielu – rzekł Ashan. – Nasza armia będzie ledwie pełznąć naprzód, podczas gdy największym atutem powinna być szybkość.

– Z początku rzeczywiście będziemy szli powoli – odparł Jardir. – Będziemy jednak musieli jakoś utrzymać zajęte zielone krainy, a nie stać nas na to, by wszędzie zostawiać oddziały. W zielonych krainach każdy *khaffit*, który podaży za słowem Evejah, będzie w hierarchii kimś znaczniejszym od *chin*. Pozwólmy im więc osiedlać się w trakcie wyprawy i zajmować ziemię w imię Everama, by *Sharum* mogli kontynuować podbój.

Dostrzegł, jak Inevera bezwiednie dotyka sakiewki z *alagai hora*. Wiedział, że ledwie narada dobiegnie końca, żona wymknie się, by odczytać przyszłość, ale nie miał wątpliwości, że potwierdzi jego decyzję. Czuł niezbitą pewność, że się nie myli, nawet Abban kiwał głową z aprobatą.

– Kiedy oznajmisz swą wolę pozostałym *Damaji*? – zapytał Ashan.

– Dopiero gdy będziemy gotowi do wymarszu – odparł Jardir. – Nie chcę, by Enkaji i inni mieli czas na zorganizowanie sprzeciwu. W chwili gdy dowiedzą się, dokąd zmierzamy, wielka brama ma już być daleko za ich plecami.

– A potem dokąd? – zapytał Abban. – Do Fortu Rizon?

– Nie, najpierw do Słońca Anocha. Dopiero potem do zielonych krain.

– Odnalazłeś zaginione miasto? – zapytał kupiec.

Jardir wskazał gestem stół zasłany mapami.

– Tak naprawdę to ono nigdy do końca nie zaginęło. W Sharik Hora znajdują się dokładne mapy. Po prostu po Powrocie przestaliśmy tam wyjeżdżać.

– Nie do wiary – stwierdził Abban.

– Jedyne, czego tak naprawdę nie rozumiem, to jak odnalazł je Par'chin. Przeszukanie pustyni trwałoby przecież długie lata. Ktoś musiał mu pomóc. Ale kto?

– Na bazarze aż się roi od kupców, którzy twierdzą, iż mają mapy do Słońca Anocha – wzruszył ramionami Abban.

– Falszerstwa – stwierdził Jardir.

– Wygląda na to, że nie wszystkie.

Jardir wiedział, że dla *khaffit* przejście od kłamstwa do prawdy jest równie łatwe jak oddychanie.

– *Inevera* – rzekł w końcu, unosząc Włócznie Kajiego. – Wszystko dzieje się za sprawą Everama.

11

Słońce Anocha

332 ROK PLAGI

Oaza Świtu była prawdziwie pięknym zakątkiem.

Spore jezioro czystej, słodkiej wody zasilala ta sama rzeka, która utrzymywała przy życiu Pustynną Włócznie. Rozległe łąki i zielone gaje drzew owocowych otoczone były kręgiem runicznych monolitów z piaskowca. W *ala* za jednym z owych monolitów wykute były schody prowadzące do oświetlonej pochodniami podziemnej komnaty, gdzie wystarczyło zarzucić sieć, by bez trudu złowić rybę.

Oaza była jednak niewielka, służąca zwykle za miejsce postoju karawan, choć od dłuższego czasu korzystali z niej głównie samotni Posłańcy. Nie nadawała się zatem do utrzymywania największej armii, jaką świat widział od wielu wieków.

Hufce Jardira spadły na oazę niczym szarańcza, w okamgnieniu otaczając monolity tysiącami namiotów i pawilonów. Nim większość Krasjan dotarła na miejsce, drzewa zostały już odarte z owoców i pocięte na opał, a trawa zdeptana bądź wyjedzona do cna przez zwierzęta. Tysiące ludzi brodzących przy brzegu jeziora i obmywających sobie stopy lub napelniających bukłaki zamieniło wodę w cuchnącą, błotnistą maź. Wielu zarzuciło sieci w podziemnej komnacie, ale to, co byłoby zaczątkiem zdobyczą dla kupieckiej karawany, dla krasjańskiej hordy było zaledwie kąskiem.

– Wybawicielu – powiedział Abban, podchodząc do Jardira, prowadzącego inspekcję obozowiska – jest coś, co moim zdaniem powinieneś ujrzeć.

Jardir skinął głową, a Abban zaprowadził go do ogromnego bloku piaskowca, pokrytego niemalże w całości najrozmaitszymi rytami. Niektóre zostały już zatarte przez czas, inne nadal były ostre i wyraźne. Znajdowały się tu ryty proste i prymitywne, były też takie, które wzbudzały podziw starannym wykonaniem. Wszystkie zaś wykuto w północnym alfabecie, który Jardir ledwie liznął.

– Co to takiego? – zapytał.

– Znaki Posłańców, Wybawicielu – rzekł Abban. – Jest ich pełno w całej oazie. Każdy mężczyzna, który znalazł tu schronienie w drodze do Pustynnej Włóczni, uwiecznił w ten sposób swoje imię.

– I co z tego? – Jardir wzruszył ramionami.

Abban wskazał miejsce pokryte pięknie wykaligrafowanymi literami. Jardir nie potrafił ich odczytać, ale musiał docenić staranne wykonanie.

– Tu jest napisane „Arlen Bales z Potoku Tibbeta” – odczytał Abban.

– To Par’chin – zdumiał się Jardir. – Co jeszcze jest napisane?

– „Uczeń Posłańca Coba z Miln, służący książętom, znany w Krasji jako Par’chin i prawdziwy przyjaciel Ahmanna Jardira, Sharum Ka z Pustynnej Włóczni”.

Abban przerwał czytanie, chcąc, by jego słowa w pełni dotarły do Jardira. Ten się skrzywił.

– Czytaj dalej – warknął.

– „Odwiedziłem pięć istniejących miast – czytał Abban, wskazując na nazwy miast wypisane wzdłuż włóczni skierowanej ku górze – oraz niemal każdą wieś i osadę w byłym Królestwie Thesy”.

Przy tych słowach kupiec wskazał inną, o wiele dłuższą listę, na której znajdowały się dziesiątki rytów.

– A te nazwy wypisane wzdłuż włóczni skierowanej w dół to ruiny, które odwiedził. – Abban pokazał mu inną długą listę. – Par’chin nie marnował czasu z dala od Pustynnej Włóczni. Są tu nawet ruiny krasjańskie.

– No i? – zapytał Jardir.

– Par’chin zawsze szukał na bazarze map i opowieści – wyjaśnił Abban.

– Czy Baha kad’Everam też została wymieniona? – zapytał Jardir, a gdy Abban zawahał się, wojownik odwrócił się do *khaffit*. – Nie zmuszaj mnie, bym zapytał po raz drugi. Jeśli każe któremuś z więźniów *chin* przetłumaczyć te napisy i okaże się, że kłamałeś...

– Jest tu – przyznał Abban.

Jardir pokiwał głową.

– Zatem ktoś w końcu przejął resztę wyrobów mistrza Dravaziego – stwierdził.

Abban nie odpowiedział, nie było to zresztą potrzebne.

– Co to? – Jardir wskazał ryt na końcu listy, choć właściwie mógł się domyślić.

– To ostatnie miejsce, które Par’chin odwiedził przed powrotem do Pustynnej Włóczni – rzekł Abban.

– Słońce Anocha – stwierdził Jardir. – Czy któryś z pozostałych kupców potrafi czytać te znaki?

– Może kilku.

– Cóż – burknął Jardir. – Przyślij ludzi z młotami i każ im rozbić ten kamień w pył.

– By nikt się nie dowiedział, że Shar’Dama Ka idzie po śladach martwego *chin*? – zapytał

Abban.

Jardir uderzył go z całej siły, obalając na ziemię. Gruby *khaffit* otarł krew z ust, ale powstrzymał się od zwyczajowego płaszczenia przed przywódcą oraz błagania o litość. Ich spojrzenia spotkały się i Jardir poczuł, jak wściekłość ustępuje, a w jej miejsce pojawia się żal i wstyd. Odwrócił się i spojrzał na nieprzebrane masy ludzi, zastanawiając się, czy któryś z nich nieświadomie nie deptał w drodze po pochłoniętych przez piaski kościach jego przyjaciela.

* * *

– Coś cię gnębi – powiedziała Inevera, gdy Jardir powrócił do pawilonu. Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

– Zastanawiam się, czy prawdziwy Wybawiciel również przeżywał co krok rozterki, czy też czuł, jak Everam kieruje jego działaniami, i po prostu szedł przed siebie – oznajmił Jardir.

– Przecież ty jesteś prawdziwym Wybawicielem – rzekła Inevera. – Sądzę więc, że Kaji doświadczał mniej więcej tego samego co ty.

– Naprawdę jestem Wybawicielem? – zapytał Jardir.

– Sądysz, że tylko przez zbieg okoliczności Włócznia Kajiego trafiła w twoje ręce wtedy, gdy byłeś już w stanie przejąć władzę nad Krasją?

– Przez zbieg okoliczności? – zapytał Jardir. – Nie. Sterujesz mną jednak od dwudziestu lat. Zająłem swoją pozycję dzięki twoim demonim kościom. Wątpię, czy w istocie na nią zasłużyłem.

– Czy to demonie kości porwały serca *khaffit* i zjednoczyły nasz lud? – zapytała Inevera. – Czy to demonie kości prowadziły cię od zwycięstwa do zwycięstwa w Labiryncie, na długo nim twój wzrok padł na Włócznię Kajiego? Czy z powodu kości podjąłeś tę wyprawę?

– Nie, oczywiście, że nie – pokręcił głową Jardir.

– A więc chodzi o te ryty na paskowcu pozostawione przez Par'china.

– Skąd wiesz?

Inevera zbyła pytanie machnięciem dłoni.

– Par'chin był tylko rabusiem grobów. Był przy tym człowiekiem odważnym – przyznała, kładąc palec na ustach męża, by uprzedzić jego protest – sprytnym i śmiałym, ale mimo to złodziejem.

– A kim ja jestem, jeśli nie tym, który go z kolei obrabował?

– Jesteś tym, kim chcesz być – powiedziała Inevera. – Możesz być zbawcą rodzaju ludzkiego, możesz też szlochać nad uczynkami z przeszłości i przegapić okazje, które na ciebie czekają.

Pochyliła się i złożyła na wargach męża pocałunek, głęboki i wilgotny, pocałunek, o który Jardir nie musiał prosić i który przypominał mężczyźnie, że nadal kocha żonę.

– Wierzę w ciebie, nawet jeśli ty sam w siebie nie wierzysz. Kości zdradzają wolę Everama i ani ja, ani one z pewnością nie pomogłyby ci w osiągnięciu zaszczytów, gdyby nie wiara, że to właśnie ty, ty i nikt inny, udźwigniesz ciężar przeznaczenia. Zabicie Par’china było złem koniecznym, podobnie jak zabicie Amadeverama. Oszczędziłbyś ich, gdybyś mógł.

Inevera wsunęła się w jego ramiona, a Jardir objął ją, czując, jak powraca mu siła. Zło konieczne. Czytał o tym w Ewejah, w ustępach, gdzie Kaji opisywał ujarzmienie północnych *chin*. Każdy zabity *alagai* przyczyniał się do naprawienia winy, a Jardir zamierzał pozabijać je wszystkie, nim stanie przed obliczem Stwórcy, który osądzi uczynki wojownika.

* * *

Zwiadowca na wielbłądzie podjechał do Jardira, dosiadającego białego konia, i zatrzymał się w odległości nakazanej przez szacunek, salutując przez uderzenie pięścią w klatkę piersiową.

– Shar’Dama Ka! – pozdrowił dowódcę. – Odnaleźliśmy zaginione miasto. Jest częściowo zasypane piaskiem, ale wydaje się nietknięte. Znaleźliśmy kilka studni, które będzie można przywrócić do użytku, ale niewiele jedzenia czy paszy.

– Everam ocalił dla nas święte miasto – skinął głową Jardir. – Niech lotny oddział zbada miasto i przygotuje studnie. Zabijemy nasze bydło i będziemy się żywić mięsem, by nie naruszyć zapasów ziarna.

– To niebezpieczna decyzja – wtrącił Abban. – Zabicie wszystkich zwierząt uniemożliwi nam późniejsze odbudowanie stad.

– Musimy więc mieć nadzieję, że obłowimy się w zielonych krainach – oznajmił Jardir. – Póki co potrzebujemy czasu, by zbadać święte miasto.

Trzon armii posuwał się w doprawdy ślimaczym tempie i minęły całe dni, nim zrównał się ze zwiadowcami, którzy zdążyli już sporządzić w miarę szczegółowe mapy miasta, znacznie większego od Pustynnej Włóczni. Jednak niektóre zakamarki pozostały nadal niewiadomymi. Między mapami zwiadowców i starożytnymi zwojami z Sharik Hora istniały bowiem rozbieżności.

– Podzielimy miasto na strefy, za których przeszukanie odpowiedzialne będą plemiona. *Damaji* sprawować będą nadzór, w czym pomogą im najbardziej wykształceni *dama* i Wnykarze. Każdy odkryty relikwiarz ma zostać skatalogowany i pokazany mnie.

Ashan skinął głową.

– Stanie się wedle twojej woli, Wybawicielu – oznajmił Abban i oddalił się, by udzielić instrukcji *Damaji*.

Przez następny tydzień plemiona plądrowały starożytne miasto, przebijały się przez ściany, otwierały grobowce i zwały całe fragmenty runicznych murów i słupów. Par’chin, który odwiedził Słońce Anocha przed nimi, nie pozostawił po sobie wielu śladów, ale

Krasjanom nie przyszło do głowy, by zachować miasto w stanie nietkniętym. Wszędzie wznosiły się sterty gruzu, a ulice i budynki waliły się i zapadały, gdy ludzie Jardira docierali do ukrytych pod nimi tuneli.

Każdego popołudnia *Damaji* stawali przed obliczem Wybawiciela i przedstawiali swe znaleziska. Odkryto setki nowych runów, z których wiele miało za zadanie zabijać demony lub nadawać przedmiotom inne magiczne właściwości. Znoszono runiczną broń i pancerze, mozaiki i malowidła przedstawiające starożytne bitwy, a niekiedy nawet podobizny Kajiego.

Co noc zaś *Sharum* stawali do walki. Demony wciąż tłumnie napływały do miasta i z chwilą zapadnięcia zmroku ludzie Jardira zarzucali pracę i chwyтали za broń. Włócznie nawet najsłabszych *kha'Sharum* uzbrojone były teraz w potężne runy i *alagai* ginęły tysiącami. Wkrótce święte piaski zostały całkowicie oczyszczone. *Sharum* kontynuowali patrole, ale wyglądało na to, że wokół miasta potwory zostały wybite co do jednego, zupełnie jakby Everam dawał znak, że wojownicy znaleźli się na właściwej drodze.

* * *

– Wybawicielu! – rzekł Ashan, wkraczając do namiotu z Asome i Asukajim u boku. – Znaleźliśmy.

Jardir nie musiał nawet pytać, o co chodzi. Zrzucił mapy zielonych krain i pospiesznie naciągnął białą szatę, lecz nim podszedł do wejścia namiotu, zrównała się z nim Inevera na czele innych żon *dama'ting*. Ich obecność potwierdziła wagę słów Ashana. Kobiety bezszelestnie ruszyły w ślad za mężczyznami ulicami miasta.

– Któremu plemieniu przypadł ten zaszczyt? – zapytał Jardir.

– Mehnding, ojczyzna – powiedział Asome.

Liczył już sobie szesnaście lat i z godnością nosił białe szaty, a choć był młodzieńcem chudym i wysokim, w jego ruchach kryła się gracia, której należało się spodziewać po mistrzu *sharusahk*. Jego cichy, łagodny głos wydawał się tym bardziej niebezpieczny, niczym ostrze włóczni owiniętej w biały jedwab.

– Jasne – mruknął Jardir.

Cóż za zbieg okoliczności, że to akurat najmniej lojalny spośród *Damaji* odnalazł grobowiec Kajiego.

Enkaji oczekiwał Wybawiciela wraz z Savasem, synem Jardira z małżeństwa z *dama'ting* Mehnding. Chłopak nadal nosił bido *nie'dama*.

– Shar'Dama Ka! – wykrzyknął *Damaji*, padając przed Jardirem na zakurzoną podłogę komnaty. – Pozwól, że pokażę ci grobowiec samego Kajiego.

– Nietknięty? – upewnił się Jardir.

Enkaji powstał i wskazał wielki sarkofag, z którego zdjęto kamienną pokrywę.

– Obawiam się, że Par'chin okazał się skrupulatnym grabieżcą – powiedział Enkaji. –

Oczywiście brakuje włóczni, lecz tę odzyskałeś. Ale nie mam pojęcia, czy te strzępy były w istocie świętym Płaszczem Kajiego – wskazał zakurzone szmaty spowijające szkielet złożony w sarkofagu.

– A korona? – zapytał Jardir, siląc się na swobodny ton, choć wiedział, że mówi o niezwykle cennej świętej relikwii.

– Skradziona – wzruszył ramionami Enkaji. – Par’chin...

– Nie miał jej, gdy przybył do Pustynnej Włóczni – przerwał mu Jardir.

– A zatem musiał ją gdzieś ukryć – rzekł Enkaji.

– Łże – szepnął Abban do ucha Jardirowi.

– Skąd wiesz? – zapytał ten.

– Zaufaj mi. Sam jestem łgarzem.

Jardir zwrócił się do Hasika.

– Zapieczętuj grobowiec – rozkazał, a wojownik dał znak *Sharum*, by dźwignęli kamienną płytę i ułożyli ją na miejscu.

– O co chodzi? – zapytał Enkaji, gdy w komnacie zaczęły gasnąć pochodnie, aż zostało ich tylko kilka, posykujących i rzucających migotliwy blask na ściany.

– Zgaście je wszystkie – polecił Jardir. – Damajah rzuci kośćmi, by dowiedzieć się, kto ukradł Koronę Kajiego.

Enkaji pobladł i Jardir zrozumiał, że Abban się nie mylił. Shar’Dama Ka podszedł do *Damaji* i pchnął go, aż ten dotknął plecami ściany.

– Za każdą minutę, w której korona nie jest w moich rękach – poprzysiągł Jardir – wykastruję jednego z twoich synów i wnuków, zaczynając od najstarszych.

Niedługo Korona Kajiego, odnaleziona w grobowcu jednego z jego prawnuków, znalazła się w rękach Jardira.

Był to cienki, wysadzany złotem i klejnotami diadem, tworzący siatkę wokół głowy. Delikatne paseczki złota układały się w ciąg nieznanymi runów. Wyglądały na kruche, ale Jardir nie byłby w stanie ich zgnać, nawet gdyby wyczerpał wszystkie siły.

Inevera ukloniła się i ujęła koronę, nakładając ją na turban Shar’Dama Ka. Obręcz okazała się lekka niczym piórko, ale mimo to Jardir poczuł nagle przygniatający go ciężar.

– Teraz – rzekł. – Teraz możemy ruszyć na zielone krainy.

CZEŚĆ II

SIŁY Z ZEWNĄTRZ

12

Wiedzmy

333 ROK PLAGI, ZIMA

Dom rodziców Leeshy znalazł się w zasięgu wzroku. Zważywszy na możliwości finansowe jej ojca, było to dość skromne domostwo na tyłach papierni, ale zaspokajało wszystkie potrzeby małej rodziny. Ścieżkę prowadzącą do domu chroniły runy.

Rojer zresztą niezbyt się nim interesował. Szedł tuż za Leeshą, by mógł jej się skrycie przyglądać. Błada skóra dziewczyny tworzyła miły kontrast z włosami młodzieńca, czarnymi niczym noc. Oczy Rojera przypominały kolorem błękit nieba. Jego spojrzenie ześlizgiwało się wzdłuż krągłości towarzyszki.

Leesha odwróciła się gwałtownie i Rojer aż podskoczył, pospiesznie spuszczać wzrok.

– Raz jeszcze dziękuję za wszystko, co dla mnie robisz, Rojer – powiedziała.

Jasne. Jakby mógł jej czegokolwiek odmówić.

– Przecież rodzinny obiad trudno uznać za obowiązek, nawet jeśli na potrawach twojej matki otchłaniec mógłby sobie kły połamać – powiedział.

– Może dla ciebie – rzekła Leesha. – Gdybym pokazała się sama, dręczyłaby mnie do upadłego pytaniami, kiedy to w końcu znajdę sobie męża. Przy tobie może wreszcie oszczędzi mi tych kazań. Może nawet weźmie nas za parę i da mi spokój.

Serce Rojera nagle zamarło. Bezwłocznie przybrał maskę Minstrela i ani wyraz twarzy, ani głos nie zdradziły jego prawdziwych odczuć.

– Nie miałabyś nic przeciwko temu, by twoja matka wzięła nas za parę?

– Bardzo by mi to odpowiadało! – zaśmiała się Leesha. – Większość ludzi w mieście również by to zaakceptowała. Tylko ty i Arlen byście wiedzieli, jaki to głupi pomysł.

Rojer poczuł się, jakby właśnie dostał w twarz, ale serce po chwili znów mu zabiło. Dzięki masce Leeshy niczego nie dostrzegła.

– Lepiej tak go nie nazywaj – zmienił temat młodzieniec.

– Arlena? – spytała Leesha, a Rojer aż się skrzywił. – Arlen! Arlen! Arlen! – zawołała

kilkakrotnie ze śmiechem. – Przecież on ma tak na imię, Rojer! Nie będę udawać, że go nie posiada, bez względu na to, za jak bardzo tajemniczego chce uchodzić.

– Ja zaś powtarzam, byś pozwoliła mu uchodzić za takiego, za jakiego chce – rzekł Rojer. – Arrick zawsze mówił, że jeśli nawet ćwiczysz występ tylko dla siebie i nie pragniesz, by go obejrzano, to i tak prędzej czy później znajdzie się publiczność, która go zobaczy. Wystarczy, byś raz się zapomniała, a całe miasto natychmiast pozna imię Arlena.

– No i co z tego? Naznaczony nie czuje się w tym miasteczku dobrze, ponieważ ludzie traktują go inaczej. Gdyby się okazało, że ma imię, może wszystko zaczęłoby się układać lepiej?

– Nie wiesz, co przeszedł – upierał się Rojer. – Ktoś mógłby oberwać, gdyby to imię wyszło na jaw, niewykluczone, że pojawiliby się ludzie z rachunkami do wyrównania. Sam zastałem podobnej doli, Leesha. Naznaczony ocalił mi życie i jeśli nie chce, by ludzie poznali jego imię, sam mam zamiar zapomnieć, że go znam, nawet jeśli oznaczałoby to rezygnację z zaśpiewania najlepszej pieśni stulecia.

– Nie da się zapomnieć tego, czego człowiek się nauczył.

– Nie wszyscy mają tu tyle miejsca co ty. – Rojer popukał się w czaszkę. – Niektórzy z nas szybciotko wypełniają całą dostępną przestrzeń, a potem, gdy chcą się nauczyć czegoś nowego, muszą wyrzucić stare rzeczy, których już nie potrzebują.

– Bzdura – rzekła Leesha, a Rojer tylko wzruszył ramionami. – Tak czy owak, dzięki raz jeszcze – powiedziała. – Znam wielu mężczyzn, którzy zasłoniliby mnie przed demonami, ale ani jednego, który nie bałby się stanąć przed obliczem mojej matki.

– Coś mi się wydaje, że Gared Rębacz z chęcią podjąłby się zarówno jednego, jak i drugiego.

– Gared jest pieskiem mojej matki! – parsknęła Leesha. – Ten gbur zrujnował mi życie, a teraz chce, bym mu przebaczyła i urodziła mu gromadę dzieci, zupełnie jakby to, że zapalał miłością do zabijania demonów, nagle czyniło go znowu partią. Moja matka zaś to nieustannie knująca wiedźma, manipulatorka, która zatruwa życie ludziom wokół.

– Ba! – rzekł Rojer. – Nie jest taka zła. Postaraj się ją zrozumieć, a sama będziesz mogła nagiąć ją do własnej woli.

– Nie doceniasz matki. Mężczyźni widzą jej piękno i nie chcą dojrzeć tego, co kryje się pod nim. Możesz sobie myśleć, że to ty czarujesz ją i uwodzisz, lecz w rzeczy samej to ona bałamuci cię jak każdego innego mężczyznę i prędzej czy później nastawi cię przeciwko mnie.

– To tylko głupie gadanie – rzekł Rojer. – Przecież Elona nie jest geniuszem natchnionym przez Otchłań, który za cel swojego istnienia uznał zniszczenie ci życia.

– Po prostu jej nie znasz.

Rojer pokręcił głową.

– Arrick nauczył mnie wiele o kobietach. Mówił, że te podobne do twojej matki, niegdyś

piękności, lecz powoli zaczynające odczuwać wiek, są jednakowe. Za młodu Elona zawsze znajdowała się w centrum uwagi i teraz nie zna innego sposobu porozumiewania się z otoczeniem. Ty i twój ojciec toczycie długie rozmowy o sztuce stawiania runów, o czym Elona nie ma pojęcia, dlatego robi wszystko, by ją zauważono, obojętnie z jakiego powodu. Spraw, by uwierzyła, że znajduje się w centrum uwagi, nawet jeśli w nim nie jest, a będzie ci ją dała z ręki.

Leesha spojrzała na młodzieńca, a potem parsknęła śmiechem.

– Twój mistrz nie znał się ani trochę na kobietach.

– Ja mam na ten temat inne zdanie – odparł Rojer. – Zważywszy na to, z jaką łatwością zaciągał je do łóżka.

Leesha uniosła brew.

– A ile potem zaciągnął jego czeladnik, korzystając z owych wspaniałych technik?

Rojer uśmiechnął się.

– Rzadko kiedy opowiadam całusne historie, ale założę się o milneńskie słońce, że podziałają na twoją mamę.

– Przyjmuję zakład – rzekła Leesha.

* * *

– A wtedy kupiec mówi Arrickowi: „Zapłaciłem ci za to, byś nauczył moją żonę tańczyć!” – opowiadał Rojer. – A Arrick ze stoickim spokojem odpowiada: „No i nauczyłem. Ale to nie moja wina, że najbardziej lubi tańczyć na plecach”.

Elona wybuchła śmiechem i kilkakrotnie uderzyła kielichem o stół, rozbryzgując wino. Rojer również się roześmiał, oboje stuknęli się i wychylili puchary do dna.

Leesha skrzywiła się, przyglądając im się z drugiego końca stołu, gdzie właśnie toczyła rozmowę z ojcem. Doprawdy nie miała pojęcia, czego obawiać się bardziej – wygrania zakładu z Rojerem czy przegranej. Być może przyprowadzenie młodzieńca było jednak kiepskim pomysłem. Nie podobały jej się sprośne historyjki, a już tym bardziej spojrzenie Rojera, co rusz umykające ku dekoltoowi matki, choć o to akurat trudno było chłopaka winić. Elona bowiem ze swymi wdziękami bynajmniej się nie kryła.

Talerze już dawno zniknęły ze stołu. Erny kartkował książkę, którą przyniosła mu Leesha. Okulary w cienkiej drucianej oprawce zsunęły mu się z nosa, zapewne nigdy ich nie zdejmował. W końcu odchrząknął i odłożył wolumin, a potem wskazał stertę oprawionych w skórę tomów leżących przed Leeszą.

– Czasu mi starczyło na zrobienie ledwie kilku nowych – powiedział. – Wypełniasz je szybciej, niż ja składam.

– Winę ponoszą moi czeladnicy. – Leesha zdjęła czajnik z herbatą znad ognia. – Robią trzy kopie każdej wypełnionej przeze mnie księgi.

– Mimo to ja miałem tylko jeden grymuar z runami przez całe życie i nigdy nie zapisałem go do końca – stwierdził Erny. – A ty? Ile już ich skończyłaś? Tuzin?

– Siedemnaście – przyznała Leesha. – Ale dotyczą demonologii w tym samym stopniu co runów, a większość materiału i tak pochodzi od Naznaczonego. Same runy wytatuowane na jego skórze wypełniłyby kilkanaście książek.

– Doprawdy? – zainteresowała się Elona. – A z którymi partiami jego skóry zapoznałaś się dotychczas?

– Matko! – krzyknęła Leesha z oburzeniem.

– Stwórca jeden wie, że cię nie osądzam – powiedziała Elona. – Są na świecie rzeczy o wiele gorsze od urodzenia dziecka Wybawicielowi, chociaż gdy się spojrzy na tego człowieka, po plecach zaraz przechodzą ciarki. W każdym razie jeśli taki masz plan, lepiej bierz się do roboty. Gromady młodszych od ciebie i płodniejszych kobiet będą niebawem walczyć o względy Wybawiciela.

– On nie jest Wybawicielem, mamó.

– Wszyscy mówią coś innego – stwierdziła Elona. – Nawet Gared go ubóstwia.

– Och, a Gared Rębacz nie może się przecież mylić, prawda? – Leesha przewróciła oczami.

Rojer szepnął coś do ucha Elony, a ta roześmiała się i ponownie skupiła uwagę na gościu. Leesha odetchnęła z ulgą.

– A skoro już mówimy o Naznaczonym – rzekł Erny – to gdzie on się właściwie podział? Smitt utrzymuje, że przybył właśnie Posłaniec od księcia z wezwaniem na audiencję, ale nie mógł nigdzie znaleźć Arlena.

– Wątpię, czy obchodzi go w ogóle audiencja – wzruszyła ramionami Leesha. – Nie uważa się za jednego z poddanych księcia.

– Powiedz mu lepiej, by to sobie przemyślał – rzekł Erny. – Zakątek nie wyrabia już tyle drewna, ile powinien, i Rhinebeck zaczyna się irtować. Na razie ignorowanie Posłańców zapewni nam nieco spokoju, przynajmniej dopóki drogi są zasypane i książę nie może tu wysłać znacniejszych sił, ale z nadejściem wiosny, gdy stopnieje śnieg, zacznie się domagać odpowiedzi. Będzie chciał wiedzieć, czy Zakątek Wybawiciela nadal jest wobec niego lojalny.

– A jest? – zapytał Rojer. – Jeśli Naznaczony postanowi się sprzeciwić księciu, ludzie z Zakątka zgromadzą się pod sztandarem Wybawiciela.

– Tak – zgodził się Erny. – Mieszkańcy pozostałych siół zrobią to samo, a przypuszczalnie również wielu z Fortu Angiers. Jedno słowo Naznaczonego mogłoby rozpętać wojnę domową. Właśnie dlatego Wybawiciel powinien ujawnić swoje zamiary, zanim Rhinebeck zrobi coś nierozważnego.

Leesha pokiwała głową.

– Porozmawiam z nim. Zresztą mam parę niewyjaśnionych spraw w Angiers.

– Jediną niewyjaśnioną sprawą jest to, co chowasz pod spódnicą – mruknęła Elona, a Rojer aż się zakrztusił. Wino pociekło mu z nosa, a kobieta uśmiechnęła się z satysfakcją i upiła łyk trunku.

– Przynajmniej umiem trzymać ją spuszczoną – odcięła się Leesha.

– Nie odzywaj się do mnie tym tonem – oznajmiła Elona. – Może i nie mam pojęcia o demonologii czy polityce, ale wiem, że jeszcze jedna zima, a zostaniesz starą panną, i wtedy nieważne, ile otchłańców zniszczysz, pójdiesz do grobu samotnie, żałując, że nie dałaś temu światu życia.

– Jestem miejscową Zielarką – odparła Leesha. – Ratowanie tych, którzy zmarliby bez mojej pomocy, nie liczy się jako dawanie życia?

– Vika ratuje ludziom życie – oznajmiła Elona, mając na myśli jedną z Zielarek pracujących z Leeshą. – Bynajmniej nie przeszkodziło jej to w urodzeniu potomstwa Opiekunowi Jonie. Położna Darsy zrobiłaby to samo w okamgnieniu, gdyby tylko znalazła mężczyznę, który zapłodniłby ją z zamkniętymi oczami.

– Darsy zrobiła więcej dla tego miasteczka niż ty, matko – rzekła Leesha. Swego czasu, gdy terminowały u wiedźmy Bruny, miały zatarg, lecz konflikt należał już do przeszłości – w chwili obecnej Darsy była najbardziej oddaną, jeśli nie najlepszą uczennicą Leeshy.

– Bzdura – stwierdziła Elona. – Ja zrobiłam swoje i dałam temu miastu ciebie. Możesz okazywać mi z tego powodu niewdzięczność, ale myślę, że moje cierpienia przyniosły Zakątkowi wiele korzyści.

Leesha skrzywiła się.

– Byle głupek, patrząc na ciebie i Naznaczonego, zorientowałby się, że zaszło coś między wami – naciskała Elona. – Coś, co nie spodobało się ani tobie, ani jemu. Nie sprawdził się w łóżku? – zapytała. – Darsy daje mi zioła, kiedy twój ojciec...

Erny oblał się rumieńcem, a Rojer wykrzyknął:

– Przecież to śmieszne! Leesha nigdy by...

Elona przerwała mu ostrym parsknięciem.

– Cóż, w każdym razie nie z tobą, to pewne. Bez wątpienia masz na nią oko, ale nie nadajesz się, grajku. Nie jesteś godny Leeshy i dobrze o tym wiesz.

Rojer zarumienił się mocno. Otworzył usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Nie masz prawa tak do niego mówić, matko – powiedziała Leesha. – Nie wiesz...

– Jasne! – warknęła Elona. – Ciągle czegoś nie wiem. Bez przerwy to powtarzasz, jakbym była głupią dziewczuchą, która słońca na niebie nie potrafi znaleźć.

Dopiła wino i przeszła Leeshę okrutnym spojrzeniem, które córka dobrze znała i którego się obawiała.

– Znam pieśń o tym, jak Naznaczony znalazł cię na trakcie porzuconą przez bandytów – ciągnęła matka. – Wiem też, jak mężczyźni traktują kobiety, gdy nie ma nikogo, kto by ich powstrzymał.

– Matko – głos Leeshy stwardniał.

– Nie tak sobie wymarzyłam chwilę, kiedy stracisz wianek, ale czas był już najwyższy i spodziewam się, że czegoś się nauczyłaś.

Nie spuszczać z Elony złowrogiego spojrzenia, Leesha uderzyła dłonią w stół.

– Idź po swój płaszcz, Rojer – powiedziała. – Robi się już ciemno, a na zewnątrz, wśród demonów, jest o wiele milej i sympatyczniej niż tu.

Wepchnęła puste książki do sakwy, przewiesiła ją sobie przez ramię i sięgnęła po bogato wyszywany płaszcz wiszący na kołku przy drzwiach. Zrzuciła go na ramiona i ściągnęła pod szyją srebrną szpilą z runem.

Erny podszedł do córki, rozkładając ręce w przeproszającym geście. Leesha objęła go, gdy Rojer nakładał płaszcz. Elona nie wstała od stołu.

– Naprawdę wołałbym, byś nie chodziła po zmroku – rzekł Erny. – Obojętnie, czy masz ten magiczny płaszcz, czy też nie, boję się o ciebie. Jesteś niezastąpiona.

– Rojer ma skrzypce – rzekła Leesha. – A gdyby jakiś otchłaniec nas przyuważył, pamiętaj, że znam parę sztuczek, nie tylko run ślepoty. Nic nam nie będzie.

– Potrafisz zaczarować całą Otchłań, a prostego chłopca nie umiesz zwabić – zadrwiła Elona, dopijając wino.

Leesha zignorowała ją, założyła kaptur i wyszła.

– Teraz mi wierzysz? – zapytała Rojera, gdy zamknęli drzwi.

– Chyba jestem ci winien trochę forsy – przyznał Minstrel.

* * *

Śnieg skrzypiał pod butami Leeshy, gdy wraz z Rojerem zmierzała do wsi. Powietrze było rześkie i mroźne, z każdym oddechem z ust wydobywały się kłęby pary, lecz płaszcze podbite futrem chroniły przed zimnem.

Od chwili gdy usłyszał komentarz Elony, Rojer nie odezwał się słowem. Szedł ze spuszczoną głową, kryjąc twarz za długimi rudymi lokami. Jego skrzypki znajdowały się w futerale, który nosił pod pstrokatym płaszczem, lecz Leesha wiedziała, że Minstrel ma ochotę chwycić instrument – Rojer prostował i zginał bowiem co chwila palce. Zawsze grał, gdy coś wyprowadziło go z równowagi.

Leesha wiedziała, że Minstrel jej pragnie. Właściwie chyba wszyscy o tym wiedzieli. Połowa kobiet we wsi uważała, że młoda kobieta jest niespełna rozumu, skoro nie wykorzystwała sposobności. A właściwie dlaczego? Rojer o nadobnej, chłopięcej twarzy miał spryt i inteligencję, a piękno jego muzyki było wprost niewysłowione; do tego potrafił zmusić Leeszę do śmiechu, nawet gdy pogrążała się w najczarniejszej rozpacz. Nieraz też udowodnił, że gotów jest za nią zginąć.

Mimo to Leesha zupełnie nie potrafiła wyobrazić go sobie jako kochanka. Miał ledwie

osiemnaście zim i o dziesięć mniej od niej, a co więcej, był jej przyjacielem. Właściwie to był jedynym przyjacielem Leeshy. Tylko jemu ufała. Był młodszym bratem, którego nigdy nie miała. Nie chciała go skrzywdzić.

– Odwiedziła mnie niedawno twoja uczennica, Kendall – powiedziała Leesha. – Ładna dziewczyna.

Rojer skinął głową.

– A do tego najlepsza ze wszystkich, które uczę.

– Pytała mnie, czy wiem, jak stworzyć eliksir miłości.

– Jasne – burknął Rojer, a potem zatrzymał się jak wryty i spojrzał na Leeshę. – Zaraz, a potrafisz?

– Oczywiście, że nie – zaśmiała się. – Ale ona nie musi o tym wiedzieć. Przygotowałam jej zioła do wyrobu słodkiej herbaty i kazałam poczęstować naparem jej niedoszłego kochanka. Tego, kogo poczęstuje herbatą, czekać będzie gorąca noc!

Rojer pokręcił głową.

– Nie wolno sypiać z uczennicami.

– Kolejna wspaiała maksyma mistrza Arricka? – zażartowała Leesha.

– Tak – potaknął Minstrel. – I z dumą donoszę, że sam również skrupulatnie przestrzegał tej zasady. Znałem kilku czeladników z naszej Gildii, którzy nie mieli tego szczęścia.

– Tu jednakże chodzi o coś innego. Kendall jest niemalże w twoim wieku i to ona kupuje eliksiry miłości.

Rojer wzruszył ramionami i postawił kaptur, ściągając brzegi płaszcza, by wzmocnić sieć runiczną. Wkrótce zapadły całkowite ciemności i ze śniegu uniosły się mgliste kształty, które błyskawicznie zgęstniały w ciała otchłańców. Potwory syczały i miały się, wyczuwając ludzi, ale ich nie widząc.

Erny zbudował dom daleko za wsią, by nie musiał znosić narzekań na smród chemikaliów wykorzystywanych do produkcji papieru. Z tego samego względu jednakże budynek znalazł się poza barierą chroniącą osadę.

Przed Rojerem pojawił się demon drzewny. Stwór znieruchomiał i zaczął węszyć. Minstrel zamarł, nie ośmielił się nawet drgnąć. Leesha dostrzegła gwałtowny ruch pod jego płaszczem i zrozumiała, że w zdrowej dłoni młodzieńca właśnie znalazł się jeden z runicznych noży. Rojer mocował je rzemieniami do nadgarstków.

– Obejdź go po prostu – rzekła Leesha, nie zwalniając kroku. – On cię nie widzi ani nie słyszy.

Minstrel obszedł demona na czubkach palców, nerwowo obracając ostrze w dłoni. Miał nożami od dziecka i umiał trafić w oko otchłańca z odległości dwudziestu kroków.

– To po prostu w głowie się nie mieści – oznajmił Rojer. – Oto spacerujemy jak gdyby nigdy nic w samym środku hordy otchłańców.

– Ile razy będziemy jeszcze musieli przez to przejść, zanim znudzisz się powtarzaniem? –

westchnęła Leesha. – Nasze płaszcze są równie bezpieczne jak domy.

Płaszcze Ślepoty były wynalazkiem Zielarki, zainspirowanym runami zmieszania, których nauczył ją Naznaczony. Leesha zmodyfikowała symbole, a potem wyszyła je złotą nicią na płaszczu. Wystarczyło, by go założyła, a demony ignorowały ją całkowicie, nawet gdy podeszła im pod nos. Oczywiście musiała przemieszczać się powoli, stawiać równe kroki i przez cały czas szczelnie osłaniać się wyszywaną tkaniną.

Leesha wykonała potem płaszcz dla Rojera. Wyszyła runy jaskrawymi nićmi, by pasowały do pstrokatych kolorów, w których młodzieniec się lubował, i z satysfakcją zauważyła, że przyjaciel niechętnie rozstaje się z okryciem, nawet w blasku dnia. Jedynie Naznaczony nigdy nie założył płaszcza, który Leesha dla niego sporządziła.

– Nie mam zastrzeżeń do twoich runów, ale jakoś nie wydaje mi się, bym się do tego przyzwyczaił – powiedział Rojer.

– Ufam, że gdyby zdarzyło się coś złego, ocaliłaby mnie magia twoich skrzypiec – rzekła Leesha. – Dlaczego ty nie zaufasz mojej?

– Przecież stoję tu w ciemnościach, czyż nie? Po prostu dziwnie się czuję, to wszystko. Przykro mi to przyznać, ale twoja matka nie pomyliła się wielce, nazywając cię wiedźmą.

Leesha wbiła w niego złowrogie spojrzenie.

– No, a przynajmniej Runiczną Wiedźmą – sprecyzował Rojer.

– Swego czasu Zielarki również nazywane były wiedźmami – rzekła Leesha. – Ja zaś tworzę runy, podobnie jak wielu innych.

– Ale ty nie jesteś taka jak inni – stwierdził Rojer. – Rok temu nie byłabyś w stanie ochronić runami parapetu, a dziś nawet Naznaczony uczy się od ciebie.

– Akurat – parsknęła Leesha.

– Uświadom sobie to wreszcie. Przecież przez cały czas pokazujesz mu swoje runy.

– Arlen jest w tym trzykrotnie lepszy ode mnie – zaoponowała Leesha. – Trudno to wyjaśnić, ale... Ale gdy patrzę na runy, ich wzór zaczyna do mnie... zaczyna do mnie mówić. Patrzę na nowy run i wystarczy, że przyjrę się jego kształtom, a już mniej więcej znam jego moc. Czasami udaje mi się nawet przesunąć linię tak, by zmienić moc znaku. Próbowałam nauczyć innych tej sztuki, ale nikt nie rozumie, o co mi chodzi.

– To tak jak ze mną i z grą na skrzypcach – stwierdził Rojer. – Muzyka mówi do mnie. Potrafię wyszkolić uczniów, by zagrali należycie, ale otchłańcom nie gra się „Bitwy o Zakątek Drwali” na uspokojenie. Trzeba... Cóż, trzeba pieścić ich nastroje.

– Chciałabym, by ktoś popieścił nastrój mojej matki – mruknęła Leesha.

– Czas najwyższy – oznajmił Rojer.

– Co?

– Wkrótce będziemy we wsi – wyjaśnił. – Im szybciej pogadamy o twojej matce, tym szybciej będziemy mieli to z głowy i zyskamy czas na poważniejsze sprawy.

Leesha zatrzymała się w pół kroku.

– Cóż ja bym bez ciebie zrobiła, Rojer? Jesteś moim najlepszym przyjacielem na tym świecie – powiedziała, kładąc nacisk na słowo „przyjaciół”.

– Po prostu wiem, jak ona na ciebie działa – burknął młodzieniec, nie zwalniając tempa marszu.

– Nie mogę pogodzić się z tym, że zawsze chce mieć rację... – odezwała się Leesha, dołączając do Rojera.

– Ale zdarza się to częściej, niż myślisz. Elona patrzy na świat chłodno, ale postrzega go jasno i wyraziście.

– „Bez serca” pasowałoby lepiej niż „chłodno” – skrzywiła się Leesha.

Rojer wzruszył ramionami.

– Jak zwał, tak zwał.

Kobieta zgarnęła śnieg z niższych gałęzi, ale młodzieniec spostrzegł ruch i bez trudu uniknął rzuconej w niego śnieżki. Pocisk trafił drzewnego demona, który rozejrzał się z wściekłością w poszukiwaniu napastnika.

– Chcesz mieć dzieci – oznajmił Rojer bez ogródek.

– Oczywiście – przyznała Leesha. – Zawsze chciałam. Po prostu jakoś nie mogę znaleźć odpowiedniej chwili.

– Odpowiedniej chwili czy odpowiedniego ojca? – zapytał chłopak.

Leesha wypuściła powietrze z płuc.

– Ani jedno, ani drugie. Ale mam dopiero dwadzieścia osiem lat. Za pomocą ziół jeszcze przez dwie dekady będę płodna i utrzymam ciążę, choć zapewne nie z taką łatwością jak dziesięć czy nawet pięć lat temu. Gdybym wyszła za Gareda, nasze pierwsze dziecko kończyłoby już czternaście lat i z pewnością miałoby gromadkę rodzeństwa.

– Arrick mawiał: niczego nie osiągniesz, ubolewając nad tym, co się nigdy nie zdarzyło – stwierdził Rojer. – Rzecz jasna, sam był chodzącym dowodem, jak ciężko się żyje wedle tej maksymy.

Leesha westchnęła, dotknęła swojego podbrzusza i wyobraziła sobie łono. Oczywiście nawet jej do głowy nie przyszło, by lamentować z powodu odrzucenia zalotów Gareda. Jej matka nie myliła się co do bandytów na szlaku, a Rojer doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Było jednak coś, czego nie powiedziała ani jemu, ani nikomu innemu – gwałt przypadł na jej płodne dni i obawiała się ciąży.

Kilka dni później Leesha próbowała uwieść Arlena. Chciała, żeby dołożył swe nasienie do tego, które zostawili w niej ci łajdacy. Gdyby postawiła na swoim i rzeczywiście zaszła w ciążę, wychowałaby dziecko w nadziei, iż zostało poczęte w chwili czułości, nie agresji. Lecz Naznaczony nie dał się omotać. Twierdził, że postanowił nie mieć dzieci z obawy, iż skrzywdzi je demoniczna magia, która była źródłem jego potęgi.

Leesha uwarzyła zatem napar, jakiego poprzysięgła nigdy nie sporządzać, i dopilnowała, by nasienie gwałcicieli nie przysporzyło jej kłopotów. Wypiwszy go, gorzko zapłakała nad

pustym kubkiem.

Bolesne wspomnienie sprawiło, że jej oczy znów zaszyły mgłą, a po policzkach popłynęły łzy, zamarzające w zimnym powietrzu nocy.

Rojer wyciągnął rękę – kobieta sądziła, że chce obetrzeć jej policzki, lecz chłopak wsunął dłoń do kaptura Leeshy, po czym szybko się cofnął. W palcach trzymał kolorową chustkę, rzekomo wyciągniętą z ucha Zielarki.

Leesha roześmiała się pomimo smętnego nastroju i otarła policzki.

Kiedy oboje dotarli do wsi, ich tropem podążało już pół tuzina otchłańców, obwąchujących ślady w śniegu, pozostawione poza zasięgiem magicznej osłony płaszcza. Jakaś kobieta na skraju bariery uniosła luk i posłała kilka runicznych strzał. Pociski uderzyły w ciała demonów niczym błyskawice, zabijając te, którym nie udało się w porę uciec.

Wszystkie młode kobiety w Zakątku Wybawiciela szkoliły się w sztuce strzelania z łuku. Naukę rozpoczynały, gdy tylko były w stanie unieść broń. Wiele starszych kobiet, które nie miały już sił, by naciągnąć cięciwę, uczyło się z kolei posługiwać kuszą. Na zmiany patrolowały skraj wsi, zabijając demony, które ośmieliły się zabrnąć zbyt blisko.

Gdy wraz z Rojerem weszli w obręb światła, Leesha dostrzegła Wondę. Wysoka, silna i nadobna dziewczyna nie sprawiała wrażenia, że niebawem skończy piętnaście lat. Jej ojciec, Flinn, zginął w Bitwie o Zakątek Drwali, a Wonda została poważnie ranna. Wróciła jednak do pełni sił, choć pamiątką po ranach były straszliwe blizny. Podczas pobytu w szpitalu Wonda bardzo przywiązała się do Leeshy. Chodziła za Zielarką niczym pies, gotowa zabić każdego otchłańca, który za bardzo się zbliżył. Nosila długi luk cisowy, podarowany jej przez Naznaczonego, i potrafiła zrobić z niego zabójczy użytek.

– Bardzo żałuję, że nie pozwoliłaś mi się odprowadzić, pani – rzekła. – Jesteś dla nas zbyt ważna, by samotnie wychodzić poza barierę.

– Jakbym słyszała własnego ojca – stwierdziła Leesha.

– Ojciec ma rację, pani.

– Dobrze, może pozwolę ci na to, gdy twój Płaszcz Ślepoty będzie gotów – uśmiechnęła się Leesha.

– Naprawdę? – Wonda otworzyła szeroko oczy.

Zrobienie płaszcza trwało wiele, wiele godzin, dlatego uważano go za prawdziwie królewski dar.

– Skoro uparłaś się, by chodzić krok w krok za mną, nie widzę innej alternatywy – stwierdziła Leesha. – Przekazałam wzór moim czeladnikom już w zeszłym tygodniu.

– Och, dziękuję, pani! – Wonda zarzuciła długie ramiona na szyję Leeshy niczym uradowane dziecko, a nie wojowniczką wyższą i silniejszą od większości mężczyzn.

– Powietrza! – jęknęła Leesha, a Wonda puściła ją i cofnęła się z zakłopotaniem.

– Nie jest aby za młoda, by włóczyć się poza barierą? – zapytał cicho Rojer, gdy szli ku zabudowaniom. Brukowane ulice Zakątku Wybawiciela skręcały i zapętały się w osobliwy

sposób, nierzadko przysparzając trudności wędrującym po nich ludziom, ale tylko miejscowi wiedzieli, że tworzą ogromny, skomplikowany run ochronny, zaprojektowany przez samego Naznaczonego. Żaden otchłaniec, bez względu na rozmiary, nie był w stanie przeniknąć przez glebę, wdrzeć się na teren osady lub nad nią przelecieć. Ulice mieniły się ciepłym blaskiem magii.

– Robi to od jakiegoś czasu – odparła Leesha. – Tylko w zeszłym tygodniu Arlen przyłapał ją dwukrotnie na polowaniu. Ta dziewczyna chyba chce, aby demony ją zniszczyły, ja natomiast staram się trzymać ją z dala od kłopotów.

Jeszcze nie tak dawno osada po zmroku stawała się miejscem ciemnym i cichym, lecz teraz w blasku bijącym od kocich łbów Rojer i Leesha widzieli tuziny ludzi włóczących się między zabudowaniami. Zakątek stracił wielu mieszkańców podczas bitwy, ale na ich miejsce pojawili się inni, zwabieni z okolicznych siół rosnącą legendą Naznaczonego. Przybysze szepotali do siebie i przystawali, przyglądając się Rojerowi i Leeshy, jedynym znanym zausznikom Naznaczonego.

Para dotarła na Cmentarzysko Otchłanców, dawny rynek miasteczka, gdzie zginęło tyle demonów i walczących z nimi mieszkańców. Pomimo nazwy rynek nadal pełnił rolę serca osady. To tu ludzie wprawiali się w walce, tutaj też gromadzili się co wieczór Rębacze, by wysłuchać błogosławieństw Opiekuna Jony przed wyruszeniem na demony. Leesha i Rojer przyglądali się gromadzie mężczyzn z pochylonymi głowami, kreślących w powietrzu runy, gdy Jona modlił się o bezpieczny powrót wychodzących na polowanie.

Wokół zgromadzili się inni mieszkańcy, którzy również pochylili głowy, by przyłączyć się do modlitwy. Nigdzie nie było widać Naznaczonego, ten nie tracił czasu na błogosławieństwa i najprawdopodobniej już polował. Czasami zdarzało się, że zniknął na długie dni i tylko porzucone na śniegu ciała demonów, płonące w promieniach wstającego słońca, świadczyły o jego obecności.

– Oto twój przyrzeczony – rzekł Rojer, skinieniem wskazując Gareda Rębacza przed resztą gromady. Pochylał się nisko, by Opiekun Jona, którego Gared dręczył jako dziecko, mógł wyrysować run na jego czole.

Były narzeczony Leeshy był prawdziwym olbrzymem nawet wśród Rębaczy, szczyjących się wzrostem powyżej sześciu stóp. Miał długie jasne włosy i opalone, muskularne ramiona. Znad barków wystawały mu rękojeści dwóch runicznych toporów, a przy pasie nosił rękawice z twardej skóry, wzmocnione metalowymi blaszkami z wrytymi runami. Już niebawem skąpią się w skwierczącej czarnej posoce demonów.

Gared nie był wcale najstarszym spośród Rębaczy, ani też najmądrzejszym, ale z bitwy o Zakątek Drwali wyłonił się jako przywódca, którego rozkazów nawet najstarsi słuchali bez szemrania. To właśnie on za dnia krzyczał na swych ludzi, by dawali z siebie więcej, to on w nocy prowadził ich do śmiałych ataków, to on kładł trupem więcej otchłanców niż inni, za wyjątkiem Naznaczonego, rzecz jasna.

– Bez względu na to, ile krzywdy ci wyrządził, musisz przyznać, że należy do ludzi, o których śpiewa się pieśni i którym stawia się posągi – powiedział Rojer.

– Och, bez dwóch zdań! – przyznała Leesha. – Jest pięknym mężczyzną. Zawsze zresztą imponował innym i przyciągał ich jak magnes. Gared lubi, gdy się go czci i spełnia jego polecenia. Swego czasu mnie również zauroczył.

Potrząsnęła głową ze smutkiem.

– Jego ojciec był bardzo do niego podobny. Moja matka często łamała przez niego przysięgę wierności małżeńskiej. Obaj są jak zwierzęta. Ale gdy się na nich tylko patrzy, można uznać, że to wspaniali mężczyźni.

Odwróciła się ku Rojerowi.

– Mnie jednak martwi to, co Gared nosi w sercu. Rębacze słuchają go bez sprzeciwu. Jak sądzisz, czy Gared dowodzi po to, by bronić Zakątka, czy może po to, by siać zniszczenie?

– O Naznaczonym myśleliśmy kiedyś podobnie – przypomniał Rojer. – Okazało się, że się myliliśmy. Może co do Gareda też się mylimy?

– Nie postawiłabym na to złamanego grosza – stwierdziła Leesha i odwróciwszy się, ruszyła w dalszą drogę. Kierowała się ku Świętemu Domowi na przeciwnym krańcu cmentarzyska i nowemu szpitalowi, który został wbudowany w ścianę kamiennego budynku. Ukończono go, nim spadły pierwsze śniegi.

– Ach, pani Leesha! Rojer! – wykrzyknął Benn na ich widok. Szklarz stał nieopodal, a jego uczniowie wynosili świeżo wykonane naczynia i wielkie tafle. Nieopodal stała grupa skrzypków, hałaśliwie strojąc instrumenty. Benn rzucił kilka poleceń podwładnym i ruszył na spotkanie przybyłym. – Jesteśmy gotowi do działania, Rojer – rzekł. – Zaczynaj.

– Jakie rezultaty osiągnęliście minionej nocy? – zapytała Leesha.

Benn z kieszeni wyciągnął niewielką fiolkę. Leesha ujęła ją delikatnie i w zadumie przesunęła palcami po runach. Odnosiła wrażenie, że fiolkę wykonano ze zwykłego szkła, lecz runy były gładkie, zupełnie jakby szkło zostało rozgrzane już po ich wyrzyciu.

– Spróbuj to rozbić – zachęcił Benn.

Dziewczyna z całej siły cisnęła buteleczką o bruk, lecz ta jedynie odskoczyła z głośnym brzękiem. Leesha uniosła ją i przyjrzała się bacznie – nie dostrzegła najmniejszego pęknięcia.

– Imponujące – stwierdziła. – Stajesz się w tym coraz lepszy.

Benn uśmiechnął się i uklonił.

– Jeśli się uprzesz, pewnie uda się rozbić to naczynie na kowadle, ale łatwo nie będzie.

Leesha zmarszczyła lekko brwi i pokręciła głową.

– Fiolka powinna przetrwać nawet walenie młotem na kowadle. Pokaż mi taką, na której jeszcze nie ma runu.

Benn skinął na czeladnika, który przyniósł inne naczynie, niemal identyczne z pierwszym.

– To jedna z tych, które mamy zamiar naładować dziś w nocy.

Leesha znów przyjrzała jej się bacznie i przesunęła palcem po rowkach runu.

– Niewykluczone, że głębokość rowka wpływa na moc ładunku – stwierdziła. – Zastanowię się nad tym.

Wsunęła obie fiołki do kieszeni fartucha.

– Produkcja idzie pełną parą – dodał Rojer. – Benn i jego czeladnicy za dnia wydmuchują naczynia i ozdabiają runami, a ja wraz z moimi uczniami zwabiamy nocą otchłańce, by je ładowały. Wkrótce w każdym domu będą szyby wzmocnione runami i bez obawy da się przechowywać płynny ogień demoniczny.

Leesha pokiwała głową.

– Przyjrę się ładowaniu dziś w nocy.

– Jasne – rzekł Rojer.

Przy drzwiach szpitala oczekiwały Darsy i Vika.

– Witaj, pani! – Vika przywitała się dygnięciem. Nie wyróżniała się urodą, miała okrągłą twarz i mocne, szerokie biodra kobiety, która urodziła wiele dzieci.

– Przecież nie musisz kłaniać się przede mną co noc, Vika – rzekła Leesha.

– Oczywiście, że muszę. Jesteś przecież naszą główną Zielarką.

Vika również była Zielarką. Choć i ona, i Darsy były starsze od Leeshy i uznawały ją za swą przywódczynię.

– Nie sądzę, by Bruna się na to godziła – stwierdziła Leesha. Miała na myśli swą mentorkę i poprzednią Zielarkę Zakątką, która służyła z gwałtownego usposobienia i za nic miała pozbawione znaczenia formalności.

– Staruszka była zbyt ślepa, by w ogóle to zauważyć. – Darsy pozdrowiła Zielarki skinieniem głowy. Nie zwykła kłaniać się czy prawić komplementów, ale w tym prostym geście zawarła tyle samo szacunku co Vika w dygnięciu i wszystkich tytułach, którymi obdarzała Leeszę.

Wysoka, barczysta i muskularna Darsy, typowa córka Rębaczy, podczas zawodów siłaczy organizowanych w trakcie miejscowych festiwali potrafiła zawstydzić większość mężczyzn. Przy pasku nosiła ciężkie, wzmocnione runami ostrze, którym odrąbała kończynę niejednemu demonowi próbującemu dostać się do ciężko rannego na polu bitwy.

– Jeśli Rębacze wrócą z rannymi, szpital jest gotów na ich przyjęcie – oznajmiła.

– Dziękuję, Darsy – rzekła Leesha.

Największy ruch w szpitalu panował zawsze około północy, kiedy Rębacze wracali z polowania. Drzewne demony nierzadko okazywały się straszliwymi przeciwnikami i nie bały się mierzyć z wojownikami uzbrojonymi w runiczne topory. W cieniu drzew skóra potworów zlewała się z korą, zupełnie jakby nosiły Płaszcz Ślepoty. Co więcej, podczas gdy niektóre bestie poruszały się po ziemi, inne niczym mały przemieszczały się wśród konarów i zniemacka spadały na ofiary.

Jednak rzadko kiedy polowanie kończyło się śmiercią Rębacza. Gdy runiczny oręż trafiał

w demona, magia budziła się do życia i przez ciało wojownika przepływała fala energii i ekstazy. Człowiek czuł, że jest niepokonany. A ci, którzy tego zaznali, natychmiast stawali się silniejsi i bardziej odporni, ich rany goiły się szybciej, przynajmniej do świtu. Tylko Arlen zachowywał tę moc także w świetle dnia.

– Nad czym pracują nasi czeladnicy? – zapytała Leesha Vike.

– Najstarsi wyszywają płaszcze, pani – odparła. – Reszta wyjąławia instrumenty i ćwiczy się w sztuce pisania.

– Przyniosłam kilka pustych ksiąg i grymuar, który właśnie ukończyłam. – Leesha podała Vice sakwę.

– Każę go natychmiast powielić.

– Twoi czeladnicy kopiują znaki? – zapytał Rojer. – Nie byłoby lepiej, gdyby zajęli się tym uczniowie Mistrzów Runów? Mógłbym zamienić słowo...

Leesha pokręciła głową.

– Każda z moich dziewczyn uczy się stawiania runów. Nie pozwolę, by o zmroku stawały się równie bezradne jak my kiedyś.

* * *

Rojer pozostawił Leeszę w szpitalu na obchodzie i zajrzał do muszli akustycznej na skraju placu, gdzie zebrali się jego uczniowie. Stanowili pstrokatą jak spodnie Rojera grupę. Niektórzy pochodzili z Zakątką, inni przybyli z odleglejszych miejscowości, zwabieni opowieściami o Naznaczonym. Wielu było już zbyt starych, by unieść broń, więc chwycili za skrzypki, tylko po to, by przekonać się, że ich palce utraciły zręczność konieczną przy graniu muzyki. Były tutaj również dzieci, których talent mógł się ujawnić dopiero za wiele lat.

Tylko nieliczni uczniowie rokowali większe nadzieje, a prym wśród nich wiodła piękna Kendall. Pochodziła z Fortu Rizon i dopiero co przybyła do Zakątką. Była już dość dojrzała, by dać sobie radę ze skomplikowanymi układami muzycznymi, ale wciąż na tyle młoda, by robić postępy. Zdradzała prawdziwy talent. Na dodatek Kendall była smukła i zręczna, dzięki czemu znakomicie wypadła w akrobatyce. Bez wątpienia pewnego dnia zostanie wspaniałą Minstrelką.

Rojer nie od razu pozdrowił czeladników, a ci wiedzieli, że do tego czasu należy wstrzymać się z próbami. Rudzielec ujął skrzypki i trącił struny, sprawdzając strojenie, aż wreszcie z zadowoleniem ujął smyczek okaleczoną dłonią. Brakowało mu palca wskazującego i środkowego, w dzieciństwie odgryzł je chłopakowi ognisty demon, ale dwa pozostałe były silne i sprawne, przez co smyczek stawał się przedłużeniem ramienia Rojera.

Wszystkie uczucia, które skrywał za maską Minstrela, znalazły wyraz w jego muzyce. Nad rynkiem poniosła się piękna, porywająca melodia, skupiony Rojer co rusz wzbogacał ją o kolejne, coraz to bardziej skomplikowane elementy, rozgrzewając mięśnie i szykując się do

nocnej pracy.

Jego uczniowie zaklaskali, gdy skończył, a Rojer uklonił się, a potem zagrał kilka prostych melodii, zachęcając, by inni się przyłączyli i rozruszali ramiona. Zabrzmiały jednak tylko fałszywe nuty i młodzieniec odruchowo się skrzywił. Jedynie Kendall za nim nadażała. W półmroku widział jej twarz, spiętą i skupioną.

– To było beznadziejne! – warknął. – Czy ktoś poza Kendall w ogóle chwycił za skrzypce od zeszłej nocy? Macie ćwiczyć! Ćwiczyć! Codziennie!

Kilku uczniów zaszemrało pod nosem, lecz Rojer niespodziewanie zagrał kilka ostrych dźwięków i czeladnicy natychmiast umilkli przestraszeni.

– Nie chcę słyszeć żadnego psioczenia! – syknął Rojer. – Naszym zadaniem jest oszałamianie i zwabianie demonów, a nie przygrywanie weselnych przytupajek! Jeśli nie zaczniecie się przykładać do obowiązków, lepiej zamknijcie skrzypce w futerał!

Adepci zwiesili ponuro głowy, a Rojer uświadomił sobie, że potraktował ich zbyt surowo. Oczywiście nie był nawet w połowie tak ostry jak Arrick, ale i tak wiedział, że przesadził. Wiedział też, że powinien powiedzieć coś pocieszającego, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Ten etap w nauce Rojera został całkowicie przez Arricka pominięty.

Młody Minstrel odszedł, oddychając głęboko. Niewiele myśląc, przytknął smyczek do strun i zaczął nasączać muzykę swoją winą i frustracją. Uwalniał uczucia, pozwalał, by ulatywały wraz z dźwiękami, lecz potem odwrócił się ku uczniom i zmienił naturę wygrywanej melodii, sprawił, iż zaczęła przemawiać prosto, dawać nadzieję i pociechę, których nie umiał wyrazić. Podopieczni skrzypka wyprostowali się, a w ich oczach znów zabłysła determinacja.

– To było piękne – usłyszał Rojer, kiedy wreszcie uniósł smyczek i melodia się urwała. U boku Minstrela stała Kendall. Pochłonięty muzyką, nawet nie zauważył jej nadejścia. – Spragniony? – zapytała, podając mu kamienny dzbanek. – Zaparzyłam słodkiej herbaty. Wciąż ciepła.

Czy Leesha wiedziała od początku, że Kendall ma na myśli mnie? – zapytał się w duchu Rojer.

„Nie nadajesz się, grajku”, powiedziała mu Elona. „Nie jesteś godny Leeshy i dobrze o tym wiesz”.

I Leesha chyba też to wiedziała.

– Nigdy nie przepadałem za słodką herbatą – powiedział. – Ręce mi się od niej trzęsą.

– Och. – Kendall w jednej chwili straciła dobry nastrój. – Cóż... No dobrze.

– Chcę, żebyś tej nocy zagrała solo – oznajmił Rojer. – Myślę, że jesteś już gotowa.

Kendall pokraśniała.

– Naprawdę? – zawołała, a potem pisała z radości i zarzuciła mu ramiona na szyję. Obejmowała Minstrela dłużej, niż było to konieczne.

Oczywiście Leesha musiała się zjawić akurat w tym momencie. Rojer zeszytniał, a

zdezorientowana Kendall cofnęła się, niczego nie rozumiejąc, dopóki nie ujrzała Leeshy. Dygnęła przed Zielarką.

– Dobry wieczór, moja pani.

– Witaj, Kendall. – Leesha posłała jej szeroki uśmiech. – Co to za zapach? Słodka herbata?

Policzki Kendall oblały się czerwienią.

– Ja...

Rojer skrzywił się.

– Kendall, biegnij po skrzypce – nakazał, nim odwrócił się do Leeshy. – Spróbuj dziś zagrać solo.

– Jest na to gotowa?

– A czy Wonda jest gotowa, by polować na otchłańce? – wzruszył ramionami Rojer. – Byłem młodszy od Kendall, gdy po raz pierwszy udało mi się oszołomić demona.

– Znalazłeś się jednak w o wiele dramatyczniejszej sytuacji niż ona.

– Nic jej nie grozi. Będę w pogotowiu i podejmę melodię, jeśli zajdzie potrzeba, a wokół będą czuwać kobiety ze strzałami na cięciwach – powiedział i skinieniem wskazał skraj bariery runicznej, gdzie zbierały się łuczniczki, a wśród nich Wonda.

Mieszkańcy Zakątka rozpoczęli przygotowania do nocnej batalii. Łuczniczki ustawiły się tak, by mogły osłonić strzałami spory obszar za barierą. Rojer podał nutę i wraz z resztą skrzypków zagrał serię głośnych, ostrych nut, które ułożyły się w atonalną, chaotyczną i całkowicie znienawidzoną przez otchłańce kakofonię. Muszla akustyczna skupiła dźwięk na obszarze, gdzie zazwyczaj zbierały się otchłańce, czasami w większej liczbie.

Gdy podjęto wszelkie środki bezpieczeństwa, grupka czeladników Benna wybiegła poza barierę i rozłożyła wzmocnione runami szklane przedmioty. Były wśród nich ogromne tafle, butelki, fiolki, a nawet szklany topór, którego wykonanie musiało trwać całe tygodnie.

Kiedy czeladnicy wrócili, muzycy zmienili tonację. Rojer czuwał nad rozwijającą się symfonią, wykrzykując polecenia. Chciał muzyką spotęgować własną magię i wywabić demony na polanę. Następnie wyszedł poza barierę i zaczął manipulować nimi za pomocą melodii, rozstawiając je tak, jak sobie tego życzył.

– Kendall! – zawołał. Dziewczyna podbiegła i zaczęła grać. Rojer stopniowo wyciszał własną muzykę i wycofywał się, a Kendall grała coraz mocniej, coraz bardziej zdecydowanie, zbliżając się ku demonom. W końcu Minstrel zdjął smyczek ze strun i powierzył uczniowi hipnotyzowanie potworów.

Gdy tylko znalazł się za barierą, podszedł do Leeshy.

– Jest naprawdę niezła – oznajmił z dumą. – Demony będą biegły za nią jak szczeniaki i naładują wszystko, czego dotkną.

W rzeczy samej otchłańce powoli podążały za dziewczyną. Kendall przemierzała polanę, nie przestając grać. Tu i ówdzie widać było rozbłyski, gdy któryś z demonów zetknął się ze

szkłem, a wyryte runy zasysały część jego magii. Wkrótce magia ta miała zostać użyta w zupełnie nowy sposób.

Otchłańce syczały i tłukły pazurzystymi łapami w miejsca, gdzie poczuły odpływ energii. Kendall próbowała zmienić rytm, by uspokoić stwory, lecz w jej grę niespodziewanie wkradł się lęk, zaczęła gubić nuty. Zwiększyła zatem tempo, lecz to tylko pogorszyło sytuację. Demony zaczęły się otrząsać z oszołomienia.

Rojer odziany w swój runiczny płaszcz zbliżał się powoli do uczennicy. Miał mnóstwo czasu, nim otchłańce znów ogarnie żądza krwi, lecz nagle Kendall zmyliła krok. Nadepnęła na jedną z buteleczek, ostry odłamek przebił cienką skórzaną podeszwę trzewika i dziewczyna krzyknęła. Rozległ się zgrzyt, gdy smyczek ześlizgnął się ze strun.

Otchłańce przebudziły się w okamgnieniu. Rozchyliły nozdrza, gdy poczuły zapach krwi. Z wrzaskiem stwory rzuciły się na dziewczynę.

Rojer zerwał się, przeklinając się w duchu za nieuwagę. Oddalił się, by porozmawiać z Leeshą. Jeden z otchłańców wbił szpony w Kendall, przyciągnął ją do siebie i ugryzł. Krew splamiła suknię dziewczyny, a na otchłańca skoczyły inne, gotowe stoczyć zacieklą walkę o każdy kęs ludzkiego mięsa.

– Łuczniczki! – wrzasnął z rozpaczą Rojer.

– Boimy się trafić Kendall! – odkrzyknęła Wonda. Kobiety stały z napiętymi łukami, ale żadna nie ośmieliła się wypuścić strzały.

Rojer porwał skrzypce i zagrał wścieklą melodię, by przerazić i przegnać demony. Te wrzasnęły i puściły Kendall, lecz w powietrzu niósł się już zapach krwi i nie dało się tak łatwo odegnąć napastników. Potwory syczały i wymachiwały łapami, blokując drogę muzykowi.

– Kendall! – wrzeszczał Rojer. – Kendall!

Dziewczyna z trudem dźwignęła głowę i ciężko oddychając, uniosła zakrwawioną dłoń.

Niespodziewanie tuż obok Rojera przemknęła ogromna postać, niemalże go przewracając. Minstrel ujrzał Gareda, który wpadł na drzewnego demona i zepchnął go na drugiego stwora. Rębacz przewrócił oba i przygniótł jednego własnym ciężarem do ziemi. W ułamek sekundy później pojawiły się rozbłyski, gdy w ruch poszły runiczne rękawice. Nim drugi z demonów się otrząsnął, Gared był znów gotów do walki. Otchłańiec okazał się jednak szybszy, wgryzł się w ramię giganta.

Gared wrzasnął i pochwycił demona za krocze. Napiął mięśnie, poderwał stwora jak taran i runął na jego pobratymców. Inni Rębacze dołączyli, siekąc zdezorientowane potwory toporami.

Rojer nagle zorientował się, że w takim zamieszaniu jego gra nie na wiele się przyda. Pochylił się do Kendall i okrył ją swoim płaszczem, tkanina natychmiast nasiąkła krwią. Dziewczyna wychrypiała coś słabym głosem, a Rojer, napinając mięśnie, próbował postawić ją na nogi. Tymczasem starcie przyciągnęło kolejne demony z głębi lasu, bestie nadciągały

coraz szybciej, łuczniczki nie nadały ze strzelaniem.

Gared, nie zważając na krew ściekającą mu z ramienia, przebił się przez gromadę demonów, siejąc zniszczenie parą toporów. Dopiero przy Rojerze i Kendall opuścił broń, po czym podniósł dziewczynę jak piórko. Osłaniany przez łuczniczki i Rębaczy, popędził z raną do szpitala.

* * *

– Potrzebuję dawcy krwi! – krzyknęła Leesha, gdy Gared kopnięciem otworzył drzwi do szpitala. Kendall znalazła się w łóżku, a uczennice Leeshy pobiegły po jej instrument.

– Weźcie ode mnie – zaproponował Rojer, podwijając rękaw.

– Sprawdź, czy się nadaje – poleciła Leesha Vice, a sama zaczęła w pośpiechu szorować dłonie.

Vika sprawnie nacięła lancetem skórę Rojera i pobrała próbkę. W tym samym czasie Darsy usiłowała opatrzyć ramię Gareda.

– Martwcie się tymi, którzy oberwali mocniej – zaprotestował Rębacz i wskazał na drzwi, przez które wnoszono właśnie jednego z jego podwładnych.

Zielarki zakrzętnęły się wokół mężczyzn i przez długi czas w szpitalu panowała gorączkowa bieganina. Leesha nacinała, wyciskała i szyła ranę Kendall przez dwie godziny, a Rojer przyglądał się temu, oszołomiony i słaby po transfuzji. W końcu Leesha uniosła zakrwawioną dłoń i otarła pot z czoła.

– Przeżyje? – zapytał Rojer.

– Przeżyje – westchnęła Leesha. – Gared, pokaż mi ramię.

– To tylko draśnięcie.

Leesha w ostatniej chwili powstrzymała kwaśny grymas, przypomniawszy sobie, jaką odwagą wykazał się Rębacz. Jednak choć starała się ze wszystkich sił, nadal nie potrafiła zapomnieć, jak jego kłamstwa nieomal zrujnowały jej życie i jak brutalnie mężczyzna traktował każdego, kto napomknął o zerwanych zaręczynach.

– Zostałeś ugryziony przez demona, Gared – rzekła Zielarka. – Rana zacznie się jątrzyć i ani się obejrzysz, a będę musiała odjąć ci rękę. Chodź tutaj.

Gared burknął z niechęcią, ale posłuchał polecenia.

– Nie wygląda źle – oceniła Leesha, omywszy skaleczenie wywarem z turunia. W trakcie walki Gared wchłonął tyle magii z broni, że rany pozostawione przez ostre kły demona zaczęły już się zasklepiać. Kobieta owinęła ramię czystym bandażem, a potem odciągnęła na bok Rojera. – Mówiłam ci, że Kendall nie jest jeszcze gotowa na występ solo – szepnęła ze złością.

– Myślałem... – zaczął Minstrel.

– Nie, nie myślałeś – przerwała mu Leesha. – Chciałeś się popisać, co niemalże

kosztowało życie Kendall! To nie jest zabawa, Rojer!

– Wiem, że nie! – parsknął.

– A zatem zachowuj się tak, jakbyś rzeczywiście o tym wiedział.

Rojer skrzywił się.

– Nie wszyscy jesteśmy tak idealni jak ty, Leesha – rzucił. W jego oczach zaskrzyła wściekłość, ale Leesha dojrzała skrywany ból.

– Chodź do mojej izby – powiedziała i ujęła przyjaciela za ramię.

Rojer wyszarpnął się, ale posłusznie poszedł do izbebki, gdzie zwykle pracowała Zielarka. Po zamknięciu drzwi nalała mu kielich mocnego alkoholu, nadającego się bardziej do oczyszczania ran niż do konsumpcji.

– Przepraszam – westchnęła. – Poniosło mnie.

Rojer opadł na krzesło i na raz wychylił zawartość naczynia. Wydawało się, że złość z niego uchodzi.

– Nie, miałas rację – rzekł. – Jestem idiotą.

– Bzdura. Wszyscy popełniamy błędy.

– To nie był błąd – wyznał Rojer. – Skłamałem. Okłamałem wszystkich, mówiąc, że potrafię nauczyć innych oszłamiania otchłanców za pomocą muzyki. W rzeczywistości nie mam pojęcia, jak to robię. Kłamałem tak jak rok temu, kiedy to powiedziałem, że potrafię cię tu doprowadzić bezpiecznie z Angiers. Tak właśnie dawałem sobie radę po śmierci Arricka, gdy przyszło mi podróżować po wsiach, dzięki kłamstwu dostałem się do Gildii. Zdaje się, że tylko was okłamuję.

– Ale dlaczego?

– Udawanie, że jest się kimś innym, niewiele się różni od bycia kimś innym – wzruszył ramionami Rojer. – Czyli jeśli będę udawał, że jestem kimś wielkim podobnie jak ty czy Naznaczony, to zostanę kimś wielkim.

Leesha spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Przecież we mnie nie ma nic wielkiego, Rojer. Znasz mnie lepiej niż reszta.

– Nawet tego nie zauważasz! – zaśmiał się Rojer. – Z twojej chaty codziennie wypływa niekończący się strumień broni i runów, a ranni i chorzy powstają z łóżek dzięki tobie. Ja zaś umiem tylko grać na skrzypkach, a gdy muszę uratować czyjeś życie, nawet to mi się nie udaje. Ty wraz z Naznaczonym staliście się legendą, a ja od wielu miesięcy szkolę uczniów i dochodzę do wniosku, że nadają się tylko do przygrywania na wiejskich zabawach.

– Nie umniejszaj tego, że ty i twoi uczniowie wnieśliście mnóstwo radości do tego trapionego kłęskami miasteczka – rzekła Leesha.

– W tym to akurat można by mnie bez problemów zastąpić baryłką piwa – wzruszył ramionami Rojer.

Leesha ujęła jego dłonie.

– Wygadujesz głupoty. Twoja magia jest równie potężna jak moja czy Arlena. To, że

masz trudności z uczeniem innych, dowodzi, jaki jesteś wyjątkowy.

Zaśmiała się z goryczą.

– A jeśli o mnie chodzi, to nie zapominaj, proszę, o mej matce. Bez względu na to, jak wielka się stanę, Elona zawsze znajdzie sposób, by mnie strącić z piedestału.

* * *

Noc była bezksiężycowa. Tam, dokąd udali się Leesha i Rojer, daleko od emanacji wielkiego runu, panowały niemalże całkowite ciemności. Kobieta wspierała się na długiej lasce zwieńczonej szklaną butelką wypełnioną chemikaliami, które rozsiewały wokół intensywny blask. Zarówno na naczyniu, jak i na lasce znajdowały się runy ślepoty – otchłańce widziały światło, ale nie potrafiły zlokalizować jego źródła, zupełnie jakby Leesha i Rojer szli okryci magicznymi płaszczami.

– Nie rozumiem, dlaczego nie chciał się spotkać z nami w mieście – mruknął Rojer. – Jemu może i nie jest zimno, ale ja zamarzam.

– Są sprawy, które najlepiej przekazać na osobności – odparła Leesha. – A jego pojawienie się zawsze przyciąga tłumy.

Naznaczony oczekiwał ich na wytyczonej runami ścieżce prowadzącej do chatki Leeshy. Nocny Tancerz, jego ogromny czarny ogier, stał w pełnej zbroi, niemalże niewidoczny w ciemnościach. Naznaczony miał na sobie jedynie przepaskę biodrową, lecz nie zwracał uwagi na zimno kłusujące jego wytatuowaną skórę.

– Spóźniliście się – rzucił na powitanie.

– Problemy w szpitalu – odpowiedziała Leesha. – Doszło do wypadku podczas ładowania szkła. Czemu nie nosisz płaszcza?

Postarała się, by pytanie zabrzmiało swobodnie, ale bolało ją, że spędziła tyle czasu na wyszywaniu, a jeszcze nigdy nie widziała, by Naznaczony założył okrycie. Leesha raz sama zarzuciła mu płaszcz na ramiona, by sprawdzić, czy pasuje – ale to się przecież nie liczyło.

– Jest w moich jukach – odparł mężczyzna. – Nie chcę się chować przed otchłańcami. Skoro mają ochotę mnie atakować, nie widzę problemu. Nie wyrządę nikomu krzywdy, jeżeli zabiję jeszcze kilka.

Zielarka i Minstrel przywiązali Nocnego Tancerza do koniowiązu na podwórzu i weszli do środka. Leesha wyjęła zapalki z kieszeni fartucha i roznieciła ogień, a potem zawiesiła czajnik z wodą nad płomieniem.

– Jak radzą sobie nasi magicy-skrzypkowie? – zapytał Naznaczony Rojera.

– Bardziej skrzypkowie niż magicy, niestety – przyznał młodzieniec. – Nie są jeszcze gotowi.

Naznaczony zmarszczył brwi.

– Patrole Rębaczy należałoby wzmocnić skrzypkiem, który mógłby manipulować

emocjami potworów.

– Mogę z nimi chodzić – odparł Rojer. – W moim płaszczu jestem bezpieczny.

– Nie, ty powinieneś uczyć innych – pokręcił głową wojownik.

Rojer westchnął i zerknął na Leeszę.

– Dobrze, zajmę się tym, co potrafię.

– A jak wygląda sytuacja w Zakątku? – zagadnął Naznaczony dziewczynę, gdy ta usiadła z nimi przy stole.

– Miasteczko rozrasta się szybko. Mamy już dwakroć więcej mieszkańców niż przed atakiem zarazy w zeszłym roku, a napływają kolejni. Planowaliśmy, że w osadzie znajdzie się miejsce dla imigrantów, ale w tym tempie wkrótce zabraknie miejsca.

Naznaczony pokiwał głową.

– Możemy posłać Rębaczy, by oczyścili teren, i wytyczyć kolejny wielki run.

– Tak czy owak potrzebujemy drewna – zgodziła się Leesha. – Już od roku nie posłaliśmy daniny księciu Rhinebeckowi.

– Najpierw trzeba przebudować wieś – oznajmił Naznaczony.

– Może tobie uda się wyjaśnić to księciu. – Leesha wzruszyła ramionami. – Wysłał właśnie kolejnego Posłańca z wezwaniem na audiencję. Obawia się ciebie i twoich planów związanych z Zakątkiem.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie mam żadnych planów dotyczących miasta. Chcę tylko, by stało się bezpieczne. Gdy moja misja dobiegnie końca, odjadę.

– A co z Wielką Wojną przeciwko demonom? – zapytał Rojer. – Przecież musisz stanąć na czele ludzi!

– Cóż za brednie! Przecież nie jestem cholernym Wybawicielem! – warknął Naznaczony.

– To, w czym uczestniczymy, to nie jakaś bzdurna opowiadka z Kanonu Opiekuna, a ja nie zostałem zesłany przez Niebo, by zjednoczyć ludzi. Nazywam się Arlen Bales, pochodzę z Potoku Tibbeta i jestem tylko głupim chłopakiem, który miał więcej szczęścia, niż na to zasłużył.

– Ale nie ma nikogo prócz ciebie – zauważył Minstrel. – Jeśli nie ty, to kto poprowadzi nas do wojny?

– To nie mój problem – wzruszył ramionami Naznaczony. – Nikogo zmuszać do walki nie będę. Pragnę jedynie, by każdy, kto chce walczyć, nauczył się tego, a gdy to się stanie, udam się w dalszą drogę.

– Ale dlaczego? – spytał Rojer.

– Bo ubzdurał sobie, że nie jest człowiekiem – odezwała się Leesha. – Wymyślił sobie, że nasiąkł magią otchłańców do tego stopnia, że jest dla nas tak samo niebezpieczny jak i one, pomimo że nie ma na to absolutnie żadnych dowodów.

Naznaczony rzucił jej złowrogie spojrzenie, lecz Leesha śmiało je odwzajemniła.

– Jest dowód – powiedział w końcu.

– Co takiego? – spytała Leesha nieco łagodniejszym tonem, lecz nadal sceptycznie.

Naznaczony spojrzał na Rojera. Młodzieniec skulił się pod ciężarem tego wzroku.

– To, co teraz powiem, musi pozostać w tej chacie – ostrzegł wojownik. – Jeśli usłyszę choć wzmiankę w jakiejś piosence czy opowieści...

– Przysięgam na słońce. – Rojer uniósł obie dłonie. – Nie puszcę pary z ust.

Naznaczony przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, w końcu kiwnął głową.

– Tam, za barierą... – powiedział, spuszcżając wzrok. – Czuję się nieswojo.

Rojer otworzył szeroko oczy, Leesha zaś nabrała tchu, a w jej umyśle rozpoczęła się gorączkowa gonitwa myśli. Wreszcie zmusiła się, by odetchnąć. Poprzysięgła, że znajdzie lekarstwo lub przynajmniej ustali, co się dzieje z Naznaczonym, i zamierzała owej przysięgi dochować. Uratował jej życie i życie ludzi w Zakątku. Nikomu nie zawdzięczała więcej.

– Jakie są symptomy? – zapytała. – Co odczuwasz, gdy wchodzisz na run?

– Czuję... Czuję opór – wyznał Naznaczony. – Jakbym szedł pod wiatr. Czuję, jak run grzeje mnie w stopy, lecz ciało ogarnia chłód. Kiedy zaś idę przez miasto, czuję się, jakbym brodził w wodzie po pas. Udaję, że nic się nie dzieje, i nikt niczego nie zauważył, ale wiem, że coś jest nie tak.

Odwrócił się ku Leeshy, a w jego oczach błysnął smutek.

– Bariera runiczna chce mnie odepchnąć, zupełnie jakbym był demonem. Wie, że nie należę już do rodzaju ludzkiego.

– To nieprawda. – Leesha pokręciła głową. – Run po prostu wysysa częściowo magię, którą wchłonałeś.

– Ale to nie jedyne objawy – rzekł Naznaczony. – Od Płaszcy Ślepoty kręci mi się w głowie, a gdy dotknę broni wzmocnionej runem, czuję, jak się rozgrzewa i ostrzy. Obawiam się, że z dnia na dzień przeistaczam się w demona.

Leesha wyjęła z kieszeni fartucha runiczną fiołkę i wręczyła ją mężczyźnie.

– Rozgnieć ją – poleciła.

Naznaczony wzruszył ramionami i ścisnął naczynie najmocniej jak zdołał. Przewyższał siłą dziesięciu mężczyzn, lecz fiołka wytrzymała miażdżenie.

– Szkło wzmocnione runem – stwierdził Naznaczony, przyglądając się buteleczce. – I co z tego? Przecież sam cię nauczyłem tej sztuczki.

– Fiolka nie była naładowana, dopóki jej nie dotknąłeś – rzekła Leesha.

Naznaczony otworzył szeroko oczy.

– Oto dowód na moje słowa – odparł.

– Dowodzi to tylko, że potrzeba więcej testów – stwierdziła Zielarka. – Skończyłam kopiowanie twoich tatuaży i studiowanie ich potencjału. Myślę, że kolejnym krokiem będzie przeprowadzenie eksperymentów na ochotnikach.

– Co takiego? – zapytali obaj mężczyźni.

– Mogę zrobić wyciąg z czarnorośla, który pozostaje na skórze przez jakieś dwa tygodnie – wyjaśniła dziewczyna. – Mogę przeprowadzić kontrolowane testy i porównać wyniki. Jestem pewna, że będę w stanie...

– Absolutnie wykluczone – zakazał Arlen. – Zabraniam.

– Ty mi czegoś zabraniasz? – Leesha uniosła brew. – Czyżbyś był Wybawicielem, że wydajesz ludziom rozkazy? Niczego nie możesz mi zabronić, Arlenie Bales z Potoku Tibbeta.

Znów obrzucił ją złowrogim spojrzeniem i Leesha na dnie duszy skryła obawę, czy nie przesadziła. Naznaczony pochylił się bowiem i napiął mięśnie niczym kot szykujący się do skoku. Dziewczyna liczyła się nawet z tym, że zaraz nastąpi atak. Wytrzymała jednak spojrzenie Arlena, dopóki się nie opanował.

– Proszę – rzekł łagodniejszym tonem. – Nie podejmuj ryzyka.

– Ludzie zaczną cię kiedyś naśladować – stwierdziła Leesha. – Jona już rysuje węglem runy na czołach Rębaczy.

– Przestanie, jeśli mu każę.

– Czyni to, bo myśli, że jesteś Wybawicielem – zauważył Rojer i aż się wzdrygnął, gdy Naznaczony znów obrzucił go wrogim spojrzeniem.

– To nie ma znaczenia – podjęła Leesha. – To tylko kwestia czasu, gdy twoja legenda przyciągnie do Zakątka tatuażystę, a wtedy nie da się powstrzymać tego procesu. Lepiej przeprowadzić kilka eksperymentów teraz, gdy jeszcze nad tym panujemy.

– Proszę, nie skazuj innych na przekleństwo, które jest moim udziałem – poprosił Naznaczony.

Leesha obrzuciła go kwaśnym spojrzeniem.

– Nie jesteś przeklęty – zaoponowała.

– Doprawdy? – skrzywił się, a potem zerknął na Rojera. – Masz przy sobie nóż do rzucania?

Rojer machnął ręką i nóż błyskawicznie pojawił się w jego dłoni. Młodzieniec obrócił nim zrećźnie, ujął za ostrze i już chciał podać wojownikowi, gdy ten pokręcił głową. Miast tego wstał i odszedł od stołu.

– Rzuć nim we mnie.

– Co takiego? – zdumiał się Rojer.

– Chodzi o twój nóż – rzekł Naznaczony. – Rzuć nim prosto w moje serce.

– Nie ma mowy – zaprotestował Minstrel.

– Przecież rzucasz nożami w ludzi przez cały czas.

– Ale to tylko sztuczka. Nie mam najmniejszego zamiaru rzucić ci nożem w serce, zgłupiałeś czy co? Nawet przy twojej demonicznej prędkości nie dasz rady uniknąć...

Naznaczony nie słuchał dalej. Westchnął ciężko i zwrócił się do Leeshy.

– Dobrze, a zatem ty. Weź coś i rzuć...

Nie zdążył dokończyć. Leesha zerwała patelnię z haczyka przy ogniu i rzuciła mocno.

Patelnia nie trafiła jednak w cel. Niespodziewanie Naznaczony przeistoczył się w mgłę, naczynie przeleciało przez niego na wylot jak przez dym i uderzyło z brzękiem o ścianę, po czym spadło na podłogę. Leesha stłumiła okrzyk przestachu, a Rojer rozdziawił szeroko usta.

Minęła dłuższa chwila, nim mgła się skonsolidowała, na powrót formując ciało Naznaczonego. Odetchnął głęboko, odzyskawszy swą postać.

– Sporo ćwiczyłem – przyznał. – Przejście w mgłę to błahostka. Z grubsza polega to na rozluźnieniu cząsteczek i wpływaniu na nie, tak jak temperatura wpływa na wrzącą wodę, zamieniając ją w parę. Nie wychodzi w blasku dnia, ale w nocy robię to na zawołanie. Gorzej z powrotem w postać materialną. Czasami boję się, że kiedyś rozrzedzę się zbyt mocno i porwie mnie wiatr.

– Brzmi okropnie – stwierdził Rojer, a Naznaczony potaknął milcząco.

– Ale to jeszcze nie jest najgorsze. Gdy rozrzedzam ciało, czuję, jak wzywa mnie Otchłań. O świcie zew zaczyna mnie wręcz prześladować.

– Zupełnie jak tego dnia na drodze, o pierwszym brzasku – rzekła Leesha.

– O czym ty mówisz? – spytał Rojer, ale Leesha ledwie go słyszała, pochłonięta wspomnieniami owej straszliwej chwili.

* * *

Trzy dni po napaści na trakcie Leesha doszła jako tako do siebie, lecz jej ból bynajmniej nie zelżał. Nie potrafiła myśleć o niczym innym poza tym, co mogło w niej teraz rosnać. Był pewien wywar, którego recepturę zdradziła jej Bruna, wywar, który mógł wypłukać męskie nasienie z kobiecego łona, nim się tam zakorzeni.

– A po co niby miałabym kiedykolwiek sporządzić coś tak paskudnego? – zapytała wówczas Leesha. – Na tym świecie i tak jest zbyt mało dzieci.

Bruna spojrzała na nią wtedy ze smutkiem.

– Mam nadzieję, dziecko, że nigdy się tego nie dowiesz.

Leesha zrozumiała jej słowa, gdy bandyci wreszcie ją porzucili. Gdyby miała sakwę z ziołami, sporządziłaby wywar bezzwłocznie, ale bandyci zabrali dosłownie wszystko. Dziewczyna nie potrafiła zdecydować o własnym losie, a wiedziała, że nim dotrze do Zakątka, będzie już za późno.

Sakwa jednakże wróciła do niej, a wraz z nią możliwość wyboru. Jedynym brakującym składnikiem był korzeń turunia, lecz dostrzegła kilka przy drodze, gdy biegła do jaskini, by schronić się przed deszczem.

Leesha nie mogła zmrużyć oka. Wstała tuż przed świtem, gdy Rojer i Naznaczony nadal byli pogrążeni we śnie, i wymknęła się, by wyciąć kilka korzonków. Nawet wtedy nie miała jeszcze pewności, czy zmusi się do wypicia wywaru, ale zamierzała go sporządzić tak czy owak.

Wtedy to znalazł ją Naznaczony i śmiertelnie wystraszył, lecz dziewczyna zmusiła się do uśmiechu i rozmowy. Paplała o roślinach i demonach, byle tylko nie zdradzić, dlatego wymknęła się z jaskini. Nie wiadomo, czym by się to skończyło, gdyby Leesha przez przypadek go nie uraziła. Ból, który ujrzała w oczach Naznaczonego, sprawił, że nagle zapomniała o swych rozterkach. Ujrzała bowiem mężczyznę, którym kiedyś był, dobrego człowieka, który został skrzywdzony przez życie, ale przyjął ból i wchłonął go do swego serca.

Poznała wówczas cierpienie na miarę jej własnego i rozproszone, chaotyczne myśli niespodziewanie zbiegły się w jedną. Już wiedziała, co należy zrobić.

Chwilę później oboje leżeli na mokrej ziemi, o władnięci pożądaniem zrodzonym z rozpacz i samotności. Nagle jednak pojawił się drzewny demon. Ów mężczyzna, który pieścił ją i całował, znów stał się Naznaczonym – i zwarł się z otchłańcem w obronie dziewczyny. Walka była zaciekła, a gdy na przeciwników padły promienie słońca, obaj zaczęli rozrzedzać się i znikać. Leesha patrzyła z przerażeniem, jak zapadają się pod ziemię.

Lecz wtedy mgła znów ruszyła ku górze i przybrała materialne formy człowieka i demona. Otchłańiec natychmiast stanął w płomieniach. Leesha chciała dotknąć Arlena, przytulić, ale Naznaczony odwrócił się od niej. I dziewczyna przeklęła go za to. Była tak bardzo zaabsorbowana własnymi uczuciami, że zupełnie nie zwróciła uwagi, przez co musiał przechodzić mężczyzna.

* * *

Leesha pokręciła głową, odpychając wspomnienia.

– Ogromnie mi przykro – powiedziała Naznaczonemu, ale ten machnął tylko dłonią.

– Nie ty dokonałaś wyborów.

Rojer spojrział na nią, potem na niego i znów na nią.

– Na Stwórcę, twoja matka miała rację – uświadomił sobie.

Leesha zdawała sobie sprawę, że odkrycie tajemnicy jej i Arlena będzie dla Rojera potężnym wstrząsem, ale nic nie mogła na to poradzić. W skrytości ducha poczuła ulgę, że przyjaciel wreszcie się dowiedział.

– Tatuże nie ponoszą tu całej winy – powiedziała, wracając do tematu. – To nie miałyby sensu. Słuchaj, chcę dostać twoje grymuary – zwróciła się do Naznaczonego. – Wszystkie. To, czego się od ciebie uczę, jest niejako zniekształcone przez twój punkt widzenia. Potrzebuję materiałów źródłowych, by pojąć, co jest przyczyną twoich kłopotów.

– Nie mam ich przy sobie.

– A zatem będziemy musieli je przynieść – stwierdziła Leesha. – Gdzie je trzymasz?

– Moja najbliższa skrytka znajduje się w Angiers – odpowiedział. – Mam ich jeszcze kilka w Lakton i na pustyni krasjańskiej.

– Dobra, może być Angiers – zdecydowała Zielarka. – Mam kilka spraw do załatwienia z panią Jizell w Angiers, a ty może w tym czasie przekonasz księcia, że nie łkniesz jego korony.

– Być może przydam się wam do czegoś – rzekł Rojer. – Wychowałem się na dworze Rhinebecka, gdy Arrick był heroldem. Odwiedzę przy okazji Gildię Minstreli i może wynajmę wyszkolonych nauczycieli dla moich czeladników.

– W porządku – stwierdził Naznaczony. – Wyruszymy, gdy śniegi zaczną topnieć.

* * *

Szerokie skrzydła zmiennokształtnego szybko pochłaniały odległość, ale księżę otchłańców z trudem znosił blask powierzchni i dwukrotnie schronił się w Otchłani, skąd wynurzył się tylko na najciemniejsze godziny nocy. Trwała właśnie pierwsza noc po nowiu i nawet wąziutki różek na niebie raził oczy księcia. Poprzysiągł sobie, że gdy nareszcie powróci do Otchłani, nie wychynie z niej do chwili, gdy owo przeklęte ciało niebieskie znów nie zniknie.

Wielki run Zakątka Wybawiciela znów znalazł się w zasięgu wzroku, a jego skradziona magia migotała niczym latarnia morska. Demon umysłu zasyczał na ten widok, czoło zaczęło mu pulsować, przesyłając obraz na południe, prosto do umysłu brata oddalonego o setki mil.

Odpowiedź nadeszła natychmiast. Czaszka demona rozbrzmiała frustracją brata.

Zmiennokształtny wylądował bezszelestnie i demon umysłu zszedł na ziemię. Jego wierzchowiec natychmiast złożył skrzydła i przeobraził się w zwinnego ognistego demona, który pomknął do miasteczka, by oczyścić drogę dla księcia.

Wielki run był zbyt duży, by go zniekształcić czy zepsuć, a także zbyt potężny nawet jak dla księcia Otchłani. Demon widział, jak skumulowana magia połyskiwała dookoła osady, tworząc barierę o wiele solidniejszą od kamiennych murów. Sięgnął ku niej myślami, a miękkie wypustki na jego czaszce zaczęły żywiej pulsować, gdy usiłował osiągnąć umysłów ludzi, lecz skupiona w barierę magia uniemożliwiała nawet i to.

Demon okrążył osadę, badając teren wokół nieregularnych kształtów wielkiego runu. W istocie w potężnym systemie obronnym znajdowało się bardzo niewiele słabych punktów, a i te niełatwo było wykorzystać. Z drzew spełzały pomniejsze demony, zwabione obecnością księcia, lecz ten odpędził je pojedynczą myślą.

W końcu natknął się na dwie ludzkie samice, które stały na skraju runu, uzbrojone w prymitywną broń. Wsłuchał się bacznie w ich jęki i pochrząkiwania, wyczekując na szczególną intonację zdradzającą, że właśnie zwracały się do siebie. Nie musiał długo czekać – obie samice objęły się i rozdzieliły, a każda ruszyła w innym kierunku, nie wypuszczając broni.

Demon umysłu pobiegł za starszą i przyczaił się w miejscu, gdzie nie było go widać. Dał

znać zmiennokształtnemu, który nagle urósł, a kryjąca go łuska ustąpiła miejsca różowawej skórze i zewnętrznemu okryciu charakterystycznemu dla istot żyjących na powierzchni.

Zmiennokształtny przypadł do ziemi w cieniach przy barierze, czekając nadejścia starszej samicy. Wykrzyknął jej imię głosem doskonale imitującym oryginalny. Jego ciało równie wiernie naśladowało pierwowzór.

– Mała!

– Wonda? – zapytała samica wybrana na ofiarę. Rozejrzała się, ale nie dostrzegła demonów, więc puściła się biegiem do istoty, którą uznawała za przyjaciółkę.

– Przecież dopiero co się rozstałyśmy? Co ty tam robisz?

Demon umysłu wyszedł zza drzewa i samica krzyknęła, unosząc łuk. Wypustki na czasce stwora znów zaczęły pulsować, samica zamarła. Wbrew swej woli opuściła broń. Demon podszedł bliżej, a samica wręczyła mu pocisk, którym zamierzała go ugodzić.

Runy na strzale były potężne i starannie wykonane, księżę wyczuwał siłę, z jaką przeciwstawiają się jego magii. Machnął nad nimi pazurzystą łapą, ze zdumieniem dostrzegłszy, iż zaczęły się mienić już w odległości kilku cali od jego ciała.

Następnie skupił się na istocie. Głęboko wniknął w jej umysł, przebierając wśród wspomnień i wyobrażeń jak w kufrze pełnym rupieci. Wiele się dowiedział, zbyt wiele, by działać dalej bez zastanowienia.

Do świtu pozostało jeszcze wiele godzin, ale niebo już zaczynało się przejaśniać. Daleko na południu brat demona umysłu zgodził się z księciem. Było jeszcze sporo czasu, by rozważyć problem.

Demon przyjrzał się samicy. Mógł wymazać wspomnienie spotkania i odesłać ją do osady nieświadomą, iż spotkała księcia Otchłani, ale penetracja ludzkiego umysłu, tłustego i w znacznie mierze niewykorzystanego, pobudziła apetyt potwora.

Zmiennokształtny wyczuł apetyt pana i wypuścił ostro zakończoną mackę, którą odciął ofierze głowę. Księżę rozciął czaszkę, jego oczom ukazał się mózg. Wgryzł się łapczywie w szarą tkankę. Nie smakowała tak dobrze jak mózgi przygłupich pobratymców demona umysłu, ale polowanie na powierzchni wiązało się z satysfakcją, która wynagradzała niedostatki wrażeń.

Księżę Otchłani zerknął na zmiennokształtnego, który pełnił straż podczas uczyty pana. Jego czaszka zapulsowała na zgodę i Zmiennokształtny rozrósł się, otworzył ogromną, najeżoną kłami paszczę i wgryzł się w ciało samicy, pożerając je w całości.

Gdy pan i sługa nasycili apetyty, przeistoczyli się w mgłę i wślizgnęli do Otchłani. Niebo pojaśniało.

13

Renna

333 ROK PLAGI, WIOSNA

Renna ubijała masło, resztkami sił, a jej pokryte potem ramiona przeszywał ból. Była wczesna wiosna, ale dziewczyna miała na sobie tylko koszulę. Ojciec wściekłby się, gdyby zobaczył teraz córkę, ale był daleko, zajęty słupami runicznymi, a Lucik i chłopaki pracowali w polu.

Od ślubu Lucika z Beni minęło czternaście lat. Beni urodziła mężowi wiele dzieci, a gospodarstwo powiększyło się znacznie. Po tym jak Ilain uciekła z Jephem Balesem, nastąpiły ciężkie czasy. Harl co rusz wpadał we wściekłość i wyżywał się na wszystkich, głównie na Beni, jako najstarszej córce. Na szczęście skończyło się to, gdy na gospodarzkę wprowadził się Lucik, mężczyzna barczysty i silny. Od tej pory Harl nie tknął żadnej z córek, a pola, dotychczas niewiele większe od sporego ogrodu, co roku się rozrastały.

Sama myśl o Luciku na powrót przywołała wspomnienia o Arlenie Balesie i tym, co mogło się wydarzyć. Gdy Renna i Arlen zostali sobie przyrzeczeni, uzgodniono, że to właśnie ona ma zamieszkać w gospodarstwie Jepha, a nie Ilain. Tymczasem Arlen uciekł do lasu i od tej pory nigdy już o nim nie słyszano. Ludzie powiadali, że pewnie nie żyje, zresztą Jeph udał się nawet na Słoneczne Pastwiska, by go odnaleźć, lecz wrócił z niczym. Wolne Miasta zaś znajdowały się w odległości wielu mil i nikt nie był w stanie przeżyć pieszej wędrówki, nie znalazłszy schronienia co noc.

Renna jednakże nigdy nie porzuciła nadziei. Bez ustanku zerknęła ku drodze na wschód, modląc się, by ujrzeć tam kiedyś Arlena, który przyjedzie tylko po to, by zabrać dziewczynę z gospodarstwa ojca.

Właśnie uniosła wzrok i dostrzegła jeźdźca. Serce jej zamarło, lecz Renna uświadomiła sobie, że ten nadjeżdża z zachodu. I zaraz go rozpoznała.

Cobie Fisher dosiadał Szyszki, jednej ze srokatych klaczy starego Wieprza. Miał na sobie zbroję skleconą z kawałków metalu i wypolerowany starannie hełm, wyklepany z garnka.

Przy siodle jak zwykle zawiesił tarczę i włócznię, choć Renna nigdy nie słyszała, by z nich skorzystał.

Cobie uważał się bowiem za Posłańca, choć zamiast stawiać czoła nocy, jak czynili to prawdziwi Posłańcy, po prostu przewoził towary i wieści dla Rusco Wieprza z jednego końca Potoku na drugi. Raz czy drugi przenocował w stodole ojca Renny, jadąc na północ, do Słonecznych Pastwisk.

– Cześć, Renna! – zawołał, unosząc rękę. Dziewczyna otarła pot z czoła wierzchem dłoni i wyprostowała się na powitanie.

Oczy Cobiego na moment wyszły z orbit, a jego twarz oblał rumieniec. Renna nagle przypomniała sobie, że jest nader skąpo odziana. Jej koszula kończyła się bowiem tuż nad kolanami i odsłaniała spory dekolot. Uśmiechnęła się, rozbawiona zażenowaniem Fishera.

– Znów w drodze na Pastwiska? – zapytała, nawet nie próbując zasłonić swych wdzięków.

Cobie pokręcił głową.

– Nie, mam wiadomość dla Lucika.

– Tak późno? – zapytała. – Cóż może być tak ważnego...

Wtedy pochwyciła spojrzenie Cobiego i ogarnął ją niepokój. Ostatnim razem, gdy Fisher przybył z wieścią, co miało miejsce jakieś dwa lata temu, okazało się, że brat Lucika, Kenner, upił się podczas testowania swego piwa i zatoczył tak niefortunnie, że wypadł za barierę. Nim słońce przegnało demony do Otchłani, nie było już co z niego zbierać.

– W jego rodzinie wszystko w porządku, nie? – zapytała, bojąc się odpowiedzi.

Cobie pokręcił głową, a potem pochylił się i powiedział cicho, choć w pobliżu nie było nikogo:

– Jego ojciec odszedł dziś rano – wyznał.

Renna stłumiła okrzyk niedowierzania. Fernan Boggin zawsze był dla niej miły, gdy przybywał z wizytą, by ujrzeć wnuki. Rennie będzie go brakowało. No i biedny Lucik...

– Renna! – usłyszała warknięcie ojca. – Właż do środka i ubierz się, dziewczucho. Co ty sobie myślisz? Czy to ma być angieriański dom grzechu?

Ze złością wskazał drzwi cennym nożem myśliwskim. Broń miała ostrze z milneńskiej stali i kościaną rękojeść, a Harl nigdy się z nim nie rozstawał na długo.

Renna doskonale знаła ten ton. Odwróciła się i pospiesznie wbiegła do domu, zostawiając zaskoczzonego Cobiego z otwartymi szeroko ustami. Zatrzymała się jednak przy drzwiach, by sprawdzić, jak Harl rozmawia z Cobiem. Fisher podprowadził Szyszkę do koniowiązu.

Ojciec był siwowłosym mężczyzną o pomarszczonej twarzy, który z wiekiem zdawał się tylko twardnieć. Jego węzlaste mięśnie stwardniały od pracy w polu, a szorstka skóra ogorzała. Harl zamierzał najpierw wydać za mąż Rennie, ale po ucieczce Ilain przeganiał każdego chłopaka, który choćby spojrzał na córkę.

Cobie jednakże był od niego wyższy i szerszy w barach, w rzeczy samej zaliczał się do

najroślejszych mężczyzn w Potoku Tibbeta. Wieprz wybrał go na wysłannika, ponieważ w gruncie rzeczy Fisher był brutalnym dręczycielem i nie dawał się łatwo zastraszyć czy zniechęcić, zwłaszcza gdy miał na sobie zbroję. Renna nie słyszała, o czym rozmawiali mężczyźni, ale w grzmiącym głosie ojca, gdy ściskali sobie dłonie, wyłowiła nuty szacunku.

– Co się dzieje? – zapytała Beni znad paleniska, gdzie siekała warzywa na gulasz.

– Przyjechał Cobie Fisher z Ryneczku – odparła Renna.

– A mówił dlaczego? – Beni zachmurzyła się, nagle zmartwiona. – Posłańcy nie wpadają tak po prostu, żeby się przywitać.

Renna przełknęła ślinę.

– Tato mnie zawołał, zanim Cobie powiedział, o co chodzi – skłamała i pospiesznie schowała się za zasłoną w kącie izby, gdzie zrzuciła brudną koszulę i założyła suknię. Wyszła, wiążąc tasemki, i niespodziewanie znów przyłapała Cobiego na gapieniu się.

– Niech cię szlag trafi, Renna! – ryknął Harl i dziewczyna wskoczyła za zasłonę, gdzie dokończyła ubieranie. Gdy wyszła ponownie, ojciec obrzucił ją niechętnym spojrzeniem.

– Ściągnij tu Lucika, dziewczyno – polecił. – Chłopcy mają zaczekać w oborze. Posłaniec przywiózł złe wieści.

Renna skinęła głową i wybiegła na dwór. Zastała Lucika na najdalszym końcu pola, gdzie zajmował się słupami runicznymi. Za wytyczoną przez nie granicą ziemia była czarna, osmolona wyziewami ognistych demonów.

Cal i Jace nieopodal wyrywali chwasty. Liczyli sobie odpowiednio siedem i dziesięć lat.

– Kolacja? – spytał z nadzieją Cal.

– Nie, słoneczko – rzekła Renna, mierzwiąc jego brudne jasne włosy. – Póki co musimy zamknąć zwierzęta w oborze. Wasz tato ma gościa.

– Co? – spytał Lucik.

– Przyjechał Cobie Fisher – powiedziała. – Ma wieści od twojej matki.

W oczach Lucika błysnął strach i natychmiast rzucił się do biegu, a Renna przyprowadziła chłopców i kazała im przegnać krowy oraz świnię z dziennych zagród do wielkiej obory. Sama zaś odwiązała Szyszkę i zaprowadziła ją do niewielkiej obórki z tyłu, gdzie trzymano gęsi i kury. Znajdujący się tam boks był pusty, ostatni koń na gospodarstwie zdechł dwa lata temu. Renna odpięła popręgi, a potem ściągnęła siodło i uzdę. Odwróciła się po zgrzebło, gdy nagle dojrzała, jak Jace sięga po włócznię Cobiego.

– Łapy precz, chyba że masz ochotę na lanie – powiedziała i pacnęła go po rękach. – Przynieść lepiej zgrzebło i oporządzić konia, a potem dosyp świniom paszy.

Chłopcy zabrali się do obowiązków, a Renna zajęła się karmieniem kur, lecz przez cały ten czas nie przestawała zerkać na dom. Miała już dwadzieścia cztery lata, ale Harl nadal traktował ją jak dziecko i chronił równie zajadle jak chłopców.

Po chwili drzwi uchylły się i wyjrzała Beni.

– Kolacja gotowa! – zawołała. – Wszyscy do mycia!

Chłopcy wydali triumfalny okrzyk i pobiegli do środka, lecz Renna zawahała się i odnalazła spojrzenie siostry. Od dzieciństwa dziewczęta potrafiły przekazać sobie mnóstwo rzeczy samym tylko wzrokiem i tym razem nie było inaczej. Renna otoczyła Beni ramieniem i przytuliła pocieszająco.

Beni nie płakała długo. Wyprostowała się i otarła oczy rąbkiem fartucha, po czym wróciła do środka. Renna nabrała tchu i udała się w ślad za nią.

Przy stole mieściło się jedynie sześć osób, więc chłopcom kazano zjeść obiad przy ogniu, za zasłoną oddzielającą jadalnię od izby wspólnej. Dzieci nie miały pojęcia, co się dzieje, w pośpiechu pochłonęły swoje porcje, a potem zabrzmiał ich śmiech, gdy zaczęły tarłować się z psami.

– Wyruszmy wcześniej rano – oznajmił Lucik, gdy Renna zebrała już miski. – Po tym jak Kenner i ojciec odeszli z tego świata, mama będzie potrzebować mężczyzny do pomocy, o ile Wieprz zechce znów kupować piwo z Bagien.

– A nie może ktoś inny się tym zająć? – zapytał Harl. Siedział nieopodal i strugał koniec słupa runicznego z kwaśną miną. – Młody Fernan już prawie dorósł.

Miał na myśli syna Kernana, który nosił imię po dziadku.

– Ma dopiero dwanaście lat, Harl – rzekł Lucik. – Nie można mu powierzyć browaru!

– A twoja siostra? – naciskał Harl. – Wyszła za tego chłopaka od Fisherów kilka lat temu.

– Za Jasha – odpowiedział Cobie.

– Przecież to Fisher – zaoponował Lucik. – Może i zna się na skrobaniu i patroszeniu ryb, ale o warzeniu piwa nie wie nic. Bez urazy – zerknął przy tych słowach na Cobiego.

– Dajże spokój – powiedział Cobie. – Zresztą Jash i tak wypiłby więcej, niż byłby w stanie uwarzyć.

– I kto to mówi? – warknął Harl. – Z tego, co słyszałem, Wieprz uczynił cię swoim posłańcem, kiedy to okazało się, że nie jesteś w stanie zapłacić mu za całe wyżłopane piwo. Może to ty powinienesz prowadzić browar, odpracowując to, co wychlałeś.

– Masz tupet, dziadku. – Cobie uniósł się z krzesła z wykrzywioną twarzą. Harl również się poderwał, mierząc w niego swym długim nożem.

– Dwa razy się zastanów, zanim mi pogroźisz, smarku! – warknął. – Siadaj w tej chwili!

– Niech was obu Otchłań pochłonie! – zagrział Lucik i rąbnął pięściami w stół. Harl i Cobie spojrzeli na niego z przestachem i napotkali wściekły wzrok. Lucik dorównywał Cobiemu, a furia sprawiła, że na policzki wystąpił mu rumieniec. Obaj mężczyźni wrócili na miejsca, a Harl uniósł koniec słupa i z furią wziął się znowu do strugania.

– A zatem po prostu wstajesz i zabierasz dupę w troki – stwierdził. – A co z gospodarstwem?

– Wiosenne zasiewy zakończone – stwierdził Lucik. – Powinniście z Renną dać radę utrzymać słupy runiczne i zwalczać chwasty do czasów żniw, a wtedy wrócimy z chłopakami, żeby wam pomóc. Ferniego też weźmiemy.

– A za rok? – zapytał Harl.

Lucik wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Możemy przyjechać na zasiewy, może będę mógł tu wysłać jednego z chłopców na całe lato.

– Sądziłem, że jesteśmy rodziną – rzekł Harl i splunął na podłogę. – Wychodzi jednak na to, że w głębi serca zawsze byłeś Bogginem.

Odsunął się od stołu.

– Rób, co chcesz. Bierz moją córkę, wnuki i wyjeżdżajcie. Nie spodziewaj się jednak, że klepnę cię w plecy dla dodania otuchy.

– Harl – zaczął Lucik, ale starzec machnął tylko ręką, wstał i ciężkim krokiem ruszył do pokoju. Trzasnęły drzwi.

Beni położyła dłoń na drżącej, zaciśniętej pięści Lucika.

– Na pewno nie chciał tego powiedzieć.

– Och, Ben – odparł, ujmując żonę za rękę. – Ależ oczywiście, że chciał.

– Chodźmy. – Renna szarpnęła Cobiego, by wstał. – Zostawmy ich w spokoju i poszukajmy dla ciebie koców i czystego miejsca w oborze.

Cobie posłuchał.

– Twój ojciec zawsze się tak zachowuje? – zapytał po wyjściu z domu.

– Przyjął to lepiej, niż się spodziewałam – stwierdziła Renna, ujmując miotłę i zamiatając jeden z pustych boksów. Słońce już zaszło i wszędzie niesły się dzikie wrzaski i rozbłyski, gdy otchłańce sprawdzały moc runów. Zwierzęta przyzwyczały się do tych hałasów, ale mimo to wierciły się nerwowo, instynktownie przeczuwając, co się wydarzy, jeśli runy zawiodą.

– Lucik właśnie stracił ojca – powiedział Cobie. – Harl mógłby okazać nieco więcej serca.

Renna pokręciła głową.

– Każdy, tylko nie on. Dla niego liczą się tylko jego własne potrzeby.

Przygryzła wargę, przypominając sobie, jak wszystko wyglądało przed przybyciem Lucika.

* * *

Gdy Cobie ułożył się już na spoczynek w oborze, Renna wróciła do domu i w izbie głównej zastała Lucika, który tłumaczył chłopcom, co się wydarzyło. Przemknęła bezszelestnie za jego plecami i wślizgnęła się do izdebki Beni. Siostra składała właśnie ubrania i pakowała skromny dobytek.

– Weźcie mnie ze sobą – oznajmiła Renna bez wstępów.

– Co takiego? – zapytała Beni z zaskoczeniem.

– Nie chcę zostać tu sama z nim. Nie mogę.

– Renna, o czym ty... – zaczęła Beni, ale Renna złapała ją za ramiona.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię! – warknęła. – Dobrze wiesz, co on wyczyniał, nim zjawił się Lucik.

Beni syknęła i wyrwała się siostrze, po czym podeszła do drzwi i zatrzasnęła je.

– A jakie ty możesz mieć o tym pojęcie? – syknęła ochryple. – Zawsze byłaś tylko dzieckiem. Nigdy nie musiałaś znosić...

Jej głos załamał się, zdławiony gniewem i wstydem.

Renna zerknęła znacząco na własny biust.

– Ale ja już nie jestem dzieckiem, Beni.

– To zakryj wreszcie piersi i przestań biegać w rozchełstanej koszuli. Nie dawaj mi sposobności, by cię zauważył.

– To go nie powstrzyma i dobrze o tym wiesz.

– Przecież to wszystko miało miejsce piętnaście lat temu, Ren – rzekła Beni. – Nie wiesz, jak się zachowa.

Ale Renna wiedziała, i to dobrze. W głębi serca nie miała wątpliwości. Wielokrotnie czuła na sobie spojrzenie ojca obmacujące pożądliwie jej intymne części ciała. A z jakiego niby powodu miałyby reagować z taką wściekłością na widok każdego chłopaka, który choćby spojrzał na córkę. Zdarzało się przecież, że zalecali się do niej, gdy była młodsza. Szybko się jednak nauczyli, że nie warto próbować.

– Proszę – odezwała się błagalnym tonem, łapiąc siostrę za rękę. Jej oczy wezbrały łzami.

– Zabierz mnie ze sobą.

– A co mam powiedzieć Lucikowi? – warknęła Beni. – Już wystarczająco trudno mu się pogodzić z tym, że pozostawia gospodarstwo bez opieki. Bez ciebie ojciec nigdy nie da sobie rady.

– Przecież możesz powiedzieć mu prawdę – powiedziała Renna.

A wtedy Beni uderzyła ją w twarz. Renna zatoczyła się, łapiąc za policzek. Wstrząśnięta spojrzała na siostrę – nigdy dotąd nie zdarzyło się, by ta ją uderzyła, lecz po Beni bynajmniej nie było znać wyrzutów sumienia.

– Wybij to sobie z głowy – warknęła złowrogo. – Nie pozwolę, by moja rodzina okryła się wstydem. Lucik wygnałby mnie z domu, gdyby się dowiedział, a wkrótce po tym plotka rozniósłaby się po całej wsi. A Ilain? Czy Jeph i jej dzieci również mają ucierpieć tylko dlatego, że zachowujesz się niedojrzale?

– Nie zachowuję się niedojrzale! – wykrzyknęła Renna.

– Ciszej! – syknęła Beni.

Renna wzięła wdech, próbując się uspokoić.

– Nie zachowuję się niedojrzale. Dlaczego niby tak twierdzisz, Beni? Tylko dlatego, że nie chcę zostać z tym potworem?

– To nie demon, Renna, to nasz ojciec. Chroni nas i karmi przez całe życie i winniśmy mu szacunek, nawet jeśli załamał się po śmierci mamy. Ilain i ja jakoś to przetrwałyśmy, tobie też się uda.

– Ilain przetrwała, chowając się za plecami Jepha – oznajmiła Renna. – Ty ukryłaś się za Lucikiem. A za kim ja się mam schować, Ben?

– Nie możesz wyjechać z nami, Renna – powtórzyła Beni.

W tym właśnie momencie do pokoju wszedł Lucik.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Usłyszałem podniesione głosy.

– Wszystko dobrze – odparła Beni i spojrzała wymownie na Rennę, która wybuchła płaczem, przepchnęła się za plecami Lucika i pobiegła do niewielkiego kącika w izbie głównej, oddzielonego od reszty pomieszczenia zasłoną.

* * *

Długo nie mogła usnąć tej nocy. Leżała, słuchając wrzasków otchłańców na podwórzu oraz posapywań dobiegających jak zwykle z pokoju Beni i Lucika. Te same odgłosy dobiegały z pokoju Harla, gdy matka jeszcze żyła, a także później, gdy ojciec zmusił najstarszą córkę Ilain, by zajęła jej miejsce. Po ucieczce Ilain Harl zaciągnął do łóżka Beni i tak oto z jego sypialni znów dobiegało stękanie i posapywanie. Starsza siostra bynajmniej nie była podówczas tak wyrozumiała jak teraz.

Renna usiadła nagle, złana potem, serce jej łomotało. Wyrzała zza zasłony. Chłopcy mocno spali na kocach. Dziewczyna ubrana jedynie w koszulę przemknęła przez izbę, otworzyła drzwi do obórki i po cichutku wślizgnęła się do środka.

W obórce znalazła krzesiwo i zapaliła lampę. Wnętrze zalało migotliwe światło.

– Co? – zapytał Cobie, mrużąc oczy i przesłaniając je dłonią. – Kto tam?

– To ja, Renna – powiedziała, siadając przy nim na sianie. Światło bijące z kołyszącej się latarni omiatało boks i szeroką klatkę piersiową Cobiego, gdy zsunął się z niej koc. – Rzadko miewamy gości. Pomyślałam, że wpadnę pogadać.

– Brzmi nieźle – odparł Cobie, przecierając oczy i otrząsając się ze snu.

– Ale musimy być cicho. Jak ojciec nas przyłapie, rozpęta się tu Otchłań.

Cobie skinął głową i obrzucił nerwowym spojrzeniem drzwi prowadzące do domu.

– Jak to jest być Posłańcem? – zapytała Renna.

– Cóż, nie jestem prawdziwym Posłańcem – przyznał Cobie. – Nie mam licencji wydanej przez Gildię w Wolnych Miastach, a nawet gdybym miał, wątpię, czy byłbym aż takim głupkiem, by spać na zewnątrz z demonami. Ale praca dla Wieprza jest o wiele lepsza niż łowienie ryb. Nigdy za tym nie przepadałem.

– Z tego, co słyszałam, to nigdy też się przy tym nie przemęczałeś.

– Co racja, to racja – zaśmiał się Cobie. – Zawsze jakoś udawało mi się urwać, a potem

szwendałem się z Gartem i Willumem, aż ich przyrzeczono i przestali mieć czas na wygłupy. Na łodzi nie można się głośno śmiać, bo się ryby płoszą.

– A czemu ciebie nigdy nie przyrzeczono?

Cobie wzruszył ramionami.

– Ojciec mówił, że sam jestem temu winien. Ponoć ci, co mają córki na wydaniu, jakoś nie wierzą, że potrafię się ustatkować i wyżywić rodzinę. Pewnie miał rację. Zawsze wolałem szwendać się przy składzie handlowym, niż pracować. Jak trzeba było, to łowiłem ryby, ale nigdy nie miałem dość pieniędzy, by zapłacić za wypite piwo. Twój stary się nie mylił, Wieprz rzeczywiście zaczął mnie wysyłać jako umyślnego, bym w ten sposób spłacił długi. Ale kiedy Mówca poprosił Wieprza, bym zaczął wozić wieści również i dla niego, dostałem pokoik za składem, by zawsze być pod ręką. Ludzie zaczęli traktować mnie z większym szacunkiem, bo teraz reprezentuję interesy całej wsi. Podejmują mnie kolacją i oferują schronienie, gdy znajdę się zbyt daleko od Ryneczku i nie zdążę wrócić przez zmrokiem.

– Fajna sprawa – rzekła Renna. – Założę się, że lubisz tak jeździć po Potoku i spotykać ludzi. Ja z nikim się nie widuję.

Cobie pokiwał głową.

– Zarabiam teraz więcej, niż jestem w stanie wydać na piwo, a gdy oszczędzę dość płacideł, kupię konia i zacznę się nazywać Cobie Posłaniec. Może wybuduję dom i doczekam się synów, którzy przejmą po mnie interes, gdy dopadnie mnie starość.

– A więc uważasz, że możesz się osiedlić i utrzymać rodzinę? – zapytała Renna.

Cobie do przystojnych nie należał, ale był uczciwym, silnym mężczyzną z widokami na przyszłość. Dziewczyna z wolna zaczynała sobie uświadamiać, że Arlen może nigdy po nią nie wrócić, a życie przecież musi toczyć się dalej.

Cobie pokiwał głową, patrząc jej w oczy.

– Mógłbym – powiedział. – Gdyby tylko jakaś dziewczyna chciała zaryzykować życie ze mną.

Renna pochyliła się i pocałowała go w usta. Cobie otworzył szerzej oczy, lecz zareagował na pocałunek i otoczył ją silnymi ramionami.

– Znam kilka sztuczek z alkowy – szepnęła Renna, zsuwając koszulę, by odsłonić piersi.

– Setki razy widziałam Lucika i Beni w akcji. Mogłabym być dobrą żoną.

Cobie tylko mruknął, trącając nosem jej biust. Jego dłonie przesunęły się po nogach dziewczyny.

Niespodziewanie rozległ się trzask, który wystraszył ich oboje.

– Co tu się wyrabia, na Otchłań! – ryknął Harl, łapiąc Rennę za włosy i ściągając ją z Cobiego. Wyciągnął nóż myśliwski, ostry jak brzytwa. Odrzucił Rennę na bok i przytknął ostrze do gardła Cobiego.

– My... My tylko... – wyjąkał Cobie. Próbował się odczołgać, ale prawie natychmiast natrafił plecami na ścianę boksu. Nie było ucieczki.

– Nie bierz mnie za głupka, chłopcze – oznajmił Harl. – Dobrze wiem, co wy „tylko” robiliście. Co, myślisz sobie, że skoro udzieliłem ci schronienia za moimi runami, wolno ci obmacywać moją córkę niczym jakąś angieriańską dziwkę? Powinienem ci flaki powypruwać!

– Proszę! – błagał Cobie. – To nie tak! Ja naprawdę lubię Rennę! Chcę jej ręki!

– Coś mi się wydaje, że chcesz nieco więcej! – warknął Harl.

Nacisnął ostrze i z rozciętej skóry szyi Posłańca wypłynęła kropla krwi. Cobie usiłował cofnąć głowę najdalej jak mógł, a lzy mieszały się z kroplami potu na jego twarzy.

– Dość tego! – zawołał Lucik, łapiąc Harla za ramię i odsuwając nóż od szyi Cobiego. Starzec natychmiast poderwał się i zmierzył Lucika wściekłym spojrzeniem, na co zięć odpowiedział tym samym.

– Ciekawe, czy powiedziałbyś to samo, gdyby to była twoja córka – wysyczał Harl.

– Może nie – odparł Lucik. – Ale tak czy owak nie pozwolę ci zabić człowieka na oczach moich synów!

Harl zerknął przez ramię na Cala i Jace’a, którzy wytrzeszczali oczy na progu, za nimi Renna płakała w objęciach Beni. Gniew częściowo z niego uszedł, a ramiona opadły.

– Dobrze – powiedział. – Renna, śpisz dziś w moim pokoju, żebym miał na ciebie oko. A ty – znów wymierzył czubkiem noża w Cobiego, który zeszywniał ze strachu – nie waż się nawet spojrzeć na moją córkę, bo oberżnę ci jajca i rzucę otchłāncem.

Złapał Rennę za ramię i pociągnął ją za sobą do domu.

* * *

Renna wciąż się trzęsła, gdy Harl cisnął ją na łóżko. Podciągnęła i zapięła koszulę, lecz wiedziała, że nie ukryje w ten sposób krągłości przed pożądlwym spojrzeniem ojca.

– A więc takie rzeczy wyczyniasz, gdy udzielam komuś schronienia w oborze? – naskoczył na nią Harl. – Założę się, że pół wsi śmieje się za moimi plecami.

– Nigdy niczego takiego nie zrobiłam!

– Och, i ja mam teraz w to uwierzyć? – zadrwił Harl. – Widziałem, jak paradowałaś dziś półnago przed tym chłopakiem. Założę się, że nie tylko nasze wieprze postępują w oborze, gdy ten niby-posłaniec do nas zajeżdża.

Renna nie odpowiedziała. Pociągając nosem, okryła kocem ramiona.

– Co, nagle zrobiłaś się wstydlwa? – zapytał Harl. – Nieco za późno, jeśli chodzi o mnie.

Ściągnął portki i zawiesił na ramie łóżka, a potem ułożył się obok Renny pod kocem. Dziewczynę przeszył dreszcz.

– Skończ już skomleć i lepiej się zdrzemnij – polecił ojciec. – Właśnie kolejna z twoich siostr postanowiła porzucić rodzinę. Będziemy mieli masę nowych obowiązków. Oboje.

* * *

Renna obudziła się wcześniej i uświadomiła sobie, że przez sen ojciec otoczył ją ramieniem. Zadrzała z obrzydzenia, wyslizgnęła się z łóżka, a potem z pokoju. Harl nadal gromko chrapał.

Pamiętając radę Beni, oderwała długie pasmo materiału z prześcieradła i ciasno obwiązała nim piersi. Gdy było już po wszystkim, oceniła rezultat i tylko westchnęła. Niewiele to dało – nawet po spłaszczeniu biustu nikt nie wzięłby jej za chłopca.

Ubrała się szybko, lecz suknię zawiązała luźno, by ukryć swe krągłości, a potem niedbale splotła długie brązowe włosy.

Gdy zagotowała owsiankę i rozłożyła miski na stole, chłopcy zaczęli się budzić. Nim wstało słońce, w domu trwała już krzątanina, a Lucik po raz ostatni wysłał chłopców do zajęć gospodarskich. Cobie odjechał przed śniadaniem, lecz Renna bynajmniej nie czuła się tym rozczarowana. Harl nie odmówiłby mu schronienia przed nocą, co nie oznaczało, że ugości chłopaka przy własnym stole. Żałowała tylko, że nie miała możliwości przeprosić za zachowanie ojca, a także za to, co sama zrobiła. Postawiła przecież zarówno siebie, jak i Cobiego w doprawdy niezręcznej sytuacji.

Po wypełnieniu porannych obowiązków Harl zaprzągnął wóz i zabrał rodzinę przez Ryneček do Pagórka Bogginów, gdzie miało się odbyć spalenie zwłok. Przybyli tam dopiero po południu i ujrzeli wielkie zgromadzenie na wzgórzu. Prawie wszyscy ludzie z okolic Potoku Tibbeta pili piwo Fernana Boggina i wielu z nich przyszło złożyć zmarłemu wyrazy szacunku podczas ceremonii pogrzebowej.

Na szczycie wzgórza wznosił się Świąty Dom, a Opiekun Harral witał wszystkich serdecznie. Był roslym, niespełna pięćdziesięcioletnim mężczyzną o potężnych ramionach, widocznych spod podwiniętych rękawów brązowej szaty.

– Twój ojciec był dobrym przyjacielem i wspaniałym człowiekiem – powiedział Lucikowi, obejmując go mocno. – Będziemy za nim tęsknić.

Następnie wskazał wrota świątyni.

– Wejdźcie i zasiądźcie w pierwszej ławce obok twojej matki – rzekł Lucikowi i uśmiechnął się do Renny, a potem z niewiadomego powodu mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Wygląda na to, że niewdzięcznica wreszcie wyszła z ukrycia – mruknął Harl, gdy zasiedli za Ludkiem, Beni i chłopcami.

Renna zerknęła w tym samym kierunku co ojciec i ujrzała najstarszą siostrę, Ilain, która stała z Jephem, Norine z Rębaczy i swymi dziećmi. Ależ one urosły!

– Nawet o tym nie myśl – syknął Harl i ścisnął ją za rękę, gdy Renna ruszyła, by się przywitać. Nigdy nie wybaczył Ilain ucieczki, choć upłynęło już piętnaście lat, i nigdy nie uznał urodzonych przez nią wnuków. – Ten kurwi syn ma niezły tupet, skoro tu przyszedł –

burknął, wpatrując się w Jepha. – Kolejny złodziej rodem z Otchłani, który doszedł do wniosku, że skoro udzieliłem mu schronienia, to może uciec z jedną z moich dziewczyn. Dobrze, że w końcu nie wyszłaś za tego jego syna niedojdę.

– Arlen nie był niedojdą – powiedziała ze smutkiem Renna, przypominając sobie, jak się całowali jako dzieci. Zawsze go podziwiała, a to, że została mu przyrzeczona, wydawało się spełnieniem marzeń. Nigdy nie uwierzyła, że został porwany do Otchłani, ale skoro tak się nie stało, to dlaczego po nią nie wrócił?

– O co chodzi, dziewucho? – zapytał Harl.

– O nic – odparła.

Ceremonia nadal się ciągnęła, a Harral wyśpiewywał hymny ku pamięci Fernana Boggina, malując runy na płótnie spowijającym ciało zmarłego, mające chronić jego ducha w drodze do Stwórcy.

Gdy ceremonia dobiegła końca, mężczyźni zanieśli ciało na stos pogrzebowy ułożony przez Harrala i patrzyli, jak pochłaniają je płomienie. Renna kreśliła runy w powietrzu jak wszyscy inni, modląc się, by duszy Fernana udało się uciec z tego nawiedzonego przez demony padołu leż.

Po drugiej stronie stosu stała Ilain, wpatrując się w nią ze smutkiem. Uniosła dłoń, by do niej pomachać, a wtedy Renna wybuchła płaczem.

Ogień przygasł i ludzie zaczęli się rozchodzić, niektórzy do domu Meady Boggin, która przygotowała poczęstunek dla żałobników, inni zaś wyruszyli w drogę powrotną. Niektórzy przebyli spory dystans, a w dni pogrzebów otchłańce przecież zwykli budzić się o tej samej porze co zwykle.

– Dalej, dziewucho, pora zbierać się do domu. – Harl pochwycił Rennę za ramię.

– Harl Tanner! – rozległo się za ich plecami. – Mogę zamienić z tobą słowo?

Oboje odwrócili się i ujrzeli Opiekuna Harrala, który zmierzał ku nim, wlokąc Cobiego Fishera. Chłopak nie ośmielił się unieść wzroku.

– O co tym razem chodzi? – burknął Harl.

– Cobie opowiedział mi, co się stało zeszłej nocy – rzekł Harral.

– Doprawdy? A powiedział też, że przyłapałem go z moją córką na grzesznych uczynkach pod moim dachem, za moimi runami?

Harral potaknął.

– Tak, powiedział. I chciałby powiedzieć coś jeszcze. Nieprawdaż, Cobie?

Ten pokiwał głową i zrobił krok do przodu, nadal wpatrując się w swe stopy.

– Przykro mi z powody tego, co zrobiłem. Nie miałem zamiaru okryć nikogo wstydem i dołożę wszelkich starań, by Renna prowadziła u mego boku zacne życie, jeśli się nie sprzeciwisz.

– Prędeż mnie Otchłań pochłonie! – warknął Harl, a Cobie pobladł i cofnął się o krok.

– Posłuchaj no, Harl – rzekł Harral, ale ten przerwał mu natychmiast:

– Nie, to ty posłuchaj, Opiekunie! Ten chłopak ośmieszył mnie, pohańbił moją córkę i znieważył świętość moich runów, a ty chcesz, bym uznał go za swojego syna, tak po prostu? Już prędzej pozwolę, by Renna wyszła za drzewnego demona!

– Renna jest już w takim wieku, że powinna wyjść za mąż i wychowywać własne dzieci!

– Co nie oznacza, że mam ją oddać jakiemuś zapijaczonemu nierobowi tylko dlatego, że położył się na niej w stogu siana – warknął Harl, złapał Rennę za ramię i pociągnął w kierunku wozu. Dziewczyna spojrzała z rozpaczą na Cobiego, gdy odjeżdżali spod świątyni.

14

Wychodek

333 ROK PLAGI, WIOSNA

Gdy gospodarstwo znalazło się w zasięgu wzroku, Renna obrzuciła drogę tęsknym spojrzeniem.

– Wiem, co ci chodzi po łbie, dziewucho – oznajmił Harl. – Myślisz se o tym, jak by tu pójść w ślady siostry nierządniczy i zwiać z tym chłopakiem.

Renna nie odezwała się ani słowem, lecz poczuła, jak policzki oblewa jej gorący rumieniec. Trudno było o lepszy dowód, że ojciec trafił w sedno.

– Cóż, lepiej se to przemyśl – rzekł Harl. – Nie pozwolę ci okryć rodziny hańbą, jak to zrobiła Lainie. Zwiąła z facetem, którego żona ledwie umarła, pamiętasz? Cała wieś ciągle o tym gada i wszyscy patrzą z niechęcią na starego Harla, obwiniając go o to, że wychował taką nierządnicę. Ty zaś robisz wszystko, co w twojej mocy, by zasłużyć sobie na podobną opinię. No, tobie się to nie uda, dziewucho. Już prędzej pościeram własne runy, niż dam ci się wciągnąć w coś podobnego. Nawet nie myśl o ucieczce, bo od razu wpakuję cię do wychodka, nawet jeśli będę musiał zasuwać aż do Południowej Stancy, by cię dorwać.

Renna zerknęła na niewielką, rozpadającą się szopę na podwórzu, która pełniła funkcję wychodka, i poczuła, jak krew staje jej lodem w żyłach. Ojciec jak dotąd nigdy jej tam nie zamknął, choć kilkakrotnie uczynił to z Ilain i raz z Beni. Do tej pory wyraźnie pamiętała ich wrzaski.

Po odejściu Beni i Lucika Renna zajęła ich niewielki pokoik, który zresztą kiedyś dzieliła z siostrą. Natychmiast przeniosła tam swój skromny dobytek i drżącymi rękami zatarasowała drzwi.

Gdy ułożyła się na łóżku, przytuliła do siebie Pannę Drapkę, swą ulubioną kotkę, która była brzemienna i wkrótce miała się okocić. Myśli Renny szybko umknęły ku Cobiemu, domowi na Ryneczku i gromadce własnych dzieci. Marzenia te pocieszały ją i podtrzymywały na duchu, lecz długo nie spuściła oka z drzwi. Wreszcie zapadła w sen.

Przez kilka następnych dni ze wszelkich sił starała się unikać ojca. Nie przysparzało to szczególnych trudności, bo chociaż wiosenne obsiewy były już zakończone, nadal we dwójkę musieli wykonywać pracę sześciu osób. Samo nakarmienie zwierząt i wyczyszczenie obory zajmowało Rennie cały poranek, a przecież do jej obowiązków należało również dojenie, strzyżenie i ubój, przygotowywanie trzech posiłków dziennie, cerowanie odzieży, wyrób masła i sera, garbowanie skór i mnóstwo innych zajęć. Mimo to pogrążała się w pracy bez słowa skargi, była nawet wdzięczna, bo praca dawała jej wymówkę, by trzymać się z dala od Harla.

Co rano dziewczyna obwiązywała ciasno piersi i pozostawiała skołtunione włosy, nie myła też twarzy. Na szczęście, jak na razie było tyle pracy, że Harl nie miał czasu na lubieżne myśli. Samo sprawdzanie słupów runicznych wokół pól trwało całe godziny. Każdy wymagał starannego sprawdzenia, czy runy nie zatarły się i nadal nie ma między nimi luk. Wystarczyłoby ptasie guano lub skaza na drewnie, by run utracił część swej mocy, a wtedy demon mógłby się przecisnąć przez barierę.

Co więcej, nadal należało odchwaszczać pola i zbierać dojrzałe warzywa i owoce do ugotowania bądź zamarynowania. Poza tym nie było dnia, by nie należało czego naprawić czy naostrzyć.

Spotykali się właściwie dopiero w porze posiłków, a i wtedy niewiele rozmawiali. Renna pilnowała się, by nie pochylać się nad nim za bardzo podczas nakładania posiłków czy sprzątania ze stołu. Harl nigdy się nie zdradził, że przypatruje jej się w inny sposób, ale z biegiem czasu nastrój mu się pogarszał.

– Na Stwórcę, ależ mnie bołą plecy – powiedział pewnego wieczoru po kolacji, gdy nachylił się nad baryłką, by nalać sobie jeszcze jeden kufel piwa z Bagien. Napitek przysłała Meada po ceremonii pogrzebowej. Renna dawno straciła rachubę, ile piwa wypił ojciec tego wieczoru.

Harl sapnął z bólu, próbując się wyprostować, i nagle zatoczył się, rozlewając trunek. Renna odruchowo przypadła do ojca, złapała go i pochwyciła kufel. Harl oparł się na niej ciężko, a dziewczyna podprowadziła go do krzesła.

Renna i Beni niejednokrotnie musiały masować Harla, dlatego i tym razem córka bez namysłu zabrała się do pracy. Silnymi, wyćwiczonymi palcami tarła jego napięte, zeszywniałe mięśnie.

– Och, tak, dziewczyno – jęknął ojciec, zamknąwszy oczy i napierając lekko plecami. – Ty zawsze byłaś tą dobrą córką, Ren. Nie tak jak te twoje siostry, które za nic mają rodzinę. Nie wiem, jak to się stało, że w ogóle wyszłaś na ludzi, mając te dwie dezerterki za przykład.

Renna zakończyła masaż i już chciała się cofnąć, ale Harl złapał ją w tali i przyciągnął, nim zdołała odskoczyć. Uniósł głowę i dziewczyna ujrzała łzy w jego oczach.

– Ty mnie nie opuścisz, nieprawdaż? – zapytał.

– Nie, tato – odparła. – Oczywiście, że nie.

Uścisnęła go lekko i uwolniła się z jego objęć, po czym napełniła kufel i postawiła przed Harlem.

* * *

Ze snu wyrwał ją łoskot, od którego zatrzęsły się drzwi. Renna wyskoczyła z łóżka i narzuciła suknię, ale nie rozległ się już żaden dźwięk. Podkraśla się do drzwi i przyłożyła ucho do drewna. Po chwili usłyszała cichy, chrapliwy oddech.

Ostrożnie uniosła zasuwę i uchyliła lekko drzwi. Jej ojciec nieprzytomny leżał na podłodze, a przód jego koszuli nocnej plamiły wymiociny.

– Stwórcu, dodaj mi sił – pomodliła się Renna.

Namoczyła szmatkę, starła wymiociny, a potem podźwignęła ojca i na pół zniosła, na pół zawlekła do jego pokoju.

Harl zaszlochał, gdy dźwignęła go na łóżko, i przywarł do niej kurczowo.

– Nie mogę stracić i ciebie – płakał.

Renna usiadła niezręcznie na skraju łóżka, obejmując go, a gdy wreszcie jego szloch ustał i ojciec zapadł w sen, wyswobodziła się z objęć, wróciła do swojego pokoju i znów założyła kłódę na drzwi.

* * *

Następnego dnia rano Renna wybrała się do kurnika po jajka, a gdy wróciła do domu, ujrzała, jak Harl usuwa gwoździe z zawiasów w jej pokoju.

– Co, drzwi się zepsuły? – zapytała ze ściśniętym sercem.

– Nie – burknął Harl. – Potrzebuję kilku desek, żeby załatać dziurę w ścianie obory. Nie martw się, te drzwi na nic się już nie przydadzą. Żadne małżeństwo nie będzie już tu sypiać.

Wyrwał drzwi i postępując, zataszczył je do obory. Renna tylko patrzyła oszołomiona.

Przez resztę dnia czuła się jak przerażone zwierzątko, a w nocy nie zmrużyła oka, przypatrując się tylko czujnie grubej kotarze zawieszanej w przejściu.

Zasłona jednak się nie poruszyła, ani tej nocy, ani następnej przez cały tydzień.

* * *

Renna nie była pewna, co wyrwało ją ze snu. Otchłańce przestały atakować runiczną barierę wokół gospodarstwa, ich wrzaski ucichły wreszcie, gdy udały się na poszukiwanie łatwiejszej zdobyczy.

Słaba poświata przebijała zza kotary. We wspólnej izbie płonął niewielki ogień, którzy rzucał poblask na jej łóżko, poza tym niewielki pokoik skrywały ciemności.

Renna jednakże natychmiast się zorientowała, że nie jest sama. Ojciec znajdował się w pokoju.

Napomniała się w duchu, by zachować spokój. Nawet nie drgnęła, starała się tylko spojrzeniem przebić ciemność. Wmawiała sobie, że to tylko sen, lecz na próżno – czuła smród przetrawionego piwa i potu, słyszała oddech. Deski podłogi zaskrzypiały cicho, gdy Harl przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę. Renna czekała, lecz ojciec stał tylko nad nią i przyglądał się.

Czy robił to wcześniej? Czy wkradał się już do jej pokoju i przyglądał Rennie, jak śpi? Na samą myśl zrobiło jej się niedobrze. Bała się choćby drgnąć. Zerknęła na kotarę, ale ucieczka tą drogą wydawała się niemożliwa. Od wyjścia dzieliły Rennę cztery kroki, a Harl mógł ją dopaść jednym susem.

Blżej było okno, ale nawet gdyby udało jej się otworzyć okiennice i uciec z pokoju, nie na wiele się to zda. Wszak na zewnątrz czyhały demony. Był przecież środek nocy.

Rennie wydawało się, że czas zwolnił, gdy rozpaczliwie usiłowała obmyślić drogę ucieczki. Gdyby przebiegła przez podwórze, może zdołałaby dotrzeć do obory, nim dopadłby ją jakiś otchłaniec. Wielka obora była przecież chroniona własną barierą i niepołączona z domem. Gdyby dziewczynie się powiodło, doczekałaby do rana i może do tego czasu ojca zmógłby wypity alkohol.

Nie był to najrozsądniejszy plan. Raczej samobójstwo. Ale dokąd miałyby uciec? Była więźniem własnego domu aż do wschodu słońca.

Dziewczyna wstrzymała oddech, gdy Harl znowu się poruszył. Powoli podszedł do jej łóżka. Renna zamarła niczym królik sparalizowany strachem. Gdy stanął w nikłym blasku bijącym z ogniska, ujrzała, że ojciec ma na sobie jedynie nocną koszulę, przez którą wyraźnie widać jego erekcję. Podszedł bliżej i dotknął włosów córki. Poglądził je, a potem pochylił się, by je powąchać, po czym pogłaskał Rennę po policzku.

– Zupełnie jak twoja mama – wyszeptał Harl. Musnął jej szyję i gładką skórę piersi. Nacisnął lekko.

Renna wrzasnęła. Panna Drapka przebudziła się i syknęła gniewnie, wbijając pazury w ramię Harla. Ten wrzasnął, poderwał się, a wtedy przerażenie dodało Rennie sił. Pchnęła go w pierś. Pijany mężczyzna stracił równowagę i runął na podłogę, a dziewczyna w okamgnieniu znalazła się po drugiej stronie kotary.

– Wracaj tu natychmiast! – krzyknął Harl, ale nie posłuchała. Popędziła ku drzwiom mniejszej obory. Ojciec, potykając się, pognął za nią, ale zaplątał się w kotarę.

Nim się uwolnił, zerwawszy grubą tkaninę, Renna zatrzasnęła już za sobą drzwi obory. Niestety, od środka nie było zamka. Dziewczyna pochwyciła więc stare, ciężkie siodło, rzuciła pod próg i wskoczyła do jednego z boksów.

– Niech cię Otchłań porwie, Renna! Co w ciebie wstąpiło? – wrzeszczał Harl, pchnąwszy drzwi. Przewrócił się o siodło i zaklął szpetnie.

– Jeśli nie wyjdiesz w tej chwili, skórę pasami będę ci z tyłka darł, dziewucho! – ryknął, zerwał ze ściany rzemienne lejce i strzelił nimi jak batem.

Renna nie odpowiedziała. Kulila się w ciemnościach pustego boksu, za starą beczką na deszczówkę, a Harl w pośpiechu szukał hubki i krzesiwa. W końcu zajaśniał wąty płomyk świeczki, który rozproszył mrok. Cienie zatańczyły na ścianach obórki.

– Gdzie się schowałeś, dziewucho? – zawołał Harl, rozpoczynając poszukiwania. – Będę musiał wywlec cię z kryjówki, a to może zabołeć!

Znów strzelił wodzami dla podkreślenia swoich słów, a serce Renny zamarło. Na zewnątrz demony, zwabione zamieszaniami w domu, z nowym zapalem natarły na runy. Rozbłyśki przenikały przez szczeliny w drewnie, a dzikim wrzaskom potworów towarzyszył suchy trzask magii.

Harl zbliżał się powoli. Przy każdym jego kroku dziewczyna napinała mięśnie coraz mocniej, aż uświadomiła sobie, że jeszcze chwila i coś w niej pęknie. Mamrotane pod nosem przekleństwa ojca stawały się coraz dosadniejsze i bardziej złowrogie, z frustracji zaczął też tłuc naokoło siebie rzemieniem.

Dzieliły ich cale, gdy Renna poderwała się i popędziła w głąb obory. Przypadła do ściany i odwróciła się osaczona, rozpaczliwie szukając drogi ucieczki.

– Nie wiem, co ci strzeliło do łba, dziewucho – rzekł Harl. – Coś mi się wydaje, że trzeba ci wbić do tej pustej głowy nieco zdrowego rozsądku.

Renna wiedziała, że tym razem nie uda jej się już przemknąć obok, więc rzuciła się do drabiny, by dostać się na strych. Próbowwała ją wciągnąć za sobą, ale Harl z wrzaskiem złapał za ostatni szczebel i szarpnął z taką siłą, że dziewczyna nieomal spadła na ziemię. W ostatniej chwili odzyskała równowagę, lecz drabina znalazła się już poza jej zasięgiem. Harl zawiesił lampę na gwoździu i rozpoczął wspinaczkę, trzymając wodze w zębach.

Renna wyczekała na właściwy moment, a potem powodowana rozpaczą z całej siły kopnęła ojca prosto w twarz. Spadł z drabiny, lecz słoma rozrzucona na podłodze złagodziła upadek. Harl zerwał się natychmiast i znów pomknął na górę. Renna i tym razem powitała go kopnięciem, lecz ojciec był przygotowany – złapał ją za stopę i pchnął z całej siły, przewracając córkę na podłogę strychu.

W chwilę później był tuż obok i tym razem Renna nie miała już dokąd uciec. Ledwie zdołała się unieść, gdy rąbnął ją pięścią w twarz. Przed jej oczami eksplodowała jasność.

– Sama się o to prosisz, dziewucho! – stwierdził i uderzył ją w żołądek. Renna jęknęła z bólu, nie mogła złapać tchu, gdy muskularna, żylasta dłoń Harla pochwyciła jej koszulę nocną i rozdarła ją na pół.

– Proszę, tato! Błagam! – wrzasnęła. – Nie!

– Nie? – powtórzył, śmiejąc się ochryple. – A odkąd to mówisz „nie” chłopakom na strychu? Czy to aby nie tutaj popełniasz swoje grzeszki? To nie tu przynosisz hańbę swojej rodzinie? Nadziewasz się na każdego pijaka, który zaśnie w oborze, ale dla własnego ojca

jesteś za dobra, co?

– Nie!

– No bo nie jesteś, żeby cię Otchłań pochłoneła – oznajmił Harl, złapał Rennę za szyję i wbił jej twarz w siano, po czym podciągnął swoją koszulę.

* * *

Gdy skończył, Renna tylko leżała na sianie, płacząc. Harl spoczywał bezwładny, zupełnie jakby opuściły go wszystkie siły. Odepchnęła go mocno, stoczył się z niej, nie stawiając oporu.

Naszła ją myśl, by zepchnąć go ze stryszku. Spadłby i może złamałby sobie kark. Jednak Renna nie była w stanie opanować rozpaczliwego szlochu na tyle, by się podnieść. Jej policzek i warga pulsowały po uderzeniach, podobnie jak żołądek, lecz nic nie mogło się równać z bólem, który płonął między jej nogami. Nawet jeśli Harl spostrzegł najlepszy dowód na to, że nigdy wcześniej nie była z mężczyzną, nie dał tego po sobie poznać.

– No i po wszystkim, dziewucho – rzekł i poklepał ją lekko po ramieniu. – No, teraz się porządnie wypłacz. Ilain to pomagało, przynajmniej na początku, zanim to polubiła.

Renna skrzywiła się. Ilain nigdy tego nie lubiła, bez względu na to, co mówił ojciec.

– Jeśli zrobisz to raz jeszcze – powiedziała – rozpowiem o tym na Ryneczku.

Harl zaśmiał się chrapliwie.

– Nikt ci nie uwierzy. Wszystkie te świętobliwe żoneczki pomyślą sobie, że miejscowa zdzira szuka tylko sposobności, by się spoufalić i dopaść kogoś z ich mężów. Żadna z nich się nie przejmie. A poza tym – dodał po chwili, zaciskając swą sękatą dłoń na gardle córki – jeśli komuś powiesz, to cię zabiję.

* * *

Dziewczyna stała na chronionym runami ganku i patrzyła, jak zachodzi słońce. W miarę jak niebo nabierało coraz intensywniejszych kolorów, otulała się ciasniej pledem. Jeszcze nie tak dawno stała tak co wieczór i patrzyła na wschód, marząc o dniu, kiedy Arlen Bales powróci z Wolnych Miast, by wypełnić obietnicę i ją stąd zabrać. Wciąż co wieczór patrzyła na drogę, lecz tym razem na zachód, modląc się, by przyjechał po nią Cobie Fisher. Czy wciąż o niej myślał? Czy mówił wtedy na poważnie? Ale czy w takim razie nie przybyłby już po Rennę, gdyby mu zależało?

Co noc jej nadzieja gasła, w końcu pozostał tylko wąty ogienek, który z czasem zamienił się w węgielek zagrzebany w piasku, odrobina ciepła zachowana na dzień, który pewnie nigdy nie nadejdzie.

Niemniej Renna gotowa była zrobić wszystko, by choć chwilę dłużej pozostać na

zewnątrz, pielęgnować marzenie, które łagodziło jej cierpienie w tym samym stopniu, co je rozpalało. Wiedziała, że lada chwila będzie musiała wrócić do domu, podać ojcu obiad, a potem wypełnić wieczorne obowiązki, czując na sobie jego spojrzenie, aż do chwili, gdy Harl oznajmi, że czas na spoczynek.

A wtedy Renna uda się posłusznie do jego łóżka i będzie leżeć, czekając, aż zrobi swoje. Myślała o Ilain, która przez lata musiała znosić tę torturę. Renna była wtedy zbyt młoda, by zrozumieć, co się dzieje. Teraz nie umiała pojąć, jak siostronom udało się ocalić zdrowe zmysły. Jednak Ilain i Beni zawsze były silne.

– Robi się ciemno! – zawołał Harl. – Włóż i zamknij drzwi, zanim otchłańce cię dorwą.

Na krótką chwilę dziewczyna uchwyciła się tego pomysłu. Przecież lada moment otchłańce powstaną z ziemi! Nic prostszego, jak tylko przejść przez runy i zakończyć tę męczarnię.

Renna odkryła jednak, że i na to brak jej sił. Odwróciła się i weszła do środka.

* * *

– Och, Wełniaczu, przestań się na mnie boczyć – powiedziała do owcy, ścinając jej futro. – Jak nadejdą upały, będziesz mi wdzięczny, że uwolniłam cię od tych długasných kłaków.

Beni i chłopcy natrzęsali się z niej, gdy przemawiała do zwierząt jak do ludzi, ale po ich wyjeździe Renna złapała się na tym, że robi to coraz częściej. Koty, psy i zwierzęta w oborze były jej jedynymi przyjaciółmi na tym świecie i gdy Harl pracował w polu, ze współczuciem nadstawiały ucha, a Renna dzieliła się z nimi swym bólem.

– Renna! – usłyszała za plecami szept.

Dziewczyna aż podskoczyła, a ukłuty przez przypadek Wełniaczek zabeczał. Nie usłyszała go nawet. Odwróciła się gwałtownie i zamarła. Ledwie kilka stóp za nią stał Cobie Fisher.

Upuściła nożyce i rozejrzała się w panice, lecz nie dostrzegła Harla. Był daleko na polu, gdzie wrywał chwasty, co bez wątpienia zabierze mu jeszcze dobre parę godzin. Renna wolała jednak nie ryzykować. Złapała Cobiego za ramię i wciągnęła go do wielkiej obory.

– Co ty tu robisz? – szepnęła.

– Wiozę kilka baryłek ryżu do gospodarstwa Macka – rzekł Cobie. – Spędzę tam noc, a rano wrócę do Ryneczku.

– Mój ojciec zabije cię, jak cię tu zobaczy.

– Wiem. – Cobie pokiwał głową. – Wiem i gdzieś to mam.

Pogmerał chwilę w sakwie na listy i wyciągnął długi naszyjnik z gładkich otoczków nanizanych na mocny rzemyk, spięty sprzączką z rybiej kości.

– Na nic droższego nie było mnie stać. – Podał go Rennie.

– Jest piękny – powiedziała, przyjmując dar. Owinęła nim dwukrotnie szyję, a mimo to wciąż sięgał poniżej jej piersi.

– Ciągłe o tobie myślę, Renna – rzekł Cobie. – Opiekun Harral i mój ojciec kazali mi zapomnieć, ale ja nie potrafię. Widzę cię za każdym razem, gdy zamknę oczy. Przyjadę tu jutro po ciebie i chcę, byś ze mną wróciła. Jakoś ubłagamy Opiekuna, by udzielił nam ślubu, jestem tego pewien. Udzielił w końcu ślubu twojej siostrze po ucieczce z Jephem. Gdy połączymy się przed Stwórcą, twój ojciec już nie zdoła nas rozłączyć.

– Przyniesiesz? – zapytała Renna, a jej oczy zaszkliły się od łez.

Cobie przytaknął i przyciągnął dziewczynę do pocałunku.

Był jednakże panem sytuacji jedynie przez chwilę. Renna bowiem przycisnęła go do ściany obory i osunęła się na kolana. Bez wahania zabrała się do dzieła, a Cobie aż westchnął z rozkoszy, złościąc paznokciami szramy w deskach. Kolana ugięły się pod nim, przykleknął, a wtedy Renna stanęła nad nim w rozkroku i uniosła spódnice.

– Ja... Ja nigdy... – wyjąkał Cobie, ale dziewczyna przyłożyła mu palec do ust, po czym ostrożnie wsunęła w siebie jego członka.

Chłopak odrzucił głowę, a Renna uśmiechnęła się. W niczym nie przypominało to szorstkich, brutalnych, pozbawionych uczucia chwil z Harlem. Było tak, jak być powinno. Obsypała twarz Cobiego pocałunkami, unosząc się i opadając, zmierzając ku własnemu uniesieniu. Dłonie chłopaka nie przestawały błądzić po jej ciele.

– Kocham cię – wyszeptał, gdy doszedł. Dziewczyna krzyknęła cicho i znów go ucałowała. Trwali przez chwilę w czułym, ciepłym uścisku, a potem podnieśli się i ubrali. Renna przezornie wyjrzała zza rogu obory, ale Harla nadal nigdzie nie było widać.

– Ojciec wcześniej wychodzi na pola – powiedziała Renna. – Wraca zaś dopiero na drugie śniadanie, a więc to najlepszy moment.

– Będziemy w Świętym Domu, nim się spostrzeże, że cię nie ma – rzekł Cobie, ściskając ją mocno. – Spakuj rzeczy i bądź w pogotowiu. Przybędę najwcześniej jak się da.

– Nie mam co pakować. Sama robię za swój posag, ale przysięgam, że będę dobrą żoną. Potrafię gotować, kreślić runy, zajmować się domem...

– Nie chcę posagu – roześmiał się Cobie. – Chcę tylko ciebie.

* * *

Renna skryła naszyjnik w kieszeni fartucha i przez resztę dnia, a także w nocy zachowywała się posłuszenie, by nie wzbudzić w ojcu podejrzeń. W istocie nie miała niczego do spakowania, ale odwiedziła i pożegnała swych zwierzęcych przyjaciół. Nad Panną Drapką uрониła kilka łez, żałując, iż nigdy nie ujrzy jej kociąt.

– Gdy twoje maleństwa przyjdą na świat, będziesz już Panią Drapką – powiedziała jej. – Nawet jeśli ów kocur niecnota nie będzie raczył ci przy nich pomóc.

Przyjrzała się zwierzętom w oborze, aż dojrzała kota, który najprawdopodobniej był ojcem nienarodzonych jeszcze kociąt.

– Zajmij się małymi – napomniała go cicho, by nie usłyszał jej ojciec – bo wrócę i wrzucę cię do koryta z wodą!

Przez całą noc nie zmrużyła oka, słuchając chrapania leżącego obok Harla. Gdy pierwsze promienie słońca wniknęły przez szpary w okiennicach, nastawiła ogień na owsiankę i wyszła po jajka do kurnika. Wypełniła poranne obowiązki ze świadomością, że zajmuje się nimi po raz ostatni. Nie mogła się powstrzymać, by nie zerkać na trakt.

Nie musiała długo czekać. W oddali zabrzmiał tętent kopyt, lecz urwał się, nim stał się zbyt głośny. W chwilę później zza zakrętu wybiegł Cobie, spocony i bez tchu.

– Galopowałem przez całą drogę! – wysapał, całując Rennę. – Nie mogłem się doczekać!

Szyszka musiała odsapnąć, więc Cobie przywiązał ją za oborą, a dziewczyna zaczerpnęła wody ze studni. Klacz piła łapczywie, a potem zaczęła się paść. Młodzi zaś wpadli sobie w ramiona i już po chwili Renna wypięła się ku Cobiemu, zarzuciwszy spódnicę na plecy. I tak właśnie przyłapał ich Harl.

– Wiedziałem! – ryknął i z całej siły rąbnął Cobiego drzewcem wideł w głowę. Chłopak zatoczył się i przewrócił.

– Cobie! – krzyknęła dziewczyna. W okamgnieniu przypadła do niego i otuliła ramionami, gdy próbował wstać.

– Od razu wiedziałem, że coś się święci, gdy zobaczyłem, jak beczysz nad kotami, dziewucho – warknął Harl. – Co, masz ojca za idiotę?

– Gdzieś to mam! – wrzasnęła Renna. – Cobie i ja kochamy się i wyjeżdżam z nim!

– Prędeż mnie Otchłań pochłonie! – Harl złapał ją za ramię. – Do domu, i to w tej chwili, bo popamiętasz!

Lecz wtedy na nadgarstku Harla zacisnęła się silna dłoń Cobiego. Chłopak szarpnął i w jednej chwili uwolnił Rennę od ojca.

– Proszę o wybaczenie – powiedział. – Ale nie pozwolę na to.

Harl odwrócił się i parsknął:

– Cóż, chłopcze, żebyś tylko potem nie mówił, że się o to nie prosiłeś!

I z tymi słowami kopnął Cobiego w krocze.

Ten nie zdążył jeszcze nawet podciągnąć spodni i zgoła nic nie chroniło go przed ciężkim butem Harla. Z jękiem złapał się za krocze i zgiął w pół. Harl zaś pchnął Rennę na ziemię, złapał za widły i bez litości zaczął okładać bezbronного Cobiego.

– No, to typowe dla takich gnojków jak ty! – splunął. – Gnębić słabszych to potrafisz, ale założę się, że sam nigdy w prawdziwej bójce udziału nie wzięłeś.

Cobie puścił krocze i próbował się usunąć, ale spodnie zaplątane wokół nóg kępowały mu ruchy. Co rusz próbował powstać, ale padał z krzykiem, powalony kolejnym celnym ciosem Harla. W końcu zaległ nieruchomo na ziemi, zakrwawiony i półprzytomny, a starzec

wbił widły w ziemię i wyciągnął długi nóż z pochwy za pasem.

– Mówiłem, co ci zrobię, jak cię jeszcze raz przyłapię z moją córką – oznajmił, podchodząc bliżej. – No, to pożegnaj się ze swoimi jajami.

Cobie wytrzeszczył oczy z przerażenia.

– Nie! – Renna z wrzaskiem skoczyła ojcu na plecy i oplótła go rękami i nogami. – Uciekaj, Cobie! Uciekaj!

Harl krzyknął, usiłując zrzucić dziewczynę. Życie wypełnione ciężką pracą sprawiło, że Rennie sił nie brakowało, ale Harl odwrócił się i grzmotnął nią o ścianę obory. Uderzenie zaparło jej dech w piersi i nim na powrót nabrała tchu, Harl uderzył po raz drugi i trzeci. Uścisk dziewczyny osłabł, a wtedy ojciec złapał ją za rękę i cisnął na ziemię.

Wzrok jej się zamglił od bólu, lecz mimo to ujrzała jeszcze, jak Cobie podciąga spodnie i wskakuje na konia. Nim Harl zdołał pochwycić za widły, chłopak uderzył już piętami w boki Szyszki i pogalopował drogą.

– To było ostatnie ostrzeżenie, chłopcze! Trzymaj się z daleka od mojej córki albo zadbam, żebyś nie miał czym siurać! Zaś co do ciebie, dziewucho – Harl odwrócił się do Renny – powiedziałem ci już chyba, jaki los spotyka tu niecnoty.

Złapał córkę za włosy i powłókł do domu. Krzyknęła z bólu, ale oszołomiona nie potrafiła stawić mu czoła i szła posłusznie, potykając się.

W połowie drogi przez podwórze uświadomiła sobie, że wcale nie tam zierają. Harl prowadził ją do wychodka.

– Nie! – wrzasnęła, zapominając o bólu rwanych włosów, i zaparła się mocno nogami. – Stwórco, błagam! Nie!

– Co, myślisz sobie, że Stwórca ci pomoże, po tym jak nagrzeszyłaś w blasku dnia? – zapytał Harl. – Zrozum, robię to właśnie w Jego imieniu.

Szarpnął mocno Rennie, przełamując jej opór.

– Tato, błagam! – krzyczała. – Obiecuję, że już będę dobra!

– Raz już złożyłaś tę obietnicę, dziewucho, i spójrz, co z tego wynikło – odparł Harl. – Już dawno powinienem był to zrobić. Miałbym pewność, że bierzesz mnie na serio.

Pchnął ją bez litości i Renna wpadła do szopy. Wyrznęła o ławkę z wyciętą dziurą, objając sobie plecy. Zdusiła w sobie ból i poderwała się, chcąc uciec, ale Harl zatrzymał ją uderzeniem w twarz. Rennie ogarnęła ciemność.

* * *

Odzyskała przytomność kilka godzin później. Nie od razu zorientowała się, gdzie jest, lecz odrętwienie pleców przypomniało Rennie o zderzeniu z ławką, a gdy poruszyła głowę, niemalże oślepił ją ból uderzonego policzka. Wspomnienia wróciły błyskawicznie i przerażona dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

Harl usłyszał jej wrzaski i walenie do drzwi. Podeszedł i kilkakrotnie stuknął kościaną ręką nożem o ścianę.

– Ucisz się lepiej! To dla twojego własnego dobra!

Renna zlekceważyła jego słowa, wrzeszcząc i kopiąc ze wszystkich sił.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił – powiedział Harl na tyle głośno, by przekrzyczeć czyniony przez nią hałas. – Te deski są stare i spróchniałe, szkoda, żeby popękały przed zachodem słońca. Nie chcesz chyba naruszyć jakiegoś runu, co?

Renna uciszyła się natychmiast.

– Proszę – zaszlochała przez zamknięte drzwi. – Nie zostawiaj mnie tu na noc! Będę już posłuszna!

– Pewnie, że będziesz, niech to Otchłań porwie – stwierdził Harl. – Po tej nocy sama przepędzisz chłoptasia Fisherów, jak się tu jeszcze kiedyś pojawi.

* * *

W niewielkiej szopie panował nieznośny skwar, a w powietrzu unosił się duszący zapach ekskrementów. W ścianie znajdowało się okienko, ale Renna nie ośmieliła się go otworzyć z obawy przed naruszeniem bariery runicznej. Muchy brzęczały głośno nad beczką z nieczystościami umieszczoną pod drewnianą deską z dziurą.

Przez szpary w ścianie widziała, jak słońce zaczyna chować się za horyzontem. Renna modliła się, by Harl powrócił. Liczyła na to, że miał jedynie zamiar ją wystraszyć, lecz resztki nadziei gasły wraz ze światłem słonecznym. Na zewnątrz już wstawały otchłańce. Dziewczyna sięgnęła do kieszeni fartucha i wyciągnęła naszyjnik podarowany jej przez Cobiego. Wtuliła się w wypolerowane kamienie, poszukując siły i otuchy.

Demony zjawiały się w ciszy. Ludzie powiadali, że ciepło dnia unoszące się z ziemi przeciera im drogę z Otchłani, i Renna widziała, jak obłoczki mgły zbijają się, tworząc ciała najeżone pazurami, kłami i łuskami. Słyszała, jak serce wali jej w piersi.

Na zewnątrz rozległ się odgłos węszenia. Renna zeszywniała i ze strachu przygryzła usta. Siedziała w absolutnej ciszy i wyraźnie słyszała pazury drapiące ziemię podwórza, gdy przybysz ruszył za ostrym zapachem jej strachu.

Niespodziewanie warknął i natarł na runy, a te rozbłysły jaskrawo, odpierając atak. Blask przebił się przez szczeliny w ścianach i opromienił wnętrze szopy, a Renna wrzasnęła tak przeraźliwie, że niemal zdarła sobie gardło.

Runy wytrzymały, ale demona to nie zraziło. Rozległ się łopot skórzastych skrzydeł, a potem kolejny rozbłysk magii, tym razem z dachu. Szopa zatrzęsa się od uderzenia, a Renna znów wrzasnęła, gdy posypał się na nią kurz i drzazgi.

Wichrowy demon podjął jeszcze kilka prób. Skrzeczał rozwścieczony tym, że ofiara znajduje się tak blisko, a mimo to poza jego zasięgiem. Runy odrzucały go za każdym razem,

ale ataki wstrząsały rozklekotaną szopą, stare drewno skrzypiało i trzeszczało. Ile uderzeń jeszcze wytrzyma?

W końcu otchłaniec się poddał. Renna usłyszała łopot skrzydeł i cichnące wrzaski, gdy odlatywał w poszukiwaniu łatwiejszej zdobyczy.

Niemniej jej ciężka próba bynajmniej nie dobiegła końca. Każdy otchłaniec na podwórzu pochwyił już zapach dziewczyny. Ogniste demony drapały deski krótkimi pazurami, a uwięziona w środku Renna drżała, gdy runy przekształcały ich ogniste oddechy w fale zimna. O wiele gorsze okazały się drzewne demony, które przepędziły swych mniejszych pobratymców i tłukły w runy z takim zapałem, że cała konstrukcja trzęsła się w posadach. Dla Renny każdy rozbłysk był niczym fizyczne uderzenie. Opadła na podłogę, zwinęła się w kłębek i szlochała nieprzerwanie.

Miała wrażenie, że kara, której poddał ją ojciec, nigdy się nie zakończy. Jeden Stwórca wiedział, ile upłynęło czasu. Renna niespodziewanie złapała się na tym, że modli się, by runy wreszcie zawiodły, zanim wzejdzie słońce, co położyłoby kres jej męczarniom. Gdyby miała dość sił, by się podnieść, sama otworzyłaby drzwi i wpuściła demony.

Po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że nie potrafi już nawet płakać. Rozbłyski magii, wrzaski niosące się przez noc, smród nieczystości, wszystko to bladło wobec otchłani pierwotnego lęku, w które zapadała się Renna.

Kuliła się, naprężając mięśnie do granic możliwości. Łzy w ciszy płynęły z szeroko rozwartych oczu, gdy wpatrywała się w ciemność. Oddychała płytko, a serce łopotało w jej piersi niczym skrzydełka kolibra. Paznokcie żłobiły głębokie rysy w deskach podłogi, lecz dziewczyna nawet nie zdawała sobie sprawy z krwi i drzazg wbijających się w jej palce.

Nie zauważyła nawet, gdy trzaski magii ucichły i demony powróciły do Otchłani.

Rozległo się głuche szurnięcie, gdy Harl uniósł kłodę, ale Renna nawet nie drgnęła. Zareagowała, dopiero gdy drzwi stanęły otworem, wpuszczając do środka oślepiające światło wschodzącego słońca. Po wielu godzinach w mroku blask świtu poraził jej oczy, ale jednocześnie przebudził umysł. Renna nabrała głęboko tchu i poderwała się, zasłaniając oczy ramieniem, wrzeszcząc i wciskając się w najciemniejszy kąt wychodka.

Harl otoczył ją ramieniem i pogłodził jej włosy.

– No, już dobrze, dziewczyno – szepnął, nadal ją głaszcząc. – Mnie to bolało bardziej niż ciebie.

Objął ją mocno, lecz zarazem delikatnie, i kołysał, gdy szlochała.

– No, już po wszystkim, dziewczyno – powiedział. – Teraz wypłacz się porządnie. Wypłacz to z siebie.

Renna wczepiła się w niego i szlochała konwulsyjnie. Wreszcie się uspokoiła.

– To co? – zapytał ojciec, gdy doszła już do siebie. – Będzie już między nami lepiej? Nie chciałbym skazywać cię na to po raz kolejny.

Renna energicznie pokiwała głową.

– Obiecuję, tato – głos miała ochryply od wrzasków i płaczu.

– Zuch dziewczyna – rzekł Harl, wziął ją na ręce i zaniósł do domu, gdzie ułożył ją na posłaniu. Przygotował nawet gorący rosół, który zaserwował dziewczynie na drewnianej tacy.

Renna zjadła posiłek w łóżku. Nigdy wcześniej nie widziała, by ojciec szykował jedzenie, ale okazało się ono ciepłe, smaczne i syte.

– Wyśpij się – powiedział wieczorem. – Odpocznij, a gdy się obudzisz, będziesz zdrowa jak ryba.

Następnego ranka Renna w istocie poczuła się lepiej i z każdym dniem nabierała coraz więcej sił. Harl nie nachodził jej nocami, a za dnia pozwalał, by pracowała we własnym tempie. Czas płynął i w końcu Renna zrozumiała, że Cobie już po nią nie wróci.

Cóż, trudno, pomyślała.

Czasami, gdy była mniej pochłonięta obowiązkami, nachodziły ją wspomnienia, lecz odpędzała je natychmiast. Ta straszna noc dobiegła przecież końca, a Renna jest już dobrą córką, więc nie musi się obawiać, że znowu trafi do wychodka.

15

Opowieść Maricka

333 ROK PLAGI, ZIMA

Tłum zebrał się przed chatą Leeshy o zmierzchu, gdy na niebie wciąż ciągnęły się pomarańczowe i lawendowe pasma. Najpierw przyszła jedynie Darsy, potem Vika i reszta czeladniczek, ale wkrótce dołączył Gared z Rębaczami oraz Erny i reszta Patronów Runów w Zakątku wraz z uczniami. Przyszedł także Rojer oraz szklarz Benn, a po nich wielu innych, aż tłum ciekawskich wypełnił podwórze. Zebranych było o wiele więcej, niż mogłaby pomieścić chata, zresztą część z nich zdawała sobie z tego sprawę i przyniosła własne namioty.

Wielu spośród gości zareagowało na zachód słońca nerwowym poruszeniem, ale ufali Leeshy oraz mocy jej runów. Kamienny stół, znajdujący się w samym środku zgromadzenia, opromieniał blask latarni.

Zapadły już ciemności i nieopodal z ziemi wysączyło się kilka mglistych kształtów, lecz otchłańce umknęły natychmiast po materializacji. Już dawno się nauczyły, że forsowanie runów Leeshy może się dla nich źle skończyć.

Wkrótce przybył również Naznaczony, prowadząc swego ogromnego rumaka. Z grzbietu konia zwisało kilka demonich trupów.

Patroni Runów sprawnie dezaktywowali część bariery, by Naznaczony mógł wnieść ciała otchłańców do środka. Tam przejęli je Rębacze, którzy ułożyli truchła na kamiennym stole, gdy Patroni reaktywowali sieć.

– Nie zabrało ci to wiele czasu – powiedziała Leesha, gdy Naznaczony podszedł bliżej.

– Chciałaś po jednym z każdego rodzaju – wzruszył ramionami mężczyzna. – To żadne wyzwanie.

Leesha uśmiechnęła się i ujęła runiczne skalpele.

– Uwaga! – odezwała się głośno, podchodząc do drzewnego demona, by wykonać pierwsze nacięcie. – Rozpoczynamy zajęcia!

* * *

Rankiem ci, którzy pozostali na noc w chacie, spożyli wspólnie śniadanie. Prowadzeni przez Naznaczonego Rębacze ruszyli w las wkrótce po zakończeniu wykładu, by wypróbować świeżo zdobytą wiedzę w praktyce, ale większość pozostała za barierą aż do świtu.

Leesha kazała czeladnikom przygotować dużo owsianki, a sama uwarzyła kocioł herbaty. Miski i kubki rozdano gościom, którzy powoli wychodzili z namiotów, przecierając oczy z niewyspania.

Rojer siedział z dala od wszystkich na ganku, strojąc skrzyпки.

– To do ciebie niepodobne, by trzymać się na uboczu – zauważyła Leesha, podając mu miskę i siadając obok niego.

– Nie jestem głodny. – Rojer bez przekonania pomieszał łyżką w owsiance.

– Kendall dojdzie do siebie. Jej rany goją się szybko, a ona sama nie wini nikogo o to, co się wydarzyło.

– Może powinna.

– Masz unikalny dar – stwierdziła Leesha. – To nie twoja wina, że ciężko jest go nauczyć.

– Naprawdę? – zapytał Rojer. Leesha spojrzała na niego z zaciekawieniem, ale Rojer nie kwapił się z wyjaśnieniami. Odwrócił się i spojrzał na podwórze. – Mogłaś mi powiedzieć – rzekł.

– O czym? – zapytała Leesha, choć doskonale wiedziała, o co chodzi chłopakowi.

– O tobie i o Arlenie.

– Nie wydaje mi się, aby była to twoja sprawa.

– A miłosne eliksiry Kendall to niby twoja sprawa? – warknął Rojer. – Może mimo wszystko nie jestem aż tak beznadziejnym nauczycielem. Może ta dziewczyna po prostu myślała o słodkiej herbacie, zamiast się skupić na demonach!

– To niesprawiedliwe – rzekła Leesha. – Sądziłam, że wyświadczam ci przysługę!

Rojer obrzucił ją niechętnym spojrzeniem, które dotąd widziała tylko w jego przedstawieniach.

– Nie – burknął. – Ty tylko popchnęłaś mnie ku innej dziewczynie, by uspokoić wyrzuty sumienia. Dręczy cię, że nie jesteś mną zainteresowana. Bardziej przypominasz swoją matkę, niż ci się wydaje.

Leesha otworzyła usta, chcąc odpowiedzieć, ale nie znalazła żadnych argumentów. Rojer zaś odstawił miskę i podniósł się, po czym wsunął skrzyпce pod podbródek i zaczął grać wściekłą melodię, która zagłuszyłaby Leeszę, gdyby za nim zawołała.

* * *

Gdy Leesha i pozostali wrócili na Cmentarzysko Otchłańców, zastali tam chaos i zamieszanie. Ich oczom ukazały się tłumy obcych. Wielu ludzi było rannych. Jak jeden mąż brudni, wynędzniali i na poły wygłodzeni, siedzieli na zamrożonym bruku i milczeli z ponurymi minami. Wyglądali na skrajnie wyczerpanych.

Opiekun Jona uwijał się, wykrzykując polecenia do akolitów, którzy usiłowali przyjść z pomocą tym w największej potrzebie. Rębacze taszczyli ogromne pniaki, by przybysze mieli przynajmniej gdzie usiąść, ale zadanie okazało się chyba ponad ich siły. Nowo przybyłych było zbyt wielu.

– Stwórcy niech będą dzięki! – wykrzyknął Jona na widok Leeshy i jej towarzyszy. Vika, żona Opiekuna, podbiegła i wpadła mu w ramiona.

– Co się stało? – zapytała Leesha.

– To uchodźcy z Fortu Rizon – wyjaśnił Jona. – Zaczęli napływać dziś rano, ledwie kilka godzin po wschodzie słońca. Z każdą chwilą przybywają kolejni.

– Gdzie jest Wybawiciel? – wykrzyknęła jakaś kobieta w tłumie. – Powiedzieli, że tu jest!

– Zawiodła bariera runiczna? – zapytała Leesha.

– Nie, to niemożliwe – rzekł Erny. – Przecież Rizon jest otoczone setkami wsi, a każda z nich dysponuje własną barierą. Dlaczego wszyscy mieszkańcy mieliby rzucać się do ucieczki?

– Nie uciekaliśmy przed otchłańcami – powiedział znajomy głos.

Leesha odwróciła się i szerzej otworzyła oczy.

– Marick! – wykrzyknęła. – Co tu porabiasz?!

Posłaniec był przystojny, lecz teraz jego twarz szpeciły pożółkłe sińce, częściowo tylko przesłonięte długimi włosami i brodą. Gdy ruszył w jej stronę, Leesha dostrzegła, że utyka.

– Postanowiłem przezimować w Rizon, co okazało się błędem – odparł. – Na ogół to dobry pomysł, bo zimy na południu bywają łagodniejsze. Tego roku jednak wyszło inaczej – zaśmiał się gorzko.

– Jeśli nie demony, to co was napadło? – zapytała Leesha.

– Krasjanie. – Marick splunął w śnieg. – Zdaje się, że tym pustynnym szczyrom sprzykrzyło się już żarcie piasku i postanowili zapolować na cywilizowanych ludzi.

Leesha odszukała Rojera.

– Znajdź Arlena – szepnęła. – Przekonaj go, by zakradł się do miasta i zaczekał na nas na zapleczu tawerny Smitta. No, ruszaj!

Rojer skinął głową i znikł.

– Darsy, Vika – Leesha zwróciła się do pozostałych Zielarek – niech czeladniczki opatrzą rannych, a tych w najcięższym stanie natychmiast zanoszą do szpitala.

Obie kobiety ukłoniły się i pospieszyły do obowiązków.

– Jona, każ swoim akolitom przynieść nosze ze szpitala i pomóc moim dziewczynom.

Widząc, że Leesha wydaje polecenia, pozostali mieszkańcy zgromadzili się wokół niej,

nawet Smitt, Mówca i właściciel tawerny, czekał na jej słowa.

– Żywności póki co starczy – powiedziała Leesha. – Ci ludzie jednakże potrzebują przede wszystkim wody i ciepłego schronienia. Każ rozstawić weselne pawilony i inne namioty, jakie tylko znajdziesz, a każdemu, kto nie ma nic do roboty, każ nosić wodę. Jeśli nie starczy wody w strumieniu i studniach, trzeba będzie rozstawić wielkie kotły i stopić w nich śnieg.

– Zajmę się tym – rzekł Smitt.

– Od kiedy to cały Zakątek podskakuje na jedno twoje słowo? – zapytał Marick z krzywym uśmiechem.

– Muszę się teraz zająć rannymi, mistrzu Marick. – Leesha zmierzyła go surowym wzrokiem. – Niemniej gdy skończę, będę miała do ciebie wiele pytań.

– Jestem do twojej dyspozycji – uklonił się Marick.

– Dziękuję. Gdybyś mógł na tę okoliczność zebrać pozostałych przywódców waszej grupy, którzy mogliby uzupełnić twoją opowieść, byłoby wspaniale.

– Oczywiście.

– Rozlokuję ich w karczmie – wtrąciła Stefny, żona Smitta. – Pewnie napiłbyś się zimnego piwa i wrzucił coś na ząb, co? – zapytała Posłańca.

– O niczym innym nie marzę.

* * *

Na Leeshę czekało wiele złamanych kości do nastawienia i infekcji do odkażenia, głównie z popękanych pęcherzy na stopach, którymi nie było jak i kiedy się zająć. Uciekinierzy wiedzieli bowiem, że pozostanie z tyłu to pewna śmierć w paszczach otchłańców, dlatego szli bez względu na ból czy rany. Wielu również poraniły demony, które przedarły się przez zbyt pośpiesznie, a zatem nie zawsze starannie rozkładane kręgi runiczne. To, że tyłu uchodźców dotarło do Zakątka Wybawiciela, zakrawało na cud, zresztą z opowieści przybyłych Leesha dowiedziała się, że nie każdy miał to szczęście.

Wśród uchodźców znalazło się kilka Zielarek z najróżniejszymi umiejętnościami i Leesha, sprawdzwszy szybko, w jakim znajdują się stanie, przydzieliła im zadania. Od żadnej nie usłyszała nawet słowa skargi – taki los Zielarek, że zawsze musiały przedkładać potrzeby innych nad własne.

– Nigdy byśmy tu nie dotarli, gdyby nie Posłaniec Marick – przyznała kobieta, której Leesha opatrywała odmrożone palce u nóg. – Codziennie pokonywaliśmy szmat drogi, a na noc rozbijaliśmy obozowiska chronione przed otchłańcami barierami runicznymi. Bez Maricka nie przeżylibyśmy jednej nocy. Co rusz wyprzedzał nas, zabijał sarny z łuku i zostawiał na szlaku, byśmy mogli je zabrać po drodze.

Nim znów pojawił się Rojer, większość najciężej rannych została już opatrzona. Leesha powierzyła opiekę nad chorymi Darsy i Vice, a sama poszła z Minstrelem do swej izdebki.

Ledwie drzwi się zamknęły, Zielarka zatoczyła się i wsparła na ramieniu Rojera, wreszcie ulegając zmęczeniu. Było już późne popołudnie, a Leesha pracowała bez przerwy, opatrując pacjentów i odpowiadając na pytania zarówno swych czeladniczek, jak i starszych miasta. Za kilka godzin miał zapaść zmrok.

– Musisz odpocząć – powiedział Rojer, lecz kobieta pokręciła głową, po czym napełniła miednicę wodą i opłukała twarz.

– Jeszcze nie czas – odparła. – Udało się znaleźć schronienie dla wszystkich?

– Ledwie – rzekł Minstrel. – Z tego, co słyszałem, przybyłych jest dwa razy więcej niż mieszkańców Zakątka, a bez wątpienia jutro z rana napłyną kolejni. Ludzie wzięli niektórych do siebie do domów, reszta nocuje na ławkach w Świętym Domu, ale przynajmniej mają dach nad głową. Jak tak dalej pójdzie, do końca tygodnia każdy cal wielkiego runu okryją prowizoryczne namioty.

Leesha westchnęła.

– Będziemy się tym martwić z rana. Arlen czeka u Smitta.

– Nie, nie Arlen. Naznaczony – poprawił ją Rojer. – Nie nazywaj go tak w obecności innych ludzi.

– On ma tak na imię.

– Gdzieś to mam! – warknął Rojer, zaskoczony własną zajadłością. – Ci ludzie potrzebują czegoś wielkiego, w co mogliby uwierzyć, i na tę chwilę jest nim on. Nikt cię przecież nie prosi, byś nazywała go Wybawicielem.

Zaskoczona Leesha zamrugwała nerwowo.

– Przyzwyczaiłam się, że ludzie słuchają moich poleceń bez namysłu.

– Cóż, ja tego nigdy nie zrobię – rzekł Rojer. – Możesz być pewna.

– Przecież tego nie chcę – uśmiechnęła się Leesha. – Chodź, spotkajmy się z Naznaczonym.

* * *

Główna izba w tawernie Smitta pękała w szwach, choć była dwakroć większa od tej, która spłonęła w zeszłym roku. Smitt powitał Leeszę i Rojera skinieniem głowy i wskazał zaplecze. Para przecisnęła się przez tłum i znikła za ciężkimi drzwiami.

Naznaczony wyczekiwał ich, nerwowo spacerując od ściany do ściany niczym uwięzione zwierzę.

– Powinienem być teraz w lesie! – powitał ich ostrymi słowy. – Powinienem szukać kolejnych uchodźców i ratować ich przed nadchodzącym zmrokiem, a nie tracić czas na tajne narady!

– Spróbujemy więc się streszczać – rzekła Leesha. – Ale musimy porozmawiać.

Naznaczony pokiwał głową, choć po tym, jak zaciskał pięści, znać było rozsadzającą go

niecierpliwość. Smitt dołączył do nich w chwilę później, prowadząc Maricka, Stefny, Opiekuna Jonę, Erny'ego i Elonę.

Marick wbił spojrzenie w Naznaczonego, choć mężczyzna nie zdjął kaptura, a wytatuowane dłonie skrył w obszernych rękawach szaty.

– Czy ty... – zapytał Posłaniec. – Czy ty jesteś... nim?

Naznaczony odrzucił kaptur, ukazując oblicze. Maricka aż zatkało.

– Nie – pokręcił głową zapytany. – Jestem tylko człowiekiem, który nauczył się zabijać demony.

Jona parsknął.

– Coś ci stanęło w gardle, Opiekunie? – zapytał Naznaczony.

– Poprzedni Wybawiciele nigdy sami się nimi nie ogłaszali – rzekł Jona. – To inni nadawali im to miano.

Naznaczony obrzucił go niechętnym spojrzeniem, ale Jona uklonił się tylko.

– Nie ma to chyba znaczenia – rzekł Marick, choć w jego głosie pobrzmiwało lekkie rozczarowanie. – Nie spodziewałem się zresztą, że będziesz miał aureolę.

– Co się wydarzyło? – zapytał Naznaczony.

– Dwanaście dni temu Krasjanie splądrowali Fort Rizon – rzekł Marick. – Nadeszli w nocy, minęli okoliczne wsie, załatwili strażników na murach i o świcie otworzyli bramy miasta. Większość z nas nadal leżała w łóżkach, gdy rozpoczęła się masakra.

– Nadeszli nocą? – zdziwiła się Leesha. – Jak to w ogóle możliwe?

– Mają runiczną broń, która zabija demony – odparł Posłaniec. – Tak samo jak mieszkańcy Zakątka. Twierdzą, że nic nie jest ważniejsze od zabijania demonów, a Rizon wzięli tylko po to, by mieć jakieś zajęcie do zachodu słońca.

– Mów dalej – naciskał Naznaczony.

– Cóż, bez wątplenia najbardziej zależało im na spichlerzach, gdyż te splądrowali w pierwszej kolejności. Zabili też mężczyzn, którzy stawili im opór, i zgwałcili kobiety, które się jeszcze do gwałcenia nadawały.

Zerknął na obecne przy rozmowie kobiety i oblał się rumieńcem.

– Jakoś mnie nie dziwi, że mężczyźni zawsze robią to, co ich zdaniem ujdzie im na sucho – rzekła gorzko Elona. – No, dokończ opowieść, Posłańcze.

– Jestem pewien, że Krasjanie zabili tysiące ludzi tego pierwszego ranka, a potem obsadzili mury i bramy, by zatrzymać resztę w środku. Mieszkańcy miasta zostali pobici, związani, a potem stłoczeni w magazynach niczym bydło.

– A ty jak uciekłeś? – zapytał Naznaczony.

– Z początku nie sądziłem, że któryś z tych pustynnych szcurów mówi w cywilizowanej mowie – rzekł Marick. – Ja zaś znałem kilka ich słów, których nauczyłem się od innych Posłańców, ale były to głównie przekleństwa, więc raczej ciężko było rozpocząć jakąkolwiek rozmowę. Myślałem, że już po mnie, ale po upływie jednego dnia w magazynie zjawił się

grubas, który mówił biegle po naszymu. Zaczął wybierać szlachetnie urodzonych, posiadaczy ziemskich i co lepszych rzemieślników, by postawić ich przed obliczem krasjańskiego księcia. Znalazłem się w ich gronie.

– Widziałeś ich przywódcę? – zapytał Naznaczony.

– O tak, ujrzałem tego wielkiego skurwiela na własne oczy – odparł Marick. – Przywleczono mnie przed jego tron, pobitego i związanego, a gdy ten usłyszał, że jestem Patronem Runów, uwolnił mnie, zupełnie jakby nic się nie wydarzyło. Nawet dał mi sakiewkę złota, żeby mi wynagrodzić niewygody, których doznałem. Myślę, że pewnie chciał, bym go nauczył naszych runów, ale o świcie następnego dnia przedostałem się przez mur i uciekłem z miasta.

– Ten ich przywódca – naciskał Naznaczony. – Co on miał na sobie?

Marick zamrugał.

– Głowę owinał sobie szmatą, a na ramiona zarzucił białą szatę. Pod spodem miał czarną, identyczną z tymi, co noszą krasjańscy wojownicy. Miał też koronę, po tym się zorientowałem, że jest ich księciem.

– Koronę? Jesteś pewien? Nie był to po prostu klejnot zdobiący turban?

– Na pewno nie. To była korona, złota korona, wysadzana diamentami i wzmocniona runami. Niezłe cacko, zapewne warte więcej niż korony wszystkich innych książąt razem wzięte.

– A czy ów książę posługiwał się naszą mową? – pytał dalej Naznaczony.

– Lepiej niż niejeden znany mi Angieriańczyk.

– Jak miał na imię?

– Nie wydaje mi się, by ktokolwiek je wymienił – wzruszył ramionami Marick. – Zwracano się do niego jakimś słowem z ichniego języka. Shamaka czy coś w tym rodzaju. Doszedłem do wniosku, że to pewnie znaczy książę.

– Shar'Dama Ka? – zapytał Naznaczony.

– Tak – potwierdził Marick. – Zgadza się.

Naznaczony zaklął pod nosem.

– O co chodzi? – zapytała Leesha, ale mężczyzna nie zwrócił na nią uwagi i pochylił się ku Posłańcowi.

– Czy był mniej więcej tak wysoki? – zapytał, uniósłszy dłoń nad głowę. – Czy miał ostry, haczykowany nos i nosił rozdwojoną, naoliwioną brodę?

Marick pokiwał głową.

– Miał runiczną włócznię?

– Oni wszyscy takie mają.

– Tę akurat byś zapamiętał.

– Tak, zgadza się. Była metalowa od ostrza po koniec, na całej długości pokryta runami.

Naznaczony warknął tak złowieszczo, że nawet Marick, który nigdy nie wahał się w

obliczu zagrożenia, cofnął się o krok.

– O co chodzi? – powtórzyła pytanie Leesha.

– To Ahmann Jaridir – odparł. – Znam go.

– Co z tego? – dopytywała się, ale Naznaczony zbył ją machnięciem ręki.

– Na razie nic. Mów dalej – przykazał Posłańcowi. – Co się potem wydarzyło?

– Jak już mówiłem, wspiąłem się na mury i uciekłem z miasta, jak tylko Krasjanie mnie uwolnili – rzekł Marick. – Wsie, które przemierzyłem, zostały już w znacznej mierze porzucone. Gdy rozniosły się wieści o napaści, każdy roztrotny człowiek zebrał wszystko, co miało dla niego wartość, i czmychnął na szlak, nim krew na bruku Rizon zdążyła obeschnąć. Ci, którym nie starczyło sił bądź odwagi, by stawić czoła nocy poza domem, pozostali na miejscu. Sądzę, że tak naprawdę więcej ludzi zostało, niż uciekło, ale na trakcie widziałem dziesiątki tysięcy uchodźców. Kupiłem konia od jednego staruszka, który zdecydował się zostać w rodzinnej wsi, i pogalopowałem naprzód, by dogonić innych uciekinierów. Ich grupy były zbyt duże, by trzymać się razem, żadne miasto nie zdołałoby przyjąć takiej liczby uchodźców. Większość udała się do Lakton i sąsiednich wsi, gdzie do napełnienia żołądka wystarczy linka i haczyk, ale Minstrele sporo mówili o tobie – przy tych słowach wskazał palcem Naznaczonego. – Mówili też o innych, którzy uwierzyli, że jesteś Wybawicielem, i skupili się wokół ciebie. Ja musiałem co prawda wracać do Angiers i zdać raport księciu, ale przecież nie mogłem pozostawić tych ludzi własnemu losowi. Mało który znał się na rysowaniu runów, więc zaproponowałem im swoje usługi.

– Postąpiłeś bardzo szlachetnie, Maricku – Leesha położyła mu dłoń na ramieniu. – Ci ludzie nigdy by tu nie dotarli, gdyby nie ty. Idź już i odpocznij w izbie, a my tu się naradzimy.

– Mam dla ciebie pokoik na górze – rzekł Smitt. – Stefny cię odprowadzi.

Gdy tylko Posłaniec wyszedł, Naznaczony nałożył z powrotem kaptur.

– Nadchodzi zmrok. Jeśli na drodze są jeszcze jacyś uchodźcy, muszę dopilnować, by doczekali świtu.

Leesha kiwnęła głową.

– Weź ze sobą Gareda i Rębaczy, którzy potrafią jeździć konno.

– Weź swój płaszcz – przykazał Naznaczony Rojerowi. – Idziesz z nami.

Minstrel przytaknął i razem skierowali się do tylnego wyjścia.

– Będziecie potrzebowali Patrona Runów – oznajmił Erny i nasadził na nos okulary w drucianej oprawce, po czym wstał z krzesła. – Pójdę z wami.

Elona poderwała się błyskawicznie i pochwyciła go za ramię.

– Nie ma mowy, Erny!

Jej mąż zamrugał.

– Zawsze marudzisz, że brakuje mi odwagi. A teraz chcesz, bym się chował, gdy ludzie potrzebują mojej pomocy?

– Niczego mi nie udowodnisz, jeśli dasz się zabić – odparła Elona. – Nie jeździłeś konno

od lat!

– Co racja, to racja, tato – rzekła Leesha.

– Ty trzymaj się od tego z daleka – rzucił Erny. – Może masz na skinienie całe miasto, ale ja nadal jestem twoim ojcem.

– Nie ma na to czasu! – syknął Naznaczony. – Idziesz czy nie?

– Nie! – stwierdziła stanowczo Elona.

– Idę. – Erny wyswobodził ramię z jej uścisku i ruszył w ślad za resztą.

* * *

– Co za idiota! – wrzasnęła Elona, gdy zatrzęsęły się drzwi.

Pozostali spojrzeli po sobie.

– Zostańcie tu, jak długo chcecie – rzekł Smitt. – Ja muszę zająć się ludźmi w izbie głównej.

Wraz ze Stefny i Joną pospiesznie wyszli z pokoiku, zostawiając Leeszę sam na sam z jej rozwścieczoną matką.

– Nic mu nie będzie, mamó – powiedziała dziewczyna. – Nie ma bezpieczniejszego miejsca na świecie niż towarzystwo Rojera i Naznaczonego.

– Jest słabym, kruchym mężczyzną! – oznajmiła Elona. – Nie dotrzyma tempa młodym ludziom i zobaczysz, jeszcze się przeziębą i zachorują! Nigdy nie doszedł w pełni do siebie po chorobie, na którą zapadł rok temu.

– Nie wierzę własnym uszom, matko – Leesha była szczerze zaskoczona. – Mówisz, jakby ci naprawdę na nim zależało!

– Nie odzywaj się do mnie tym tonem! – warknęła Elona. – Oczywiście, że mi na nim zależy! Jest przecież moim mężem. Gdybyś wiedziała, co czuje kobieta zameżna od trzydziestu lat, nie wygłaszałaś tak głupich stwierdzeń.

Leesha chciała się odgryźć, chciała wykrzyczeć jej prosto w twarz wszystkie okropności, których matka dopuściła się wobec Erny'ego, jak choćby wielokrotne zdrady ze Steave'm, ojcem Gareda, ale powstrzymała ją nieoczekiwana szczerść, która zabrzmiała w głosie Elony.

– Masz rację, mamó – odparła. – Przepraszam.

– Co? – zamrugła Elona. – Mam rację? Czy właśnie przyznałaś mi rację?

– Tak – uśmiechnęła się Leesha.

Elona rozłożyła ramiona.

– Obejmij mnie, dziecko, i to szybko, póki ta chwila trwa.

Leesha roześmiała się i przytuliła ją mocno.

– Nic mu nie będzie – zapewniła, próbując pocieszyć siebie w tym samym stopniu co matkę.

– Jasne, masz rację – pokiwała głową Elona. – Twój wytatuowany przyjaciel wygląda jak potwór z koszmarnego snu, ale żaden demon nie jest w stanie mu zagrozić.

– Hej, obie przyznajemy sobie rację tej samej nocy, a ojca przy tym nie ma – rzekła Leesha. – Nigdy nam nie uwierzy.

– Z tym też się zgodzę – odparła Elona i otarła oczy chusteczką. Leesha udawała, że tego nie dostrzega. – To ten sam Marick, którego kiedyś oczarowałaś? – zapytała matka. – Tenże sam, z którym zbiegłaś do Angiers?

– Nigdy nie próbowałam go oczarować, matko – zaprotestowała dziewczyna.

Elona obruszyła się.

– Sprzedaj tę gadkę komuś, kto cię nie zna. Całe miasteczko wie, że miałaś na niego chętkę, nawet jeśli okazałaś się zbyt pruderyjna, by ulec uczuciom. Zresztą dlaczego nie? Jest atrakcyjny, przystojny jak dziki wilk, a do tego zahartowany Posłaniec! Każdej kobiecie odpowiadałby taki mężczyzna. Jak sądzisz, dlaczego Jared był tak o niego zazdrosny?

– Jared nie potrzebował powodu, by okazywać zazdrość, mamo.

– Tak, Jared w niczym nie różni się od swojego ojca – zgodziła się Elona. – Obaj są prostymi mężczyznami, bez reszty podporządkowanymi własnym pasjom.

Uśmiechnęła się przy tych słowach ze smutkiem i Leesha wiedziała, że myśli o Steavie, swej pierwszej miłości, mężczyźnie, który zmarł w zeszłym roku, gdy w Zakątku szalała zaraza i zawiodła bariera runiczna.

– Wygląda więc na to, że ów Marick, którego widziałam na szlaku, niewiele się od Gareda różnił.

– I zapewne użyłaś kilku sztuczek Zielarki, by trzymać go na dystans – odgadła Elona. – A mogłabyś skorzystać z sytuacji i nieźle się zabawić.

Nie pomyliła się wiele. Leesha w sekrecie podała Marickowi zioła, które wywołały impotencję, by położyć kres jego awansom na szlaku.

– Tak jak ty byś to zrobiła? – Leesha tym razem nie mogła się powstrzymać od złośliwości.

– Tak – odparła matka. – A czemu niby nie? Przecież sukni nie podrywa się bez powodu. Kobiety też mają potrzeby, podobnie jak mężczyźni. Nie oszukuj się, że jest inaczej.

– Wiem o tym, mamo – rzekła Leesha.

– Wiesz, a mimo to nadal ciasno wiążesz bieliznę i wierzysz, że asceza czyni cię bohaterką. Jak możesz zajmować się wszystkimi w Zakątku, skoro nie rozumiesz nawet własnych potrzeb?

Leesha nie odpowiedziała. Jej matka dysponowała bardzo niepokojącą umiejętnością czytania jej w myślach.

– Powinnaś pójść na górę i porozmawiać z Marickiem, póki reszta twoich absztyfikantów przebywa poza miastem – powiedziała Elona. – Minęło już kilka lat, a Marick przeżył trochę nieszczęść, które na pewno go oszlifowały i dodały mu charakteru. A do Zakątku dotarł jako

bohater. Uchodźcy nie przestają wyśpiewywać peanów na jego cześć. Być może teraz bardziej przypadnie ci do gustu.

– Sama nie wiem...

– Och, idź na górę! – rozkazała Elona. – Zanieś mu talerz z jedzeniem i pogadajcie. Przecież nie oznacza to, że będziesz musiała rozłożyć przed nim nogi jeszcze tej nocy. Choć z drugiej strony – nagle uśmiechnęła się i mrugnęła do córki porozumiewawczo – lepiej spożytkować tę noc na przyjemności, aniżeli spędzić ją na zamartwianiu się sprawami, których i tak nie da się rozwiązać do rana.

Leesha roześmiała się wbrew sobie i raz jeszcze uściśnęła matkę.

* * *

Kilkakrotnie przyszło im minąć ślady rzezi. Poszarpane przez otchłańce ciała, czasem pojedyncze, czasem w większej ilości, zalegały wszędzie tam, gdzie bezbronych uciekinierów dopadła noc.

Naznaczony zatrzymał się tylko przy pierwszym miejscu kaźni, a potem spał Nocnego Tancerza i nie szczędząc ostróg, pognął przed siebie, klnąc siarczyście na widok kolejnych trupów. Jego towarzysze, nawet Gared i Rębacze, nie mieli takiego doświadczenia w siodle i wkrótce zostali w tyle za potężnym ogierem, ale Naznaczony nie przejął się tym ani trochę. Na trakcie znajdowali się ludzie wygnani z domów przez Ahmanna Jardira, człowieka, którego kiedyś jak ostatni głupiec nazwał przyjacielem, a teraz musiał odszukać i ocalić przed nocą tylu uchodźców, ilu się tylko uda.

Niemniej Naznaczony miał zamiar rozliczyć Jardira z każdej śmierci, do której się przyczynił.

I niech mnie Otchłań pochłonie, jeśli nie doprowadzę tego do końca, pomyślał.

Pędził jak szalony przez ponad godzinę, aż odnalazł pierwszą dużą grupę uciekinierów. Niebo płonęło już jaskrawymi barwami zachodu, lecz ludzie nadal pracowali nad swą barierą. Wymalowali runy na drewnianych deskach, lecz obszar, który chcieli zabezpieczyć, nie miał regularnego kształtu i sieć była niespójna.

Naznaczony spał Nocnego Tancerza tuż przy krawędzi bariery i zeskoczył z siodła, sięgając po narzędzia do kreślenia runów. Ludzie wykrzyknęli ze strachu na jego widok, ale zignorował ich i bacznie przyjrzał się magicznym symbolom.

– To on! – szepnął jeden z Patronów do drugiego. – To Wybawiciel!

Naznaczony nie zwrócił uwagi również i na niego, koncentrując się na swym zadaniu. Niektóre z runów wystarczyło odwrócić lub lekko przekrzywić, by utworzyły mocniejszą sieć, inne zaś należało poprawić kilkoma ruchami rysika. W paru przypadkach musiał odwrócić deskę i narysować run od początku.

Po chwili zgromadzili się wokół niego ludzie, którzy tulili się do siebie i szeptali, nie

spuszczając wzroku z wytatuowanych dłoni przybysza. Próbowali też zajrzeć pod jego kaptur, ale nikt nie ośmielił się podejść bliżej, przez co Naznaczony mógł pracować bez przeszkód. Gdy reszta jego towarzyszy dotarła wreszcie na miejsce, Erny niezgrabnie zsunął się z konia i ruszył z pomocą, a Rojer i reszta zasłonili ich przed uchodźcami.

– Wybawicielu! – wykrzyknęła jakaś kobieta.

Mężczyzna uniósł głowę i ujrzał, jak na próżno próbuje się przedrzeć ku niemu, zatrzymywana przez ogromne ramiona Gareda. Jej oczy lśniły fanatycznym blaskiem. Naznaczony nie przyglądał się jednak dłużej i wrócił do pracy.

– Proszę! – krzyknęła raz jeszcze. – Moja siostra jest nadal na trakcie!

Mężczyzna poderwał się natychmiast.

– Dokończ barierę! – rzucił Erny'emu. – Niech tutejsi Patroni ci pomogą! Zostawię ci kilku łuczników do osłony, gdyby pojawiły się otchłance.

Erny przełknął ślinę, ale skinął głową i wykrzyknął kilka poleceń do rizoniańskich Patronów, którzy stali wraz z resztą uchodźców.

– Puść ją – przykazał Naznaczony Garedowi, który nadal zatrzymywał kobietę. Olbrzym wypełnił polecenie bez wahania i kobieta padła na kolana.

– Błagam, Wybawicielu – szlochała u stóp Naznaczonego. – Moja siostra spodziewa się dziecka! Jest już zbyt gruba, by dosiąść konia. Nasi rodzice starszankowie też nie mogli nadażyć za grupą, więc uprosili mnie, bym wzięła dzieci i pobiegła przodem.

– I jeszcze tu nie dotarli – dokończył za nią Naznaczony.

– Już prawie noc. – Niewiasta płakała, czepiając się rąbka jego szaty. – Błagam, Wybawicielu, ocal ich.

Ten pochylił się, pogładził ją po policzku i ostrożnie pomógł jej wstać.

– Nie jestem Wybawicielem – rzekł. – Ale przysięgam, że jeśli tylko będę w stanie, ocale twoją rodzinę.

Następnie zwrócił się do Gareda.

– Zostaw dwie łuczniczki przy Ernym – rozkazał. – Niech go strzegą, póki nie skończy bariery. Reszta za mną!

W chwilę później niewielki oddział z tętentem kopyt opuścił obozowisko i pognął na trakt.

KONIEC KSIĘGI PIERWSZEJ

TYTUŁ ORYGINAŁU

The Desert Spear

WYDANIE I

2010

ISBN 978-83-7574-268-8

REDAKCJA

Małgorzata Kochańska

PRZEKŁAD

Marcin Mortka

WYDAWCA

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-607 Lublin, ul. Wallenroda 4c

tel.: 81/ 524 08 88, faks: 81/ 524 08 91

www.fabryka.pl, e-mail: biuro@fabryka.pl